

B 740

WŚCIEKŁE PSY



**TEGOŻ AUTORA:**

**ROMANS MARTY - POWIEŚĆ - WARSZAWA 1909**  
WYCZERPANE

**BAJKI UCIESZNE - POEZJE - LWÓW 1910 - WY-**  
CZERPANE

**OSACZONA - NOWELA - LWÓW 1910 - WYCZER-**  
PANE

**BIAŁY LEW - KIJÓW 1917 - WYCZERPANE**

**W PŁOMIENIACH - KIJÓW 1918 - WYCZERPANE**

**PRZEZ JASNE WROTA - LWÓW 1920 - WY-**  
CZERPANE.

**SYN DNIEPRU - LWÓW 1920**

**KRWAWA CHMURA - POWIEŚĆ - LWÓW 1920**

**PIELGRZYMI - POWIEŚĆ - LWÓW 1920**

**CZERWONA RAKIETA POWIEŚĆ - LWÓW - PO-**  
ZNAŃ 1921

W DRUKU:

**SIŁA SERCA - BŁĘKITNE ROMANETTO**

W PRZYGOTOWANIU:

**NIEZWALCZONE SZTANDARY - POWIEŚĆ**



B740

JERZY BANDROWSKI

# WŚCIEKŁE PSY

POWIEŚĆ

613



LWÓW - POZNAŃ 1921  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO



284 025

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0173364

DRUKARNIA ZJEDNOCZENIA MŁODZIEŻY W POZNANIU

W/193/05p

# I.

Żołnierze z rykiem i wrzaskiem hurmą rzucili się na nadjeżdżające w ciemnościach wagony.

Wmieszawszy się w tłum, Zaucha, z małą walizką pod pachą, nie ceremonjował się, lecz, prac ciałem, świdrując i wiercąc sobą, wkliniony w szamoczącą się masę ludzką, sunął ku drzwiom wagonu sanitarnego, zdobywanego właśnie przez jego „odcinek.“ W dzień nie ryzykowałby może czegoś podobnego, bo wchodzenie w drogę żołnierzom łatwo mogło się skończyć połamaniem żeber, ale w nocy, gdzieś za stacją, gdzie szybowano wagony, podobne przedsięwzięcia zwykły się udawać.

Mimo że wagony biegły jeszcze dość szybko, schodki wozu dudniały już od ciężkich kroków żołnierzy, z rozgłośnem stękanem ciągnących za sobą swe toboły. Ciemności nocne warczały pogróżkami i klątwami, blaszane kociołki brzęczały, kolby karabinów zdradliwie godziły w kolana, „sołdackie“ sumki, twardo wypchane łupem, ugniatały żebra i piersi. Nie zrażało to jednak Zauchy, przyzwyczajonego już do bezustannych bojów w sowieckiej Rosji, do zdobywania wszystkiego siłą zawsze i wszędzie. Żył się z tem i nawet z pewnem radosnem podnieceniem nurzał się w krzyczących i huczących odmętach ludzkich, rad, gdy zdołał przedrzeć się przez nie i postawić na swoim, na złość pieniącym się z gniewu niedołęgom.



Nadeszła rozstrzygająca chwila.

Wciąż biegnąc wraz z pociągiem, zbита gromada żołnierzy ustawiła się jakoś tak, że Zaucha znalazł się przy stopniu, pod drzwiczkami wagonu. Teraz naprzód — i albo połamanie nóg, lub śmierć pod kołami, albo miejsce w tym jednym z ostatnich pociągów, uciekających z Ukrainy przed Niemcami. Więc Zaucha zaparł się w sobie, wstrzymał dech, naprężył wszystkie członki. Splątane razem z nim, zwiłkane grono ludzkie dźwignęło się w górę i poczęło wśród walk i klątw pięć się ku drzwiczkom. Kilkunastu kanciastych olbrzymów szamotało się, grzmocąc ogromnymi pięściami i wywijając karabinami, zaś Zaucha prześlizgiwał się między nimi coraz bliższy celu, póki wreszcie, zgrzany lecz cały, nie stanął na skraju korytarzyku, zapchanego ludźmi i tobołami.

— Towariszcz, 'a, towariszcz! — odezwał się błagalny głos tuż za nim. — Posuń się odrobinę naprzód, żebym choć nogę mógł postawić!

W milczeniu Zaucha ugiął się, jak mógł i przecie trochę miejsca zrobił jakiemuś kolosowi w szynelu. Było to w planie. Olbrzym zupełnie zatkał sobą wejście, a prócz tego na siebie już brał obowiązek walki z tymi, którzy jeszcze do wozu dostać się pragnęli.

Wciśnięty między dwa twarde szynele, przesycone wonią machorki, ognisk obozowych i kapusty, sam drobny i szczupły, Zaucha stał, wyczekując, co dalej będzie. Udało mu się zdobyć miejsce w wagonie, więc teraz już z pogardą myślał o „głupim bydle“, dobijającym się wciąż do wozu.

— Gdzież leziesz jeden z drugim? — wołał w duchu, krzywiąc się z niesmakiem. — Żadnego porządku niema! Coza hołota!

— Towariszcz! — błagał ktoś, uczepiwszy się ramy wybitego okna w drzwiach już zatrzaskniętych. — Towariszcz! Cztery doby już czekam tu i do pociągu dostać się nie mogę. Wciąż — „miejsca niema!“ Puść mnie!

— Jakże ja ci miejsce zrobię, kiedy go niema?

— A ty, wszystko jedno, posuń się troszeczkę!

— Gdzie ja ci się posunę, duszo boża?

— Gołubczik, odrobinę — a posuń się! Już ono się robi, miejsce, nie bój się, a to, mówią, ostatni już pociąg może... Hermaniec, mówią, idzie, w plen jego przeklęty popadnę...

— O, a tobie zaraz już i „Hermaniec idzie!“ Fu, ty czort, łiesz i grzech na duszę bierzesz, żeby cię tylko wpuścić. No, chodź, zobaczę ja, gdzie ty to miejsce znajdziesz.

Drzwi otwarły się. Wsunął się przez nie toboł. (— Pewnie rzeczy, zrabowane w którymś z rozgromionych dworów naszych! — pomyślał Zaucha). Za tym tobołem wepchnął się drugi, żywy, w żółtym szynelu, i tam, gdzie, zdawało się, igła już zmieściłaby się nie mogła, znalazł przecie miejsce szeroki, barczysty żołnierz ze swym pakunkiem.

Scena ta powtarzała się co parę minut. Zaczynał ktoś skomleć pod oknem — odpowiadano mu niechętnie, odmownie, czasem okrzykami głośnego protestu, ale przecie po jakimś czasie drzwi się otwierały, nowy pasażer z westchnieniem radości i wdzięczności wciskał się w ciasny, zatłoczony korytarzyk, wymieniał z drugimi kilka ostrożnych, nic nie znaczących, dyplomatycznych zdań i chuchając w zziębnięte dłonie, zaszywał się w swój kąt, grzejąc się w cieple natłoczonych ludzi.

W miarę jednak, jak coraz dłuższym stawał się ten korek, zatykający ciasny korytarzyk, pasażerowie, znaj-



dujący się w nim, posuwali się naprzód. Stłoczona masa ludzka ugniatała się, jak kapusta w beczce. Działo się to niezmiernie powoli, niewidocznie, tak, że nikt kroku naprzód nie zrobił, a jednak po pewnym czasie Zaucha o duży krok już oddalił się od drzwi i stanął u wejścia do malutkiego korytarzyka, prowadzącego do wozu.

Nareszcie kiszka ta tak się zatłoczyła, iż absolutnie już nikogo nie można było wpuścić. Wybuchło parę gwałtownych utarczek słownych, aż zapóźnieni podróżni, widząc bezowocność swych ataków, zaczęli wóz przepełniony omijać.

## II.

W zatłoczonym ludźmi wagonie panowała cisza.

Zrazu brzęczało kilka kłótliwych głosów, wadzących się o to, jak i gdzie najwygodniej ułożyć pakunki. Z rozmowy i akcentu można się było domyśleć, że to do drogi dalekiej układają się Syberyjczycy. Po jakimś czasie kłótnia ustała. Czasem szczęknęła blaszana zapalniczka i błysnęła żółtym płomykiem w ciemnościach, zarzyły się papierosy, ciężko dyszały szerokie piersi. Zresztą można było myśleć, że ludzie śpią.

Zaucha wiedział, że nie śpią. Przyczaili się tylko w ciemnościach i myślą. O czym? O sobie, o swych dziwnych przygodach na kruszącym się froncie, o krwawych ogniach dworów, gromionych przez „zieloną armję“, o nowych czasach, o tem wreszcie, czy uda się im cało dotrzeć do domu i dowieźć lupy.

Czasami, sapiąc i szczękając żelastwem, przelatywała obok wozu lokomotywa. Maszyniści porozumiewali się, gwiżdżąc z końca na koniec dworca według aparatu Morsego. Coraz rzadziej chrzęściły po śniegu kroki żołnierzy, z klątwami i pobrzękiwaniem blaszanek szu-

kających miejsc. Pociąg miał odejść o ósmej, północ już minęła, a o odjeździe nie było ani mowy. Pociąg stał, jak wmurowany.

— A może nas tu tak zostawia? — zaniepokoił się Zaucha.

Nie liczące się nigdy z ludźmi, przekorne a złośliwe władze bolszewickie często płały takie figle.

Wtem wstrząsnęło wozem potężne uderzenie.

— Nareszcie! — pomyślał Zaucha.

Po krótkiem szybowaniu przypięto wagony do pociągu, poczem znowu zapadła głęboka cisza.

Skurczony w niewygodnej pozycji, wciśnięty między dwóch cuchnących żołdatów, emigrant rozmyślał o swojej doli. Prześladował go los zły i zawistny, siłę woli i wytrwałość nagradzający tylko nowymi upokorzeniami i klęskami. Bo wkońcu to wszystko było jednym nieprzerwanym pasmem niepowodzeń. Gdzież Legja Wschodnia, jej bunt szlachetny i jej tragiczna wiara w możliwość zwycięstwa sprawy dobrej wbrew twierdzeniu, iż Bóg stoi zawsze po stronie silniejszych bataljonów? Cóż z nieugiętości i cichej pokory serc tułaczy i emigrantów, wszelkimi sposobami wmawiających w Rosję dobrą wolę i szlachetne posłannictwo? Cóż wreszcie z rewolucji i nieskoordynowanych wybuchów zapалу i energii rosnących w siłę oddziałów polskich? Z gałęzi na gałąź przelatuje Orzeł Biały, a front niemiecki rozwinął się od Bałtyku aż do Morza Azowskiego i dalej, przez Kurdystan do granic Indyj. Żadnego zwycięstwa, same tylko straty i klęski, a on, Zaucha, znowu w wozie, między uciekającym żołdactwem bolszewickim, jadący — Bóg wie, dokąd i Bóg wie, poco.

Jednakże, mimo przygneńbienia, nie czuł się złamanym na duchu. Nawet w krwawym chaosie rewolucji



spozstrzegał wyraźnie realizowanie się wielu wyroków sprawiedliwości, ledwie przeczuwanych dawniej, prorokowanych tylko. Niedostępny talmudystycznej sofistery, może jednostronnie lecz jasno widział, iż „dokonuje się.“ Co? Trudno było określić, ale cudownie i promieniście w tej szatańskiej gospodarce jedno po drugim wyświetlały się słowa boże.

Dlatego — nie rozpaczał, poprzestając na tych zwycięstwach małych i drobnych, jakie mógł zdobyć. I tu było miejsce — w bolszewickim pociągu. Pojedzie. Sami bolszewicy go powiozą. A tam — może się przecie jeszcze na co przyda.

Po kilku godzinach czekania daleko dał się słyszeć niewyraźny szmer.

— Kontrol! — szepnął ktoś czujniejszy niedaleko ucha Zauchy.

Istotnie, wsłuchawszy się w te szmery, można było rozróżnić głosy, otwieranie i zamykanie drzwi.

— Czort waźmi, na cztó zdieś kontrol, mat' ich! — „rugnął“ szeptem drugi głos.

Moment był istotnie nieprzyjemny. Zaucha miał pasport austriacki — nie miał wyobrażenia, jak się wobec niego bolszewicy zachowają. Ale liczył na swój poplamiony szynel rosyjski, nędzną czapkę i głupią, baranią minę. Jeszcze w szkole zawsze mu profesorowie mówili, że ma głębie zaspaną, baranią.

Zbliżały się głosy stanowcze, mocne, bezwzględne.

— Bolszewickij komisar!

— Nu jewo!

Głośna rozmowa odezwała się już niedaleko.

Wóz spał.

Ktoś raz i drugi bezceremonialnie szarpnął drzwiami, błysnęło oślepiające światło latarki. Do wozu wszedł

komisarz bolszewicki, wysoki, chudy żyd o jastrzębiej, czerwonej twarzy. Mimo że zachowywał się głośno, nie zwracano na niego uwagi. Nie pytał o dokumenty, przyglądał się tylko twarzom.

— Pokażcie swoje lico! — mówił drwiąco, budząc kogoś. — Chcę się niem porozkoszować. Nu, prędzej! Ja komendant. Nie o łaskę proszę, lecz rozkazuję.

Z górnej półki wychyliła się okropna, obrzękła morda, zaspana, głupia, idiotycznie zdziwiona, a okrutna.

— Wot czestnoje lico russkawo sałdata! — z ledwo dostrzegalną ironją wykrzyknął komisarz. — Nie sli-szkom charoszoje no bolszewitskoje! A wy kto?

Tracił jakiegoś zaspanego lub udającego sen jego-mością, zawiniętego w świtkę.

— Mordoczku, pożałujsta, pokazitiele!

Pokazała się twarz „burżuaz“, pulchna, różowa, gładko ogolona.

— Kak wasza familja? — zapytał ostro komisarz.

— Czyja? Moja? — pytał wystraszony czy zaspany inteligent.

— Czyja? Nie moja, a wasza!

Pasażer — otyły olbrzym, łysawy blondyn, przeląkł się. Twarz drgnęła mu, że aż oczy zamknął. Wyjąkał z trudem:

— Sa-ła-wjow!

Patrzono na niego z pogardą.

— Wasz dokument? A, praporszczyków już niema. To było kiedyś, teraz — skończyło się.

— Teraz wszyscy równi! — pouczyło kilka głosów.

Mocny, badawczy wzrok żyda obmacał kilka twarzy i przez mgnienie oka zatrzymał się na twarzy Zauchy, który stał przytający w sobie, z gapiowato otwarte-



mi ustami. Drapieżne żrenice komisarza kilku spojrzeniami przekłuły ciemne kąty, w których piętrzyły się „sumki“ i toboły żołnierzy. Wreszcie żyd odwrócił się i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Rewizja podrażniła żołnierzy.

— Jakiem prawem on wypytuje ludzi? — odezwał się ktoś. — Pokaż twarz! Jak wasza familja? A jak jego familja? A czemu on mnie pyta, a nie kogo drugiego?

Ale z górnych półek odezwały się gwałtowne, energiczne protesty. Leżeli tam „Krasnoarmiejcy“ ideowi. Ci rozpoczęli teraz polityczną rozmowę, z kolosalnym tupetem posługując się obrzydliwym żargonem partyjnym i pod niebiosą wynosząc potęgę bolszewizmu.

### III.

Pociąg ruszył.

Oparłszy się o ścianę i przestępując z nogi na nogę, Zaucha stał, leniwo i niedbale tropiąc myśli, przemykające mu się przez mózg. Bez protestu, z całą rezygnacją poddawał się monotoni niewygodnej, rowoczesnej podróży po Rosji, w ścisku, w nieopalonym wozie sanitarnym, bez światła. O świecy nie marzył i myśleć nawet nie chciał od chwili, kiedy podczas jednej z takich podróży widział, jak straż kolejowa rozstrzelać chciała „burżuazję“, domagającego się lekkomyślnie światła w wagonie. Z uśmiechem przypominał sobie, jak stosunkowo jeszcze niedawno temu jechał tędy za tanie pieniądze pierwszą klasą pośpiesznego pociągu, jak jadł znakomity obiad w wozie restauracyjnym i jak eleganccy oficerowie flirtowali z rozkapryszonemi, uperfumowanemi damami w zacisznych, miłych „coupées“, mile oświetlo-

nych elektrycznymi lampkami, przystrojonemi we wzorzyste, różnobarwne abażury.

— No i cóż? — myślał. — Było i niema i obejdzie się. Zato jest co innego. A co stanowi istotę życia? Któż wie? Bez wielu rzeczy można się obejść. Naprzykład: Można sprzedąć wolność za wygody, lub wygodami okupić wolność, a w gruncie rzeczy tak w pierwszym jak i w drugim wypadku jest niewygodnie. Ale jak prędko oni to potrafili zniszczyć i jak gruntownie! Jasna rzecz. Przyroda bez regulatora inteligencji dąży do chaosu.

Na którejś stacji pociąg stał rozpaczliwie długo. Nudno było niesłuchanie. Szczęśliwcy, którzy jako tako mogli wyciągnąć się lub zahaczyć o coś swe ciało, spali i drzemali. Inni stali, wdychając zcicha. Ten i ów palił bezprzykładnie smrodliwego papierosa.

— A ty skąd jedziesz, towarzyszu? — pytał jakiś szept.

— Z rumuńskiej niewoli, z Kiszyniowa.

— Isz ty! — zdziwił się szept. — Z rumuńskiej niewoli? A czyż my z Rumunją wojujemy?

— Skąd mnie wiedzieć? Ja wiem tylko, że cały nasz artyleryjski pułk wzięli Rumuni do niewoli.

— Cóż to ty opowiadasz? — zniecierpliwiał się trzeci. — To niby po twojemu Rumuni zajęli Kiszyniów?

— A to kakże!

— Kłamiesz! Kiszyniów nie zajęty!

— Niech ci będzie nie zajęty, a ja w Kiszyniowie tym twoim cały miesiąc w rumuńskim szpitalu leżałem. Dopiero niedawno wypuścili.

— Nie można tobie wierzyć. Ty kłamiesz. Nie mogli Rumuni zająć Kiszyniowa. Jakżeby oni śmieli? My z nimi nie wojujemy.



— A co takiego? Daj ognia, towarzyszu? — przysunął się czwarty i przy rozdmuchanym żarze papierosa spojrzął mu w twarz. — Mówisz, że z rumuńskiego „plenu“ jedziesz? A kto tobie kazał to mówić? Widziałeś ten „plen“ na własne oczy?

— Połno gawarić! Nikt mi nie kazał.

— Wieści takie fałszywe rozpuszczają, żeby Rosję rewolucyjną hańbić i niepokoić.

Zakotłowało w wagonie. Odezwały się głosy:

— Durak! Niczewo nie znajet! Dieriewnia! Duraczjo!

— A mnie to co? Szczęśliwy, że wypuścili i że do domu jadę. Niech będzie po waszemu!

Uspokoilo się trochę, ale tuż odezwał się niski, spokojny głos:

— Tak ty w samym Kiszyniowie leżał, „słdatik“?

— Zostawcie już! — zniercierpliwiał się naciągany.

— Nieee. Dlaczego? Ja przecie też z rumuńskiej niewoli jadę!

— Ot, już i drugi jeniec rumuński się znalazł! — krzyknął ktoś zniercierpliwionym głosem. — Ech, wy, „zielona armja!“

— Drugi! Nie bój się! I tysiące naszych znajdziesz w niewoli rumuńskiej, leśny kawalerze! — odpowiedział spokojnie tęgi, mocny bas. — Czemu gadasz, jeśli nie wiesz? Czemu żołnierzom uczciwym nie wierzysz? Ty dziewczka, żebym ja cię zwodził?

— Prawdę mówi! — zaczęto wołać w wagonie. — Czemu nie wierzyć? Czemu on gorszy od ciebie? Prawda to, że Rumuni Kiszyniów zajęli?

— I Kiszyniów i całą Besarabję.

— Czort! Czemuż oni przeciw nam wystąpili?

— Ich zapytaj!

— A czegoż dalej chcą?

— Mówią, że na Odesę pójdą.

— Na Odesę?

W wagonie zapanowała konsternacja. Żołnierze zaniepokoiли się. Zaucha zauważył, że wiadomość o zajęciu Besarabji nie była im obojętna. W głosach ich, niedowierzających i podejrzliwych, drgało oburzenie, cień jakby wstydu, upokorzenia, gniewu. Nie dało się to nawet porównać z obojętnością, a nieraz nawet i złośliwą radością, z jaką wszelkie wieści tego rodzaju przyjmowała rosyjska inteligencja.

Zaucha milczał i słuchał, wyrażając całe swe uczucie i całą swą inteligencję. Zrozumiał, iż jest jednym z tych nielicznych, którzy mogą podsłuchać jakąś ważną tajemnicę przyrody. Mało znał chłopą rosyjskiego, nie miał o nim własnego zdania, a te, które spotykał, bywały często sprzeczne i rozbieżne. Nie zapominał jednak ani na chwilę o tem, że, jak wszędzie tak i w Rosji, lud odegra rolę decydującą, i że zatem głosowi jego trzeba się przysłuchiwać.

Ktoś z górnej półki wsiadł na rozmawiających, skarżąc się, że mu spać nie dają. Inny zjechał całe towarzystwo, twierdząc, że to wszystko głupie plotki, że żołnierzowi jednemu czy dwom nie należy wierzyć, ponieważ oni nic wiedzieć nie mogą.

— A zresztą, choćby nawet Rumuni narazie, czasowo Besarabję i zajęli — niczewo! Przyjdzie i na nas kolej. I Besarabję odbierzemy i mordę zbijemy.

Na to chętnie zgodzili się wszyscy.

#### IV.

Szary, posępny dzień zimowy zaczął świtać w zabrudzonych, parą pokrytych oknach. Kto mógł, bodaj



iluzorycznie, ustalić równowagę swego ciała, drzemał, nawet stojąco. Grube, jak toporem wyciosane, żółte twarze straciły wszelki wyraz i stały się, jak trupy. Obrzękłe, sine wargi rozchyliły się. Mocne, krótko ostrzyżone, twarde głowy kiwały się bezwładnie, słaniały się ciała. Na górnej półce ktoś czasami jęczał przez sen dziko, strasznie.

— Ładne musi mieć sny ten przyjemniaczek! — myślał Zaucha.

Pierwsi zbudzili się Syberyjczycy, którzy w czterech zajęli miejsce przy oknie w jednym niskim przedziale. Chmurnie i z przekornym uporem spoglądały w błady, niechętny poranek ich twarze suche, dobrze modelowane, nieledwie inteligentne, a ostre profile wyraźnie i cienko odcinały się od popielatego tła brudnej szyby, nasiąkającej z wolna światłem. Drapali się w głowę, ziewali, przeciągali się. Jeden z nich przyniósł parę kociołków wrzątku. Zasyypawszy go herbatą, odrobinę wody poświęcili na — fryzurę. Przeglądając się w małych lusterkach kieszonkowych czesali się długo, z pedantyczną dokładnością pracując nad rozdziałem na głowie i nad symetrią loków. Skończywszy toaletę, rozdzielili między siebie bochenek chleba i z wielkiego, dobrze wypchanego worka dobyli cztery blaszane puszki konserw mięsnych. Systematycznie i z wprawą otwierali je nożami, a żując powoli chleb, oglądali po chłopsku wbite na koniec noża kawałki mięsa, oblepione żółtym tłuszczem. Potem, sapiąc i łykając głośno, przez dłuższy czas zalewali trzewia herbatą. Kiedy się zaś najedli i napili, zapalili po papierosie, porozumieli się wzrokiem i na dany znak na cztery głosy zanucili jakąś pieśń wojskową, w marszowym rytmie i z ciekawymi synkopami, ale melancholijną i smutną.

Głośny, smętny „pean“ Syberyjczyków rozbudził cały wagon i teraz dopiero Zaucha mógł zobaczyć, z kim jedzie.

„Krasnogwardziejców“ było zaledwie kilku. Rozłożyli się na górnej półce i przy jednym oknie, gdzie ustawili też swe karabiny. Zresztą wagon pełen był wracających z frontu żołnierzy, którzy się sami zdemobilizowali, poprostu uciekali, nakradłszy i narabowawszy na zapas, co się gdzie dało. Wszyscy zaopatrzeni byli znakomicie w odzież zimową, której masy nakładli na siebie. Niektórzy mieli po dwa nowe szynele. Między tymi „zbołszewizowanymi dezerterami“ kręcili się wychudzeni i pokorni żołnierze, wypuszczeni ze szpitalów lub wracający z niewoli, zgłodniaли i źle ubrani.

Byli Syberyjczycy, były wąsate, pucułowane twarze Ukraińców o rysach nieledwie mazurskich, byli wysocy, często zezowaci i ospowaci Wielkorusowie, poważni, skupieni i zamknięci w sobie, było trochę Tatarów, zaś w jednym kącie o sprawach „miru“, pszenicy i ziemi szeroko rozprawiali chłopci nadwożańscy. Wśród żołnierzy prostych, wśród typów silnych, mało skomplikowanych i wyraźnych, bez trudu poznawało się nierasowych, kundysowatych inteligentów miejskich, wątłych, przedwcześnie wyłysiałych, z twarzami, których młody — dzięki ogoleniu — wyraz miał w sobie coś zdzienniałego, z oczami wystraszonemi lub drwiącemi, ludzi niepewnych siebie, poniżonych, nieszczerych i niemęskich. Byli to poprzebierani i chyłkiem do domów powracający oficerowie rosyjscy, Zausze jednak zdawało się, że są to sami żydzi.

W kłębach dymu, w ziemisto-żółtych szynelach i zsuniętych na tył głowy siwych „papachach“, wyglądało to wszystko na pierwszy rzut oka posępnie, groźnie,



nawet dziko. Niektóre twarze były istotnie straszne, wszystkie chmurne. Ale w owych czasach mało kto się uśmiechał, a Zaucha zbyt dużo widział, aby wierzyć nieprzyjemnym pozorom. Żołnierze zachowywali się naogół poprawnie, spokojnie, nawet grzecznie. Kto mógł drugiemu zrobić miejsce, robił je z uszczerbkiem dla własnej wygody, kłótni ani bitek nie było, rozmawiano, prawda, ostrożnie, ale chętnie. Tylko bezwarunkowo nie mówiono ani o wojnie, ani o rewolucji.

Zaczęło się zwykle życie w wagonie — wylatywanie po wrzątek, picie herbaty, zagryzanie chlebem, wreszcie palenie machorki.

Kiedy się w wozie trochę rozluźniło, Zausze udało się przysiąść na ławce. Ucieszyło go to bardzo, bo teraz miał już pewność, że do Moskwy dojedzie siedząco. Według ściśle przestrzeganych zwyczajów, których nawet rewolucja nie zniosła, nikt nie miał prawa ruszyć go z raz zajętego miejsca. I nikomu nawet na myśl-by to nie przyszło.

Korzystając z tego i on wybiegł na jakiejś stacji po wrzątek. Wracając z pełnym wody kociołkiem zobaczył wagon eskortowany przez „Krasnoarmiejców“, a wiozący do Moskwy uciekającą z Kijowa wojskową misję francuską i angielską. Aż w nim serce zabiło na widok inteligentnych, cywilizowanych głów w siwych, rogatych „calote’ach“ i w płaskich, okrągłych czapkach „khaki“ z brązowymi lwami.

— Szczęśliwcy, psiakrew! — myślał. — Pojadą sobie do Archangielska, gdzie na nich wiernie czekać będzie swój własny, elegancki krążownik i wygodnie, nie śpiesząc się, pojadą do siebie. Ale co! Jak to było zacznie się wyrzynać, odpłyną sobie na parę metrów i będą się temu przyglądali. Przegrali bo przegrali, ale wrócą do

siebie, do domu. A ja co pocznę? Wojuj, jak nie masz piędy własnej ziemi pod nogami, albo choćby tego krążownika! Ech, są szczęśliwe narody na świecie, są, są!

Koło południa zdarzyło się znów ciekawe „intermezzo.“ Ktoś bąknął, że wojska austriackie i niemieckie zajęły Berdyczów i Żytomierz.

— Kto? Awstrijcy? Awstrijcy? Awstrijcy zajęli Berdyczów i Żytomierz? — śmiał się jakiś żołnierz. — Słuchajcie, towarzysze! Mówią, że Awstrijcy zajęli Berdyczów i Żytomierz!

Rozległ się głośny śmiech.

— A, może być, powiesz jeszcze, że oni i na Kijów pójda? — żartował rozbawiony żołnierz.

— Nie wierzą w Austrię ci ludzie! — ucieszył się Zaucha.

— Wierno. Idą na Kijów. I bardzo być może, że już są w Kijowie.

— Awstrijcy? Ani na krok z miejsca ruszyć się nie mogą! Co Awstrijcy! Sami ledwo na miejscu stali! Nasi ich nie puszczą!

— „Samostijniki“ z nimi idą.

— Jacy nasi? Może ty? Sam do domu uciekasz, a chcesz, żeby się drudzy bili!

— Tam jest front!

— G.... nie front, to ja ci powiem. Takie czasy przyszły, że nawet Awstrijcy mogą iść, gdzie zechcą.

Wybuchła kłótnia. Jedni dowodzili, że frontu nie ma, drudzy wyśmiewali Austriaków, twierdząc, że oni do żadnej akcji zdolni nie są. Spór przerwał „Krasnoarmiejec“, który wyjął bolszewickie „Izwestja“ z kieszeni i, nie wdając się w dyskusję, odczytał głośno komunikat urzędowy, donoszący o pojawieniu się pod Berdyczowem paru podjazdów austriackich, wysłanych wyłącznie w ce-



lach furażerki, wszelkie jednak wiadomości, jakoby mogli zająć Berdyczów, są nieprawdziwe.

— Oto — komunikat urzędowy! — śmiał się zwiastun złej wieści. — Więcej wiem ja, który z pod Berdyczowa uciekałem...

— Tchorze uciekają! — mruknął właściciel „Iz-wiestij“.

— Ja cztery razy ranien był! Nie tchorz! A sam się bić nie będę, kiedy wy uciekacie!

— Ale temu, co nasze „Izwestja“ piszą, przeczyć nie wolno! My, „Krasnogwardiejcy“, sami najlepiej wiemy, jak jest.

Po chwili milczenia zaczęto mówić o czym innym.

Dusza Zauchy rozszerzyła się szerokim, błogim uśmiechem.

Oto wolność przekonań, oto wolność i uczciwość prasy, rzekomej opinii publicznej, oto prawdziwość informacji urzędowych, oto potęga pisma! Tak zawsze było, to prawda. Prasa autoryzowana plotkarka, łże świadomie, dla tendencji, i nieświadomie, z powodu ignorancji. Więc cóż się zmieniło? Zabarwienie kłamstwa. Łgarstwo jest dzisiaj w kolorze czerwonym.

Przypomniął się Zausze najmłodszy brat, który jako mały chłopaczek, namiętnie lubiał patrzeć na świat przez czerwone szkiełko. Z oka go nie wyjmował. Ale świat od tego szkiełka nie poczerwieniał, a tylko chłopcu czerwone gruczoły na oku wystąpiły.

— Czerwone zołzy! — śmiał się w duchu Zaucha.

## V.

Po południu wsiadło do wozu kilku nowych pasażerów. Wpuszczono ich dla zabawy. Było to jakieś starsze małżeństwo, łyk małomiejski z dobrodusznie chytrą miną i jego żona, szeroka, tłusta baba, Kozaczka, de-

monstrująca niesłychaną rewolucyjność i ze wstrętem spluwająca za każdym razem przy słowie „szlachcic“. Para ta jechała dokądś „po chleb“, a Zaucha domyślił się bez trudu, iż krwi chciwa przewrotowość staruszków pochodziła z chęci przypodobania się żołnierzom i ze strachu, aby ich z wozu nie wyrzucono. Żołnierze woleli-by byli porozmawiać o tem, co na wsi słyhać, prowokowani jednak przez Kozaczkę, potakiwali jej półgębkiem.

Znacznie większe wrażenie zrobiło pojawienie się młodej pary żydowskiej. On, z twarzą bladą, zniszczoną, lajdacką, w granatowym birecie i w takiejże pelerynie, wyglądał jak typowy „apasz“, zaś korzystając z przywilejów nowych czasów, otwarcie przedstawił się żołnierzom jako „warszawskij wor, karmanszczik“ \*), co podróżni przyjęli z uznaniem i wybuchem radości. Ona, młoda, w wojłokowym kaftanie, w mitenkach i pretenjonalnie zaczesana, twarz miała taniej „rogówki“, a przypominała małomiejską Surę.

Para ta korzystnie przyczyniła się do ożywienia nastroju. „Doliniarz“ wyśpiewywał kuplety, żołnierze rozpoczęli ożywiony flirt ze Surą, znalazła się harmonja, nawet Syberyjczycy zaciekawieni przerwali swój posępny „pean“. Zaczęło się robić wesoło. Jakiś światowiec, przysiadłszy się do Sury i zrobiwszy dowcipną minę, obсыpał ją deszczem pornograficznych jednoznaczników, dobierając figur jak najprzejrzystszych i najbardziej rozłożystych, a słów jak najmocniejszych, gwałcących. Zaś siedzący obok niego Tatar za każdym takim słowem rżał głośno, kręcił głową, zachwycony wodził wzrokiem po twarzach towarzyszków i chwalił:

\*) Warszawski złodziej kieszonkowy.





— Su-kin-syn! Jakby w książce czytał!  
Dłużył się czas, ale przecie — jechało się.  
Zaucha zdrzemnął się trochę.

Kiedy się zbudził, „doliniarz“ grał z kilku żołnierzami w hazard, zaś Sura z piskiem i pokazywaniem skombinowanych „dessous“, wywijając nogami w czerwonych, bawełnianych pończochach, windowała się na górną półkę, dokąd ją wciągało kilka par mocnych, młodych rąk.

Zapadł zmrok, długi, przykry, przynębiający. Gaśły i ciemniały brudne szybki sanitarnego wozu. Bez końca ciągnęła się pokryta śniegiem równina, na której ciemnymi plamami znaczyły się zrzadka zbiegowiska czarnych chat. Syberyjczycy, zbudziwszy się z mocnej, poobiedniej drzemki, zawyli melancholijnie swój „pean“ o pięciuset zwrotek, inni podróżni drzemali, ziewali, patrząc w coraz bardziej gęstniejący błękit, układali się do snu, lub, chcąc przekrzyczeć turkot kół, rozmawiali gromkimi głosami.

Wieczorem, kiedy wszyscy prawie posnęli, zrobił się rumor i do wagonu wdarł się nowy pasażer, czysto i przyzwoicie ubrany typowy feldfebel, z wygoloną twarzą, przymarznąętym nosem i jasnymi, zimnymi oczami lokaja lub woźnego, jak się później okazało — Łotysz. Jechał z papierami z „Głównej Kwatery“, opowiadał dużo o swym poufałym stosunku z głównodowodzącym bolszewickim, chorążym Krylenką, zaś wieści, jakie przynosił, zgalwanizowały cały wagon.

— Giermancy idą na Psków! — biadał na cały głos. — Dawno już mówiłem Krylence: — Towarzyszu, posłuchajcie wy mojej rady, Niemcom nie wierzcie! — Ale — gadaj sobie. Sam mądry. A wot-tie-na! Teraz co? Teraz g.... w rot nabrał i milczy. A ty, matuszka Rassie-

ja — stradalnica, ratuj się, jak możesz i umiesz. Ale nikt jej ocalić nie chce, każdy myśli tylko, jak-by skorzastać...

— Sabotaż burżuazji niszczy rewolucję! — odezwał się ktoś.

— Jaki sabotaż? Prosto — robotnicy zdradzają! — wykrzyknął Łotysz.

— Tego już za wiele! Robotnik nie zdradzi!

— A wot — ja jechałem z pociągami Głównej Kwatery. Tak oto kolejarze zatrzymywali pociągi po drodze i żądali okupu. Tor kolejowy rozebrali. Prawda, że w razie ewakuacji należała im się pensja trzymiesięczna, której nie dostali, bo o tem nikt nie pamiętał, ale w każdym razie tor kolejowy przed pociągami Głównej Kwatery rozbierać — to już zanadto.

— Nu, jeśli im nie wypłacono...

— Rzecz w tem, że oni pójdą tam, gdzie im lepiej zapłacą. Oni, swołocz, dla Giermanca rabotajut.

Otwarty i śmiały ton Łotysza, a także oddalenie od frontu ośmieliło i innych — i posypały się wieści. Każdy coś wiedział. Nikomu nie było tajem, że Niemiec idzie naprzód i na północy i na południu, a prawie wszyscy już kołowali z powodu przerywania bezpośrednich połączeń kolejowych. Tam, bliżej frontu, milczeli, bojąc się, aby ich ajenci bolszewicy nie zatrzymali po drodze, jednakże, choć się i nie mówi, każdy wie, czego się trzymać. Czemuż to jadą do Moskwy tak długo, czemu posuwają się naprzód tak powoli? Bo droga zabita jest pociągami. A na południe pociągi idą? Nie. Spotkali jeden jedyny eszelon wojskowy. A front? Głupi tylko może jeszcze mówić o jakimś froncie. Frontu już dawno niema.



— Ginie Rosja! — zakonkludował Łotysz. — I ja się obawiam, że z nią przypadnie nasza swoboda.

Ani jeden głos protestu się nie odezwał.

— A na Orszę można jeszcze jechać?

— Na Orszę? Na Orszę Polacy idą, Dowbor-Muśnickij...

— A Polaki poco tu leżą?

— Czort ich znajet... Razem z Niemcami.... Lezie, kto chce...

W Zausze serce drgnęło. Dowbor połączył się z Niemcami? Nie może być!... Tożby skompromitował Polskę raz na zawsze przed całym światem!

A potem zaczął rozmyślać, co znaczy właściwie „świat“ i „kompromitacja.“ Wolno wszystko, co się uda. Czy tak? Tak świat żyje, tak państwa przychodzą do „wielkości i chwały...”

Usnął, przysłuchując się plutarchowym opowiadaniom Łotysza o Krylence.

## VI.

Kiedy się zbudził, było już jasno. Pociąg wlokł się przez zaśnieżone pola, od których biła cudna różowo-złota luna słonecznego dnia. Po szybach ściekały wielkie krople, mieniające się, jak brylanty. Widać było czyste, jasno-błękitne niebo.

Żołnierze palili papierosy, ale nie rozmawiali.

Nastrój w wagonie był poważny, twarze zasępione, skupione.

Zaś czyjś dzwięczny, młody, męski głos mówił, zagłuszając rytmiczny stuk kół i wypełniając swem patetycznem brzmieniem cały wagon:

— To rewolucja? To nie rewolucja, lecz rozbój! Sami zastanówcie się nad tem i zrozumieście: Co dobrego

dla Rosji może wyniknąć z takiej rewolucji? Kto chce porządek u siebie w domu robić, musi być silny, aby się mógł wrogowi obronić. A my co? Czemże obronimy się? Gdzie nasza armja?

— Armja jest! Wszyscy pójdziemy, jak nam każą! — zaczęto wołać ze wszystkich stron.

Był to nieszczerzy okrzyk wstydu. Ci żołnierze nie wierzyli w wojnę, ponieważ nie wierzyli w zwycięstwo. Wojna zmęczyła ich do tego stopnia, że osłabli nerwowo i stępieli najzupełniej, a znalazłszy się naraz w chaotycznych, nowych, wytworzonych przez bolszewizm warunkach, histerycznie wprost rwali się do domów, o nic już nie dbając i nic nie rozumiejąc. Jasnem było, że gdyby nawet miał się utrzymać nowy porządek rzeczy, wytworzony nie przez żadne „masy“, lecz przez doktrynerów bolszewickich, dużo trzeba było czasu, aby ludzie mogli się weń wżyć i zorjentować w nowych warunkach.

— Co wy mówicie, towarzysze! — napół z płaczem wołał patetyczny głos. — Ja wiem, że każdy z was gotów pójść i to nie tylko, jak każą, wielu z własnej ochoty pójdzie, ale czyż to armja? Zrozumieście, że do prowadzenia wojny potrzebne są nie kupy ludzi, lecz planowa mobilizacja, uporządkowana komunikacja, magazyny, sztab — a tego wszystkiego u nas już niema. Długo biliście się z Giermancem, wiecie, jak ciężko z nim walczyć.

— Nie ciężko! — krzyknął ktoś — „On“ — wróg serjoznyj, ale myśmy „go“ nieraz rozbili. Giermaniec nie lepszy od russkiego sałdata.

— Ja wied’ znaju, no u Giermanca porządek, magazyny, organizacja, u „niego“ sztab.

— A nas nasi oficerowie sprzedawali!



— Nie wierźcie temu, towarzysze! Byli rozmaici oficerowie, lepsi i gorsi, ale nigdy was nie sprzedawali.

Zerwała się burza. Żołnierze z najwyższą nienawiścią wyrażali się o oficerach.

— Po osiem dni jeść nie dawali, różgami siekli, krew naszą pili! Ech, jak wspomniesz brat, to...

— Nie mówcie z nim, nie mówcie! — wrzasnął zjadle jakiś bolszewik z górnej półki. — To z pewnością oficer, burżuj, kapitalista! Bij jowo!

Zrobił się rozruch. Ktoś wstał, ktoś się posunął i wtedy Zaucha ujrzał odważnego kaznodzieję.

W przejściu — między ławkami a ścianą wagonu stał wyprostowany młody człowiek wysoki, strzelisty, ale mocno zbudowany. Ubrany był w zniszczony szynel żołdacki, poplamiony i obdarty i w białą „papachę“, zsunętą na tył głowy. Kiedy się rozległy pogroźki, nie drgnął, nie spojrzał nawet w stronę krzyczących, lecz patrzył w okno, jakby w niem widział coś bardzo zajmującego.

Pogroźki były płonne. Nikt nie podniósł ręki.

Żołnierze umilkli.

Wówczas młody człowiek zwrócił się znowu ku swemu audytorjum i przez chwilę w milczeniu patrzył żołnierzom w oczy.

Miał białe czoło, szeroką, ogorzałą twarz, trochę chłopską, lecz śmiałą, szczerą, męską i pod cienkimi lukami brwi wielkie, rozpalone, niebieskie oczy, smutne i pełne żalu, oczy chłopca, nabrzękłe łzami.

Zaczął mówić mocnym, żołnierskim głosem:

— Chto tut burżuj? Kakije kapitalisty? Kapitaliści dawno już uciekli, a ten, kto tu został, kto z wami jedzie w tym wagonie, kto do was mówi otwarcie, to ani burżuj, ani kapitalista, bądźcie pewni. Ja... es-er! A czy jestem oficerem? Tak. Trzy razy miałem nieszczęście

doznać tego zaszczytu, trzy razy, a gdy o tem mówię, nikt wierzyć nie chce. Mianował mnie oficerem car, Kierenski zatwierdził mnie, a teraz pułk mnie wybrał, ale ja jadę do pułku z prośbą, niech mnie puszcza, nic zrobić nie mogę, dowierja niet. W pułku wszystkiego sześciuset ludzi zostało...

— Bywa, że i stu pięćdziesięciu nie naliczysz! — rzucił ktoś.

Oficer znów wybuchnął:

— Co to jest? Co się stało z ludem russkim? Czy to tensam lud jest, który cara zwałil? Wy sprzedajecie broń, towarzysze, sprzedajecie mienie pułkowe i dzielicie się pieniędzmi, a to przecie reszta mienia państwowego! Prócz niego Rósja niema już nic! I czy to sprawiedliwe? Jakiem prawem ludzie, którzy w pułku byli przez pół roku, mają zagarniać mienie pułkowe, nie uważając na tych, którzy służyli w nim dwa i trzy lata? To grabież, a nie rewolucja. A patrzcie, co się na wsi dzieje? Przejść przez wieś spokojnie nie można!

— Nieprawda, tam już pracują Komitety włościańskie!

— Chłopski syn jestem i sam byłem członkiem komitetu włościańskiego, ze wsi jadę! Członkiem komitetu byłem, ale zrzekłem się, bo tu nikt nie poradzi! Chłopi chcą dzielić ziemię po swojemu, bez żadnego systemu — jak im się „ziemienny komitet“ nie podoba — wybierają go na nowo, albo poprostu rozpędzają. Nie można przecież rabować majątku niepodzielonego! Jedna wieś dzieli majątek „pomieszczika“ po swojemu, druga po swojemu, a potem się biją. Mówię — mniejsza już z tem, bierzcie ziemię, jak chcecie, ale pracujcie na niej. Odpowiadają mi: — Dobrze, ja zasieję, a kto będzie zbierał? Kierenski wydał dekret o ziemi — ja wcale bronić go



nie myślę — zwalono go! Ale czy bolszewicy dali chłopu ziemię? Też nie. A zato rozbili armję! Zaś teraz Niemiec nie liczy się z nami i robi, co zechce... Tymczasem my będziemy rozszerzali pożar rewolucji...

Mówił namiętnie, z furją, z bólem, którego dłużej już dławić w sobie nie chciał.

— A teraz co? Rumuni idą na Odesse, Bessarabję zagarnęli, Awstrijcy pchają się na Kijów, Polacy na Orszę wałą, a Giermaniec na Psków i na Piotrograd... Wot wam, „bez aneksji i kontrybucji“, wot wam „niemiedlenyj mir za wsiakuju cieniu...“ Ja nie polityk, ja ministrem być nie chcę, ja tylko żołnierz... Powiedźcie mi, co teraz robić? To rewolucja? Wy rozjeżdżacie się po wszystkich krańcach Rosji. Któż jej bronić będzie?

Nikt nie odpowiadał.

Koła wagonu stukwały miarowo i obojętnie, jak dni i noce, niewstrzymanie lecące naprzód.

— A ty nie wołnujsa! — odezwał się siedzący na skraju ławki wychudły młody człowiek w „papasze“ i monterskiej czarnej kurtce skórzanej. Szyję okręconą miał jakimś nędznym szalem, który troczył się i białym puchem osiadł na jego niegolonej, kościstej brodzie i chudych policzkach. — Ty nie wołnujsa. Siądziesz sobie na konia, ja na aeroplan, będziemy się bili i — wsio budiet charaszo!

Artylerzysta prawie czule spojrział na lotnika i uśmiechnął się jasnym, nieledwie dzieciannym uśmiechem.

— Wsiadę na konia, a ty na aparat, będziemy się bili i wszystko będzie dobrze! Pewnie, że będzie dobrze! Pewnie że się będziemy bili! Miałem jechać do Moskwy — pojadę do Mohylewa, znajdę swój syberyjski pułk. I moi chłopcy będą się bili i zginą, jak i ja zginę. Ale

nas tylko sześciuset! A co będzie, towarzysze, kiedy my wyginiemy? Ej, Boże, Boże mój, czyż niema sposobu dostać się do Konstantynopola, do Danji! Ja marynarz — uciec-by mnie w świat od tej zmory!

Przez długi czas nikt się nie odzywał.

— Da, da! — potwierdził Łotysz. — Położenie bardzo trudne i smutne.

I zapatrzył się w okno, jakby szukając za ośnieżonymi wzgórkami swej Łotwy, w której mógłby się skryć i przeczekać spokojnie, daleki od niepokojącego współudziału w pracach chorążego Krylenki, pierwszego głównodowodzącego bolszewickiej Rosji.

— A wszystkiemu temu winien lud — odezwał się zamyślony Nadwołżanin — dlatego, że bardzo ciemny. Znaczy — ciemnota zawiniła.

Zaś potem dodał:

— A mimo wszystko do nas, za Wołgę „on“ nie przyjdzie!

— Nu i do nas, na Zabajkalje, też nie przyjdzie! — podkreślił Syberyjczyk.

— A do Kazania?

— Poco miałby chodzić do Kazania? Czy Kazań „go“ interesuje? — wypalił inteligentnie Łotysz.

Zaczęto obliczać, dokąd „on“ (Niemiec) może iść. Pokazało się, że musi poprzestać na Kijowie, Moskwie i Piotrogradzie.

Twarze poweselały.

— Wańka! Daj-ka garmoszkę! Słyszysz! Wańka, a, Wańka! Garmoszkę dawaj!

Wielka, czerwona harmonja ręczna wędrowała z rąk do rąk.

Nadwołżanin oglądał ją przez chwilę.



— Nie sprzedasz, towarzyszu? — zapytał. — Dam ci nowy karabin i patrony.

— Plewać mnie na karabin! Sam swój za czterdzieści rubli sprzedałem żydowi.

A po chwili rozległy się smętne tony gruzińskiej melodji:

A czto tiebie nužno?

Niczewo nie nužno...

## VII.

— Oto jestem w jaskini lwa! — powiedział sobie Zaucha, stanąwszy po kilkudniowej podróży na dworcu brjańskim w Moskwie. Był szalenie utrudzony, zaziębiony, dygocący z gorączki, zawszawiony do niemożliwości i wyczerpany. Mimo to, ciekawy, jak Białokamien na podczas rewolucji wygląda, nie wziął nawet sanek, lecz powlókł się do miasta pieszo z małą walizeczką w rękę.

Na pierwszy rzut oka zmian żadnych widać nie było. Ulice, wymoszczone czarnym, brudnym śniegiem, miały wygląd zwyczajny. Jak dawniej, cicho, prawie niedosłyszalnie mknęły po śniegu we wszystkich kierunkach małe saneczki, jak dawniej, poobwieszane czarnymi gronami pasażerów, jeździły tramwaje. Wszędzie widać było mnóstwo ludzi, zajętych swymi sprawami, a Zaucha, mając głowę nabitą opowiadaniem o strasznym głodzie moskiewskim, z miłym zdziwieniem patrzył na wystawy sklepów z wiktuałami, pełne nie tylko wędlin, serów, masła i ryb, ale nawet przysmaków.

Wszedł na most, prowadzący przez Moskwę-rzekę i ujrzał we mgle wyniosły, tragiczny, patetyczny Kreml.

Śmiało i mocno patrzył mu w oczy, myśląc o Wawelu, tak długo hańbionym przez żołnierzy austriackich. Dumnie sterczały szerokie, harde, mocne mury siedziby carskiej, jak kragłe hełmy witeziów waregskich lśniły, małe, niezliczone kopułki cerkwi, uwieńczone przez żywe, czarne wieńce unoszących się nad nimi chmar kawk i wron, z głośnym wrzaskiem latających dokoła wież. Ale gdzież potęga carów? Żołnierzy gwardji zmienili na dawnych posterunkach Łotysze w obszytych czerwonym sznurkiem „calotte’ach“, a w komnatkach carskich rozgościli się Lenin i Trockij, dwa wypędku gimnazjalne.

W okolicach Arbatu zaczęły się pojawiać pierwsze ślady walk ulicznych — domy obdrapane, gęsto poszarpane salwami z karabinów maszynowych, czasem balkony rozbite lub gzymsy pokiereszowane, zdarte ze ścian granatami, tu i ówdzie, niby maść rozmazana na ścianie, białe wapno na świeżo zamurowanych dziurach. Aż wreszcie oczy ciekawego wędrowca uderzył widok potwornych, okropnych zwalisk u początku bulwaru Nikitskiego. Tam, w otoczeniu kilku niskich domów, mniej okaleczonych, lecz zato wstrętnie dziubatych i szpetnych wskutek upartego ostrzeliwania z karabinów maszynowych, w gruzach leżały dwie ogromne kamienice. Wszelkie życie, jakie się kryło w ich murach, piece, schody, ludzie, sprzęty, drzwi, sufity — wnętrzności, trzewia, serce i duszę domów, wydarto, wyszarpano. Wszystko, żarte ogniem i gryzione stałą, zniszczało, zapadło się, runęło i zmieniło się w kupę czarnych gruzów, gdzie kamień pomięszał się z pogiętymi, jak połamane żebra, sztabami żelazniami. Pozostały częściowo mury wewnętrzne z okopconymi dziurami, w których kiedyś były okna, zaś na jednym domu, na wysokości pierwszego



piętra widać było nietknięty szyld z ironicznym teraz na pisem „Meblirowannyje komnaty.“

Zaucha kilkakrotnie obszedł dokoła ów dom, tego olbrzymiego trupa, leżącego w pośrodku bulwaru. W jego wnętrzu nie było już nic, coby mogło przypominać dom mieszkalny. Na ziemi leżały gruzy czarne, białe, czerwone, straszne, ciężka, bezkształtna nicłość, która zmiażdżyła wszystko i zasypała piwnice. W dawnych pokojach było coś w rodzaju azjatyckiej pustyni: twarde gruzy, na których ani trawa nawet nie porasta. Na stojowiec byłby sobie w wyobraźni zmyślił psa, albo bodaj żebraka, gmerzącego wśród zwalisk — widocznym jednak było, że tu niema nawet myszy. Zainteresowany tym pomysłem Zaucha, rozglądał się po ruinach z myślą, czy bodaj bandyta ścigany mógłby tu znaleźć schronienie przed słotą — ale zwaliska przysypał śnieg. Zniszczenie było zupełne.

Tu do ostatniej chwili, do ostatniego człowieka bronili się bohaterscy „junkrzy“, uczniowie szkół oficerskich, i nieliczni, pomagający im, oficerowie ochotnicy. Zaucha w myślach widział tych młodych ludzi, młodą inteligencję rosyjską, często nawet bez przekonań politycznych, w żołnierskich szynelach z otoczonemi srebrami, czerwonymi lub ciemno-niebieskimi szlifami na ramionach. Czego ta młodzież broniła? Czy wiedziała, czego broni? Czemu żywą barjerą swych młodych ciał przecięła drogę przyszłości? Żołnierz, pełen zapалу lecz kiepski, bo niewytrzymały, żołnierz młody, więc, jak cała Rosja, zapatrzony w przyszłość i wszystkiego od tej przyszłości spodziewający się, gdy godzina wybiła, przyszłości tej nadstawił ostrze swego bagnetu! Dlaczego?

A zmiłowania nad nim nie było. Nie osaczono domów, nie odcięto ich, nie próbowano wziąć „junkrów“ głodem, unieszkodliwić, rozbroić, zmusić do poddania się. Z całą zajadłością rzucono się na nich i czempredzej, jak tylko zamknęli się w tych domach, wytoczono przeciw nim armaty. Z pism Zaucha wiedział, że bolszewicy niedaleko, w prostej linii, na placu Męki Pańskiej, ustawili baterję, która biła bez przerwy w ostatnią redutę zapalnej młodzieży moskiewskiej. Któż to był? Młodzi ludzie z tych samych ulic lub dzielnic sąsiednich, studenci — a naprzeciw nich stali parobcy wiejscy, robotnicy moskiewscy — znajomi z ulicy, z teatrów, z fabryki. Ale nikt nie miał litości. Proletariat — służba z kamienic sąsiadujących z domami, w których „junkrzy“ się zamknęli, stróże, służące, dzieci — mały drobiazg — gimnazjaliści wreszcie — wszystko szpiegowało ich, zdradzało, wszystko nieomal tańczyło z radości, gdy który z tych młodych ludzi padł, a mózg jego wylał się na bruk.

Z trudem oderwał się Zaucha od ponurego pomnika wojny domowej i ruszył dalej bulwarem, czarno-szklisłym od wyslizganego śniegu, po którym ledwo można było iść, jak po lodzie.

Woddali, u końca bulwaru Puszczińskiego, ukazały się naprzód srebrne kopułki, a następnie czerwone mury wielkiego Monasteru Męki Pańskiej. Nietknięty stał na swem miejscu śpiżowy pomnik Puszkina, zapatrzony w bulwar i widniejące na jego końcu czarne zgłiszczające zamordowanego domu z wyszarpanemi wnętrzościami. Pod pomnikiem obradował nieliczny mityng. Zaucha, ciekawy, o czem Moskwa mówi, przybliżył się do politykującej gromadki i przysłuchiwał się przez chwilę.



— Więc co mamy robić? — pytał stary, siwy urzędnik młodego człowieka, najwidoczniej byłego studenta.

— W dalszym ciągu prowadzić wojnę domową.

— Jakże to? Więc my mamy zdobywać Nowoczerkask, Rostow i Armawir, a Niemcy tymczasem zabiorą nam Dźwińsk, Mińsk, Moskwę i Piotrogród?

— Ach, bo wy nie znacie i nie rozumiecie Marks! — z uśmiechem wyższości odpowiedział student. — My walczymy z kapitalizmem, zaś kapitalizm jest międzynarodowy, z czego jak na dłoni wynika, że burząc kapitalizm rosyjski, tem samem zadajemy cios kapitalizmowi niemieckiemu...

— To znaczy: Jeśli Rosja pójdzie z torbami, to Niemiec przez to zubożeje? Nie tak wy ze swoim Marksem rozumujecie?

— Wam wydaje się to dziwnem, ale tak istotnie jest! — zapewniał student.

— Skończony idjota! — pomyślał z gniewem Zaucha i wzruszywszy ramionami, odszedł.

Wszędzie na murach rozlepiono mnóstwo afiszów, wzywających ludność do broni i do obrony rewolucji. Mało kto jednak afisze te czytał, a tu i ówdzie śmiano się z nich.

Twerska wrzała życiem. Na wystawach eleganckich sklepów piętrzyły się stosy towarów. Okna jakiejś owocarni olśniły Zauchę przepiękną dekoracją, sporządzoną wyłącznie z pomarańcz, przewiązanych zielonemi wstążeczkami i liśćmi pomarańczowemi. Mnóstwo było drobnych, ładnych kobietek, w futrach, pięknych paltach pluszowych, i w niezgrabnych śniegowcach, szpecących nogi. Nawet przygnębienia nie spostrzegało się, głośny śmiech i rozmowy prowadzone swobodnym tonem brzmiały zuchwale, nawet zaczepnie. Zawsze har-

da, pewna siebie i nawet wobec carów niepokorna, stara stolica, nie straciła jeszcze — zdawało się — swego nieugiętego ducha, ani wiary w ostateczne swoje zwycięstwo.

Takie było pierwsze, powierzchowne wrażenie.

— Wkońcu nie można przecie jednym zamachem wstrzymać takiego mechanizmu jak mechanizm miljonowego miasta — myślał Zaucha. — Zobaczymy, co się pod tem kryje.

## VIII.

Ślizgał się po bulwarach lub, z trudem wlokąc za sobą nogi, brnął suchym, popielatym piachem śniegowym, aż wreszcie ujrzał Milutyński zaułek i skryty za malinową cerkwią narożną czerwony, jednopiętrowy dom, w którym rozkwaterowane były polskie władze emigracyjne. Ulica ta, łącząca dwie ważne arterje miasta, Małą Łubiankę z ulicą Miasnicką, ruchliwa i pełna ludzi, wygląd jednakże miała nieszczęśliwy. Zaciemniała ją, przygniatała swym ogromem olbrzymia, kanciasta, prawie czarna kamienica, od której wiało chłodem i wносиła zarozumiałość, dalej zaś, wśród wielkomiejskich domów, widziało się stare, niskie rudery.

Naładowane wysoko brzoźowemi polanami, a także skrzyniami sunęły środkiem ulicy szerokie „rozwalnieśanie“, powożone przez brodatych muzyków w granatowych „armjakach“, przewiązanych czerwoną krajką. „Łomowicy“ głośno, jak w lesie, pokrzykiwali na konie, olbrzymie, ciężkie „bitiugi“, z humorem i fantazją ciągnące ogromne furgony. Zaś wśród tego ruchu, potracani, zamyśleni, kiepsko ubrani, snuli się biedni uchodźcy polscy z minami zatroskanemi, wynędzniali, doprowadzeni czasem do rozpacz przez biedę i tęsknotę i sypią-



cy z pod oszronionych wąsów klątwami lub klótliwemi, jadawitemi słowami.

Tu, od czterech lat, w starym domu, pomalowanym na malinowy kolor, mieściły się najważniejsze urzędy Centralnego Komitetu Obywatelskiego, rozciągającego swą opiekę nad licznymi gminami wygnańcami, rozrzuconymi po Rosji zachodniej i środkowej. Nie było tu prawie domu, w którym-by w małych kancelaryjkach i gabinetach, urządzonych z wyszukaniem, oficjalnym anty-estetyzmem, młodszy i starsi urzędnicy nie kładli z powodzeniem murowanych podwalin nieznośnemu biurokratyzmowi przyszłej Polski, wiklając nędzę i nieszczęście rodaków w sieci tajemniczych ustaw, praw i paragrafów. Ale nikt nie odchodził stąd niepocieszony i bez pomocy, a przez te kancelarje z Dalekiego Wschodu i na Zachód przewalały się wielkie płaczące fale nieszczęścia i cierpienia polskiego. Tu „przemaalowywano“ ludzi na różne poddaństwa — stosownie do potrzeby wystawiano pasporthy i legitymacje, ubierano biednych lub wspomagano pieniędzmi, kryto żołnierzy, a zawsze wysyłano dokądś kurjerów, zawsze się z kimś porozumiewano, zawsze coś planowano.

A dalej, odcięty od ulicy wysokimi, ostro zakończonymi sztachetami żelaznymi, stał w głębi dziedzińca wielki kościół polski imienia św. Aleksandra, nazwaniem, a także kształtem budynku dostosowujący się do charakteru stolicy. Duża kopuła bazyliki nie odbijała od kopuł cerkiewnych. W niedziele i święta tysiączne tłumy wygnańców falowały przed kościołem, do którego wnętrza docisnąć się nie można było, podczas gdy na dziedzińcu w ciżbie kręcili się kolporterzy pism, a handlarze sprzedawali w małych kramikach dewocjonalja, broszurki nabożnej treści i święte obrazki — zupełnie

jak na odpustach w dalekiej Ojczyźnie. Na tym dziedzińcu, przy dźwiękach starych pieśni nabożnych, płynących poważnie i uroczysto z organów, ukrytych w mrocznym wnętrzu świątyni, zaznajamiali się czasu Wielkiej Wojny wygnańcy z pod wszystkich trzech zaborów i z głębi cesarstwa rosyjskiego, a rozmaicie umundurowani żołnierze wojujących państw stali tu obok siebie w najzupełniejszej zgodzie. Przy kościele umieścił się też „Dom Polski“ z salami zebrań i biblioteką, podczas gdy sąsiednie uliczki pełne były komitetowych jadłodajni, małych kawiarenek, restauracyjek i „gargol“ prywatnych, zachwalających ogłoszeniami, wystawionymi w niemytych oknach „flaczki po warszawku“, „sztukamię“, „kielbasę z kapustą“ i inne dania narodowe. W centrum gwarnej i ruchliwej Moskwy ta małomiasteczkowość rzuciła się w oczy i nadawała dzielnicy polskiej piętno jakby jakiegoś „Ghetta“, ubogiego i zatroskanego.

Z dziwnym uczuciem wchodził Zaucha w rozwaloną bramę malinowego domu. Kiedyś pracował tu i poznał ludzi bardzo dzielnych, zdolnych, energicznych, dobrych Polaków. Rozszedł się z nimi później, zdawało mu się, że pracują zanadto oportunistycznie, że nie walczą. Tak mu się zdawało, — a może to tymczasem on nie wytrzymał, stracił cierpliwość, zdenerwowany bezustannym, męczącym czekaniem? Ale wiedział, że tu się z pewnością czegoś dowie i z pewnością znajdzie pomoc.

Oczywiście — wiadomości było zatrzęsienie. Potwierdzono Zausze pogłoskę o porozumieniu się Dowbora-Muśnickiego z Niemcami, lecz zarazem szeptano też coś o przejściu jakichś dwóch pułków legjonów na stronę rosyjską, gdzieś na południu. Przeciw uwielbianemu dotychczas Muśnickiemu gotowano uroczysty protest,



z „nowonawrconą brygadą“ nie wiadano, co po-  
cząć, zwłaszcza, że sytuację utrudniał słaby i nie-  
regularny kontakt z południem.

— Nie rozumiem! — chciał się zorientować Zau-  
cha. — Trzeba ściągnąć tę brygadę tu!

— Bolszewicy ją rozbiją.

— Dlaczego?

— Wiadomo, że Francuzi pracują przeciw bol-  
szewikom, popierając es-erów, nas, Czechów, Ale-  
ksiejewa...

— Niech Bóg broni! My nie możemy iść ra-  
zem z reakcją rosyjską!...

— Dlatego też musi się teraz organizować na  
Ukrainie...

— Na terenie, zajęтым przez Niemców? Ab-  
surd!

— No więc gdzie?

— No więc gdzie? — powtórzył Zaucha.  
Nie rozumiał.

Wogóle — było źle. W biurach panowało za-  
mieszanie i konsternacja. Na wieść o zawarciu przez  
bolszewików pokoju w Brześciu, tłumy wygnań-  
ców ruszyły ze wschodu na zachód, a nie mogąc  
wydostać się z Moskwy, niecierpliwiły się, narze-  
kały i ogarnięte gorączką powrotu, żarte nostalgią  
i obrabiane przez agitatorów, burzyły się, dezorga-  
nizowały i zarzucały swym kierownikom złą wolę,  
a nieraz i nieuczciwość, podczas gdy bolszewicy,  
bezwzględnie wrogo usposobieni dla Polski i zamię-  
rzając dla własnych celów pozyskać tysiączne rze-  
sze emigrantów, osaczali organizacje polskie i na  
oku mieli ich kierowników.

Mimo to w salach, biurach i korytarzach ma-  
linowego domu rojło się od ludzi, krzających się

żywo, zaafierowanych, zajętych, coś sobie na ucho  
szepczących. Młodzi kurjerzy wojskowi i skauci  
wybierali się w drogę, jacyś wysłańcy przychodzili  
z raportami, a wśród zbiegów z południa zauważył  
Zaucha też kilku doświadczonych, wypróbowanych  
agitatorów jeszcze z Galicji. Starzy „wyjadacze“,  
choć trochę z tropu zbici, miny mieli jednakże tęgie  
i pewne siebie. Sama ich obecność w Moskwie  
świadczyła, iż jakaś akcja jest w planie lub nawet  
w toku.

Pachło konspiracją.

— Ano, zobaczymy! — powiedział sobie w  
duchu Zaucha, przyglądając się temu wszystkiemu.  
— Trzeba się będzie rozejrzeć, zapytać... Może  
jeszcze nie wszystko stracone. A teraz pomyślmy  
o sobie!

## IX.

Był brudny, głodny, pieniędzy miał mało i nie  
wiedział, gdzie będzie spał; w owych czasach je-  
dnak było to rzeczą codzienną i zdarzało się gło-  
wnie ludziom porządnym. Wiedząc o tem Zaucha,  
niewiele sobie ze swego położenia robił, lecz czekał,  
pewny, że prędzej czy później spotka jakąś poczi-  
wą duszę w tych korytarzach, pełnych przyjeżdża-  
jących i odjeżdżających.

Istotnie — doczekał się.

Niespodziewanie stanął przed nim wysoki  
mężczyzna, z typową pretensjonalnością jeńca ubra-  
ny, przystojny blondyn, z wesołemi, szaremi oczami  
i podkręconym do góry wąsem, wykapany „ober-  
lajtnant“ austriacki, zresztą znany jako August  
Chrobak, niby dziennikarz, dawniej szkolny kolega  
Zauchy. Przywitali się bardzo serdecznie, nie dzi-  
wiąc się zresztą niespodzianemu spotkaniu.



Dowiedziawszy się o kłopotach Zauchy, Chrobak natychmiast ofiarował mu kąt u siebie i natychmiast pociągnął go za sobą. Zaś po drodze opowiadał:

— Ja, widzisz, z chwilą wybuchu wojny byłem w Warszawie i pomyśl, mimo koalicyjnej orientacji, idjota wyjechałem do Galicji, wioząc ze sobą partję przeszło stu należących do wojska. Już w Częstochowie ogarnęli mnie Niemcy i tak szczęśliwie dowiozłem swą partję do Krakowa. Potem z pułkiem siedziałem w Przemyślu. Nie kryję swoich przekonań, ale gdybym chciał zdradzać, mogłem nie wracać; no nie? Tymczasem ci idjoci, Austriacy, uważali mnie za „rusofila“ i cały czas trzymali mnie w okopach, w przedniej linii. Myślałem, że się wścieknę, człowieku! Wciąż w okopach! Nie mogąc tego dłużej znieść, przestrelilem sobie lewą rękę — a w parę dni potem Przemyśl się poddał — taki pech! Moskale wywieźli mnie do oficerskiego obozu w Bugulmie, w ufińskiej gubernji. Co ja ci tam miałem z temi kanaljami austriackimi! Raporty tam trzymali, listy konduity prowadzili, w sądy się bawili... Ja powiedziałem: Mam to gdzieś, nic sobie z nich nie robiłem, chodziłem z Czechami, którzy się do drużyny czeskiej zgłosili. Zawołano mnie do raportu, nie chciałem iść, potem przyszedłem nieogolony i bez rękawiczek, przy raporcie pokłóciłem się z jenerałem, nagałem mu głupstw i powiedziałem mu, że spełniwszy swój obowiązek, teraz, w niewoli, nie uważam się już za oficera austriackiego, lecz za Polaka, mogącego dowolnie dysponować sobą. Udało mi się przenieść z obozu do Ufy — sądziłem, że na wolności będzie mi lepiej, tem bardziej, że kolonja polska w Ufie jest liczna — ale, człowieku, co

za austrofile! Za zdrajcę mnie uważali. Nie masz pojęcia, co za ciemnota, co za głupota! W końcu uciekłem z Ufy do Moskwy, chciałem wstąpić do korpusu Dowbora-Muśnickiego — kręcono, kręcono, aż wreszcie zostałem niby w ewidencji stacjonowanego tu pułku rezerwowego Bartosza Głowackiego. — Psiakrew, co za stosunki! W żaden sposób nie można się było do naszego wojska dostać! I tak tu zostałem ze swą ochotą wojskową, a tymczasem Dowbor-Muśnicki pokumał się z Niemcami. Djabeł wie, co teraz począć... Rychło patrzeć rozwiążą i pułk Bartosza Głowackiego... Co robić? Z dnia na dzień się czeka...

— Na co? — spytał Zaucha.

— Właśnie — niewiadomo na co. Germanofile dymią na Ukrainę i tamtędy do wojska, albo też przemykają się do kraju przez Szwecję — wypocząć, wypasieni na Syberji i w Rosji. Ale co my mamy ze sobą począć? A tu z każdym dniem coraz trudniej żyć...

Pokój Chrobaka, w jednym z drugorzędnych hoteli, posępny, nieopalaný, z łóżkiem za przegródką drewnianą, był jednak dość obszerny i tak szczęśliwie umebłowany, że kilku nawet osobom mógł służyć od biedy za schronienie.

— Sypia tu ze mną mój brat stryjeczny — mówił Chrobak — oficer, jeniec, który też chciał wstąpić do wojska polskiego, a także służąca mojej żony.

Teraz dopiero Zaucha zauważył w pokoju różne szczegóły garderoby kobiecej, a przy łóżku małe łóżeczko dzieciinne.

— To i twoja żona tu jest? I dziecko?



Chrobak zmieszał się trochę i oczy rozleciały mu się ledwo dostrzegalnym zezem.

— Nie, niema. Żona, przeczuwając te wszystkie trudności, w samą porę wyjechała na Kaukaz, skąd prawdopodobnie przez Konstantynopol wróci do kraju... To bardzo mądra i przewidująca kobieta... Ona, jak Prusacy mieli zająć Warszawę, wyjechała do Moskwy i przez cały czas była tu gospodynią jednej kuchni komitetowej... Pracowała. Przeżywała dzięki temu siebie i dziecko, jeszcze i zarobiła... Bardzo mądra kobieta...

Opowiadał o swej żonie, a Zaucha tymczasem doprowadził się jako tako do przyzwoitego stanu. Był niewypowiedzianie zmęczony, kaszel rozrywał mu piersi, znajdował się jednak w tak gorączkowym podnieceniu, że czuł, że nie zaśnie — zwłaszcza w zimnym i ciemnym pokoju hotelowym. Potrzebował ciepła, ludzi, wiadomości.

— Na obiad pójdziemy do „Koła Pań“ na Nastasiński zaułek — zapowiadał Chrobak. — Tam niby drogo, wiesz, ale najprzyzwoiciej, ciepło i świetną czarną kawę dają, prócz tego — chleb do obiadu. I ludzi tam można spotkać. A u mnie mieszkać możesz, dokąd mnie nie wyrzucą...

— No, przecie może mi się uda coś znaleźć...

— Bardzo wątpię. Za słone pieniądze — oczywiście! Moskwa jest tak strasznie przeludniona...

— Ale bolszewickich rządów jakoś tu nie wiadać...

— Nie. Tylko hołota rozzuchwalona i niechlujstwo coraz większe...

Pojechali tramwajem na plac Męki Pańskiej, skąd skręcili ku cichemu i niepozornemu zaułkowi Nastasińskiemu.

— O, a to co takiego? — zdziwił się naraz Zaucha, pokazując na wielki, piękny, biały budynek, na którego szczycie zatknięta była ogromna, czarna chorągiew z niewidocznym zdaleka białym napisem. Przed domem chodziło na straży kilku ludzi z karabinami na ramionach.

— Gdzie? Co? To gmach Klubu Kupieckiego, zajętego przez anarchistów. Sztandar anarchistów jest czarny — kolor buntu.

— Tak, wiem.

— Nie widzisz na sztandarze białego napisu „Anarchja?“ Wielki — jak byk. I uzbrojeni anarchiści na straży przed domem. Mają też swój dziennik, „Anarchję“ — wcale dobrze redagowany. I mówią, że tam są tanie i dobre obiady, po siedemdziesiąt pięć kop, tylko — towarzystwo choleryczne, ze złodziejami jadać...

— Dlaczegoż zaraz — „ze złodziejami?“ Anarchiści nie są złodziejami.

— E, ale tu są sami bandyci! — rzucił pogardliwie Chrobak.

— Więc to anarchiści zajęli Klub Kupiecki w Moskwie? Niby jakto — zajęli?

— Prostu. Przyszli — jak są — uzbrojeni, całą kupą, powiedzieli, że zajmują gmach, rozgospodarowali się w nim — i koniec.

— Bajeczne! — ucieszył się Zaucha, nieomal z nabożeństwem przyglądając się wielkiemu, czarnemu sztandarowi, trzepocącemu się wśród ołowianych chmur.

— I cóż cię tak zachwyca? — dziwił się Chrobak.

— Patrzę, jak wygląda sztandar najwyższego akordu rewolucyjnego — odrzekł Zaucha. —



Wpatruję się w tę czarną płachtę, bo chcę wiedzieć, czy można ją kochać. Czerwony sztandar, zatknięty na dachu, świeci jak płomień i grozi pożarem. Ale to? Jakaże siłę ma ta żałobna plama? To noc, śmierć, groźba i klątwa zarazem. Przytem — w pośrodku miasta zatknięto tę płachtę — i nic, cisza, a wiedz o tem, że ten sztandar żył dotychczas tylko w huku salw karabinowych — życie jego nie trwało nigdy dłużej nad czas boju. Tu pierwszy raz widzę go w charakterze niejako oficjalnym...

Chrobak z ciekawością spojrzał na towarzysza.

— Miałeś kiedy z anarchistami do czynienia?

— Phi, było się kiedyś młodym! — roześmiał się Zaucha. — Ale czekajno... Kto to tam idzie?

— Gdzie?

— Po drugiej stronie ulicy. Dochodzą prawie do bramy. Trzech. Dwóch jakichś małych z karabinami na plecach, a między nimi taki wysoki, taki wysoki, tęgi drab w skórzanej kurtce... U pasa ma rewolwer...

— No?

— Czy to nie Popiołka?

— Jaki Popiołka? Adam? Ten rzeźbiarz? A cóżby on tutaj robił?

— Cóż?... Ludzie spotykają się dziś na końcu świata...

— To prawda. Ale wątpię, żeby to był Popiołka... Słyszałbym chyba coś o nim... Ja tu mam z artystami stosunki...

— Zawołaj mi go!

— Wleźli już w bramę...

— Skoczmy za nim!

— Nie puszczą. U nich tam trza się legitymować paszportami i przepustkami, jak w twierdzy... To nora... Lepiej chodźmy już na obiad, bo nam tańsze potrawy wyjedzą...

## X.

Przez kilka pierwszych dni Zaucha pilnie chodził po Moskwie i wpatrując się w jej twarz, szukał oznak nowego życia.

Kiedyś Białokamienna przyginała go ogromem, przytłaczała ciężarem masywnych budowli i nawskróś rosyjskim charakterem swego życia i swej kultury. Obce i odpychające było mu w niej wówczas wszystko. Pojednały go z nią teraz jej wielkie i bolesne przejścia, jej cierpienie i upokorzenie. Oto była w stanie pokuty. Zaucha widział na murach Kremlu ślady brutalnego, zaciekłego bombardowania, które nie oszczędziło nawet słynnego obrazu Mikołaja Ugodnika w jednej ze starożytnych bram, widział na Placu Czerwonym z pychą usypane groby bolszewików, którzy padli w boju o Moskwę, widział inteligencję nieledwie żebrzącą na ulicach, byłych oficerów, sprzedających „towaryszom“ pastę na buty, dzienniki, papierosy domowej roboty lub niezgrabne zabawki własnego wyrobu, widział sławnych doniedawna poetów, pod pozorem demokratyzacji sztuki zarabiających deklamowaniem swych utworów na kawiarnianych estradach, podczas gdy mowcy mityngowi na ulicach wyśmiewali wszystko, co trąciło starą kulturą burżuazyjną, zaś po mieście jeździły pełne rozzuchwałonych żołnierzy platformy, nierzadko z wycelowanemi przed siebie paszczami dział polowych. To ostatnie zupełnie już wyprowadzało Zauchę z równowagi.



— Na spacer z armatami jeżdżą, chamy! —  
kłał przez zęby.

Tu i owdzie rozmawiał z ludźmi.

Nie tylko inteligencja, ale nawet proletariąt miejski uważał bolszewików za łotrzyków, którzy, zaślaniając się pięknymi hasłami, w rzeczywistości ujęli władzę w swe ręce tylko po to, aby się porządnie obłowić — co zresztą mówiono także o Kiereńskim. W trwałość ich panowania nie wierzono — burżuazja, a zwłaszcza inteligencja, w stosunku do sowjetów w dalszym ciągu uprawiała sabotaż. Kiedy Zaucha zwrócił raz w takiej rozmowie jednemu z inteligentów uwagę, że przez sabotaż cały naród rosyjski ponosi ogromne szkody, młody ów człowiek zachnął się.

— Znowu naród? My dosyć myśleliśmy o narodzie. Czas dziś o sobie samych myśleć. Zbyt drogo nas, inteligencję, ta ludowość kosztuje. Nie po Karmanu!

— Więc co będzie?

— Niemcy przyjdą i zrobią porządek.

— Tak, tak. „Ziemia nasza wielka i bogata, a tylko porządku w niej niema“.

— Przyjdźcie i rządzcie nami! — zakończył Moskwicz. — Wszystko jedno kto — Niemcy, Polacy, Francuzi czy choćby Turcy! I owszem, rządzcie! Nic na tem nie straciecie. Porobicie majątki, będziecie mogli mieć najpiękniejsze kobiety, przecudne, przekosztowne futra, klejnoty — a i my będziemy jakoś żyli. Rosja bogata, wszystkiego w niej wbród, dla wszystkich starczy. Przyjdźcie i rządzcie nami — inaczej z głodu wyzdychamy i my i połowa Europy.

Jakoś przeżyć się można jeszcze było, ale wszystko musiało się kupować w pasku po bardzo wysokich cenach. Stąd, kto żył, rzucił się do handlu, spekulacji, szacherki. Opadał z ludzi pokost kultury, przepadały gdzieś hamujące nakazy etyki. Co im było do takiego czy innego ustroju społecznego? Od rana do wieczora na nogach, biegali po kawiarniach i tam, w gęstym, dymnym tłumie grubych, brudnych, paskudnych spekulantów kręcili się, myszkowali, przysiadali do stolików, wybiegali dokądś, znowu wracali zaafelowani, brali procenty. Odpowiednio do tego wzrastało łapownictwo, a nazwiska różnych komisarzy sowieckich tak były znane, jak dawniej nazwiska łapowników carskich.

Zawsze żyło się w tym „sosie“ ponuro i źle.

W dodatku był duchowo jakby bez gruntu pod stopami. Zdawało mu się, że wisi w powietrzu.

Bo oto na świecie działo się, działo się bardzo wiele rzeczy niezmiernie ważnych, w dalszym ciągu rozwijały się wypadki, do których mu dusza przyrosła i od których życie jego zależało, a on o nich nic nie wiedział. Z pism bolszewickich mało czego można się było dowiedzieć. Prasa ta podawała wiadomości zupełnie zmyślane, jak gdyby jedynie w tym celu skomponowane, aby czytelnika zdeзорjentować, otumanić i sterroryzować. Splot tych kłamstw był tak potworny i tak kunsztownie powikłany, że nawet najwprawniejsi dawniej wykładowcy rebusów urzędowych stawali przed nim bezradni. Nie umiano jeszcze tych pism czytać, nie umiano wyciągać z nich prawdy, która zresztą nierzadko była nie mniej fantastyczna i niewiarygodna od najbezzelniejszego wymysłu.



Nieliczne już pisma burżuazyjne, prześladowane i gnębione, protestowały wciąż i klóciły się wciąż z sowietami, stojąc niezmiennie na stanowisku krytycznym i przemycając wiadomości z poza bolszewickiego frontu. Nie miały jednak wzięcia u publiczności, ponieważ czuło się, że nikt za nimi nie stoi. Burżuazja poniosła zupełną klęskę, była rozbita w puch i sama najlepiej o tem wiedziała. Niczego się też już od siebie nie spodziewała. Nie wierzyła w możliwość urzeczywistnienia nieznanego sobie bliżej programu bolszewickiego, ale nie wierzyła też we własne siły, do niczego nie dążyła, a poza tem, aby jak najwięcej uratować z programu, niczego nie umiała chcieć.

Prasa polska, powierzchownie i z burżuazyjnego stanowiska, z dyskretnymi zastrzeżeniami i licznymi znakami zapytania traktując sprawy rosyjskie, cały swój interes przeniosła na teren okupacji austro-niemieckiej, skąd zresztą miała szczupłe i zawsze sprzeczne informacje „od dobrze poinformowanych osób z kół miarodajnych“. Zresztą polemizowano na temat różnych problemów i zagadnień natury czysto teoretycznej, jak na przykład, czy Dowbor-Muśnicki podlegał kompetencji Regencji, czy nie.

Jedynem, naprawdę w owych czasach popularnem i chętnie czytaniem pismem, była „Anarchja...“ Dziennik ten, redagowany starannie i jakoś przyzwoiciej od pism sowieckich, naładowany rewolucyjnością, której brakowało pismom burżuazyjnym, przez ramię patrzący na bolszewizm, cieszył się wielkiem wzięciem tak w radykalnych sferach proletariatu, jak i u inteligencji, zawsze z szacunkiem wymawiającej wielkie nazwiska Bakunina, ks. Kro-

potkina i Tolstoja. Komunizm ze swą wieczną myślą o chlebie i pracy — nudził. Któż dawniej myślał wciąż o chlebie? Bardziej pociągająca była literackość anarchizmu, pikantne zagadnienie nieograniczonej wolności indywidualnej i życia bez żadnych obowiązków i bez zależności od drugich, życia dla siebie samego. Ideje anarchistyczne w duszy rosyjskiej zawsze znajdowały podatny grunt; teraz czyniono sobie z nich coś w rodzaju wyspy, dokąd można było uciec przed ponurą rzeczywistością. Marzyło się ludziom zmęczonym życie samotne, bez żadnych haseł społecznych i politycznych, bez żadnych „reżimów“ i „rozszerzań rewolucji“.

Dziwny to był widok, kiedy w sercu Moskwy, w pośrodku Twerskiej ulicy, z majaczącym wodzami łukiem triumfalnym, dokoła placu Męki Pańskiej, pojawiali się nad wieczorem roznosiciele i uliczni przekupnie z grubemi plikami „Anarchji“ pod pachą. Wybladli i wynędzniali lecz schludni dawni oficerowie w pozbawionych odznak mundurach lub też strzępach mundurów, panie i panienki z inteligencji, uczniowie gimnazjalni — bo teraz już tylko z tych sfer rekrutował się kolportaż uliczny — cała ta upokorzona, bezbronna nędza rozbiegła się po chodnikach i placach i wciskała się z wyciągniętą w dłoń gazetą w tłum, słabemi głosami wykrzykując „Anarchja! Anarchja! Anarchja!“

Jak wszyscy, tak i Zaucha czytywał „Anarchję“ dość chętnie, choćby tylko dlatego, aby nie czytać dzienników bolszewickich. Anarchiści zachowywali się stosunkowo taktownie. Rozumie się, oni też prowadzili żywą, tracącą demagogią propagandę, czuło się jednak, że robią to raczej ze względów taktyki aktualnej.



Ale wkońcu i to było wszystko z „perspektywy wariata“, jak zwykł był mawiać Chrobak, a świat, odbity w tem piśmie, wyglądał jak obraz futurystyczny. Jajecznicą, gulasz i chaos zupełny — w czasach, wymagających szczególnego natężenia świadomości.

Uciec! Uciec!

Można było, jeśli się miało bardzo dużo pieniędzy, zaś Zaucha był nędzarzem. Ubogi jego kapitałik topniał z każdym dniem. Więc musiał siedzieć w Moskwie.

Głównym tonem duszy Zauchy był teraz wielki smutek, wołający o ciszę, spokój i zamyślenie się. Nieledwie fizycznie czuł w sobie biedny tułacz obumieranie starego, przedwojennego świata. Prawie w jego oczach wędły stare idee, bankrutowały wyśmiewane niemiłosiernie przez nową rzeczywistość wartości, w gruzy waliły się gmachy starych prawd, niezwykniętych logicznie, lecz bezpłodnych życiowo. To wszystko, co Zaucha dokoła siebie widział, nie było bynajmniej jedynie dobrem, stało daleko od doskonałości, ale miało też swoją logikę i pokazywało się, iż, choć ciężko, tak także żyć można. Nie zajmując się nigdy socjologią, Zaucha nie zdawał sobie jasno sprawy ze wszystkich dokonywujących się przemian i ich doniosłości, czuł tylko, że stary świat bezpowrotnie ginie. Darmo tłumaczył też sobie, iż to gina nieprawości i krzywdy starego świata, jako że wszystko prawdziwie dobre jest nieśmiertelne, napróżno wmawiał w siebie, że oto otwarte są wrota wolności i nowemu młodemu życiu. Przed tem nowem życiem, wypowiadającym wojnę wszystkiemu, co było, brał go lęk, a na widok furji, z jaką ono burzyło i niszczyło dzień w dzień

to, z czem on się zżył, padała na jego duszę żałoba. Zdawało mu się, że mu mordowano i hańbiono równocześnie jego wspomnienia, jego porywy entuzjastyczne, marzenia i chwile szczęścia. Jakże to? Więc w tej przeszłości, bezbronną padającą pod barbarzyńskimi ciosami nowych dni, w tem, czem on dotychczas żył, co kochał, wszystko było złe, zgniłe, spróchniałe, grzeszne? Nie było ani jednego drgnięcia miłości, ani jednego prawdziwego słowa, ani jednej czystej ofiary?

## XI.

Cóż znowu!

Któż to mianował tych sędziów, wołających, że człowiek dzisiejszy jest dzieckiem grzechu i zbrodni, potworem, zatruwającym powietrze swem jadowitem tchnieniem?

Z czegoż to wyszli ci sędziowie?

Z zasady:

— Jeśli mi oddasz to, co masz, będziesz dobry, jeśli nie oddasz, to jesteś świnia.

A jeszcze:

Pokłoń mi się, a dam ci panowanie nad światem.

Kto im dał prawo sądu nad przeszłością, której nie tworzyli i nie kochali? Której nie rozumieją?

I w imię czego?

W imię tego, że obiecują światu szczęśliwość.

Jak przez mgłę przypomniał sobie Zaucha „Pieśń Małp“ Kiplinga:

— Oto siedzimy na gałęzi drzewa, myśląc o wszystkich znanych nam pięknych rzeczach, śniąc o czynach, które zamierzamy urzeczywistnić odra-



zu, w jednej czy dwóch minutach, o czemś szlachetnem, wielkiem i dobrem — *a z tyłu zwisają nasze ogony.*

Niewątpliwie, wstrząs duchowy Zauchy miał swe źródło w rewolucji rosyjskiej. Był chwalebny, dowodził sumienia i uczciwości duchowej. Ale ta rewolucja, wzięta pod obserwację jako jedna krwawa olbrzymia tragedia, nietylko niczego nie obalała, lecz przeciwnie, stwierdzała jeszcze raz nieskalaną świętość i potęgę praw moralnych, a w danym razie mogła się nawet streścić w staroszlacheckiem, polskiem, uczciwem: *Male parta — do czarta!* Straszna i haniebna była jej złość, tępa nienawiść, jej barbarzyńska dzikość, jej styl mongolski. Był to wstrętny przykład rozbistwienia pierwotnego narodu, przykład odstrasający, ale poza sferą myślenia człowieka cywilizowanego.

Z rachunku własnego sumienia Zaucha przeszedł do rachunku sumienia narodowego. Myślał o sobie jako Polak. Czem zawinił światu? Niczem, przeciwnie, był krzywdzony. Całą gamę tonów dziejowych przebiegając, mógł stwierdzić głupotę, czasem bezdenną, naiwność dziecinną, ale nie złą wolę, nie zbrodnię. Teraz: Bolszewicy ogłosili światu, że przynoszą nową formułę szczęśliwości. Ależ to może być ważne tylko dla formalistów! Wiadomo, bezwarunkowo wiadomo nie tylko to, że ludzkość wyczerpała już — bez skutku — wszystkie formy szczęśliwości zbiorowej, ale i to, że one wszystkie równocześnie i wiecznie na świecie istnieją, a mimo to nigdzie niema bezwzględnie szczęśliwego społeczeństwa. Jest też rzeczą powszechnie wiadomą, że szczęście zależy nie od formuły, ale od zdolności do szczęścia, od trybu życia i od przyzwycz-

czajenia. Przypuśćmy, że polska formuła życia z punktu widzenia obiektywnego miała swe niedostatki. Jeśli jednakże narodowi dobrze z nią było? Dowód? Dzieje państwa, nie wojskowego i nie posiadającego nawet żandarmerji, prawie zupełnie nie notują ruchów rewolucyjnych, bo przecie rokosze nie były rewolucją lecz swawolą!

Wzburzyła się, zbuntowała dusza Polaka.

Skończyła się żmudna i bolesna polemika.

Nie trzeba argumentów tam, gdzie jest czysta wiara w siebie i świadomość szczerza swej prawdy.

— Wąż bolszewicki hypnotyzuje dusze! — powiedział sobie Zaucha. — Wystawia on człowieczeństwo na próbę. Małpy półcywilizowane będą tańczyły, jak on im każe i pójdą mu w paszczę. Człowiek rozumny, świadomy, śmiać się będzie z jego wybałuszonych ślepiów. Idzie teraz o to, czy Polak dzisiejszy stanie wobec tego potwora, jak Europejczyk, wiedzący, co robi i czego chce, czy jak ciemny chłop, w którego handeles żydowski może wniknąć, co zechce.

Bezustanne wnikanie w siebie, sprawdzanie swych wartości moralnych, wieczny, dniem i nocą przeprowadzany rachunek sumienia, wreszcie wstyd za życie, jakby postawione przed sądem, wszystko to rozstroiło Zauchę i zrobiło go niezmiernie wrażliwym i drażliwym. Przez skórę czuł ludzi, zwłaszcza smutnych jak on sam i zmagających się ze sobą. Potrzebował ich i wyszukiwał, wiedziony rozbudzoną przez cierpienie miłością bliźniego.

Punktem zbornym emigracji było „Koło Pań“, jadalnia inteligencji polskiej.

Pożyteczna ta instytucja, karmiąca znośnie wszystkich za tanie pieniądze, a wielu za darmo,



mieściła się wówczas w niepozornym, parterowym dworku moskiewskim, w zaułku Nastasińskim, nie-daleko ulicy Twerskiej. Obszerne, choć niskie sale, urządzone skromnie, zato dobrze wietrzone i utrzymane czysto, gęsto zastawione były stołami, nakrytymi porządnie świeżymi, śnieżno-białymi obrusami — i to właśnie stanowiło całą, najmiłą świat-ność tego lokalu. Drugą, znakomitą jego zaletą, była czarna kawa, prawdziwa i tania. Porcje, dostosowa- ne do cen, względnie niskich, nie mogły, rozumie się, nikogo nasycić, zato jednak talerze roznosiły zgrab- ne, czarno ubrane panienki w białych fartuszkach i czepkach — „bieżenki“, które w ten sposób zara-biały na utrzymanie i przyzwoite mieszkanie przy jadłodajni.

W tem „gnieździe reakcji“ wszystko było pol-skie, dalekie od Moskwy, a zatem i od bolszewizmu i od rewolucyjnego prostactwa. Warszawski szcze-biot pań, pragnących zawsze być ładnymi, a szuka-jących wiecznie rzeczy miłych, pewna nadęta uro- czystość panów, okrągłość form towarzyskich, skłonność do banalizowania najważniejszych wy- padków, plotki, błyskotliwość, tupet niesłychany, dobre serce, schludność, pewna ciasna, mała pedan- tyczność kobiet i przywiązanie do szablonów, połą- czone z niezaprzeczoną wrażliwością i subtelnością — to wszystko śmieszyło, bawiło, irytowało i roz- rzewniało zarazem. Trochę ptaszkowato wygląda- to całe to towarzystwo na surowem i ponurem tle rewolucji, przewalającej zakrwawionym plugiem wielkie problemy życia i przyszłości.

— Ale oni tacy już są i takimi zostaną! — mó- wił sobie Zaucha. — I nikt nie ma prawa przykra-

wać ich na swoją modłę. A ja ich kocham i z ich głupstwami, bo nie są źli.

Siadywał zwykle w małej salce, gdzie zbierała się intelektualna śmietanka emigracji, literaci, kry- tycy, dziennikarze i inni augurowie, otoczeni przez pocziwych hreczkosiejów, nabożnie przysłuchują- cych się ich sporom. Przy jednym stole, otoczony liczną rodziną, jadł obiad wielki śpiewak z szeroką, wygoloną twarzą, we „frenchu“ i w wysokich bu- tach. Żona jego, przystojna blondynka o ruchach kotki, lecz z energiczną twarzą pasjonatki, poważ- nem spojrzeniem spokojnych oczu oglądała towa- rzystwo, podczas gdy guwernantka, chuda, ruda, o ostrej twarzy chorej na żołądek „Primavery“ od- czasu do czasu pochylała się ku starszemu chłop- czykowi i poprawiając mu krawatę, gryzła go nie- znacznie w koniec ucha. Dalej dwie milutkie, wy- świeżone, eleganckie aktoreczki warszawskie z ró- żowemi pyszczkami, trajkotały żywo, podkreślając zdania lekkimi ruchami brwi i błyskiem oczu. Ru- dawy mistyk z mazurskim profilem, żywcem z ka- rykatury Kostrzewskiego wykrojonym, wykladał coś zamyślonemu lysemu poecie. Nos mistyka, jak semafor, jechał w górę, podczas gdy twarz poety poważna, regularnych rysów, hiszpanką siwiejąca przedłużona, mroczyła się coraz więcej, a ogromne, ciemno-szafirowe oczy z przerażeniem patrzyły przed siebie. W innym znów kącie wygoleni, sta- rannie ubrani, z minami dostosowanymi do koloru krawatek i z ruchami zapoznanych hrabiów siedzieli aktorzy, uśmiechający się półgębkiem i z zawodo- wą dyskrecją używający oszczędnie swych orga- nów głosowych, mimo iż w owych czasach grali w Moskwie wyłącznie „na ekran“, czyli w drama-



tach kinowych. Usługiwała w tym pokoju panna Ewcia, młode dziewczę, smukłe i szczupłe, w czarnej, modnie krótkiej sukience i białym fartuszk, ze sztywnym, białym motylkiem w kasztanowatych włosach, „bieżenka“, córka jakiegoś leśniczego z Litwy — jak się panna Ewcia sama przyznała. Zaucha lubiał jej małą, matową twarzyczkę o drobnych rysach, z rozdymającym się i czerwieniącym łatwo noskiem i z milutkimi, łakomymi ustami. Zwłaszcza lubiał jej oczy, niezbyt wielkie, szare i wcale głupiutkie nawet, z dziewczęcą przebiegłością miarkujące z pod długich brwi, cienkich, wiecznie zdziwionych. Kiedy panna Ewcia spuściła powieki, widać było jej oczy duże jak śliwki w cienkiem, różowawem cieście.

Nastrój wśród emigracji, od początku nieprzychylnej Rosji, po przewrocie bolszewickim stał się jawnie germanofilski, co swą przyczynę miało tak w niechęci do dyktatury proletariatu dzikiej i okrutnej, jak i w tem, że władze bolszewickie pozamykały banki, sekwestrowały klejnoty w „safesach“ bankowych i wszelkimi sposobami prześladowały burżuazję. Bohaterami dnia stali się teraz Niemcy. O nich mówiono nieomal z rozrzewnieniem — jaki to porządny naród, jaki dzielny, jaki mądry, sprawiedliwy i kulturalny. Zwłaszcza aktorki i aktorzy, którzy w Moskwie nie mieli już nic do roboty, a dowiedzieli się, że państwa centralne aktorów do wojska nie biorą, rwali się do kraju, pod niebiosa wynosząc centralną Europę.

Wściekał się Chrobak, rzucał parę zjadliwych słów — rozpoczynała się kłótnia, wzajemne wspomnianie sobie różnych „świństw“ i „lizań butów“ — zarzuty przekupstwa, handlowania krwią polską.

karjerowiczostwa. Twarze bladły, oczy stawały się twarde i złe, głosy pryskały sarkazmem, wybuchały inwektywami. Z głębi urażonych dusz dobywano argumentów najcięższych i najboleśniejszych, przeżywanych tysiąckrotnie w bezsensownych nocach. Stół żarzył się, gorzał nienawiścią.

Bo ludzie byli już chorzy.

Wybuchali o byle co — coraz częściej jednak o mikroskopijne istotnie porcje. Zupełnie tracili panowanie nad sobą, bili pięściami w stół i pieniąc się ze złości latali z talerzem po salach.

Dopiero w chwilach podrażnienia — mniejsza już o co — widać było siarczyste, ogniste dusze tych ludzi, eksplodujących niespodziewanie napozór, lecz najwyraźniej trawionych i żartych jakimś ogniami. Wybuch przychodził jak grom, błyskawiczny, porywający, wspaniały. Ludzie skakali naraz, jak żbiki, oczy płonęły im, ruchy stawały się nieomal drapieżne — a Zaucha się cieszył, bo wnosił z tego, że temperament polski nie wygaś, a tylko Polacy stali się rozważniejszymi, bardziej opanowanymi. Że w tych czasach trudno się im było w rękach utrzymać — nie było dziwu! Czuli się już zupełnie źle.

— Nostalgia, wstrętne warunki życia na wygnaniu, otoczenie rewolucyjne! — tłumaczył mistykowi. — Wreszcie głód! Bo, prawdę mówiąc, nigdy się tu dosyta najeść nie można... Zaś najważniejszym jest to, że zupełnie niewiedomo, co robić. Ci ludzie mimo wszystko do tych swoich Niemców ukochanych jakoś się nie spieszą, a tu żyć nie mogą.

— Martwi mnie ich stosunek do rewolucji! — narzekał mistyk. — Rozumie się, że rewolucyjny



wybuch wolności jest straszny. Naród długo trzymany w więzieniu, wydostawszy się na wolność, nadużywa jej, robi głupstwa, czasem potworności. Mimo to bardzo ostrożnym należy być w sądach o nim w tem stadjum, bo niewiadome są drogi wolności i niewiadomo, czem ona olśnić może... A prędzej czy później rzeczy się ułożą w Rosji i dopiero wówczas pokażą się owoce.

— Żadnych owoców nie będzie! — stanowczo oświadczył jadający wraz z nimi pewien lekarz wojskowy.

— Wstydziliś się doktor tej nienawiści do Rosjan. Każdy naród na rewolucji zyskuje.

— Tak pan mówi dlatego, że pan Rosjan nie zna. Każdy naród zyska na rewolucji, tylko nie Rosjanie.

— Obawiam się, że pan ze swem uprzedzeniem nigdy nie zdobędzie się na obiektywny sąd o Rosji! — powątpiewał mistyk.

Doktor podniósł na niego blade, zmęczone oczy.

— Całe nieszczęście polega na tem — rzekł po namyśle — że ja ten naród naprawdę znam, a panowie nie. Przecież ja dziesiątki lat wśród Moskali spędziłem i gdyby nie było przyczyny po temu, nie wyrażałbym się o nich tak, jak się wyrażam. Co panowie na przykład myślą o Protopopowie?

— No, to chyba nie ulega wątpliwości. Oszust, łotr, komedjant, podły karierowicz, okrutnik bez czci, bez sumienia...

— Widzi pan! — uśmiechnął się doktor. — Ja Protopopowa znam od dziecka. Mój ojciec był dyrektorem jednej fabryki w majątku jego ojca. Z Protopopowem zawsze utrzymywałem serdeczne stosunki. Jeszcze zeszłego roku był tu u mnie w Moskwie. I powiem panom, że był to zawsze nadzwyczaj

kulturalny, zupełnie cywilizowany człowiek, taki sam jak pan, bez śladu azjatyckości w duszy. A naraz wybiła jego godzina — i zaczął chodzić na czworakach. Wylazło z niego bydło mongolskie. To samo Iwan Groźny! Też znakomicie udawał Europejczyka. Moskal zawsze udaje Europejczyka, ale nigdy niewiadomo, kiedy z niego wylezie dzikie zwierzę. Panowie mówicie o rewolucji rosyjskiej — a to jest zwykłe rozbastwienie dziczy, po którym znowu przyjdzie to samo, co było! Naród polski instynktownie to czuje i dlatego w rewolucję rosyjską nie wierzy.

— Niechże pan mówi z punktu widzenia całokształtu sprawy Europy! — wtrącił poeta.

— Tu wszelka sprawa jest już przegrana!

— Zaraz! A co my mamy robić? — wtrącił Zaucha.

Doktor wzruszył ramionami.

— Nic. Siedzieć cicho.

— Znowu nic? Znowu siedzieć? Proszę pana, sprawa polska, to nie pisklę, żebyśmy mieli ją wysiedzieć, jak kury na jajach... Naród to czuje i w tem nicnierobieniu żyć nie może. Trzeba się bić, do diabła, z kimś trzeba się bić!

— Zbłaźnimy się, jeśli pójdziemy przeciw bolszewikom i zbłaźnimy się, jeśli pójdziemy razem z bolszewikami. Jeśli pójdziemy przeciw — świat i Rosja powiedzą, żeśmy szli z reakcją, jeśli pójdziemy z bolszewikami, zgubimy Polskę, świat będzie nas miał za głupców, a Rosja powie, żeśmy byli jej katami. A ja mam tego dość, jestem chory, wątroba mnie coraz więcej boli i idę na kieliszek oliwy.

Tak stały sprawy.



Zaucha był zły.

Miał się spotkać w „Kole Pań“ z Chrobakiem. ale Chrobaka oczywiście nie było. Co gorsza, „stół ich“ obsiedli jacyś nieznajomi. Wprawilo to Zauchę w zły humor, raz dlatego, że lubiał szybką i życzliwą obsługę panny Ewci, powtórę iż, będąc biedno ubrany, nierad szwendał się po salach, między ludźmi, przyglądającymi się ciekawie dziwolakom nędzy. Że zaś przytem miał krótki wzrok i często nie kłaniał się znajomym, kłaniając się zato niepotrzebnie nisko nieznajomym, więc błąkał się od stołu do stołu. zmieszany i zażenowany, rumieniąc się i klnąc w duchu Chrobaka.

Wtem ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

— Cóż to, panie Józefie, nie poznaje pan starych znajomych? — mówił za jego plecami dźwięczny, tenorowy głos, jakby nieco chrypką stłumiony.

Zaucha odwrócił się.

Stał przed nim dawny znajomy z Kijowa, jeszcze z początków emigracji, pan Seweryn Piotrowski, człowiek bardzo miły, zawsze elegancki, wykwintny, wyświeżony, piękny i młody, mimo że siwizna przyprószyła już jego jasne włosy. Ściskając dłoń Zauchy, mówił z właściwym sobie, nieopisanie czarującym uśmiechem:

— Wołałem na pana i wołałem, ale dowołać się nie mogłem. Czyżby mnie pan Zaucha znać nie chciał? — pomyślałem. — A nie, na to nie pozwolę. Więc wstałem i — aresztowałem pana. A pan pewnie myślał, że komisarz bolszewicki.

— Pan wie, że niedowidzę! — tłumaczył się Zaucha, ucieszony spotkaniem i patrząc serdecznie

w uśmiechnięte, śliczne, zielone oczy Piotrowskiego. — Co za niespodzianka! Mój Boże, tak-eśmy wtenczas narzekali w Kijowie, a jakie to miłe czasy były! Pan sam?

— Z żoną. Może się pan do nas przysiadzie. Prosimy bardzo. Jadamy zwykle w „Empirze“, ale dziś pani moja uparła się koniecznie iść do „Koła Pań“. Żle tu wprowadzie dają jeść, zato znajomego łatwiej spotkać. Proszę, tam siedzimy, pod oknem.

Mimo że Zausze obecność damy niezbyt była na rękę, ustąpił, raz dlatego, że naprawdę lubiał Piotrowskiego, powtórę, ponieważ zauważył, że on się denerwuje, stojąc w przejściu i potracany wciąż przez ludzi, za którymi się nawet, jakby niespokojnie, oglądał. Chcąc nie iść, trzeba by się albo natychmiast pożegnać, co nie wypadało, albo umówić się o rendez-vous.

Tymczasem Piotrowski miękkim, serdecznym ruchem ujął go pod ramię i przeciskając się między stołami, poprowadził ku stolikowi.

— Właśnie jedno miejsce jest wolne, jakby czekało na pana! — wesoło zapraszała młoda kobieta, podając mu rękę.

Tu stała się z Zauchą rzecz dziwna.

Pani Piotrowska siedziała tyłem do okna, a szerokie skrzydła kapelusza rzucały na jej twarz taki cień, że Zaucha w pierwszej chwili nie dojrzał jej. Mimo to doznał czegoś w rodzaju olśnienia. Sam dźwięk głosu wywołał w jego duszy wizję czegoś wprost przepięknego. *Przypomniał* sobie tę twarz, o której świadomie nigdy nie myślał. Byłby ją sobie *przypominał* nawet, gdyby ją widział po raz pierwszy w życiu. Są bowiem twarze, z których wspomnieniem człowiek się rodzi.



Bez zastanowienia się pochylił się i musnął wargami iskrzące na drobnych palcach ostre i zimne brylanty.

W sekundę później uświadomił sobie tę twarz precudną, jakby we snach tylko widywaną, czystą, niebiańską i słodką, różową twarz uśmiechniętej bardzo, łaskawej bogini greckiej, miłosną a dziewczęcą, opromienioną złotymi włosami i śmiejącą się nieodgadnionym agatem ócz.

Teraz dopiero Zaucha zmieszał się, zwłaszcza gdy Piotrowski przedstawił go drugiej damie, drobnej, smagłej, z dwojgiem czarnych oczu, ognistych, świdrujących.

— Proszę, czyżby się pan nas zląkł? — łagodnie uśmiechnęła się do niego pani Piotrowska.

— To wrażenie, jakie wywiera piękność pani — rzekła po rosyjsku czarna dama. — Lubię patrzeć, jak mężczyźni, zbliżający się do pani Luty, gasną olśnieni.

Mówiła głosem bardzo głębokim, dźwięcznym, typowo rosyjskim kontr-altem.

— Pani Agnes jest Rosjanką, ale rozumie po polsku — objaśnił pan Piotrowski.

— Piękność pani Luty — rzekł Zaucha, przyszedłszy do siebie — nie należy do tych, które przerażają lub niepokoją. Jest to piękność dobra, jasna, powiedziałbym — orzeźwiająca i dodająca odwagi.

— A zatem czemu się pan tak zmieszał? — zaskoczyła go nagle pytaniem czarna dama, nieustannie wpatrując mu się w twarz.

Spojrzał na nią z pewnem zdziwieniem. Zgrabna i drobna, obciśnięta czarną, jedwabną suknią, była ładna, ale nie spodobały mu się jej prawie zrośnięte, nadzwyczaj grube, czarne brwi nad świecą-

cemi oczami, gęstym puszkciem ocienione szkarłatne usta i twarz bronzowa, modelowana wprawdzie delikatnie lecz twarda, jakby wszystko wiedząca, zuchwała. Był pewien, że niema tak grubego słowa, któreby się nie zmieściło w tych zmysłowych wargach.

— Czemu się zmieszałem? — mówił, z namysłem i jakby ostrożnie odpowiadając na zadane sobie pytanie. — Nie wiem. Zdziaczałem trochę, stałem się nerwowy.

— Rewolucja źle na pana wpływa? — z cieniem szyderstwa w głosie badała wciąż czarna dama.

— Na kogoż wpływa dobrze, moja droga Agnes! — z łagodnym wyrzutem zwróciła się do niej pani Piotrowska.

— Agnes! — jakby ironicznie powtórzył Zaucha.

— Dziwi pana moje imię! — roześmiała się. — No tak, nie jestem jagniątkiem. „Bagheera“ nazywa mnie Balmont, a „Begheera“ to czarna pantera z „Dżungli“ Kiplinga.

— Pani Agnes, jako znakomita deklamatorka, ceniona jest bardzo przez poetów — mówił pan Piotrowski.

— Podobam mu się — pochwaliła się Agnes. — Lubi gorący blask moich oczu i moje ciepłe usta... Mówi, że mają posmak żywej krwi, że śpiewają pocałunki... Dlaczego nie jego obrano królem poetów, lecz Siewierjanina, nie rozumiem. Ja wolę Balmonta... On ma twarz młodego boga, genialną...

— No i tak, kochany panie Józefie! — poklepał Piotrowski Zauchę poufale po ręce. — Znowu się spotykamy — tym razem w Moskwie.



— A państwo dawno już tu?

— O, dawno, kilka miesięcy... Podróżowaliśmy trochę, zimę spędzamy w Moskwie...

Zaucha uśmiechnął się.

— Szczęśliwy, kto dziś w ten sposób może mówić! Domyślam się z tego, że interesy idą nieźle, milioniki jeszcze się nie rozleciały...

Teraz znowu pan Piotrowski uśmiechnął się z miłym zakłopotaniem.

— O, milioniki! Wkońcu — robi się, co można. Z pustemi rękami do skolatanej ojczyzny wracać nie wolno. Trzeba jeszcze coś przywieźć ze świata.

Szczerzył w uśmiechu równe, białe zęby, drobne, ostre, drapieżne.

— Jakże zdrowie? — zagadnął Zaucha Piotrowskiego. — Wygląda pan dobrze, gładko, rumieńczyki piękne, zmarszczek żadnych niema...

— Jestem zdrow, jak pan widzi.

— A „Wawel”? — dodał Zaucha ze znaczącym uśmiechem.

Piotrowski zaczerwienił się trochę i mrugnął filuternie jednym okiem.

— Cóż „Wawel”? — odpowiedział dwuznacznie. — „Wawel” jest świątynią, dokąd się chodzi czasem dla uspokojenia i pokrzepienia znużonych nerwów. Stąd jednak daleko do... niezdrowej bigoterji...

— O czym panowie mówicie? — wmieszała się do rozmowy pani Luta.

— O morfinie. Pan Zaucha pytał, czy jeszcze używam... Powiedziałem oczywiście, że nie...

Cień przebiegł po twarzy młodej kobiety.

— Nie „jeszcze”, ale znów! — rzekła smutno.

— No, takie czasy! To trudno! W każdym razie nie zażywam jeszcze kokainy. A cóż pan na przejście Hallera do bolszewików? Pójdzie na służbę do Lenina?

— To Haller z tą brygadą przeszedł na rosyjską stronę? — zdziwił się Zaucha. — Pierwsze słyszę! Pułkownik Haller? Pan to wie na pewno?

— Ja nigdy nie blaguję.

— No, jeśli to Haller, to znaczy, że w Austrii porządnie już trzeszczy! — kiwał głową. — Gotowo jeszcze z tego coś być.

Zaczęła się rozmowa polityczna. Piotrowski rozgadał się — i paplał. Wygadywał niesłychane historie. Ten człowiek, znany z niezwykłego sprytu w interesach, zupełnie nie orientował się w polityce do tego stopnia, iż Zaucha podejrzewał, że go to wszystko nigdy nic nie obchodziło. Słuchał jednak — bo co miał robić? Raz, drugi czemuś zaprzeczył — i było jeszcze gorzej, bo Piotrowski dowodził szeroko, odbiegał od przedmiotu. Trzeba mu się było dać wygadać. Ale coś — nie było w tem sensu.

— Czy ja tak zmądrzałem, czy on zgłupiał? — myślał Zaucha.

Coś go zaczęło denerwować.

W pewnej chwili zauważył, że Piotrowski tak się zapatrzył w okno, że prawie nie wiedział, co mówi. Po jakimś czasie Zaucha złapał znów pytające, prawie trwożne spojrzenie, jakie towarzyszył jego rzucił na swą żonę. Czy pani Luta pochwyciła je? Rozmawiała w dalszym ciągu z Agnes. W czasie tej rozmowy, przypadkiem niby — dlaczego „niby”? — spojrzawszy na męża, skinęła głową, jakby chciała powiedzieć „tak”. Mogło się to jednakże stosować do Agnes. Dziwnym zbiegiem okoliczności mąż



jej poczerwieniał w tej chwili, a potem wyjął z kieszonki jedwabną chusteczkę i wytarł czoło, okryte obfitym potem. Lecz — w sali było duszno, zaś ludzie, nałogowo narkotyzujący się i mający skutkiem tego osłabione serce, często się pocią.

Mimo to Zaucha miał wrażenie, jak gdyby odwrócony plecami do sali Piotrowski przypuszczał że tam za nim coś się dzieje, i że go to niepokoiło.

On sam uczuł naraz czyjś wzrok na sobie.

Odwrócił się.

Z tłumu wychodzących i wchodzących na salę gości, poszukujących wolnych miejsc, patrzyła w stronę okna, pod którym siedzieli, twarz duża, ogolona, obrzękła, obwisła, z małemi, rybiemi oczami i najeżona szczotką krótko ostrzyżonych, siwawych włosów. Po stężałej masce pęzało coś w rodzaju bladego, głupkowatego czy błazeńskiego uśmiechu, zaś kiedy wąskie, zaciśnięte usta rozwarły się, aby komuś z przechodzących rzucić machinalne „pardon“, pokazało się, że były bezzębne. Wielka, ciężka głowa z całą swą wyszarzałą i zrujnowaną fasadą, zwisała, wsuwając się w szerokie barki, obciśnięte starą, popielatą marynarką.

A przecie w tej twarzy ni to starego aktora, ni to spodłalego, zidjociałego Napoleona czaiła się jakaś myśl, skryta głęboko, zamaskowana, zimna, lecz pewna siebie, jak matematyczne oblicze. Ordynarna, bezwzględna zawziętość rysowała głębokie brózdki, ciągnące się od nozdrzy ku kącikom warg i ku małemu, naprzód wysuniętemu podbródkowi, zaś wszystko zamazane było czemś nieuchwytnem, jak ślina rozmazana po twarzy.

— Ten człowiek z pewnością wie, jak smakuje policzek — myślał Zaucha.

— Na kogo pan tam tak patrzy? — odezwał się stłumiony głos pana Piotrowskiego.

— Wie pan... Czas dziwnych spotkań... Jakaś paskudna gęba przypomniła mi kogoś znajomego z Kijowa.

— I kogoż to?

— Pewnego urzędniczyńę z któregoś z komitetów... Też emigrant był... Indywiduum szmatławie, trochę podejrzanę, niby aktor, niby buchalter, czort wie... Jakiś czas kręcił się po Kijowie, błaznował, potem przepadł. Ach, pan go też znał! Przecie to on.

Nagle Zaucha urwał i zdziwiony niezmiernie spojrział naprzód na pana Piotrowskiego, potem na jego żonę.

Dystyngowana, w gustownej, ciężkiej, ciemno-orzechowej sukni aksamitnej, z pięknymi brylantami w uszach, siedziała pełna godności, swobodnie rozmawiając z Agnes. Jej miła, cudna twarz miała wyraz niczem niezmaconego spokoju, a z koralowych jej warg lekko i płynnie spadały śpiewnie szemrzące słowa rosyjskie.

— Ależ pani wybornie mówi po rosyjsku — rzekł po chwili Zaucha.

— Cóż on? Bo mówił pan o jakimś urzędniku w Kijowie, moim znajomym — pytał dalej pan Piotrowski.

— Jakiś interes panu stręczył, kontakt przez Rumunię... z krajem, czy coś w tym rodzaju, już nie wiem... Pamiętam tylko, że pan odmówił...

— Dużo znałem urzędników, dużo miewałem propozycji i często odmawiałem — wykręcił się pan Piotrowski. Potem jednak jakby zdecydowany się po krótkim namyśle, dodał: — Ale pan ma na myśli prawdopodobnie Szymkiewicza, urzędnika



konsulatu amerykańskiego. Był to dość dziwny, niepojęty człowiek. Z Kijowa wyjechał do Turkiestanu, w szesnastym roku chciał się przekraść do Persji, ale go złapano, oskarżono o szpiegostwo i skazano na pięć lat twierdzy.

— Co pan mówisz?

— Tak mi opowiadano w Taszkencie.

— To pan był w Turkiestanie? — zdziwił się Zaucha.

— Tak. Miałem tam pewien interes... bawelniany...

— Co za energia, co za przedsiębiorczość! Oddalenia dla pana nie istnieją! Więc Szymkiewicza skazano na pięć lat katorgi? Biedny człowiek! Może go teraz wypuszczają...

— Możliwe. Ja osobiście nie mam wrażenia, aby Szymkiewicz trudnił się szpiegostwem. Przekradał się do Persji, bo chciał wrócić do domu...

— Czyżby to istotnie był on?

Zaucha rozglądnął się po sali, ale dziwna twarz już zniknęła.

— Niema go już. Mógł być ktoś podobny do niego. Przytem ja mam pamięć „twarzową“, ale myślę się bardzo często co do okoliczności, w jakich danego człowieka poznałem. W gruncie rzeczy ogólni ludzie dzielą się na kilka typów, w których wszyscy się mieszczą... A długo pan był w Turkiestanie?

— Jakiś czas — odpowiedział wymijająco pan Piotrowski. — Po śmierci współnika opuściliśmy Taszkient... Nie było tam już co robić. Tak, podróże to miła rzecz, można się w nich napatrzeć rozmaitym ludziom, ale też i ocierać się trzeba czasem o Bóg wie kogo... Taki na przykład Popiołka! Zna go pan

zapewne, bo to pan lubi się w tym świecie kręcić... Prawda, wspominał mi nawet o panu, pytał o pana... Pan Popiołka!

— Naturalnie, że go znam! Gdzież go pan spotkał?

— Także w Taszkencie. Był tam jako jeniec wojenny, przyjmowano go w niektórych domach. Przystojny, mówiono — genialny rzeźbiarz! — Mógł żyć, ludzie chętnie pomagają. Ale to dzikus, a wygaduje niemożliwe historie, majaczy, bredzi, cały świat chciałby wymordować.

— Ii, on tak tylko gada. Mało tego; kiedy jeszcze był w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie, zawsze chodził z dwoma rewolwerami, ciupagą i bokserem w kieszeni. Ale to tylko taka romantyczna poza!

— Romantyczna poza! — roześmiał się pan Piotrowski. — Ładnie romantyczna! A toż on zaraz po rewolucji wyjechał do tych bandytów z pod czarnego sztandaru! Jest w „czarnej gwardji“, anarchi-  
stą został, bandytą.

Tu wchodziła się do rozmowy Agnes.

— Bandyci! — rzekła z pogardliwą ironją. — Anarchiści nie są bandytami! Ale wy, pan Piotrowski, nigdy tego nie pojmiecie!

— A ja pani mówię, że Popiołka jest zwykłym bandytą! — spokojnie lecz stanowczo rzekł pan Piotrowski. — Jak najzwyklejszy rzezimieszek rabuje ze swą bandą w nocy na ulicach, napada na magazyny. Cóż było z Klubem Kupieckim? Wpadła tam jakaś banda, zrewidowała gości, zrabowała pieniądze, kosztowności, złoto — i od tego czasu siedzi tam w dalszym ciągu, grasując po okolicy. A te



morderstwa... Nocy niema, aby kilku ludzi nie zamordowano...

— Popiołka jest może narwany, wykolejony — odezwiała się pani Luta — ale nigdy nie uwierzę, aby działał z niskich pobudek.

— Niskie pobudki — wysokie! — pokiwała po-błażliwie głową „Czarna Pantera”. — Niema ani niskich, ani wysokich, są tylko słabe lub silne... A co do Popiołka, to ja powiem, że Popiołka kocha grzech. On jest zły, zły, jak szatan — i to stanowi jego piękność. Dlatego on — nie nudny, jak inni piękni mężczyźni, których musi się nożem dźgać, aby z nich jeden krzyk duszy wydobyć...

— Czy pani to do mnie mówi? — uśmiechnął się Piotrowski.

— Do was też, pan Piotrowski — odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy. — Wam, nieżnym panom, Polakom, szczególnie-by się to przydało.

— Cóż znów za zamięłowanie w dręczeniu drugich! — rzekła zcicha, zapatrzona przed siebie pani Luta. — Nie pojmuję.

Aktorka roześmiała się prawie pogardliwie.

— Pani nie wie, jak pięknie dusza śpiewa! I pani nie wie, że to właśnie jest ów labędź, który śpiewa tylko, gdy kona.

— A pani skąd to wie? — rzucił Zaucha.

— Jestem artystką — więc wiem. — Nam, artystom, odkryte są pewne tajemnice, do których drudzy dostępu nie mają. Mamy ostrzejsze od drugich oczy, słuch wewnętrzny, a wzrok czasem podwójny.

— Zaś najczęściej podwójny język, którym sami siebie oczerniacie, jak tego biednego Popiołka.

Piotrowski zaśmiał się nerwowo.

— Co za czasy! Patrz pan, kobiety bronią bandytów!

— Lubię śmiałych ludzi! — tłumaczyła się Agnes.

— Ja zaś wogóle kocham *ludzi*! — dodała pani Luta.

— Pozwólcie, państwo! — przerwał Zaucha. — Nie może być, aby Popiołka był bandytą.

— Pan mi nie wierzy? — zwrócił się do niego Piotrowski.

— Mój panie! Pan może mieć słuszość ze swego stanowiska...

— Takie rzeczy nie są względne!

— Daruje pan! Są!

— Nie wiedziałem.

— Niechże pan pozwoli. Dla pana, dla mnie może one względne nie są, dla innych jednak... Trzeba pamiętać, że stoimy na gruncie rewolucyjnym, że dzieją się tu rzeczy nieprawdopodobne, niewiarygodne, a przecież dzieją się. To, z czegoby się gdzieindziej może zaśmiewano, traktowane tu jest poważnie... Trzeba rozumieć, wyjaśniać, tłumaczyć, a nie potępiać ludzi!

— Zupełnie się zgadzam z panem Zauchą! — oświadczyła pani Luta.

— Proszę pana, ludzkość jest stara i nie zaczyna się od rewolucji rosyjskiej! — uśmiechnął się Piotrowski. — Taki objaw, jak bandytyzm, występujący stale w czasie rozluźnienia organizacji państwowej, jest znany we wszystkich swych odmianach.

— Niechże pan zrozumie — przerwał mu Zaucha — że Popiołka nie może być bandytą. Powtarzam panu, że ja go bardzo dobrze znam od lat i żyłem z nim w przyjaźni, bardzo blisko. Był zawsze



zdolny do zrobienia głupstwa, ekstrawagancji, ale nie do lajdactwa...

— Może on sobie sprawy nie zdaje z tego, co robi?

— Czy państwo mówiliście tu z nim?

— Wyznaję — unikałem spotkania! — przyznał się Piotrowski.

— Otóż to! Nie pytają człowieka, co się z nim dzieje, czego chce, nie spróbują go nawrócić, uratować, ale — potępiają. I to się nazywa chrześcijańska miłość bliźniego.

— Pan jest wierzącym chrześcijaninem? — spytała nie bez ironji w głosie Agnes.

— Prawdę mówiąc — nie bardzo. Nie chciało mi się nigdy nad tem zastanawiać.

— To źle!

— Bardzo źle. Ale dziś, jeśli chcemy się obronić zagładzie, mamy środek jedyny: Zniszczeniu, jakie kulturze naszej niosą nowe czasy, przeciwstawić jak najwięcej czynów, jak najwięcej twórczości — groble i tamy żywej twórczości. W tej pracy pomocną nam będzie każda siła, a tą w wielkim stopniu jest chrześcijaństwo.

— Pan sądzi? A czy chrześcijaństwo to nie trucizna żydowska.

— Przez tysiąc dziewięćset przeszło lat truciźnę tę czyścili tysiące najświatlejszych mózgów naszego, *aryjskiego* świata. Zatem mogę mieć do niej zaufanie większe, niż do nauki Marksa, Engelsa i Lenina. Obiektywnie mówiąc. A zresztą —

Podstawił jej solniczkę.

— Które mężczyzna, a które kobieta? — spytał, pokazując jej pieprz i sól.

Zawahała się.

— Dlaczego?

— No, niech pani powie!

Wskazała na pieprz.

— To jest mężczyzna.

Zaucha parsknął śmiechem.

— Widzi pani. Chce pani mówić o abstrakcjach, a myśli pani płciowo. Gdzież może być sąd obiektywny w takim razie?

— Żałuję bardzo — zaczął po chwili namysłu Piotrowski — ale ja do Popiołki pójść nie mogę... Choćbym chciał... Można się na nieprzyjemności narazić...

— A ja pójdę! — zdecydował się nagle Zaucha.

— Zobaczymy przedewszystkiem, co jest.

— Dobrze pan robi! — pochwaliła go pani Luta.

A podając mu rękę, dodała:

— Niech-że pan o nas nie zapomina, niech nas pan odwiedzi. Bez ceremonji, kiedy pan chce.

Wstała.

— Prosimy pana bardzo — zapraszał Piotrowski. — Może wieczorem na herbatę. Kiedybydź, kiedybydź, nie wychodzimy wieczorem z domu. Ale napewne, jak najprędzej, panie Józefie. Powinniśmy się kupy trzymać w dzisiejszych czasach.

— Ach, moja róża! — przypomniała sobie piękna pani. — Byłabym zapomniała. Niech pan patrzy, jaka śliczna, szkarłatna... Dziwne to, że kwiatów przepięknych w Moskwie pełno... Jeszcze nie wszystko tu umarło, skoro ludzie kochają kwiaty.

— Boże mój, co za miłość dla kwiatów! — mówiła ironicznie Agnes, żegnając się z Zauchą. — Po czekajcie, nie takie różę wam jeszcze zakwitną! — dodała jakby złowróźnie.



I odeszła, pozostawiając po sobie tak mocną woń jakichś obrzydliwych perfum, że Zaucha aż się zatrząsł ze wstrętu.

Rad był, że pozostał sam i mógł chwilę spokojnie pomyśleć.

Oszłomiła go słodka piękność pani Luty.

Było to, jak gdyby zrodziło się w nim naraz, czy odezwało coś dziwnie dobrego, tkliwego, coś tak jasnego, że na samą myśl o tem czemś uśmiechał się. Myśląc o jej twarzy, mimowoli widział na tle słonecznego błękitu wiosennego gołębia wśród rozkwitającej jabłoni.

Nie była to piękność olśniewająca, rzucająca się w oczy. Na pierwszy rzut oka można było panią Lutę określić jako piękną damę i nic więcej. Dopiero patrząc jej w oczy, widziało się, że rysy jej twarzy spojone są przedziwną, promienną jasnością i że twarz ta jest, jak natchnione słowo. Piękność ta była wykładnikiem jakiejś anielskiej tajemnicy.

Agnes? To kruk, wrona czy kawka, tak, moskiewska kawka. Głupia aktorka, źle wychowana, nieprzyjemna. I naturalnie, zazdrosna o piękność, nieżyczliwa.

Ale co się stało z Piotrowskim? Dawniej imponował swą helleńską pogodą, spokojem i siłą — bo ten wypieszczony napozór panek był niezmiernie silny, energiczny i uparty, mimo swego nałogu. Bywał tak miłym, czarującym, kobieco miłym i serdecznym, jak nikt; wszystko zawsze mu się udawało, największe trudności pokonywał od niechcenia, prosto — panował nad życiem. Zaś dziś Zaucha nie mógł się obronić wrażeniu, że z Piotrowskiego zaczynają wychodzić jakieś kanty. Coś kłamał, kręcił się, kogoś się bał. Czemuż siedział ty-

łem odwrócony do sali?... I pani Luta w tym kapeluszu, z pod którego, gdy głowę pochyliła nad tale-rzem, twarzy jej widać nie było... A to porozumie-wanie się oczami...

Przed parterowym oknem migały sylwetki przechodniów. Jakiś wysoki, czarny cień stanął i przycisnąwszy prawie twarz do okna, patrzył przez chwilę w głąb sali.

Kogo szukał? Kto to?

Czy może Szymkiewicz?

Ale co to jest? W tej chwili przypomniał sobie Zaucha — przynajmniej tak mu się zdawało — że pan Piotrowski usprawiedliwiał w Kijowie swój nałóg troską o los pozostałej w Galicji, podobno bardzo pięknej żony i dwóch synków. Czyż nie starał się sprowadzić ich do Kijowa, czyż nie pertraktował nawet w tej sprawie z różnemi ciemnymi figurami, które ofiarowały mu się przewieźć jego żonę przez Rumunję?...

Czy nie Szymkiewicz? Zaucha nie pamiętał. Prawda i to, że w pierwszych czasach wygnania wielu odłączonych od swych rodzin mężów, spostrzegłszy, że wojna zaciąga się, nosiło się z podobnemi planami i może nawet być, że w obecności Zauchy Szymkiewicz prowadził z kimś taką rozmowę, niekoniecznie jednak z Piotrowskim. A może pani Luta przyjechała przez Rumunję? Choć z drugiej strony Zausze zdawało się, że widział ją kiedyś z jakimś młodym oficerem. Oficer był ranny i miał na piersi oficerski krzyż Świętego Jerzego i on był mężem pani Luty, a pan Piotrowski był tylko dobrym znajomym...



— Śniło mi się chyba! — pomyślał Zaucha.

Jednakże cały ten pan Piotrowski przedstawiał się dość zagadkowo. To, co o sobie opowiadał, było jak z „Tysiąca i jednej nocy“. Widziano go wszędzie — i w Paryżu i na Rywjerze i na Krymie i na Kaukazie... Trudno było ustalić chronologię ostatnich kilku lat jego życia... Nawet blisko przez jakiś czas z nim żyjąc i słysząc wciąż o jakichś interesach, Zaucha nie mógł odgadnąć, czem on się zajmuje. Słyszał coś o olbrzymich interesach z jakimś pułkownikiem intendantury rosyjskiej; w jaki sposób jednak Piotrowski dotarł do owego dostojnika i na czem interes polegał, nigdy się nie mógł dowiedzieć. Piotrowski opowiadał coś o romantycznej przygodzie w Monte Carlo, gdzie podobno, wygrawszy trochę, pomógł w kłopotliwej sytuacji jakiemuś oficerowi rosyjskiemu i ten się potem odwdzieczył. Wszystko to mogło być Zausze obojętne, dopóki na tem nie zależało, lecz teraz, w tym stanie zdenerwowania, w jakim się znajdował, postać pięknego pana zaczynała mu się nieprzyjemnie mącić, stawała się niejasną, a jego pogodna i uśmiechnięta twarz zarysowała się naraz, jak sztuczna, zimna maska gracza, siłą woli pokrywającego zewnętrzną harmonją rysów chciwość, strach, niepokój, zazdrość i gniew.

A potem — co oni wszyscy mieli wspólnego z Popiołką i co mogli mieć przeciw niemu?

### XIII.

Czyżby istotnie ten rzeźbiarz, artysta, tak poważnie pojmujący swój zawód, został aktywnym anarchistą?

Zaucha pamiętał go, jak o chłodzie i głodzie szamotał się w swej zimnej, wilgotnej pracowni z życiem, ze swemi koncepcjami, ze sobą. Niesłychanie podejrzliwy wobec samego siebie, wciąż bezlitośnie analizujący swe myśli i pomysły, rozbiający je niemiłosiernie samokrytycyzmem, bez żadnego miłosierdzia dla cienia słabości, Popiołka w męce rozdwojenia duchowego stawał się surowy i prawdomówny jak Kato, a nieufny i cierpiący na manię prześladowczą, jak Tyberjusz. Wciąż spalający się w niszczących płomieniach swych zwątpień i odradzający się z popiołów, mógł służyć jako żywy komentarz legendy o Feniksie. Jego twórczość i nauka była nieustającą walką. Zakochany w wielkości i potędze, we wspaniałości gestu tytanów rzeźby, wytknął sobie cel daleki, prawie niemożliwy do osiągnięcia, a ku któremu szedł przez same klęski. Tworzył, aby zburzyć i znowu tworzyć. Niewielu wiedziało, że niszcząc swój jakiś utwór, równocześnie całe światy burzył w sobie. Powszechnie uważano go za utalentowanego niedołęgę, nie mogącego się wypowiedzieć, gdy w rzeczywistości te niezliczone upadki jego były potykaniem się na drodze ku gwiazdom.

W pamięci Zauchy utkwilo szczególnie pewne popołudnie jesienne w pracowni Popiołki. Dzień chylił się ku końcowi, na dworze była jeszcze zimna, jesienna światłość, ale w pracowni zaczynało się zmierzchać. Na środku, wśród obłożonych brudnemi, mokremi szmatami grup niewykończonych i portretów, podobnych do beztwarznych widm, rozwalila się, rozciągnęła jakaś grupa, spleciona we wściekłym uścisku, przeżająca chude ręce i nogi, szarpiąca się w konwulsji walki. Ulepione z gliny, żółte, potworne



ciała wszystkimi członkami wgrzyzły się w siebie, dysząc nieubłaganą nienawiścią.

Koło grupy, w kalesonach tylko i rozchelsianej na szerokich piersiach brudnej koszuli, z gliną i gipsem w czarnych włosach, stał ogromny, zadumany Popiołka. Zeskrobując nożem z brudnych, gołych po łokcie rąk zaschlą glinę, wzrokiem przerażonym i zdziwionym patrzył na straszliwie zmagające się cienie, nad których ruchem pracował przez kilka miesięcy.

— Dobre jest! — chwalił Zaucha.

— G....! — zirytował się rzeźbiarz. — Chciałem zrobić tytanów, a to dwóch gryzących się mularzy z Krowodrzy!

Rzucił nóż i, trąc dłonią głowę, chodził nerwowo po pracowni.

— Zaucha! — zwrócił ku niemu swe wielkie, czarne, aksamitne oczy. — Cały dzień nic nie jadłem. Ja będę miał pieniądze, będę, nie bójcie się, oddam wam!

Coraz gorsze stawały się jego oczy, coraz dziksze. Upokorzona duma krzyczała z nich, groziła.

— Tu niedaleko jest taki sklepik, rozumiecie, sklepik taki! Ten głupi żyd już mi nie chce dawać na bór. Idźcie do niego, kupcie trochę węgla, ze trzy serdelki, bułek parę i szporta, jednego szporta!

A potem w żelaznym piecyku rozpałił ogień, na długi drut nabił serdelka, kucnąwszy przed piecem, piekł go na ogniu i kawałami gryzł, tłuszczeniem skwierczący, prosto z druta. Wyglądał, jak dziki człowiek, jak ludożerca, obgryzający kość.

— A tych „gadów“ trzeba będzie znowu rozbić! — wskazał głową w kierunku grupy.

— Bójcie się Boga, Popiołka, tyle miesięcy pracy! — zląkł się Zaucha.

— Niema co. Jak trzeba, to trzeba. Nie od razu Kraków zbudowano. Trza westchnąć do Pana Boga o cierpliwość i pokornie pracować dalej. Tylko że jeść niema co.

— A możebyście wy, do cholery ciężkiej, spróbowali raz co zarobić! Kamieniarze zwierzyńcecy zarabiają lepiej od was na głupich biustach lub gołych odlewach. Wyrzńicie, bodaj anonimowo, parę knotów pornograficznych, odlecie w gipsie i będziecie mieli w mig parę tysięcy. Nie gadajcie, że nie potraficie! Cobyście mieli nie potrafić! A co się dotyczy upokorzenia, to pożyczać od drugih, prosić się, żebrać — to może nie jest upokorzenie?

— Zupełnie inna historia. Tobym już wołał bandytą zostać i rozbijać, dopóki by mnie nie powieszono. Człowiek musi mieć coś czystego. Tobym już potem swoim „kiczom“ w oczy popatrzeć nie mógł.

Pałac papierosa, krążył koło skazanej na śmierć grupy, krwawej w świetle węgla, płonących w piecu.

— Ta głupia noga! Po cholere on tę nogę tak wyciąga! To ma być Prometeusz — a leży jak baletnik! To jest, wiecie, to można zwarjować! Znam Rzym i rzeźbę grecką świetnie, byłem w Paryżu, znam Rodin'a; ma genialne rzeczy, ale i „kiczów“ ma dużo... Chodziłem po British-Museum, szukałem w rzeźbie asyryjskiej... Muszę sobie znaleźć nowy język, nową formę, swoją... Wszystko już było! Nożem zeskrobał-bym to stare ze siebie jak glinę! Ja w sobie ten nowy język czuję, ale wciąż tylko bełkoce i bełkoce, słowa wymówić nie mogę! Słuchajcie, Zaucha, chrześcijaństwo zabiło w nas duszę, za-



słoniło przed nami naszych starych bogów, nasz świat...

— Och, starzy bogowie dawno już umarli! — śmiał się Zaucha.

— Jesteście filister, kretyn, idjota i nie rozumiecie, co mówicie! — krzyczał Popiołka. — Bogowie są nieśmiertelni i nie umierają nigdy! Zato — mszczą się! Dotknęli nas swym palcem karzącym i oto z tego tak wrażliwego na sztukę i poezję narodu ani jeden wielki poeta ani artysta nie wyszedł od czasów Chrztu aż po Mickiewicza. Przeżywaliśmy wciąż łacinę i grekę, nasze dziady nawet w „Kto się w opiekę” gładzą saficką strofą. Dopiero kiedy ten świat chrześcijański w pysk nam dał, kiedy nas sprzedał i kiedyśmy się na niego obrazili, zaczęliśmy szukać własnych bogów i wtedy Litwa odwodziła nam się Mickiewiczem i Towiańskim. Zburzyć nam trzeba wszelki Rzym, wygnać łacinę, wykląć wszystko, co trąci tem imperjum i tym kodeksem... Jacy mądrzy byli nasi przodkowie, którzy biskupów - apostołów zarzynali przed posągami bogów! My wciąż jeszcze mamy związane ręce, mówić po swojemu nie umiemy...

A potem mówił, stojąc przed Zauchą i patrząc nań nieledwie groźnie:

— Czem jest Mojżesz Michała Anioła, rozumiecie? To w duszy tego Włocha odżył stary bóg Italii — Zeus-Jupiter! On spojrzał w twarz Bogu, on swego Boga znalazł i stworzył. A mnie też marzy się Bóg — mój Bóg, i czy wiecie, jak go widzę? Kloc jakiś, same bryły.... Ciężki, potężny, miazdzący, niewyraźny, jakby w mroku puszczy skryty, podobny do olbrzymiego głazu w uroczysku, nie bałwan lecz groźny Bóg skrytych tajemnic... Imienia

jego nie znam, lecz wiem, że to bóg nasz, słowiański. I do czegoś ja go przypnę, gdzieś świątynia dla niego?... Nie mogę Boga swego stworzyć!

Przychodziły na Popiołkę okresy upadku. Było to prawdopodobnie w chwilach znużenia, zwątpienia, a także wskutek bolesnego rozszczepienia jaźni, właściwego każdemu artyście. Jakby próbując sił, szarpał sobą, wstrząsał całym gmachem swej duszy. Nad wysiłonym, wyczerpanym Białym Bogiem górę brał Czarny Bóg. Pracownia zmieniała się w brudny barłóg, w którym gospodarowały rozwyrzzone, pijane modelki, głupie i w głębi duszy pewne, że źródłem twórczości są ich uda i biodra. Popiołka w owych czasach pił, oszalał się nadużyciami płciowymi, szukał zwad lub marzył o wielkiej organizacji bandyckiej, o podbojach w głębi Afryki, o pożarach i cyrku Nerona, o rozwiązłości Heljogobala, wreszcie — o zwykłym gwałcie. U drugiego byłoby to może pozą kabotyńską, imitowaniem pewnych wpływów dekadentyzmu i literatury, ale młody rzeźbiarz tyle inteligencji i wyobraźni, tyle twórczości wkładał w swe „czarne msze“, iż zmieniały się one w rzeczywiste przeżycia. Grzech imponował mu, nęcił go, ciągnął, oszalał, wchodził mu w krew, zaś bezkarność, z jaką to wszystko działało się i mogło się dziać każdej chwili, wywoływała w nim niebezpieczną potrzebę rewizji etyki. Fakt, że z żadnego bluźnierstwa piorun nie strzelił, bardzo silnie podkreślał relatywność pewnych wskazań, a zarazem — ośmielał i Popiołka niekiedy czuł się istotnie nieskrępowanym niczem, wolnym zupełnie. Wówczas szalał. Dusza jego pokrywała się pianą konwulsji, chwytaly ją ataki, które artystę czyniły wprost opętanym, aż póki znów wyczerpany nie



padł nieprzytomny, pół żywy. Wówczas spał, chorował parę dni, a potem zabierał się do pracy z nową, zrazu gorączkową energią, pełen wiary w siebie i w swe ostateczne zwycięstwo.

Ta dwoistość zrażała do niego ludzi. Nigdy nie było wiadomo, czego się wobec niego trzymać. Pobłażliwsi, życzliwsi zachodzili czasem w głowę, który z „dwóch Popiołków“ jest „prawdziwy“, ale gdy awantury jego zaczynali tłumaczyć sobie pozerstwem i kabotynizmem, Popiołka-artysta tracił zupełnie; robił się z niego błazen, którego niskie popędy i gburowate, ordynarne ekstrawagancje rzucały cień na jego dzieło artystyczne. Inni uważali rzeźbiarza za człowieka niepewnego i niebezpiecznego, o zbrodniczych wprost instynktach, najliczniejsi nazywali go lichym komedjantem i niechlujnym, dzikim barbarzyńcą — oczywiście nie w oczy, ponieważ się go bano.

— Przy nieszczęśliwym zbiegu okoliczności — myślał Zaucha — ten warjat gotów się wsypać i naprawdę zostać anarchistą. W nim złe i dobre jest wciąż żywe i w stanie gwałtownej walki. To przecież nie człowiek, lecz instrument do wydawania kielkujących w nim wcieleń. Cóż dziwnego, gdyby w dzisiejszych strasznych i złych czasach... Ależ w takim razie należy go ratować, ratować czem prędzej, wyciągnąć z tego otoczenia, bo inaczej przepadnie! Ach, czemuż nie spytałem o jego adres Piotrowskich! Może w „Domu Anarchji“ będą o nim coś wiedzieli... Żeby tylko za późno nie było! Trzeba chłopca odszukać.

Z tem nagłym postanowieniem wstał i wyszedł, kierując się ku głównej kwaterze anarchistów.

#### XIV.

Swego czasu, jako młody student, Zaucha zetknął się zagranicą z anarchistami, głównie z anarchistycznych kół literackich i artystycznych. Była to przeważnie narwana, niedowarzona młodzież, zgrupowana dokoła starych malkontentów lub starzejących się „bohémów“, pragnących utrzymać się na pewnem stanowisku czy poziomie bodaj za cenę destrukcyjnej krytyki i psucia ludzi. Ale w kołach tych nie wszystko było złe. Butne temperamenty, z rozmachem burząc wszystko dokoła siebie, wierząc i kopiąc, wyzwały myśl, uczyły się śmiałości, patrzyły w oczy konsekwencjom, eksperymentowały, zaś utopijna literatura anarchistyczna, pełna marzeń o odzyskaniu raju, przekreślająca grzech i przywracająca człowieka człowiekowi, przynosiła dużo dobrego, zaostrzała zmysł krytyczny, ukazywała życie pod nowym kątem widzenia, święciła nowych bohaterów. Terroryści w wykładach tych ludzi pojawiali się w nowem, korzystniejszym świetle. Nie były to już potwory czerwone, zwyrodniałe tygrysy burżuazji, lecz poeci czynu, ludzie krwawego protestu przeciw sponiewieraniu ludzkości i wyzyskowi, potężni samotnicy, mający odwagę w imię wolności wystąpić przeciw całemu światu z bombą tylko w ręce, nie dbając nawet o to, iż zginą moralnie, przywaleni górą oszczerczej pogardy i potępienia.

Krótko mówiąc, świat jest bryłą wielopłaszczyznową, jak brylant, i mieni się raz tą, to znów tamtą powierzchnią, zależnie od tego, jak światło nań pada. Zauchą przez jakiś czas żywo zajmował się efemerycznymi wydawnictwami anarchistycznymi, za-



poznał się z teoretykami anarchji i jeździł na kongresy Wolnej Myśli, gdzie przysłuchiwał się gwałtownym polemikom i publicznym dysputom teologicznym. Znał osobiście Haeckla, Reclusa, Ferrera, podpisał się na telegramie, protestującym przeciw uwięzieniu przez władze hiszpańskie Limy de Maghalaensa, podziwiał energię i żywotność starych, siwych już żołnierzy barykad, roztkliwiał się nad Blanqui'm, ale kiedy wrócił do kraju, z braku odpowiedniej atmosfery i nie widząc celu tego wszystkiego, przestał się anarchistycznymi teorjami zajmować.

Miał jednak zawsze łatwo zrozumiałą słabość do tych rzeczy i anarchistów nie potępiał.

I teraz, idąc do „Domu Anarchji“, uśmiechał się prawie do wspomnień młodości. Dożył rzeczy pięknych, ciekawych. O to przecież gdzieś czarny sztandar anarchji może powiewać swobodnie i spokojnie, szanowany, nietykany przez nikogo, przeciwnie, strzeżony przez zbrojnych czcicieli. A nie jest to sztandar martwy. Wielu dzielnych ludzi uświęciło go swą krwią gorącą...

Tylko że tu, w Moskwie, przeważały typy semickie wśród anarchistów, spotykanych na ulicy — a w tych stronach właśnie, gdzie dawano jeść, spotykało się ich dużo. Zaucha, tłumiąc w sobie przesadną, rasową niechęć, uznawał, że niektóre typy były nawet piękne i na oko wyglądały pokaźnie, nie bardzo jednak dowierzał ruchowi, kierowanemu przez żywoły, słynne ze zdolności do robienia „plajty“.

Właśnie wyszedł był nowy numer „Anarchji“. Wierni hasłom propagandy anarchiści ustawili przed swą „norą“ na ulicy parę stołów i zawaliwszy

je gazetami, sprzedawali w najlepsze. Wyglądało to tak, jak gdyby czarny sztandar na gmachu, straż zbrojna przed nim i wielkie afisze na ścianach były tylko poto, aby ściągnąć „do budy“ jak największą liczbę kupujących. Temu wrażeniu — codziennemu zresztą na terenie rewolucji, Zaucha obronić się nie mógł. Pomyślał, że mu to ułatwi sytuację. Kupując numer „Anarchji“, wdał się w rozmowę z handlującym wrogiem rządów. Jak zawsze w Rosji, gdzie najbardziej karkołomne przedsiębiorstwa żydowskie obsługują tuziemcy, siedzący przy stolikach młody lecz ciężko zbrojny człowiek był Rosjaninem. Dumny niezmiernie z ważnej roli, jaką mu powierzono i szczęśliwy, iż może publicznie funkcjonować jako anarchista, chętnie wdał się w rozmowę z Zauchą, przyczem oczywiście zapomniał wydać mu bagatelną resztę z trzech rubli.

— Czitajcie nasz gazetę „Anarchja“, organ moskowskiej federacji anarchistycznych grup! — głosił afisz na bramie, drukowany, ku wielkiemu zdziwieniu Zauchy, pisownią starą, nie bolszewicką.

Przykuty do stolika bohater z pod czarnego sztandaru opowiadał Zausze o stosunkach, panujących w „Domu Anarchji“ tak, jak gdyby to był zapoznany raj na ziemi.

— A czy można mówić z kim z redakcji? — skromnie zapytał Zaucha.

— Pacziem-że niet! — aż się zdziwił anarchista. — Tam „redakcionnaja kollegia“, tam ich moc, tych redaktorów, Lew Czornyj, Barmasz, Lotonowicz, Piro, ludzie ideowi, wykształceni...

— A jeśli mnie wyrzucą za drzwi?

— Niczewo, to ja was znowu wpuszczę!



Tak ośmielony Zaucha bez trudu minął warty i wkroczył do wnętrza budynku. Znalazł się w ogromnym, wspaniałym westybulu, utrzymanym dyskretnie w tonie popielatym i białym. Widać było pyszną strukturę, pełną powietrza, pańską, zbyt-kowną; w środku westybulu stał karabin maszynowy, zwrócony wylotem ku bramie. Dalej kręciło się mnóstwo uzbrojonych młodych ludzi, „cywilów“, żołnierzy w szynelach, wśród których można też było zauważyć marynarzy w płaskich czapeczkach z czarno-żółtymi wstążkami, gimnazjalistów, trochę młodych dziewcząt i robotników w skórzanych kurtkach. Przyglądając się wąskim, niskim czołom tych „towarzyszy“, ich nieczystym, pryszczami pokrytym twarzom, grubym wargom i podgolonym z tyłu głowom, Zaucha nie nabral wielkiego przekonania do ich „świata idei“. Pachnął on katorgą. Jednakże ludzie ci, zapytywani, odpowiadali uprzejmie — choć z drugiej strony niewiele się od nich można było dowiedzieć. Śladów zniszczenia, ani rabunku nie było widać; prawda, anarchiści wzięli dom „na lotem“, bez boju. Mimo to włóczące się tam i sam bandy zbrojnych drapichróstów z niewinnymi a szukającymi minami sprawiały wrażenie, jak gdyby rabunek trwał w dalszym ciągu.

Nad jakimiś schodkami siedziały przy stolikach dwie żydówki i młody dziennikarz anarchistyczny, typowy przez niezmiernie zaniedbany wygląd, blondyn o trochę rozlatujących się lecz łagodnych oczach niebieskich, nieogolony, nieco pochylony. Zauważywszy zwracającego się ku niemu z pytaniem Zauchę, cichym głosem przedstawił się — nazwiska nie było słychać — podał mu rękę i usadowił go na stojącej tuż obok wspaniałej otomanie, pokrytej skó-

ra. Zaucha pytał o adres Popiolki — lecz w zgiełku trudno się było porozumieć. Zaucha przedstawił się jako sympatyk anarchizmu. Anarchista słuchał przez chwilę, namyślał się, poczem postanowił oddać gościa w ręce sekretarza.

Wstali i skierowali się ku drzwiom po drugiej stronie westybulu.

Zaucha znalazł się w przepysznie urządzonej, ogromnej sali, z olbrzymiami, wysokimi oknami. W środku stał długi stół, przykryty suknem poziomkowej barwy, dalej wpadała w oko elegancka szafa z leksykonami, druga szafa, już pusta, klubowe fotele, w kącie, pod jednym z okien, biurko. Kiedy Zaucha wszedł, drab jakiś, dziedzicznie zamiłowany do robienia porządków obciążony, właśnie z jednego końca stołu szczotką do czyszczenia kapeluszy zmiatał na dywan kruszynki chleba. Pierwszy „anarch“ przedstawił mu Zauchę. Ciemna postać, czarną sylwetkę odcinająca się od padającego przez okna białego światła, wyciągnęła do gościa dłoń, poczem pociągnęła go ku stojącemu pod oknem biurku.

Był to Lew Czornyj, sekretarz moskiewskiej grupy anarchistów — kolektywistów. Miał-ci on na sobie dawno nieczyszczoną, pierzem jakimś skudłaczoną marynarkę granatową i także spodnie. Nawet na jego chude nogi za ciasne, fatalnie na lewym udzie naddarte i fanatycznie u dołu zachlastane błotem. Ale przecie szyję jego zdobił kołnierzyk i nieudolna imitacja krawatki. Zresztą włosy czarne tego obywatela, zjeżone „à la cochen irrité!“ dawno już nie były czesane, a dalej obserwator mógł zauważyć brodę czarną, niby hiszpankę i „okołobrodzie“ szczeciniaste, nieogolone, twarz chuda, śniado-żół-



tawą, oczy czarne, inteligentne, lecz nie przedsiębiorcze, raczej czekające zapłodnienia. Myciem się słusznie tak zwany „Czornyj“ nie pachniał. Przeciwnie, patrząc na niego, można było myśleć, iż, od czasu zajęcia przez anarchistów „Klubu Kupieckiego“, pierwszy bodaj raz w życiu ma stałe mieszkanie, z którego też ani krokiem się nie rusza. Na jego biurku, niby kodeks Napoleoński, leżało sześć czerwono oprawnych tomów Bakunina we francuskim przekładzie w wydaniu Stocka i Bakunina i jego „Połnoje Sobranje Soczynienij“ w wydaniu Bałaszowa.

Nielatwo jednak było o chwilę spokojnej rozmowy. Co raz ktoś wchodził i przeszkadzał.

Lew Czornyj zniecierpliwił się.

— Pozwólcie, wyjdę na chwilę, załatwić sprawy bieżące i postawię pod drzwiami kogoś na warcie, żeby nam nie przeszkadzano. Wolność zupełna nie jest możliwa, póki świat będzie tak gadatliwy, jak obecnie.

Wyszedł, a Zaucha sięgnął po najbliższy tom Bakunina, otworzył go i zaczął czytać?

— Jakobińscy absolutyści i rewolucjoniści szkoły J. J. Rousseau'a i Robespierrea głoszą groźną i nieludzką teorię absolutnego prawa Państwa w imię urojenia, zwanego przez nich to interesem zbiorowym, to kolektywnym prawem lub też kolektywną wolą i swobodą, gdy tymczasem absolutyści-monarchiści ze znacznie większą konsekwencją logiczną prawo Państwa opierają na łasce Bożej. Doktrynerzy liberalni, przynajmniej ci z nich, którzy poważnie traktują teorie liberalne, wychodzą z zasady wolności indywidualnej i — jak wiadomo — podają się niby to za przeciwników zasady państwo-

wości. Oni pierwsi powiedzieli, że rząd, to jest związek urzędników, tak czy inaczej zorganizowanych i obarczonych szczególnym obowiązkiem wykonywania funkcji państwowych, stał się złem nieuniknionem i że cała cywilizacja polega na zmniejszeniu praw i atrybutów — rządu. Mimo to widzimy, że w praktyce zawsze, jak tylko istnienie Państwa istotnie się kwestionuje, doktrynerzy liberalni okazują się nie mniej fanatycznymi zwolennikami absolutnego prawa Państwa, jak absolutyści monarchji lub jakobinizmu.

— Liberali to właściwie burżuę, którym zależy na prawie anarchji dla siebie — pomyślał Zaucha.

Przewrócił znów kilka kartek i czytał:

— Każdy człowiek, rodząc się, przynosi na świat wraz ze swą nieśmiertelną duszą, wolność, jako dar boski. Wynika stąd, że człowiek — jest czemś, że on — jest zupełnie sobą i staje się pełną, absolutną istotą, tylko znalazłszy się poza społeczeństwem.

— Na pustyni! — pomyślał Zaucha. — A więc Chrystus, św. Jan, św. Hieronim i wszyscy ci — którzy znaleźli ciszę i pustynię w więzieniach. Tak?

Lew Czornyj wrócił wreszcie i, usiadłszy przy swem biurku, zupełnie już zajął się gościem. Przedewszystkiem jednak odsunął szufladę biurka, w której na widocznym miejscu leżał olbrzymi, czarny, bardzo piękny „browning“.

— Grozi mi, czy też może bał się, że mu „browning“ ukradłem? — pomyślał Zaucha. — Najprędzej jedno i drugie.

— W młodym wieku, będąc zagranicą, zajmowałem się jakiś czas anarchizmem — tłumaczył cel swych odwiedzin czarnemu sekretarzowi. — Był to



anarchizm literacki, z czynnym nie miałem nigdy nic do czynienia. Anarchistą nie jestem, jednakże, może siłą wspomnień młodości, mam dla tego ruchu i tej ideologii dużo sympatji. Szanuję ideologów anarchizmu takich, jak Kropotkin i Stirner. Widząc działalność anarchistów w rewolucyjnej Moskwie, nie mogłem się powstrzymać, aby nie przyjść i nie spytać was, jak stoją wasze sprawy.

Czornyj w następujący sposób charakteryzował sytuację:

— Historia ruchu anarchistycznego w Rosji jest znana, więc rozszerzać się nad nią nie będę. Prorokiem anarchizmu w Rosji jest Charles Fourier, stojący, jak wiadomo, na granicy socjalizmu i anarchji — od niego wywodzą się anarchiści rosyjscy, tak zwani „Fourjeryści“, których liczne kółka istniały już w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Przychodzi Bakunin — typowy, nasz, rosyjski anarchizm „buntarski“. Rodzi się z niego mnóstwo malutkich grup anarchistycznych bez znaczenia w Rosji, lecz dość silnych zagranicą. „Jurska Federacja“ — potem „Alliance Independante“ — to już historia. Po Bakuninie przychodzi znów Kropotkin, teoretyk i filozof anarchizmu, rozszerzenie ruchu anarchistycznego w Rosji i nasi anarchiści-komuniści. Z ideologów Kropotkin jest właściwie u nas jedyny — on przewidział i uzasadnił cały przebieg rewolucji naszej. Anarchistów praktycznych zato jest bardzo wielu. Przeważa — zwłaszcza w Moskwie anarchizm komunistyczny.

Wymowny Lew Czornyj, którego Zaucha mimowoli przeważał w duchu „Leo Schwarz“, tłumaczył dalej:

— Propaganda i organizacja grup rozpoczyna się w 1904 roku, poczem przenosi się do Białegostoku. Powstają grupy w Piotrogradzie, jednakże ogniskiem ruchu staje się Odessa i Jekaterynosław.

— Miasta żydowskie jak i Białystok — zanotował sobie w pamięci Zaucha.

— Tworzą się też grupy i po innych miastach, lecz z nich wszystkich wybiła się na pierwsze miejsce wileńska.

— Aha!

— Grupa „Czernoznamienskaja“, której założycielem był Juda Grossman.

— Amazeł Topf! — bąknął w duchu Zaucha.

— Juda Grossman był „wileńcem“, zaś jako główny agitator i rzecznik grupy działał Rogdajew pod pseudonimem „diad'ka“. Grupa ta wydawała przez jakiś czas swoje pismo, „Buntar“. Wyszły dwa numery.

— Aż! — zdziwił się Zaucha.

— Charakterystycznym rysem grupy „Czernoznamienskoj“ był „terror bez motywów“, cechujący skrajne lewe skrzydło anarchji. Rzucano bomby w kawiarniach „pour épater le bourgeois“, a także w fabrykach, aby kapitalistom dać znać, że dłoń karząca czuwa.

Lew Czornyj szczegółowo zaczął się rozwodzić nad różnymi odmianami anarchizmu rosyjskiego, zwłaszcza podkreślając dodatnie i wygodne strony „anarchizmu assocjacyjnego“, którego był twórcą.

— Dla sprawiedliwości muszę przyznać, że obecnie w Rosji najsilniejsza jest grupa anarchistów-komunistów — mówił z właściwą anarchistom bezstronnością. — Wzmogli się też w ostatnich czasach



anarcho-syndykaliści, a teraz w Piotrogradzie toczy się między temi dwoma stronnictwami walka ideowa i polemika. „Głos Truda“ polemizuje z anarcho-komunistycznym „Burjewiestnikiem“. W Moskwie anarcho-syndykaliści są słabi, grupa ich, nieczynna, liczy zaledwie dwunastu członków. Tu cała siła i praca skoncentrowana jest w rękach anarchistów-komunistów, których głównym organem jest nasz dziennik „Anarchja“. Doniedawna biliśmy trzydzieści pięć tysięcy egzemplarzy „Anarchji“, teraz „tirage“ doszedł do pięćdziesięciu tysięcy. Prócz tego wychodzi „Głos Truda“ i „Swobodnaja Komuna“.

— Publicystyczną propagandą możemy się pochwalić, towarzyszu! — chełpił się Lew Czornyj. — Dwa odmienne kierunki reprezentowane są w Charkowie, gdzie anarcho-syndykaliści wydają „Roboczuj Myśl“, a anarcho-komuniści „Chleb i Wolu“. W Samarze wychodzi „Głos Anarchji“, w Rostowie „Anarchist“, w Niżnim Nowogrodzie „Pod czarnem znamieniem“, we Włodywostoku „Czornoje Znamja“, w Kijowie „Swoboda wnutri nas“, w Piotrogradzie „Beznaczałje“, w Kronsztadzie „Wolnyj Kronsztat“, wiele pism wychodzi też w innych miastach.

Tu Lew Czornyj wyjął z biurka wielką księgę i rozłożył ją przed Zaucha.

— Dawniej-bym wam tego oczywiście za nic w świecie nie pokazał — mówił z uśmiechem. — Jest to księga korespondencyjna z pieczęciami i adresami związków i stowarzyszeń anarchistycznych. Są tu wszystkie miasta gubernjalne Rosji europejskiej i azjatyckiej i wiele miast powiatowych. Prawdę mó-

wiąc, gdzie jest fabryka, tam z pewnością są anarchiści.

— To znaczy: ludzie, którym się może zdaje, że są anarchistami.

— Na jedno wychodzi. Siły anarchji rosną...

— A w Polsce jak jest?

— O, i w Polsce anarchiści są. Wogóle — l'avenir est pour nous! Socjaliści nic nie sprawiają, ponieważ poprzestają na reformach politycznych, a na polu ekonomicznym są kompromisowi. Co znaczy kontrola robotnicza nad produkcją fabryczną? Należy fabryki oddać robotnikom!

— Jakież jest obecny program anarchistów? — zapytał Zaucha.

— Prosty. Burżuazja pobita leży u naszych nóg. Należy natychmiast przeprowadzić reformy ekonomiczne. Musi być przeprowadzona reorganizacja gospodarcza na zasadach komunistycznych.

— To znaczy?

— Naprzykład: Oddanie mieszkań robotnikom. Akcję tę my pierwsi zainicjowaliśmy swemi „zachwatami“. Po zajęciu willi Morozowa i „Klubu Kupieckiego“ ruch ten udzielił się masom. Idźcie dalej tą ulicą — zobaczycie cały szereg will, zajętych przez różne grupy anarchistyczne. Ta „Mała Dmi-trowka“ powinna się dziś nazywać raczej „Mała Anarchowka“, jest to doprawdy „prospekt anarchizmu“. Dwadzieścia pięć domów w Moskwie już jest w naszych rękach. Tak trzeba działać. Tego bolszewicy nie umieją. Ich rola kończy się na zburzeniu starego ustroju. Dość już słów, trzeba czynów.

— Jaki kierunek polityczny?

— Unicestwienie wszelkiego rządu.

— Jak się robi „zachwaty“?



— Mamy swoich żołnierzy, swoją „czarną gwardję“. Bierzymy oddział, przychodzimy do danej willi, zajmujemy ją i mówimy „nasza“. Następnie dajemy znać sowjetom, żeby nam nie przeszkadzały i na tem koniec.

— Skąd macie broń?

— Od czerwonej gwardji.

— Jaki stosunek do sowjetów?

— Uważamy, że one są dziś przedstawicielami mas ludowych. Możemy z nimi polemizować, lecz do zamachów na nie nie dopuścimy. Przy „zachwacie“ drukarni „Moskiewskiego Listka“, gdzie drukujemy dziś „Anarchję“, pomagała nam „czerwona gwardja“. Jako anarchiści nie występujemy, walczymy w szeregach ludu. Z drugiej strony zaznaczyć należy, że na przykład pułk dźwiński, który w Moskwie uratował sowjety i rozbił junkrów, jest anarchistyczny. Prawda, rewolucja w tej chwili trochę nas osłabiła, dużo anarchistów przeszło do bolszewików. To minie, bolszewizm musi zbankrutować...

— Jesteście tego tak pewni? — zdziwił się Zaucha.

— Absolutnie! — odpowiedział anarchista.

— Dobrze. A jeśli władze bolszewickie, czując, że możecie im być groźni, uderzą na was, póki mają siły?

— Bez boju nie ustąpimy.

— Ale ustąpicie?

— To zależy. Stosunki są dziś takie, że bolszewicy w boju z nami mogą nawet paść. Położenie jest niepewne i krytyczne — sami to wiecie. Może my sami nie pokonalibyśmy bolszewików, mimoto oni

na nas mogą się przewrócić. Zresztą — organizujemy „czarną gwardję“.

— A czy wśród was jest jaka grupa polska? — spytał Zaucha.

— Nie wiem nic o tem. Grupy osobnej niema, my jesteśmy międzynarodowi... Polaków jest w naszym obozie garść, jak wszędzie, naogół jednak naród ten ma gwoźdźcia w głowie. Szczęśliwie utracił państwowość, którą my dopiero niszczyć musimy, wszelkimi siłami stara się o jej wskrzeszenie. Oto smutne następstwa gwałtu „jakiego swego czasu dopuszczono się nad Polską, która miała tak bogate i piękne zadatki i skłonności anarchistyczne... To gotowo teraz pójść na marne...

— Niestety! — westchnął boleśnie Zaucha.

O Popiołce Czornyj sam wprawdzie nic nie wiedział, jednakże z całą uprzejmością ofiarował mu swą pomoc w wyszukaniu go.

Chodzili tedy we dwóch po różnych salach, korytarzach i salonach gmachu. Wszędzie pełno było niewiadomo koło czego krzątających się jakichś młodzików, żołnierzy i oberwańców, o twarzach — w dwóch przynajmniej trzecich — semickich. Czornyj, sam niezbyt jeszcze obznajomiony z topografią gmachu, wpadał to tu, to tam, bez pukania szeroko otwierając drzwi, zaopatrzone w bardzo prymitywne napisy i tablice informacyjne. Gdziekolwiek weszli, wszędzie spotykały ich spojrzenia jak gdyby żaków, zaskoczonych przez nauczyciela. Choć czytający niby, czy rozmawiający nie zmieniali na odgłos otwierania drzwi pozycyi, a najczęściej zupełnie ignorowali wchodzących, Zaucha z min ich zgadywał, że coś niedobrego między nimi się święci. Najsilniej uderzyło go to w bibliotecę, zastawioną



szafami, pełnemi pięknie oprawnych książek. Tam westchnął, bo żał mu się zrobiło książek, w owych czasach już bardzo drogich i coraz radszych, przypuszczał zaś, że „anarchiści“, gospodarujący w szafach, dobrze znają się na rzeczy i utrzymują żywe stosunki z moskiewskimi antykwaryuszami.

— Pokażę wam czytelnię! Bardzo piękna! Zobaczycie tam wszystkie nasze pisma!

Lew Czornyj wprowadził Zauchę do ślicznej, zacisznej czytelni. Piękne, ciężkie fotele klubowe otaczały okryty sukrem stół, na którym leżały teksturowe teki z nalepionymi tytułami różnych pism anarchistycznych. Napróżno jednak chciał pochwalić się przed Zauchą literaturą swego obozu politycznego; w tekach nie było ani jednej broszurki.

— Pobrali już! — łagodnie wytłumaczył Czornyj.

Po dłuższem poszukiwaniu znaleziono kogoś, kto wiedział, gdzie można znaleźć Popiołkę. Pokazało się, że adres rzeźbiarza znany jest w sekcji sztuki proletariackiej. Tam też wskazano Zausze wille, którą rzeźbiarz zajął i ogłosił swą siedzibą.

— Więc i on już bawi się w „zachwaty?“ — zmartwił się Zaucha. — To się dobrze nie skończy. Zwarjował chłop!

Podziękowawszy za informacje, wyszedł. Na ulicy oglądał się kilka razy, czy go kto znajomy nie widzi. Dość szybkim krokiem podążał na granicę wpływów anarchistycznych — ku niedalekiemu bulwarowi. Mimo wszystko — głupio mu było i wstyd czegoś.

— Smarkacze i rzezimieszki! — mruknął, przypominając sobie twarze anarchistów.

Kierując się ku swemu hotelowi, skręcił z pustego bulwaru na Nieglinny Prospekt. Kiedy przechodził koło zabudowań olbrzymich Sandunowskich Łaźni, mimo wczesnej pory otoczył go rój dziewcząt publicznych.

— Pójdziemy się zabawić? Panie, panie, niech nas pan weźmie obie, my jesteśmy siostry... Niech pan idzie z nami!

Małe, nierozwinięte dziewczęta obskakiwały go ze wszystkich stron, jak łaszące się pieski. Mówiły po polsku — piana ulic warszawskich — dobrze wiedząc, iż w oczach Rosjan język ten daje im wyższość nad miejscowymi „ćmami“. Gdy je ofuknął, natarczywem, żebrzącem rozwiążle stadem rzuciły się za jakimś żołnierzem z czerwoną przepaską na ramieniu i w lakierowanych butach.

— Jednakże prostytutce rewolucja jakoś nie usunęła! — przewinęło mu się przez myśl.

A naraz przypomniało mu się zdanie z broszurki pewnego anarchisty hiszpańskiego.

— Jak kobiecie gadatliwej, plotkarce, żadna ustawa nie zabroni gadać, tak kobiecie, mającej skłonność do prostytutki, żadna ustawa nie zabroni kupczyć miłością.

No więc?

— Jeśli człowiek nie jest aniołem — pomyślał Zaucha — to żaden ustrój społeczny ani państwowy aniołem go nie robi.

## XV.

— Ty powinienes się nazywać nie Chrobak, ale Karakon! — wykrzyknął Zaucha na widok towarzysza, z furją wywlekającego ze wszystkich kątów kufry, toboły, kosze, szmaty jakieś i rzucającego wszystko na jeden wielki stos w środku pokoju.



— Dlaczego?

— Zawsze się w śmieciach grzebiesz!

— To „śmieci?” Widziałeś ty taki śmieć?

To mówiąc, podniósł jakąś szmatę i potrząsał nią przez chwilę triumfalnie w powietrzu.

— Sztandar z tej spódnicy chcesz zrobić?

— Nie, bracie, my ją zjemy! Popatrz, jaki śliczny jedwab, jaki gesty. Dostaniemy za tę spódnicę najmniej sto rubli od Tatara. Za mniej nie dam! Jakto? Taka piękna suknia za sto rubli? Moja żona ma głowę na karku, nigdy nie kupowała bezwartościowych rzeczy. To się nam teraz przyda. Mądra kobieta!

— Jak ty wyglądasz! Jak kanalarz! Ręce aż czarne od prochu! Nie mogłeś sobie na jutro rano tej przyjemności zostawić? Siąść niema gdzie.

— Nie wiesz, że nam ten pokój wypowiedziano?

— Kto? Co?

— Władze sowieckie zarekwirowały połowę hotelu. Marynarze się tu sprowadzają.

— I gdzież my się teraz podziejemy? Teraz rozumiem, skąd ten ruch na korytarzach! Gdzież to wszystko pójdzie!

— O takie drobnostki oczywiście nie dba rząd, złożony głównie z włóczęgów, którzy trzy czwarte życia przespali w podmiejskich gajach. Ale my to przetrzymamy. Uczyliśmy się tego w swoim czasie na pamięć. Nic się nie bój! Ze mną jesteś. Wszystko będzie dobrze. Mamy pokój.

— Gdzie?

— W tym samym hotelu, w suterenie. Ciemny i może trochę wilgotny, ale obszerny i nawet nieźle urządzony. Przez okna — pod sufitem, uważasz? — widać nogi przechodniów, zabłocone buty z cho-

lewami, kalosze, śniegowce dam. Na wiosnę, jak deszcz będzie padał, to może być nawet zajmujące. Będziemy studjowali nogi. Dość długo już i nadaremnie zajmowaliśmy się głowami. A ty nawet lepiej wyjdiesz na tej zmianie — będziesz miał łóżko, bo w tym numerze są dwa. I wodociąg swój mamy.

— Wszystko mi jedno! — mruknął Zaucha.

Rzucił się na niewygodną, starą kanapę i wyjąwszy z kieszeni „Anarchję“, zaczął czytać.

— Podłe życie! — narzekał. — Niema dnia, żeby człowieka coś nieprzyjemnego nie spotkało!

Zaś Chrobak, przeglądając nagromadzone rzeczy, chwalił sobie:

— Cały majątek mamy w tych szmatach! Żona tego zabrać nie mogła, pocóż się ma marnować? Mamy czekać, aż nam to bolszewicy zarekwirowują i porobią z tego koszule dla „krasnogwardziejców?” To już wolimy my skorzystać. Same kufry ile wartę! Porządne jeszcze, świetne!

Gadał tak i gadał, czasem stękał, kłął, szustał jakimiś papierami, wreszcie, rozrzuciwszy wszystko w nieprawdopodobny sposób, z triumfującą miną usiadł i położył przed sobą olbrzymi stos listów.

— Widzisz? Listy ode mnie! Przechowywała. Nie przypuszczałem nawet, że tak dużo listów napisał. Przeglądnę je.

— Własne listy będziesz czytał?

— Tam jest niejedna zdrowa myśl... Dużo o literaturze i sztuce... Do żony pisywałem tak, jak do drukarni...

— Gratuluję! — bąknął Zaucha. — Miała używanie.

— Może nie? Wzniosły styl... Co to, „Anarchja?” — sięgnął po dziennik, który Zaucha położył



na stole. Jak możesz czytać te bzdur... Czekaj!... „Do poetów pieśni proletariackich“... Może być ciekawe...

Zaczął czytać głośno:

— Żywiłowy poryw ulicy zmiata wszystko ze swej drogi. Niema wartości większej od realnego, żywego zwycięstwa. A kiedy to zwycięstwo wreszcie stało się nie snem i nie marzeniem, lecz rzeczywistością — na duszę proletariusza spada odpowiedzialność za budowę twórczą. Dlatego poeci pieśni proletariackich powinni w imię nowych zamysłów dnia przezwyćżyć wszystkie trudności. Pełna wymyślenia się ostrożność słowa niezbędna jest dla żywości myśli i wypukłości samego obrazu.

— Ładnie pisze, co?

— To każdy potrafi! — burknął Zaucha.

— Słuchaj-że! Poeta-proletariusz ani minuty nie żyje poza wolnością i ani jedno zbyteczne słowo nie powinno zacięrać jego myśli. Ostrożność słowa, pełny zamyslenia stosunek do niego, da poecie wiersza proletariackiego nową możliwość: uniknięcia rabstwa rymu. Szeregowanie słów, rymowanie, nie zawsze odpowiada idei samego wiersza. Nasz język stworzony został przez naszych przodków, a przyczesaly go i wylizaly późniejsze pokolenia, wreszcie pracowały nad nim całe plejady poetów burżuazyjnego królestwa.

— Masz, już i języka chciałby się wyzbyć!

— Żebyś wiedział. On tu to mówi:

Odrzucając słabość organiczną tego królestwa, zajęci ideą nowej twórczości, nie możemy używać ani szablonów ani tradycji jego przeżytków. Sztuka to praca indywidualności twórczej. Czysta sztuka to sztuka pomysłu, kiedy poeta czy artysta staje się twórcą nowych form życia. Jesteśmy prze-

ciwnikami niemocy religijnej. My, twórcy niezłomnej woli, naszego współczesnego dnia, otwarcie występujemy w obronie swego proletariackiego zdrowia i nowe wyzwanie rzucamy krwawemu swemu wrogowi, burżuazji, nie w zakresie walki politycznej lub ekonomicznej, lecz w zakresie budownictwa duchowego. Po walnym zwycięstwie politycznym i zdobyczach na polu ekonomicznym otwiera się przed nami nowa droga. Powinniśmy zgnieść wątłą słabość piękna burżuazyjnego i groźnie zde-  
rzyć się z jej zabójczym duchem.

Zaucha parsknął śmiechem.

— Mogą się mścić za swe niepowodzenie grafomany!

— Precz z tem zamkniętem królestwem tajemniczych magów, którzy zstępują do nas z wyżyn bóstwa, zwiastując nam świętą prawdę kłamstwa! Precz z zadowolonymi z siebie bękartami, śpiewającymi w turkusową przestrzeń i z obrzydzeniem spoglądającymi z wysokości na masy wdół, gdzie brodzą buntownicze plany realnego zniszczenia! Precz z drogi tchórze i podagrycy lżywo-burżuazyjnych pieśni! Wasze płaczliwe prawdy, wasze zaślinione strofy nie odpowiadają zdrowemu duchowi proletariusza, który zawojuował wszystkie drogi nowego budownictwa świata. Wszechświat przez całe stulecia szamotał się w więzach waszych na śmierć usypiających kołysanek. Wasza sztuka to sztuka kłamstwa, niemocy, tępoty religijnej i fałszywej dobroczynności.

— Daj mi już pokój! — bronił się Zaucha. — Toż to brednie!

— Nie, w tem coś może być! — zachęcał go do słuchania Chrobak. — Popatrz na przykład, jak on



mówi o sztuce proletariackiej: „Formy jej są w tajnikach naszego planu, ale kształtów ich jeszcześmy nie odkryli. Naturą naszej sztuki narazie jest jeszcze w rewolucyjnych masach. Zasadniczą ideą naszej poezji, naszej pieśni, jak i całej sztuki proletariackiej, to idea buntu. Droga tej idei: od walki do zwycięstwa i od zwycięstwa do walki”. — No, mniejsza już z tem... Ale wymyślają zdrowo! Zaślinione strofy! Czyby to pasowało naprzykład.... do Tetmajera?... Zaślinione!

Odłożył gazetę i przerzucając listy, mówił:

— Coś niecoś racji w tem wszystkim jest. Istotnie, poezji trudno się wyrwać, trudno uciec.

— Od samej siebie! — rzucił się Zaucha na kanapie.

— Więc oni mają rację...

— Nie wiem. W każdym razie „przyroda ich twórczości“ nie leży w masach, bo masy są pod tym względem zacofane i uznają tylko stare pieśni, różne tam śpiewy dziadowskie i kolendy... Na tem wyrosły... Czemuż rymują przysłowia, czemuż nie powiedzą „dobrze i zdrowo wstać wcześniej“, ale „Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje“...? Co ten błazen mówi o rymach? Rym proletariuszowi podkreśla najbanalniejszą prawdę... Właśnie masy lubią rym dla rymu, bez sensu.

Jak zwykle, kiedy Zaucha się rozgała, Chrobak przestawał słuchać. Więc i teraz Zaucha monologował, zaś Chrobak przeglądał i porządkował listy.

Nagle uderzył ręką w stół.

Zaucha, zdziwiony, spojrzał na niego.

— Co się stało?

Ale Chrobak nie słyszał jego pytania. Z twarzy gniewna, jakimś dziwnym grymasem skurczona,

lecz z której nie zniknął jeszcze wyraz zdziwienia, czytał prędko, oczu od listu nie odrywając, wstrzymując oddech. Kiedy list przeczytał, podniósł wzrok na Zauchę. Szare jego oczy pociemniały, nozdrza rozdzieliły się, pionowa bróza wystąpiła między brwiami. Wypuścił długo wstrzymywany dech, pociągnął zagasłego papierosa i sięgnął po drugi list. Napół przeczytawszy go, przysunął przed siebie cały stos i ręką, jak karty, rozsunał na stole.

— Psiakrew! — zaklął po jakimś czasie. — Psiakrew! A, żeby ich wszystkich djabli wzięli!

Wstał, otworzył jakąś szufladę biurka i wyrzucił z niej różne papiery i listy, które przejrzał pobieżnie. Potem znowu rzucił się do szuflad. Wydzierał je formalnie i całą ich zawartość wysypywał wprost na stół. Ręce mu drżały; wyglądało, jak gdyby śpieszył się bardzo.

— Co ci się stało, człowieku? Opamiętaj się! — mitygował go Zaucha.

Chrobak tupnął nogą.

— Nie chcę się opamiętać, nie opamiętam się! — krzyknął. — Toteż mi w duszy wciąż coś szeptało: „Nie wierz! Nie wierz! Ona cię kiwa!“ I kiwała! To gdy ja tam wszy biłem w obozie jeńców, kiedy do niej i do dziecka tęskniłem, kiedy się wszelkimi siłami do nich rwałem, ona tu zdradzała mnie z jakąś kanalią. Popatrz: listy, listy od „niego“. Nawet listów nie zdążyła zabrać, tak uciekała! Teraz rozumiem, dlaczego, mimo moich stosunków i znajomości, nie „nie można było“ dla mnie zrobić. Patrz, moja własna żona trzymała mnie w niewoli moskiewskiej dla swojej podłej wygody! Dlatego pojechała na Kaukaz i dziecko mi ukradła!

Zaucha usiadł na kanapie.



— Niema podłości, do którejby oni nie byli zdolni! — krzyczał Chrobak, pniąc się prawie z wściekłości. — Na wieżę uciec gdzieś przed tymi ludźmi, na górę najwyższą, za morze!... Dla ich podłości niema nic świętego! Bezbronnego, sponiewieranego jeńca nawet okradną i shańbia!... To jest społeczeństwo? Na co tu możesz liczyć, na kim się oprzeć? Spodłalo wszystko!

— Nie rób tragedji! — zachnął się Zaucha. — Człowiek jest ułomny, kobieta — wywrotna rzecz. Pewnie — przykro, boleśnie, ale na naród z tego powodu nie wygađuj!... W narodzie jest wszystko: starość i młodość, grzech i niewinność, podłość i najwyższa szlachetność.

— Do stu tysięcy diabłów! — uniósł się znów Chrobak. — Mówisz, cholero, o narodzie, jak o marmucie... Naród to i owo, a ty patrzysz na niego z боку, czy z góry... A ja, psiakrew jedna, ja wiem, że ja też jestem naród i *nie chce mi się znosić* tych wszystkich świństw i łajdactw... Patrz, co z wojskiem naszym zrobili, patrz, jak nas oszukali, wywiedli w pole, jak teraz żyć nie dadzą, jak każdy tylko o sobie myśli i jeden drugiego sprzedaje! Sprzedaje! Rozumiesz?

Zaucha wziął czapkę ze stołu i wyszedł.

## XVI.

Zaucha wiele zawdzięczał swemu towarzyszo-  
wi, który mu pomagał i bez którego byłby może po-  
padł w zupełną apatię. Chrobak, syn zamożnego,  
prowincjonalnego „tyka“ galicyjskiego, miał dużo  
młodej, zdrowej żywotności, głośnej, zaczepnej ener-  
gji bliższej i dziedzicznie obciążony był sprytem  
do szacherki i przedsiębiorstw finansowych, do któ-

rych to zdolności uciekał się w ciężkich czasach.  
Rozminawszy się, jak większość ludzi, z powoła-  
niem, zawarł nieprawie związki z literaturą i sztuką  
i uważał się poniekąd za artystę, człowieka wyż-  
szych, wzniosłych poglądów, krótko mówiąc, nie  
przeciętnego. Znalazłszy się w Moskwie, założył  
jakieś literackie stowarzyszenie wzajemnej pomocy,  
został oczywiście jego prezesem i teraz snuł plany  
różnych wieczorów, podwieczorków i innych „ba-  
łaganów“, mogących dać trochę grosza najbardziej  
potrzebującym. Z natury towarzyski, we wszyst-  
kiem potrzebujący współnika i powiernika, wciągnął  
do tej roboty Zauchę, który nieopatrznie pozwo-  
lił mu wziąć się za łeb, chodził razem z nim po  
różnych artystach i artystkach i, prawiąc komple-  
menty, prosił o „łaskawy współudział“.

To zajęcie bawiło czasem Zauchę. Siedząc  
w ciepłym pokoju — wszystkie artystki dziwnym  
zbiegiem okoliczności, dobrze zaopatrzone były  
w węgiel — z głupkowatym wyrazem twarzy przy-  
glądał się to tej, to owej damie, ogarniającej wsty-  
dliwie dłońmi niewytworny negliz, rozkosznie uro-  
czym ruchem „frygi narodowej“ spuszczał na  
ramię utlenioną główkę i szczerzącej kokietywie  
równie, złote zębki. Jakże wzdrygały się na  
myśl o wspólności kobiet te damy, których łóżka  
znała „cała Twerska“, jakże dowcipnie krytykowały  
rewolucję, jak biegle i wyniośle rzucały mało  
dźwięcznem słówkiem „chamy!“

Chodzili do aktorek, deklamatorek, śpiewaczek,  
śpiewaków, malarek — zbierali na licytację amery-  
kańską fanty, urządzali wieczory autorskie, nieraz  
całe noce spędzali na dekorowaniu lokalu kolorową  
bibułą i wycinankami i istotnie coś się tam czasem



udało i kilkaset rubli wpadło do kieszonki wiecznie potrzebujących golasów. Można było znowu czas jakiś chodzić spokojnie na obiady do „Koła Pań“, można było pić po cztery czarne kawy po obiedzie, kupić trochę papierosów, chałwy do herbaty i jakiś bochenek chleba.

A mimo to Zaucha czuł, że nie on Chrobaka, lecz Chrobak jego potrzebuje. W oczach, w głosie, na twarzy tego człowieka, tak rozpraszającego się w tysiącnych pomysłach i poczynaniach, był jakiś cień. Zdarzało się, że, kiedy gadał — po swojemu bezmyślnie i nieporządnie — naraz zaciął się tak, że milkł najzupełniej i tracił kontenans. Nieraz zapominał, do czego zmierzał, co chciał powiedzieć, zwykle jednak, niewiele sobie z tego robiąc, wykręcał pirueta i mówił o czem innem. Bywało jednak, że wprost niemiał i Zaucha podejrzewał, że to głos odbiera mu myśl jakaś, nurtująca go wciąż, zagłuszana przez niego głośną, chaotyczną działalnością, ale która przecie wybija się czasami ponad wszystko, z czarnych odmetów wychyla się twarzą straszną jak Meduza i przerażeniem ścina krew nadaremnie uciekającego przed nią.

Teraz Zaucha wiedział już, co to była za myśl.

Szedł rozciapkanem błotem ulicy i tak to błoto czuł pod stopami, jakby dusza jego szła po nim boso.

Cóż to za ohydna rzecz — człowiek!

I w jakimż strasznym kale więźnie, porusza się, żyje! Jak mu z tem dobrze! Jak niewyczerpana w pomysłach jest ta podłość jego, wiecznie czynna, niezmordowana, pełna inicjatywy.

On sam też nie był bez grzechu. Miał na sumieniu niejedno, na myśl o czem rumieniec wstydu wy-

stępował mu na twarz. Nie były to zbrodnie, lecz codzienne, szubrawe podłostki, tak marne i nędzne, że czasem aż żal ogarniał, iż na Sądzie Ostatecznym nie będzie się można niczem innem popisać. Zaś obserwując wszystkie swoje upadki, zauważył, że grzech jest przede wszystkim niesłuchanie banałny, niezmiernie wypracowany, szablonowy i pozbawiony wszelkiego wdzięku. Gdy późną nocą, spać nie mogąc, robił czasem z jękiem w duszy rachunek sumienia i analizował te swoje grzechy, widział taką ich pustkę bezgraniczną, takie wyświechtanie i tak typowy „brak talentu“, iż ogarniała go zgroza. Kwestji przecie żadnej nie ulega, iż każdy człowiek nieledwie od dzieciństwa *zupełnie dokładnie* wie, co ma robić i jaki byłby najpiękniejszy czyn jego życia. Wie także, iż ma siły po temu i tylko on jeden wie, jak ten swój czyn urzeczywistnić. Mimo to — nie podniesie swego sztandaru, lecz paćka go w błocie, jakby rad niezmiernie, że on się szarga, a im bardziej ten sztandar zmienia się w mokrą, wstrętną płachtę, tem bogatszem staje się — doświadczenie i uśmiech pogardy dla samego siebie. I jakby się bez tego obejść nie można było.

Zdjęła go niezmierna litość nad Chrobakiem.

— Nie bogaty on był, powiedzmy, ale przecie okradziono go z ostatniego złudzenia! I jakże tak można? Cóż warto to wszystko? Człowiekowi zrobiono niepowetowaną krzywdę...

Szedł Zaucha ulicą, a we wspomnieniach przesuwaly się wszystkie te rzeczy złe, niskie i nikczemne, o których wiedział wprawdzie i które potępiał, z którymi nie walczył, bo go osobiście nie dotyczyły. Cóż, zdrada jednej kobiety, o to robić takie historie? „Jedna kobieta“ — ale dla tego człowieka



jedyna — a czy naprawdę jedna? Toż w takim razie myślimy dalej — jeśli jednej wolno, wolno wszystkim. W takim razie gdzie jest rodzina? A jeśli niema rodziny, to co znaczy — dom? A wówczas — co znaczy „moje dziecko“ i wogóle, czyż nie wszystko jedno, czyje dziecko? Ale w takim razie poco budować dla jakichś przyszłych pokoleń, poco zdobywać coś dla czegoś, co nie istnieje, dla czego nie żyć dla siebie, czemuż trzymać się praw wewnętrznych? I czy nie wszystko jedno wówczas czy caryzm, czy bolszewizm? Wogóle... Zginęły instytucje, ale pozostały ich przestarzałe funkcje i przywileje... Cały splot nikomu niepotrzebnych kłamstw, zwanych konstrukcją życia społecznego lub narodowego, a polegających właściwie na żerowaniu stadowym...

— Człowieku słaby! — wołał głos w głębi duszy. — Nie rzucaj kamieniem potępienia! Za podłość i małość braci daj-że własne bohaterstwo, człowieku słaby!

— Tak jest, słaby! — odpowiedział w duchu Zaucha. — Słaby jestem i zmęczony, wygnaniec bez domu i prawa, zagnany, zmordowany. Z pokolenia w pokolenie dziedzicząc tułaczkę i mękę. A kiedy upadam pod brzemieniem wątpliwości i znużenia, słaby, bo człowiekiem tylko jestem, wołam o dłoń pomocną, o chleb, o promyczek bodaj światła... I cóż mi z tego, że wszystkie cnoty są w duszy mego narodu, gdy równocześnie są w niej też wszystkie zbrodnie i grzechy!

Świat był pełen grząskiego, obrzydliwego błota, po którym ślizgali się biegle ludzie, z minami apatycznymi i przyzwyczajonemi.

## XVII.

Popiołki pod wskazanym sobie adresem Zaucha nie znalazł. W niepozornej willi zastał kilku zaspanych drabów, snujących się po ogołoconych prawie doszczętnie z mebli pokojach, zaopatrzonych jednak w karabin maszynowy i parę skrzyń z amunicją i granatami ręcznymi. Rozkwatrowani tu ludzie należeli do partyzanckiego oddziału samarskiego, w Moskwie byli od niedawna i stosunków zupełnie nie znali. Gdzie się podziałła grupa, która przedtem „osobniak“ zajmowała, nie wiedzieli, nie słyszeli nawet o jej istnieniu.

Idźcie do „Domu Anarchji“ na Małą Dmitrowkę i rozpytajcie o Miszę — radził mu jeden z nich, jednooki ospowaty drab w wysokich, po kolana sznurowanych trzewikach, w spodniach marynarskich i w półkożuszku — Misza wsio znaet.

— Jaki Misza? Jak jego „familja?“

— „Familji“ nie potrzeba. Prosto — Misza.

Szukaj-że tu — Miszy!

Nie było innej rady, jak tylko chodzić od jednego „fortu“ anarchistycznego do drugiego i dopytywać się. Nie bardzo się to Zausze uśmiechało, ponieważ takie włóczenie się od grupy do grupy i od willi do willi mogło ściągnąć na niego zarzut szpiegostwa, rozumiał zaś, że ludzie, z którymi miał do czynienia, strzelają łatwo, zwłaszcza w nocy i z tyłu. Tak go jednakże zgryzła i zmartwiła cała historia z Chrobakiem, takie go współczucie zdjęło dla nędzy i nieszczęścia ludzkiego, iż postanowił sobie mimo wszystko ratować i pomagać. Widział, że Chrobak, patrząc już w twarz rzeczywistości, prędzej czy później przyjdzie do siebie. Dlatego posta-



nowił odnaleźć drugą — jak przypuszczał — zupełnie „złąkaną owieczkę“ i, nie zważając na nic, szukał Popiołki.

Grup anarchistycznych było dużo, a prawie każda z nich miała swe nazwanie i zajmowała osobną wille. W „Domu Anarchji“, zajęтым przez anarchistów-komunistów“, był główny ich sztab, dalej, aż do ulicy Sadowej, anarchiści, przeważnie tego samego odcienia, zajmowali kilkanaście „osobniaków“. Był to poprostu rozlokowany w ulicy większy, doskonale uzbrojony oddział, mający „menaż“ i komendę w głównym „objekcie“ improwizowanych w ten sposób koszar. Dalej, rozrzucone po mieście, wymieniano grupy: „Anarchistów niezależnych“, „Anarchistów dońskich“, grupę „Grakom“, „Agruta“, „Uragan“, „Smiercz“ („Trąba wodna“), „Burja“, „Groza“, „Awangard“ i inne, wszystkie dobrze uzbrojone, obficie zaopatrzone w karabiny maszynowe, granaty ręczne i amunicję. Nawet człowiek z tak małym wykształceniem wojskowym jak Zaucha, musiał, obchodząc te gniazda anarchji, zauważyć, że były to planowo rozmieszczone w ulicach grupy bojowe i placówki, do pewnego stopnia osaczające Plac i gmach sowjetów. Gdzieindziej pozycje pilnowały niewielkie oddziały, zbrojne, aprowizowane, same i nie ruszające się z miejsca, a wystawiające strażę — jak na warcie.

Jednakże wstęp do tych twierdz bynajmniej nie był trudny. W organizacji napół konspiracyjnej, a rozszerzonej zbyt nagle, składającej się z żywiołów, nie uznających żadnej organizacji ani władzy, o kontroli poważnej nie mogło być mowy. Ludzie nie znali się, nie wiedzieli, czy mają jakich zwierzchni-

ników czy nie, sami sobie niedowierzali, nie wiedzieli, co o sobie myśleć, niejednokrotnie popisywali się i chełpili swobodą ruchów, niczem niby nieskrępowaną. Więc Zaucha bez ceremonji i obawy wchodził, gdzie chciał, nie nagabywany przeważnie przez nikogo, a jeśli — to puszczany za łada wymówka.

Był więc w osobniaku słynnego milionera Morozowa, gdzie teraz rozlokowało się przeszło dwustu „czarnych gwardzystów“. W pięknych pokojach pałacu panował już koszarowy, kapuściany zaduch, nieład, brud i nieporządek, ale, na oko, nagromadzone w nich skarby i arcydzieła sztuki znajdowały się jeszcze w komplecie, tyle tylko, że poznikały mniejsze przedmioty, jak popielniczki i różne bibelotki.

Zkolei zaszedł na Powarską, do gustownego, czterema pięknymi karjatydami podpartego „osobniaku“ Zeitlina, zajętego przez Niezawisłych. Kręcący się przed okazałemi, żelaznemi wrotami ciężko zbrojny „anarch“ najmniejszej uwagi nie zwrócił na Zauchę, który też podążył wprost ku wejściu, a minawszy podwórze, znalazł się w sieni, przed szeroką, kamienną klatką schodową, ozdobioną przepiękną, wielką, czarną, starą wazą chińską. Zameldowany towarzyszowi Gorbowski, przeszedł przez gabinet z ciężkiemi, ciemnymi krzesłami i szafami bibliotecznymi — i westchnął, zauważywszy, że ktoś gospodarował w nich i poodkładał nabok wybrane przez siebie dzieła. Stosy ich leżały na wielkiem biurku, na ziemi.

Zaś w przylegającym do gabinetu saloniku aż jęknął. Było to istne, maleńkie muzeum przecudnych chińskich i japońskich „panneaux“, niezrównanych, szangajskich haftów na jedwabiu, cacek, rzeźbio-



nych w kości słoniowej, złotych wyrobów z Kioto, bezcennych bronzów i innych delikatnych, rzadkich wyrobów Dalekiego Wschodu.

Gorbową zastał w majestatycznej, trochę ciężkiej jadalni w gotyckim stylu. Siedział na końcu stołu, rozmawiając ze starym, widocznie przymilającym mu się Chińczykiem.

— Charaszo! — kończył z nim rozmowę anarchista. — Wy się nad moją ceną namyślcie, bo ja nie ustąpię ani kopiejki, a jeśli nie dacie, sam tu palarnię opium założę.. Wot intieresno! — dodał, zwracając się do Zauchy, jak do starego znajomego. — Okazuje się, kitajcy w Moskwie mają palarnię opium... My podczas jednej eksproprijacji natrafiliśmy na znaczniejszą partję opium... Ładne pieniądze teraz zedrzymy... W czym dielo, towarzyszcz?...

Węc Zaucha znowu przedstawił swą sprawę.

— Popiołka? — zamyślił się Gorbow. — Takiego nie znam. Swoich ludzi — a mam ich tu do stu — znam wszystkich. „Kliczki“ jakiej niema?

— Nie słyszałem, ale tego człowieka łatwo poznać... Bardzo wysokiego wzrostu, trochę „nachalna“ twarz z czarnymi oczami...

— Nu, także rzadkość... Wysoki wzrost, a jeszcze i „nachalna“ twarz, to u nas co drugi człowiek. Czekać!... Znać Moskwę? Wiecie, gdzie Własjewskij Zaulek?

— Własjewskij, Własjewskij — powtarzał Zaucha.

Przypominając sobie, machinalnie spojrzał w górę i — zaniemówił, tak niesłychana tam grała gloria barw.

— A toż co takiego? — zdumiał się.

— Plafony Wróbla \*). Ładniutkie, co? Tak wot, na Własjewskim, w „osobniaku“ Korowina, zaśladła teraz nowo zorganizowana grupa nasza, „Burja“... Może tam znajdziecie swego Papiolkę...

W bogato i wytwornie urządzonym „osobniaku“ Korowina „Burza“ szalała. Pakowano bezcenne obrazy, układano w skrzyniach książki, które wyrzucano z kosztownych, pięknych szaf bibliotecznych, pootwieranych wytrychami lub poprostu wyłamanych. Wszystkie lżejsze sprzęty już wywieziono, ciężkie, z zemsty za to, że je musiano pozostawić, obrażeni anarchiści pokaleczyli nożami, szablami, podziurawili kulami rewolwerowymi. Były gabinet był prawie pusty. Na jednej ścianie wielki portret z wyciętą twarzą, na półce szeroko otwartej, pustej kasy ogniotrwałej leżał samotnie zapomniany tomik romansu francuskiego w żółtej oprawie. W pokojach krzatali się pilnie anarchiści i jakieś indywidua zagadkowego wyglądu — prawdopodobnie „paserzy“.

Kierował temi pracami młokos jakiś z błędą, wychudłą twarzą, o przebiegłym, frantowskim wyrazie, ozdobioną długimi, spadającymi mu na czoło lokami.

— Papiolka? — pytał, ogryzając paznokcie i bawdawczo, zpodłbą przyglądając się gościowi. — Takiego u nas niema. Co robimy? Sami widzicie. Tu tyle drogocennych rzeczy, że koniecznie należy je usunąć, ukryć w bezpiecznym miejscu. Inaczej — jedna bitwa, jeden granat — i wszystko się poniszczy...

\*) Wróbel, malarz rosyjski polskiego pochodzenia, znakomity kolorysta.



— Da, wy prawy, towarzyszcz! — niezadowolonym, gderliwym basem zahuczał szamoczący się z jakąś komodą „soldat”. Ani baterji gdzie schować, ani jej zamaskować nie możesz, szrapnel przepada w dachach, granat tylko rogi domów obija... Prosto plunąć na taką robotę...

Dziękując Bogu, że swego dawnego przyjaciela nie zastał przy tej robocie i w tej bandzie, Zaucha powędrował dalej. W jednym klubie wzięto go za kogoś, który miał dać właśnie oczekiwane i zapowiedziane informacje o jakimś magazynie jubilerskim, w drugim trafił na dość podejrzaną rozmowę w języku złodziejskim, w trzecim zastał kilku swarzących się wąsaczy, z których jeden właśnie dobitnie mówił:

— A ja za Nikołaja strzelał, za bolszewikow strzelał i jeszcze strzelać budu!

Aż nareszcie szczęście dopisało mu.

Przez parę dni krążył dokoła ukrytej wśród domów willi, w której podobno siedzibę swą założyła grupa „Uragan”. Jak wszędzie, tak i tu wartował obwieszony bronią żołnierz „czarnej gwardji”, dziwnie jednakże małomowny i nieprzystępny. Żadnych informacji warta udzielić nie chciała, do wnętrza nie wpuszczała nikogo.

Dom w dzień spał.

Zaucha próbował wszystkich możliwych sposobów — napróżno!

Walęsając się po ulicy tam i napowrót, zauważył za szybą małego kramiku zwiędłą, ściąglą, surową twarz staruszka, obserwującego go bacznie i ciekawie. Postanowił pociągnąć go za język.

Starowina zrazu oczywiście nie chciał nic mówić, kiedy jednak Zaucha zwierzył mu się, iż nie

jest anarchistą, a tylko chce przyjaciela swego ze szponów szatańskich wydostać, kramarz zmiękł.

— Przyjdźcie wieczorem! W dzień oni śpią albo też — niema ich. Ale w nocy — dom się budzi. Aż luna bije ze wszystkich okien. Co oni tam w nocy robią — niewiedomo. Różnie ludzie mówią. Tu są tacy, co tam u nich, przeklętych, bywali... Oni, jak przyjechali i willę zajęli, wszystko rozdali biednym — od ubrań byłego właściciela domu począwszy, a na stołkach skończywszy. Lud chciwy, wiadomo, rzeczy rozebrali, pochowali, a teraz czekają, kiedy oni na drugi jaki dom ruszą i dlatego — kłaniają się im, szacunek im okazują... Mówią: oświecają lud, uczą. A po mojemu — djabłu oni się kłaniają. Wstapcie wieczorem — sami zobaczycie.

Istotnie, w nocy dom gorzał od blasku i świecił, jak olbrzymia latarnia.

Tym razem strażę przepuściły Zauchę bez trudu. Niemniej zbrojni członkowie klubu, rozstawieni po wszystkich kątach i na zakrętach korytarzy, pilnie dawali baczenie na gości.

Zaucha minął oświetlone elektrycznie podwórze i wszedł do klubu.

Zastał zwykłą w kołach anarchistycznych mieszaninę: wyrostków w mundurach gimnazjalnych, półinteligentów-żołnierzy, młode panienki, dużo żydów, garstkę marynarzy, sporo obwiesiów o paskudnych gębach, a także młody proletarjat z okolicznych domów, służbę, kucharki, pokojówki — stała i znana klientelę podlegszych teatrzyków kinematograficznych. W oczekiwaniu odczytu publiczność ta wałęsała się po całej willi, rześcić oświetlonej. Jak w „promenoirze” przedmiejskiej tancbudy, rytmicznie szumiały kroki przechadzających się w cudow-



nej sali ze stuletniemi, rzadkimi palmami, oświetlonej dziesiątkami żarówek w kryształowych żyrandolach i pozłocistych, brązowych „bras“. W oszklonej werandzie, wychodzącej na również oświetlony ogród, gromadka szmatławych i nieogolonych wodzów ludu rozmawiała z ożywieniem o sprawach partyjnych i zagadnieniach nowego życia. Nastrój panował uroczyście sensacyjny, nieprzyjemny i błazeński. Dla spotęgowania go, rozstawieni po kątach i korytarzach ponurzy i z głupimi minami klubowcy od czasu do czasu wydawali przeciągle okrzyki i czynili groźny chrzęst bronią.

Włóczył się Zaucha po tych pięknych salach z uczuciem wstydu i niesmaku. Z takim samym uczuciem siedział raz w cyrkowej budzie, przyglądając się produkcjom człowieka, piszącego jedyną nogą, jaka mu ze wszystkich przednich i tylnych odnóż pozostała. Czasem myślał — poraz setny może — że jeśli rewolucja rosyjska jest tak brzydka, to tylko dlatego, iż niewolniczo naśladuje francuską. Co w tamtej przechodziło z bezpośredniego porywu, tu było głupiem małpowaniem bez twórczego blasku. To znów wykpiwał samego siebie i swą refleksyjność przemądrzałą wśród ludzi, choć głupio ale przecie z wiarą próbujących własnymi rękami modelować życie. Nie, wszystko, wszystko było jakieś bezsensowne, niedorzeczne! Jak tylko ludzie odrywają się od swej pracy powszedniej, zaczynają robić głupstwa.

— Tworzyć historję znaczy — wyrabiać awantury! — streścił wreszcie swe wrażenia.

Odczyt rozpoczął się późno. Rogdajew, były wybitny członek wileńskiej „Czernoznamieńskiej grupy“ pouczał zgromadzonych o anarchizmie

w Hiszpanji. Ktoś drugi proponował wydawanie encyklopedji anarchistycznej. Przemówienie trzeciego mowcy poruszyło audytorjum.

Typowy, dziubaty chłop w mundurze piechura, stojąc między dwiema egzotycznymi palmami, śmiało i twardym głosem przemawiał, apelując do proletariatu, aby swą czułościowością reakcyjną nie przeszkadzał w zaprowadzaniu nowych porządków.

— Oto, co się stało przed kilku dniami! — opowiadał z widoczną niechęcią, prawie z urazą i żalem. — Towarzysze-żołnierze, pionierzy i orły naszej świętej, niezwykłej rewolucji zawsze i wszędzie stoją w pierwszych szeregach walczącego o swe prawa i swą wolność ludu rosyjskiego. Ale nie tylko na polach bitew wojny rewolucyjnej z kapitalistami i burżuazją leje się ich krew, oni, jedynie odważni i zdecydowani w swych rewolucyjnych przekonaniach, w ojczyźnie swej śmiało kruszą te więzy i okowy, jakimi związana i skrupowana jest dusza ludu. Zaś od kajdan mocniejsze nieraz bywają przesady. Z ich czarnej mocy świetlani nasi żołnierze czerwoni wyzwalają lud rosyjski, który jednak nie zawsze rozumie i pojmuje ich święte dzieło. I tak kilka dni temu w Orle, w koszarach dragońskich, żołnierze zburzyli kaplicę koszarową, tę pułapkę na dusze młode i niedoświadczone. Rozumie się, że tak jak kiedyś księża chrześcijańscy wycinali gaje święte i rąbali w sztuki bałwany pogańskie, tak ci szermierze nowej prawdy postanowili porąbać wielki krzyż z wizerunkiem Chrystusa i wrzucić go w ogień. Szybcy i energiczni w swem rewolucyjnem postanowieniu, wyciągnęli krzyż na ulicę, rozebrali go na części i chcieli go porąbać. Niestety, przeszkodziła im w tem reakcyjna czułościowość



ludu. Przechodząca tamtędy jakaś kobieta powstrzymała żołnierzy, zaczęła ich błagać, aby nie niszczyli krzyża, wreszcie wwiodła ich na pokuszenie, ofiarując im za krzyż pięć rubli. Żołnierzyki jak żołnierzyki.

— Za pieniądze wszystko sprzedadzą! — rozległ się okrzyk na sali.

— Krzyż kobiecie sprzedali! — kończył mówca.

— A czyż drzewem handlować nie wolno? — roześmiał się ktoś.

— Nie drzewo oni sprzedali, ale krzyż! — wołał mówca.

— A krzyż — nie drzewo? Sami mówicie, że świętości w nim żadnej niema, przesąd tylko jeden.

— Rzecz w tem, że krzyż, ocalony w ten sposób od zbeszczeszczenia i porabiania, przeniesiono do kaplicy kolejowej, gdzie teraz klęczą przed nim masy ludzi, w głos odmawiają modlitwy! I oto w ten sposób o jeden cudowny krzyż w Rosji jest więcej, zaś z jasnych, za prawdę walczących żołnierzy zrobiono dzikich pogan, rzucających się na świętości! Czyż wy nie czujecie, towarzysze i towarzyszki, że w ten sposób marny czyn rewolucyjnych żołnierzy przekuto na sentymentalne zwycięstwo reakcji? Wejdźcie tylko w istotę rzeczy, towarzysze! Ileż to świątyń i kaplic zostało zniszczonych i zbeszczeszczonych, ile krzyżów porabianych i spalonych w czasie wielkiej rzezi europejskiej, wywołanej przez międzynarodowych kapitalistów! Przewidywali oni to, wiedzieli, że działa kruszyć będą poświęcane gmachy, ale czyż cofnęli się przed tem? Nie, ponieważ te świętości obalamuconego ludu dla nich nigdy świętościami nie były i nie są. A któż z tego powodu robi ich dzikimi barbarzyńca-

mi? Nikt. Zato tu żołnierzyków czerwonych, którzy w szlachetnej prostocie swego ducha na przykładzie chcieli pokazać, czem są te wymysły szarlatanów burżuazyjnych, okrzyczano za dzikusów, rąbiących żywe ciało bóstwa i w ten sposób „obrugano dzieło rewolucji“. A kto to zrobił? Kobieta z ludu. My wiemy, że nie ze złości, ale z ciemnoty, z miękkości swego dobrego, rosyjskiego serca; jeśli jednakże to serce w ten sposób hańbi twórczy trud naszej rewolucji świętej, należy je wyrwać. Ta kobieta zasłużyła na to, aby ją na tym krzyżu powieszono! Jeśli takimi mają być kobiety rewolucyjnego ludu rosyjskiego, to lepiej nam wilczyce i suki mieć za matki, bo one w niewolę nas nie zaprzędadzą! Zerwała się burza, zaczęła się dyskusja. W mglej, wciąż coś szeptałej gromadce niedaleko Zauchy rozległy się drwiące śmiechy.

Zaucha już od jakiegoś czasu obserwował tę gromadkę, bo zdawało mu się, że to są Polacy. Postawy i twarze były drobniejsze, lepiej modelowane, inteligentniejsze, ruchy bardziej ze sobą związane, zachowanie się trochę ironiczne. Miał też wrażenie, że z grupy tej padło zdanie polskie; dezorientowało go tylko, iż wśród tych ludzi rej wodził Rosjanin — młody brunet, bardzo przystojny, blada, pięknych rysów twarzą i wielkimi, słodkimi oczami czarnymi przywodzący na myśl świetnego oficera jazdy gwardyjskiej. To „peszyło“ Zauchę, z natury nieśmiałego i nie umiającego zaznajamiać się z ludźmi.

— Odpowiedzcie mu, Żukow! — zachęcali pięknego Rosjanina jego towarzysze.

— Nie warto. On przecie sam nie rozumie, co mówi. Jakaś nowa prawda, jakieś nowe świętości?



Nonsens! Rosja zmieni się teraz w kraj centaurów, czem też i była zawsze w gruncie rzeczy. Wszelka, tak zwana, kultura rosyjska zniknie. Lud! Lud tej kultury nienawidzi. Czemu? Rzecz prosta. Na terytorjum Rosji, oprócz ludzi, żyje jakich sześćdziesiąt milionów koni, stworzeń nierzadko rozumniejszych od człowieka. Lud żyje z końmi, pracuje z nimi, pasie się na stepach, jest z nimi prawie „na ty” — i otóż mamy stąd wielki wpływ inteligencji końskiej na rosyjskiego człowieka. Każda kultura tu zbankrutuje, ponieważ utrzymać się może tu tylko — kultura końska!

W gromadce rozległy się śmiechy.

— Ten zna swoich!

Nie ulegało żadnej wątpliwości. To zdanie zostało wypowiedziane po polsku. Wobec tego Zaucha zdobył się na nagłą odwagę i zbliżywszy się jeszcze więcej, zapytał:

— Panowie Polacy?

Zmierzono go podejrzliwymi oczami. Twarze ścięły się, stężały, stały się zimne i pogardliwe.

— A bo co?

— Ja też jestem Polak.

— No jo, Polacy są różni. Pan „anarch”? Z jakiej grupy?

— Ja szukam swego dawnego przyjaciela, Popiołki. Znam go jeszcze z Krakowa. Zaucha jestem! — przedstawił się.

Nikt mu się nie przedstawił, ale jego mazurskie nazwisko sprawiło, zdaje się, dobre wrażenie.

— Jesteście jeniec?

— Nie. „Bieżeniec”. Chciałbym się z nim koniecznie zobaczyć — kuł Zaucha żelazo, póki gorące. — Z Kijowa niedawno przyjechałem — mam dla

niego nowiny — z Taszkientu. Szukałem go wszędzie, nie wiedziałem, do jakiej grupy należy.

— No, cóż? Niema co tać. Grupa „Topór”, zaulek... Przyjdźcie, będzie chciał z wami mówić, to was przyjmie, a nie to nie...

— Kiedyż go można zastać?

— Rozmaicie bywa. Jak jest, to jest, a jak go nima, to go nima...

— Żeby mu tak kto powiedział, że Zaucha przyjechał, Zaucha, z Krakowa...

— Powi sie, powi...

Kiedy Zaucha wyszedł wreszcie z willi Tito-wa — bo właśnie w siedzibie tego fabrykanta sukna zagnieździł się „Huragan” — była już późna noc. Jak zwykle szedł buławami, gdzie najmniej spotykało się ludzi. Śnieg skrzypiał pod nogami, gwiazdy świeciły, a odbita śniegami zamarzniętymi ich błękitnawa poświata tliła się przy ziemi. W ciszy nocnej nerwy Zauchy zwolna uspokajały się. Błazeńska farsa dnia zgasła, zaczęła się rozpylać w powietrzu, myśli zwiły się i zwolna ściągały w głąb duszy.

Nagle woddali trzasnęły strzały karabinowe i w powietrzu jęknęło kilka kul. Zaucha w pierwszej chwili nie zauważył tego, kiedy jednakże w chwilę później zdumiony podniósł głowę, strzały naprzeciw niego sypały się już jak groch, a powietrze śpiewało żalosnem pogwizdywaniem. Równocześnie zahuczała kanonada i poza nim.

Nie widząc nic i nie wiedząc, co się dzieje, Zaucha, po chwili osłupienia, skoczył za szeroki pień niedalekiej sosny. Kule gwizdały wciąż. Ktoś gdzieś krzyknął i pobiegł.



Bulwary były zupełnie puste.

Wtem po jednej stronie pojawiły się rozżarzone do białości latarnie samochodu, zaś z drugiej strony poczęły szeroko rozciągniętym łańcuchem biec ku niemu jakieś cienie. Łańcuch czasem pryskał ognikami. Jeden po drugim coraz bliżej trzaskały strzały. Cienie przybliżały się, biegnąc co tchu w pierśiach. Ogromne, czarne widmo, sadząc, jak jeleni, wielkimi susami, przemknęło niedaleko sosny, za którą skrył się Zaucha. W rękach tego widma coś szczęknęło, cień stanął na mgnienie oka i bryznął strzałem, a potem krzyknął rozkazująco po polsku:

— Ognia na prawo i lewo po bulwarze!

— Popiołka! — zawołał Zaucha, poznawszy głos.

Nie było odpowiedzi.

Samochód stanął.

Otoczyło go kilkunastu ludzi, wybuchła kłótnia, ktoś protestował, domagał się legitymacji, słychać było szamotanie się, wkońcu motor zahuczał i samochód z miejsca całym pędem ruszył naprzód.

Strzały ucichły.

Mała grupka ludzi stała bezradnie na gościńcu.

— Automobil propał! — odezwał się czyjś stroskany głos. — Czort-by ich wziął!... Cóż, stać tu będziemy? Pajdiom damoj, gaspada!

Zaucha wśliznął się w pierwszy spotkany po drodze Zaulek. Kiedy już wychodził na Twerską, nagle rozległ się za nim gdzieś w pobliżu strzał.

— I poprawno \*)! — rzekł idący naprzeciw Zauchy robotnik.

\*) I słusznie!

A nie wiedział, kto strzela, ani do kogo, ani dla czego.

## XVIII.

Pokonany rozkoszą, leżał bez ruchu, z oczami zamkniętymi, omdlały i słaby.

Zaś ona, pochyliwszy się nad nim i wpatrzona w jego twarz obumarłą i zwolna tylko powracającą do życia, uśmiechała się, dumna i triumfująca, iż jednym uściskiem swych ramion mogła roztopić w sobie siłę tego olbrzyma.

Jej szkarłatne, rozognione wargi drżały jeszcze wspomnieniem ostatniego pocałunku w miłosnem, zmysłowym rozchyleniu. Zwierzęcą żądzą rozdęte były cienkie, nieledwie przejrzyste nozdrza, podługne, czarne oczy stały się aksamitne i błyskały z jakichś otchłannych głębin dwiema dalekimi, srebrno-błękitnymi gwiazdkami. Rozkwitła rozkoszą, gorąca i rozjaśniona.

Ale po twarzy jej, pod złocisto-atlasową skórą, teraz falą krwi różowioną, pelzał malutki, okrutny, jadowity uśmieszek — niby żmija wśród kwiatów.

Z pełnych jej, nagich ramion, żółtych a silnych jak dwie kolumny, po obu stronach omdlałej głowy mężczyzny, wpartych w wyszywaną poduszkę, czarny, lekki tiul zesunął się i chmurką ciemną opadł na małe dłonie o zakrzywionych, cienkich palcach, pieszczośliwie — drapieżnym ruchem drapiących gładki, szeleszczący jedwab ostremi, różowemi paznokciami. Połyskujące złotem i ogniami pierścieni, te małe, niespokojne, ruchliwe ręce były niby dwa świetne skorpiony, skradające się ku bezbronnej i bezwładnej głowie.

Pokój, oświetlony jedyną, stojącą w kącie lampką elektryczną, przyciemnioną naddartym abażu-



rem z wzorzystego jedwabiu, tonął w mroku, który rozcinało kilka białych, bezwzględnych promieni, tryskających przez szpary w materji. Ale promienie te, do rozciągniętych, złotych strun podobne, dzwięczały tylko cichutkiem lśnieniem w powietrzu, gasnąc w ogromnych, prawie czarnych skórach niedźwiedziej, rozpiętych na ścianach pokoju. Nieliczne, najniezbędniejsze, ciężkie, ciemne sprzęty zgęszczwały cień, w którym jednakże przywykłe do zmroku oczy widziały dobrze.

Było zupełnie cicho. Tak cicho, jak tylko może być w „opancerzonym“ pokoju bogatego samotnika, który oddzielił się od ulicy grubemi murami i mato-wemi, podwójnemi szybami w gęsto zakratowanych oknach.

Zdawało się, że młody mężczyzna śpi.

Pochylona nad nim kobieta przez czas jakiś przyglądała mu się z uczuciem lekceważącej wyższości. Obumarła jego twarz była dla niej świadectwem jej siły. A była to twarz zbudowana silnie, gwałtowna, prawie dzika, zła: Czoło guzowate, dwie krótkie, grube, skośne krechy czarnych brwi, nos rozdęty, zmysłowe, grube wargi zlekka uniesione i pokazujące zęby, kości policzkowe potężne, podbródek kościsty i wystający — całość, sama przez się już przejęskrawiona, związana twardym wyrazem brutalności i przekornego buntu. Tylko w kobiecej, niemal dziewiczej osadzie oczu i w skroniach młodzieńczych, gładkich i czystych, było coś niewinnego i szlachetnego, niby małe, uśmiechnięte, wybaczące słówko macierzyńskiej miłości.

I oto z tych właśnie rysów nieznacznych i zatraconych w gęstwie śladów wzruszeń gwałtow-

nych, na twarz mężczyzny zaczęła się sączyć przedziwna pogoda, coraz silniej wzbierająca fala łagodności i słodyczy, bez walki usuwająca ze swej drogi nieczyste zapory i przeszkody — jak gdyby niewidzialna ręka, ciepła, miękka i kochająca wygładzała wszystkie zmarszczki i brózdki, wyryte przez namietność i cierpienia.

Usta wpatrującej się w twarz leżącego kobiety wykrzywił nieprzyjemny grymas.

— Popiołka, a, Popiołka! — odezwała się niskim głosem.

Uderzyło w nią dwoje wielkich, mocnych, czarnych oczu.

— Nie lubię, jak leżysz z zamkniętymi oczami. Nie wiem, co wówczas widzisz. Wstrętne to, że wy za miłość, którą kobieta wam dała, syci jej pieśczęt i pocałunków, uciekacie od niej duszą, niewiedomo dokąd. O czem myślałeś?

— O niczem — rzekł mężczyzna, nie odrywając od niej oczu, patrzących nieruchomo, bez drgnienia.

— Z pewnością idylliczne wspomnienia z dzieciństwa... Wypuszczony ze spodni z tyłu „frajtek“ brudny, motyl drgający na szpilce, napół ukamienowana żaba i zabawa w wesele z jakąś małą dziewczynką w krzaczkach — o, jakież to słodkie! Nie wypieraj się!... Miałeś taką ciełeco-sentymentalną twarz...

— Nie mam idyllicznych wspomnień z dzieciństwa! — twardo odpowiedział Popiołka. — Nigdy nie byłem dzieckiem.

— Haha! To tak, jak ja... Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek była panną...

— Tak mówisz? — ożywił się Popiołka. — A jednak to musi być smutne... Któż był winien?



— Nie wiem... Dzieci, może psy... Wychowywałam się na podwórzu... A wiesz, o czym myślałam, kiedy miałeś oczy zamknięte?

Spojrzał na nią bez większej ciekawości.

— Obraziło mnie to uciekanie myśli odemnie — śmiała się kobieta — i pomyślałam, że gdybym się chciała zemścić, gdybym chciała ukarać, to mogę — włożyć ci wprost w usta rewolwer i strzelić... Pomyśleli-by wszyscy, że to samobójstwo, a ja... ja była-bym świadkiem!

Zaśmiała się cicho, jakby z radością.

W oczach Popiołka błysnęła pogarda, jego grube wargi wyduły się lekceważąco.

— A pomyślałaś ty, Agnes, kiedy o tem — mówił, patrząc na nią zimno i nieledwie wrogo — że mogłabyś z tego pokoju nie wyjść? Ja nie potrzebuję na ciebie rewolweru...

Wielką, ciężką dłoń położył jej na karku.

— Zaś na podwórzu miejsca dużo, aż za dużo dla takiej małej kobietki, jak ty...

— Byłbyś do tego zdolny?

— Ja jestem do wszystkiego zdolny...

— Mówiłeś tyle razy, że kochasz mnie...

— A ile razy ja własnymi rękami zburzyłem to, co w najwyższej miłości sam stworzyłem? Kawalami rwać i szarpać swą miłość, to dla mnie, artysty, nic nadzwyczajnego... Prometeusz i sęp, szarpiący jego wątrobę — to ja. Daj mi wódki!

— Gdzie masz?

— W kasie ogniotrwałej... Otwarta... Tam są dwie szklanki...

Agnes zsunęła się z otomany i stojąc przy nim, poprawiała rozburzone włosy. Ramiona jej, podnie-

śnione do góry, w dwa silne, ciemne trójkąty ujęły jej głowę, otoczoną jakby czarną glorią.

Popiołka uniósł się na otomanie i oparłszy się na łokciu, pół leżał, a pół siedział. Wyprężyły się potężne jego piersi, a rękaw sukiennej „gimnastiki“ obcisnął się na ramieniu, którego mięśnie wystąpiły wyraźnie.

— Znokomicie nadajesz się — na sarkofag! — uśmiechnęła się znów Agnes. — Jakbym cię widziała białego, pod cyprysami, w blasku księżyca... Gdzież ta wódka?... Z chęcią się napiję — jeśli nie „chańza“...

— O, takiej wódki dawno nie piłaś! — ożywił się Popiołka. — Carska wódka... Jeden z moich ludzi, szofer, podczas „winnych pogromów“ woził całe skrzynie z winem i wódkami jakiemuś kupcowi, który je kupował od żołnierzy, grabiących carskie piwnice... Szofer wiedział, gdzie on to wszystko trzyma — i wydał nam. Cóż? Zagrabilimy nagra-bione...

— Bolszewicy nie odebrali wam?

— Zostawiliśmy im spirytus...

Patrzył na Agnes.

Chodziła po pokoju w rozpiętej czarnej bluzce, w czarnych, jedwabnych pończochach i płtych pantoflach — zresztą zupełnie naga i nie wstydząca się swej nagości. Jej ciemne ciało połyskiwało, jak bronz, czasem — jak złoto. Była smukła lecz pełna, ruchów giętkich, kocich. Popiołka, który tyle widział modelek, czuł, że bezwstyd jej nie pochodzi ze świadomości piękności. Był to nieczysty bezwstyd rozwiązłej rozpustnicy. To właśnie wyuzdanie Agnes drażniło go i podniecało.



— O, ile ty tu masz butelek! — ucieszyła się, patrząc w głąb otwartej, ogromnej szafy opancerzonej. — „Old Rum’! Napijemy się „Old Rumu“, Popiołka!

— Nalej „Old Rumu!“ — mruknął obojętnie.

— Jak pachnie! Truskawkami — czy czym?...

Nalała odrobinę do szampanówki i pokosztowała.

— Bardzo dobry rum! — mówiła, pomlaskując drobno lecz głośno różowym językiem. — Świetny!... Istotnie — carski rum!

Napełniła dwie szklaneczki, jedną podała Popiołce, z drugą usadowiła się w głębokim klubowym fotelu, w pozie cynicznej, z przerzuconą przez poręcz jedną nogą, którą kiwała jak mała dziewczynka.

— A papierosy?

Przez chwilę syrpali rum i palili papierosy.

— Właściwie, Agnes, przy całej twej przewrotności twoja miłość nic nie daje — odezwał się Popiołka, zapatrzonej w płomień lampy. — Ty oszukujesz. Zawodzisz. Twoja zmysłowość, twoje rozpamiętywanie jest właściwie — umysłowe, literackie. Budzisz pożądania, których już nie możesz zaspokoić! Zmęczenie? Ty nie dajesz nawet zmęczenia.

— A jednak przed chwilą leżałeś prawie omaluty!

— Zdaje ci się. To nie ze zmęczenia, lecz raczej z niezaspokojonego rozdrażnienia, które muszę opamnować, inaczej...

— Inaczej co?

— Mógłbym cię zabić lub poprostu — wyrzucić za drzwi.

Ważąc się i kołysząc na poręczach fotelu, Agnes przypatrywała mu się złośliwemi, błyszczącemi o-

czami. Przy wargach trzymała szklaneczkę z rumem. Na tę szklaneczkę padł promień z naddartego abażuru i oto zdawało się, że czarna, bezwstydną djablica liże trzymany w ręce rozżarzony węgiel.

— Ciesz się, co powiedziałeś... Pokazuje się, iż żądze, jakie ja rozpalam, wychodzą poza granice zmysłowości ludzkiej... To cielesne wyczerpuje się, staje się nudnym... Rozpoczyna się pożądanie wielkie, nie mogące znaleźć zaspokojenia... Ogień, który trawi, wybuchnąć nie mogąc... Dopiero tu rozpoczyna się dusza.

— A cóż ty masz wspólnego z duszą? — rzucił jej wprost w twarz Popiołka. — Ty jesteś najniższa wśród ludzi glina, toczona najpospolitszymi pożadaniami, z największą rozkoszą kąpiąca się w błocie, zła jak diabeł, fałszywie brzmiąca, zmylona...

Agnes zaśmiała się z widocznym zadowoleniem.

— Co do tego, to masz słuszność. Jestem podła, z całą rozkoszą jestem podła. Miałam tyle odwagi, że potrafiłam przekroczyć wszystkie progi. Świat niema dla mnie tajemnic.

— Ohoho! — zaśmiał się z kolei Popiołka.

— Wierz mi. Atmosfery niema. Jest pustka — wśród której latają różnobarwne bańki mydlane. Podłość! Jest to słowo tak dobre jak każde inne i tak samo puste. Nie wiesz, jak szalenie przekonującą siłę ma podłość.

— Dziękuję ci za dobre słowo, hihhi!

— Nie wiesz, bo jesteś za głupi, zanadto dziki. Masz pięści — i w mózgu masz pięści. Stąd twój bunt. Jesteś buntownikiem — to znaczy — niewolnikiem zbuntowanym. Dziś, gdy twoi panowie nie mają dość siły, aby cię utrzymać w posłuszeństwie, brykasz. Ale później — albo cię zakłują albo cię za-



kuja. Panować nie będziesz nigdy — bo nie umiesz być podłym.

Strzepnęła z papierosa popiół na podłogę, uśmiechnęła się sama do siebie i mówiła dalej:

— Czemże ty jesteś, głupcze? Dopóki cię nikt nie potrzebował, pozwalano ci przymierać z głodu i lepić z błota figurki, z których robiłeś sobie bogów. Bo-ś ty poganin — musisz się komuś kłaniać, a w duszy twojej wiecznie straszą duchy, upiory, bogowie — masz zawsze jakieś dobre i złe, modlisz się do wiosny, a boisz się zimy i ciemności. Strachby ci było powietrza czystego — musisz mieć zawsze jakieś niebiańskie mikroby w przestworzu. A kiedy przyszedł czas, kiedy cię zawołano — stałeś się gladiatorem. Ależ tak! Miljony was, panów stworzenia, kłaniając się orłom, lwom i półksiężycom szły na śmierć dawnym, sprężystym krokiem gladiatorów, tak głupich, tak strasznie głupich, że na świecie nie nadawali się na nic innego, jak tylko, aby leciwsze matrony miały z nich w łóżku pociechę. Pomyśl, jak śmiać się w duchu musiały z was kobiety, kiedy sami zaczęliście się między sobą wybijać, im zostawiając wolność i panowanie.

Czemże teraz będziesz? Na wiosnę zostałbyś Stieńką Razinem, aby być dużo na świeżem powietrzu. Rozbijałbyś i hulałbyś z dziewczętami przy ognisku, na świeżej trawie. W zimie, z nudów, zostałbyś bodaj Iwanem Groźnym. Znam cię i wiem, że ludzie dla ciebie nie istnieją, mogliby nie istnieć. Znienawidziłeś ich... Ale od tego do prawdziwego wyzwolenia — bardzo daleko! Dlatego, że cię skrzywdzono, stanąłeś po stronie pokrzywdzonych i zdaje ci się, że jesteś jakimś rycerzem nowej prawdy. Wierzysz w raj na ziemi.

— Nie wierzę! — głucho mruknął Popiołka.

— Wierzysz! — odpowiedziała mu z przekonaniem Agnes.

Zsunęła się z fotelu, a napełniwszy swą szklankę, podeszła do Popiołki. Usiadła przy nim, jednym ramieniem objęła go za szyję, piersią przylgnęła do jego piersi, szklaneczkę podniosła do jego ust.

— Pij! — mówiła i w niskim jej głosie zabrzmiała prawie tklivość. — Pij — trunek z piwnic obalonych carów! I słuchaj mnie! — Jako żydówka zostałam wychowana w przekonaniu, że kobieta jest tworem niższym od mężczyzny, pół-człowiekiem. Dzięki temu nie obciążono głowy mej tym balastem, pod którym uginają się głowy mężczyzn. Bóg nie znał mnie — ja nie znałam Boga. Dlatego — lekko mi było zawsze i łatwo. Przykazania przestępowałam jak progi — i nie widziałam u nich nigdy białych Cherubów z płomienistymi mieczami. Zrozumiałam, że to, co ludzie i pisma nazywają grzechem, jest przywilejem wolnych i to zrobiło mnie szczęśliwą. Bo zrozumiałam też, że świat jest dla mnie i wolno mi wszystko. Zestarzałam się wówczas tak, jak gdybym nie umierała od początku wieków, ale stałam się też, jak mądry wąż, co słońcu w oczy patrzy i wie, że i ono starzeje się, blednie i kona.

— Więc co? — mruknął Popiołka. — Bo to, co mówisz, znane i stare, jak świat.

— Wiele jest prawd znanych i starych, jak świat, a leżących odłogiem! — uśmiechnęła się Agnes. — Nie rozumiesz, zdaje się, co znaczy wolność. Wolny człowiek jest zawsze sam.

— Kain! — bąknął Popiołka.

— Jest zawsze sam, w ogromnej, rozżarzonej



słońcem jego poznania pustyni, wśród wietrzejących szkieletów umarłych bogów i pojęć.

— No i — sam wreszcie musi wśród tych szkieletów kopyta wyciągnąć, bodaj z nudów, tak? — wtrącił Popiołka.

— Nie. Pustka woła o budowniczego, cmentarz o życie, jałowość domaga się twórczości. Otóż jest nareszcie wolna, swobodna przez nikogo nie zabudowana przestrzeń. Twoja własna przestrzeń, dziewiczą, nietkniętą. Byłeś tym silnym, dzikim człowiekiem, który — choć nie rozumiał nic — mordował wszystkich, chcących wdrzeć się w jego pustynne królestwo. Wycinał w pień rozbitków, wyrzuconych przez fale morskie na jego brzeg, zatrutował studnie, by marły karawany, wiozące do jego niewyzyskanej ziemi złoto i bogów, nie chciał słuchać pieśni obcych kapłanów, nie chciał żadnego życia, prócz swego własnego. Aż gdy pobił wszystko, gdy wygubił wszelki ślad obcej przemocy, powiedział sobie: Teraz zaczę budować!

— Z czego?

— Z samego siebie. Ze swych najsilniejszych, najdzikszych i najkrwawszych bodaj myśli i zwyczajów. Pałace z szumiących płomieni swych namiętności, ogrody, w którychby kwitły wielkie gwiazdy jego niepojętych i nieposkromionych wybuchów, zstępujące do głębi ziemi twarde terasy swej cierpliwości, niebosiężne wieże swego zachwytu i buntu, kamienne drzewa swych niepokonanych postanowień, kwitnący wieczną rozkoszą wonny stół swego użycia — to wszystko, w obliczu pokonanych i skrwawionych wrogów, rzuconych na gwiazdy i rozkrzyżowanych na niebie, jak te oto tutaj skóry niedźwiedzie.

Popiołka zamknął oczy.

— Mów! — szepnął, — Mów jeszcze!

Ledwie dostrzegalny uśmiech triumfu pokazał się na twarzy aktorki.

— W człowieku są siły twórcze, zabijane i mordowane przez całe tysiąclecia. Narody chcą je wyzwolić — ale, sam widzisz, nie potrafią tego zrobić nigdy bez człowieka. Jakkolwiek on-by się nazywał — król, dyktator, wódz lub prorok — musi być, widomy i jasny — przykład, wzór, czyn, najjaśniejsze wypowiedziane słowo. My, ludzie wyzwoleni, wiemy, że rzesze wyzwalają się tylko przez człowieka.

— Mesjanizm! Znowu? — zdziwił się Popiołka.

— Nie. Wyzwolenie z siebie i dla siebie. Na pustyni, w górach, w obłoku chmury, daleko od hałasującego ludu i bez trwogi o to, że siły wyzwolone strzaskać mogą wszystko dokoła siebie. A one mściwe są i krwawe i krzywdę swą wyrównać muszą stosami okrwawionych ciał. Na nich budować się będzie wolność wesola zwycięskiego serca.

— Dalej, dalej! — rzekł cicho Popiołka.

— Budować z siebie — w przestrzeni bez miar i wag, bez ciężkich fundamentów, bez tych odwiecznie ciążących i przytłaczających praw. Budować wieże latające lub gnące się, jak pnie palm, rzeki, których wody, do lśniących węzów podobne, płynęłyby się po skalnych ścianach na wierzchołki gór, aby stamtąd skakać ku gwiazdom, drzewa stalowymi koronami nurkujące w twardych opokach i porastające brylantami...

— Dalej, dalej! — rzekł cicho Popiołka.

— Z własnej piersi pozwolić wyrósć przedziwnie zielonemu drzewu życia, miast owoców rodzącemu miasta, wiszące w powietrzu, ogrody, koły-



szące się na stopniach tęczy, zwierzę nowych namiętności, lasy zielone, zroszone czerwonymi rzekami...

— No i co dalej?

— Człowiek — Bóg, ze szczytu góry wodzący okiem, po ruinach niebotycznych, w jakich zagrzebał stary świat, świat swej niewoli. Tygrysy — błędzące pustymi ulicami miast wymarłych, świątynie, w których uwięzione wizerunki zdezonizowanych bogów czernieją w ciemnościach i służą za gniazda jaszczurkom. Cichy szelest starych węzów, pełzających po przybytkach minionej świetności. Cisza na świecie, należącym do niezwyciężonego Zdobywcy, który oto na ołtarzach najwyższej góry w łunie zachodu sam sobie składa ofiarę z rękami, owiniętymi w dymiące trzewia ofiary... Pieśni, dzwonki i bębniaki nagich, smagłych kobiet, w tańcu wirujących dokoła niego — i wielka, świetna gwiazda błękitna, drżąca migotliwie nad czarnymi grzbietami gór...

Popiołka wziął od niej szklanę z rumem, wypił, zapalił papierosa, a zlekka odsunawszy Agnes dłonią od siebie, zapytał szyderczo:

— Jakież to nowe świństwo ubierasz w tak wyszukane klejnoty?

Młoda kobieta spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem.

— Literatura! Znowu literatura, ty, nasienie szatańskie, wiecznie kuszące cieniami, wiecznie zwożdżące! Gwiazda nad grzbietami gór. — Lucyferyzm, *wasz* znak kabalistyczny przeciw gwieździe krzyża... Banalne! Banalne! Pokłoń mi się, a dam ci panowanie nad światem! Co za demoniczna poza! Szarlatany, czciciele szatana, oszusty do kupy ra-

zem ze swoim głupkowatym Trockim i jego gwiazdą czerwoną!

Zaciągnął się kilka razy papierosem.

— Daj mi, Agnes, jeszcze wódki! — rzekł szorstko. — Oto, widzisz, z czym ci najlepiej, najbardziej do twarzy — ty, córko szynkarzy świata. Cobyś ta udawała! Artysta jestem, ludzi czuję, widzę nawskróś. Ty jesteś „cymbał grzmiący“, deklamatorka. Sama żyjesz w pustce — i owszem, z tem się zgadzam. Twoje marzenia są takie same, jak twoja miłość — nie dają nic, bo za niemi nic niema, duszy niema. Ty jesteś mały, nędzny, plugawy potworek — maszkaron ohydny, który się przyśnił jakiemuś dręczonemu przez złe sny średniowiecznemu mnichowi.

Wybuchnął śmiechem.

— Djabeł! Jak Boga mego — djabeł! Ależ — i owszem, najzupełniej wierzę! Tak jest, chodzi po świecie i kusi ludzi — nieraz sam widziałem. Istotnie — to nie ulega wątpliwości. Więc ty, Agnes — ty jesteś mój „incubus“. Bardzo ładnie. Bardzo mi przyjemnie. Owszem, wdzięczny jestem diabłu za uprzejmość. Nudzę się, jak widzisz, piekielnie, jestem tak samotny, tak opuszczony... Powiedzmy też, że zmęczyłem się trochę... Chwila jak najodpowiedniejsza... Nie jestem od tego... Ale co! Żałuję, że sam djabłem nie jestem! Dobrze miałbym dziś czasy...

Zaśmiał się ironicznie.

— I czego-żeś nadzwyczajnego dokazała, diablico? Wre w tobie i kipi złość, zbrodnia... Włosy jeży ci zbrodnicza ambicja, a jakież te wielkie twoje zbrodnie? Uwiodłaś rodzonego brata, no... Zostałaś prostytutką, a zarazem agentką „kontrrazwiedki“ carskiej... Do swej jamy wciągałaś nieostrożnych



oficerów-złodziei, dezterów, łotrzyków, okrada-  
łaś ich i „wsypywałaś“... Wielkie rzeczy!... Dziś  
tak samo pracujesz dla bolszewików. Po dawnemu  
grasz rolę uwiedzionej piękności, nieszczęśliwej cór-  
ki pułkownika i wciągasz do swego hotelowego nu-  
meru głupich spiskowców, których okradasz i sprze-  
dajesz „czerezwyczaice“... Szpiegujesz nas... No  
i kradniesz. Kradniesz złoto, kosztowności, które  
chowasz, jak kruka... Ja cię nie sądzę, co mi tam...  
Ale cóż ty za demon znów! Gad błotny, nie de-  
mon... Jesteś zła, byłabyś zdolna do wszystkiego,  
tylko że w tej twojej złości niema za grosz siły  
twórczej. Gryzące nic!

— Może. Może masz słusność. Może jeszcze  
nie wszystkie progi przekroczyłam, nie mogłam się  
jeszcze doświadczyć...

— A czego ty chcesz? Czy wiesz sama?

— Wiem...

— Czego?

Przeciągnęła się tak, że aż jej kości w stawach  
zatrzeszczały.

— Aech! — ziewnęła przeciągle i białe zęby  
błysnęły z poza czerwonych jej warg. — Chciała-  
bym duszy poszukać w człowieku... sama... paznok-  
ciami, zębami, nożem, szpilką od włosów... Chciała-  
bym ręce oplukać sobie we krwi... Dusze ludzkie,  
z ciał uciekające, w usta brać... Aech!

— Ścierwo! — bryznął Popiołka.

— Czy uwierzysz? Z tem zasypiam! I to mi  
się marzy. Widzę się nad żywem, skępowanem  
ciałami, panią serc, drżących z trwogi, panią oczu,  
świecących takimi blaskami, jakich nigdy i nigdzie  
nie zobaczy... Co za rozkosz patrzeć w te klejnoty  
żywe i śpiewające, gdy mienią się wszelkimi bla-

skami aż do śmierci... Muszę!... Harfy czerwone po-  
robię sobie z ludzi...

Zakrzywiła drapieżnie palce.

— Będę katem, kochającym swe rzadkie i świę-  
te rzemiosło... Będę czerwoną kapłanką śmierci...  
Będę chodziła za wojskiem i rozstrzeliwała jeńców,  
oficerów... Wy zepsuliście i zdeprawowaliście nawet  
rozkosz mordu, zabijacie na zimno maszynami... Ja  
wznówię krwawe ofiary... Ale na początek...

Przycisnęła się do piersi Popiołka.

— Na początek, na pierwszy raz trzeba mi ofiar  
upragnionych, takich, których śmierć obmyślała-  
bym długo, jak pieszczoty dla kochanka... I ja te  
ofiary znam... I ty je znasz... I możesz mi je wydać...

Ucho trzymała na jego sercu. Uczuła, jak na  
chwilę przestało bić.

— Wydasz? — szepnęła.

Gardło mu coś ścisnęło. Chrząknął.

— Dziwię się, że ci karku nie skręciłem w tej  
chwili! — odpowiedział jej, z trudem opanowując  
się. — Ale i to poza u ciebie, idiotyczna, kabotyńska  
poza, naśladowanie... Ja też widziałem „Salome“  
w „Kameralnym“, w inscenizacji Meierholda... Pach-  
nie ona bardzo rybą po żydowsku!... Daj mi głowę  
Jana!

Parsknął śmiechem.

Agnes wyprostowała się.

— Jakiego „Jana“ znów ci się zachciewa! —  
drwił z niej. — Ten twój „Jan“ to kanalia, zbrod-  
niarz, który-by ci mógł być mistrzem... To poprostu  
ludożerca... A ona — biedna, oszukana kobieta...

— Piękna jest! — westchnęła.

— I oczywiście, naśladować „Salome“ mogłabyś  
wziąć tych ludzi na tortury — mówił dalej. — Ro-



zumiem to. A w zysku jeszcze i te piękne butony, brylanty, klejnoty...

— Wydarła-bym je razem z uszami.

— I owszem, to w stylu epoki... Ale to potrafi zrobić pierwszy lepszy marynarz kronsztadzki lub obozowy ciura... Gdzież w tem genjusz demonia, o ty, mój nędzny djabie bez talentu?... Gdyby szło o wielką zbrodnię, może pomógłbym ci bodaj z ciekawości, ale rzezimieszkiem nie byłem. Nie, żebym się tego wstydził... Lecz nie byłem i nie umiem... Spróbuj sama Piotrowskiego ukąsić... Widzisz, na to, aby móc popełnić wielką zbrodnię, trzeba mieć wielki, tragiczny talent... Zbrodnie wymyślają poeci — nie kanalie... Bo to wielka tragedia... A ty żyjesz błotem i podłością, jak wąż...

Przygarnął ją ramieniem.

— Masz rachityczne myśli, wyrodne, brudne namiętności... Jesteś pianą ulicy... Nie rób z siebie szatana... Ty upadłasz — i to mi wystarcza... Przy tobie znowu zaczynam się śmiać, a tego właśnie śmiechu potrzeba mi. Idiotycznego śmiechu podłego bydłęcia... Strzel w kąt koturnami, bądź taką kanalią, jaką jesteś, głupią, brudną, chorą, nikczemną... Nie stać cię na więcej i taka mi się podobaś... Nareszcie to, co jest, nie żaden tam dramatyczny charakter, ale ludo-zwierz, żerujący na ulicach... Kamienna dżungla dzikich zwierząt... Łowy... Ohó, to jest miasto. To jest rzeczywistość i to jest życie... Chodź, co tam jeszcze masz w zapasie, wyuzdana samico kanałów, piwnic i strychów!... Powinna-byś mruczeć, jak kot, kiedy cię głaszczę... Jakież tam jeszcze plugawe pieszczoty, kapłanko zwyrodniałych pocałunków...

Ręka mu drgnęła, szklanka przechyliła się i złoty płyn wylał się na nagie, ciemne ciało kobiety.

— Nie szkodzi! — szepnęła Agnes. — Upijesz się mną...

A pochylając się nad nim, dodała:

— Więc tak bardzo pragniesz zapomnieć? Tak bardzo ją kochasz? Pamiętaj-że: Przez twoje serce sięgnę do jej serca.

— Przez moje — serce! — mruknął ironicznie, chwytając ją w ramiona.

## XIX.

— Czego?

— Chcę mówić z towarzyszem Popiołką.

— W jakiej sprawie?

— W jego sprawie osobistej.

— Ja was nie znam.

— Ale on mnie zna. Zameldujcie mnie, to się przekonacie.

— Nie jestem lokaj, żebym meldował.

W uchylonej furtce wielkiej, drewnianej, zamkniętej bramy, stał zbrojny drab i badał Zauchę. Z okna stojącego tuż domku odźwiernego padało żółte światło, w którym dwie twarze przyglądały się sobie badawczo. Drab miał wylupiaste, „nachalne“, jasne oczy i rude wąsiska. Jego skórzana kurtka połyskiwała w świetle jak pancerz. Anarchista wyglądał w cieniu niby zrobiony z lanego żelaza.

— Więc cóż będzie? Puściecie mnie, czy nie puściecie?

— Oddajcie broń.

— Nie mam żadnej broni.

Odźwierny obmacał Zausze piersi i kieszenie.



— Możecie iść — mruknął, machnąwszy ręką w stronę czarnej otchłani, w której głębi połyskiwały okna.

Nic nie widząc i nie wiedząc właściwie, dokąd idzie, Zaucha ruszył wprost na światło. Potknął się na jakichś schodach, upadł, dźwignął się i ostrożnie macając schody stopą, stanął przed oszklonemi, podwójnemi drzwiami. Napróżno szukając klamki, zajrzał przez szyby do wnętrza. Ujrzał oświetloną elektrycznie sień, raczej „hall“ eleganckiej willi. Na szaragach wisiały płaszcze, na stole leżało kilka czapek.

Wtem zerwał się wiatr i coś sucho załopotalo w powietrzu. Zaucha spojrział w górę. Wielki, czarny cień zakolysał się w powietrzu, zawahał się i z cichym chichotem zwinął się, jak do skoku — w tej chwili jednak wicher pochwycił go i rzucił go gdzieś w górę.

Zaucha domyślił się, że to prawdopodobnie czarny sztandar.

Po dłuższem poszukiwaniu udało mu się namacać dzwonek.

Pocisnął.

Dał się słyszeć przeciągły, głośny jęk, poczem między drzwiami zapłonęła lampa tak, że światło jej padło na gościa.

Drzwi otwarły się.

W „hallu“ przyjął gościa mały, okrągły człowieczek, w skombinowanym kostjumie, z twarzą okrągłą jak cyferblat i ogoloną starannie. Z pod niskiego czoła, zmarszczkami zdziwienia pokrytego, patrzyło dwoje bezmyślnych oczu, pod perkatym, mazurskim nosem świeciły wybrylantowane i podkręcone w górę wąsy.

— Towarzysza Popiołkę zastałem? — spytał Zaucha.

— Jest, ale zajęty.

— Poczekam na niego.

— To utopia! — potrząsł głową właściciel zdziwionego czoła.

— Niby dlaczego? — zdziwił się teraz Zaucha.

— Mam do niego bardzo ważny interes i muszę się z nim widzieć. Przyjeżdżam z Kijowa.

— A, z Kijowa! — zgodził się „anarch“ takim tonem, jakby mówił: — To co innego, trzeba mi było zaraz powiedzieć.

Podumał, a potem rzekł:

— Widzicie, towarzyszu, Popiołka jest teraz bardzo zajęty i nie wiem, jak to długo potrwa. Czekać można — jeśli kto chce...

— Będę czekał.

— No, to proszę. Rozbierzcie się...

— A nie zginie? — mówił Zaucha, zdejmując wierzchnie nakrycie.

— Utopja! My jesteśmy dobrze zaopatrzeni, a stąd nic nie wyniesie. Ciepło u nas, znaleźliśmy w „osobniaku“ spory zapas węgla i drzewa, palimy i siedzimy tu, jak u Pana Boga za piecem. Pozwólcie, pomogę wam. Ostrożnie, potkniecie się.

— A, karabin maszynowy!

— Wkrótce każdy przyzwoity człowiek, zamiast psa, będzie za sobą ciągnął na sznurku karabin maszynowy. Taka moda!

Rozmowny anarchista wprowadził Zauchę do obszernej, białej, przyzwoicie urządzonej jadalni, z długim stołem, na którego końcu syczał jeszcze i pogwizdywał wielki, mosiężny samowar; tuż stał czajnik, przykryty dla ciepła kogutem, z żółtej fla-



neli. Żółty, orzechowy kredens wiedeński, czarne pianino, ozdobne wazony, miękka, otoczona fotelami kanapa w kącie pokoju, zegary — wszystko przypominało niezbyt wytworną wprawdzie, ale wygodną i zaciszną jadalnię zamożnego burżuaja.

— Siadajcie! Może herbatki? Nie? Ale może przecie?... Dobra! Nie? No, to papierosa!

Z tylnej kieszeni spodni wyjął dużą papierośnicę srebrną ze złotymi inicjałami, wśród których błysnął drogi kamień, poczęstował Zauchę, a potem, zamknawszy głośno papierośnicę, schował ją do kieszeni.

— No? I jakże się wam u nas, anarchistów, podoba? — zapytał z nietajoną dumą, zapalając Zausze papierosa.

— Owszem, owszem! — uznał Zaucha.

— Ludzie myślą, że my tu sztyletami wciąż tylko wywijamy, trucizną pijemy „bruderszaft“ i tańczymy goli. Utopia! Żyjemy sobie cicho, czyściutko, cieplutko, spokojnie — jak w raju! Wszystko jest, niczego nie brak... Wygoda! Siadajcie, proszę, siadajcie, tu, na kanapce, miękko! Prawda, jak to wszystko porządnie urządzone? Otóż mówi się — rewolucja, zwycięstwo proletariatu, a kiedy się porówna nędzne mieszkania robotników z przepychem stojących pustką „osobniaków“ burżuazji, pojąć nie można, jakim cudem te chramy egotyzmu jeszcze stoją i nie zostały zburzone. Wytlumaczyć to można tylko nadzwyczajnym taktem środowisk rewolucyjnych. Pomyślcie, rodzina, której własnością był ten „osobniak“, ma w Moskwie jeszcze wielką kamienicę, cztery „osobniaki“ i willę na wsi. I gdyby nie my, ta willa wciąż stałaby pustką! Zawsze

mówiłem — niema to jak anarchiści! Wszystko inne — to utopia!

Słowa gadatliwego anarchisty ciągnęły się, jak zlepione i nagle Zaucha zauważył, że one mają zapach — smarowidła na buty, wosku do froterowania podłóg, kleju stolarskiego, czy przepoconego, dawno niemytego ciała, czegoś, co czuć było warsztatem lub niewietrzoną garderobą.

— Przepraszam was — przerwał nagle. — Czem wy byliście w cywilu?

— Ja? — zdziwił się mały człowieczek i aż się oglądął, szukając, do kogo-by mogło być skierowane to pytanie. — Ja? Ja byłem przemysłowcem. Introligatorem.

— I wy jesteście anarchistą?

— Jestem! A czemuż nie miałbym być? Dziś takie czasy, że każdy musi być czemś...

— Czyżby?

— Rozumie się.

— Więc dlaczego nie jesteście bolszewikiem?

— Tak. Nieraz się nad tem zastanawiałem i pojąć tego nie mogę. Sam siebie doprawdy nie rozumiem. Właściwie to powinienem być bolszewikiem, bo na tem się znam. Ale wiadomo, że to efemeryda, zjawienie przechodnie. Stadjum rewolucyjności to dopiero anarchja; i bolszewizm musi awansować na anarchję, inaczej nie będzie się mógł umotywować. Więc ja to wolałem zrobić prędzej. Wie pan? Ja wogóle jestem dziwny. Nie wiem, czy drugiego takiego człowieka spotka na świecie.

— Nie wiem. I dlaczegoż pan nie chce wrócić do kraju? — pytał Zaucha, niby nienaumyślnie chwyciwszy się słówka „pan.“

„Dziwny człowiek“ roześmiał się.



—Przecież tam nie puszczają! A Austriacy biorą wszystkich na włoski front. U nas jest jeden, że uciekł od Austrii z włoskiego frontu, to on katastrofalne rzeczy opowiada o tem... A tu znowu bolszewicy chcą brać „plennych“ do krasnej armii. Słyszał pan? W samej Syberji jest dwieście tysięcy „plennych“, a bolszewik wojska porządnego nima, to on „plennych“ będzie brał. A mnie to naco? Jak ja w naszej „czarnej gwardji“, to mnie już nic nie obchodzi...

— Co to za hałasy? — zdziwił się Zaucha.

Od pewnego już czasu słyszeć było liczne, ciężkie stapania na górze, na pierwszym piętrze. Dłotały nawet stłumione krzyki, odgłosy nawoływania, raz huk, jakby coś ciężkiego upadło. Teraz głosy te niskie, bezwzględne, szorstkie wrzawą swą wypełniły westybul. Dudniały kroki na schodach, szczykała broń, ktoś upuścił karabin...

— Nic takiego. To tylko nasi ludzie idą do pola. Zaczekajcie chwilę!

Zaucha siedział sam, zasłuchany w cichy świst samowara, trochę zmieszany, trochę zawstydzony, nieswój. Było mu zupełnie głupio.

— Nie doczekam się chyba Popiołki! — pomyślał, przygotowując sobie mimowoli wyjście.

Wiszący koło kredensu zegar ścienny wybił powoli ósmą.

— No, jeszcze wcześniej. Mogę chwilę zaczekać! — wahał się.

Wtem zasyczało coś za nim i drugi zegar w stylu „Empire“ na alabastrowych kolumnkach śpiesznie srebrnym głosikiem wydzwonił ósmą. Ledwo zmilkł, gdzieś nad głową Zauchy tym razem odezwały się stłumione, lecz silne i niskie dźwięki.

Zaucha słuchał zdziwiony — po całym domu, z pokoju do pokoju szła dźwięczna, miarowa muzyka, to bliżej, to dalej, jak gdyby to zegar niewidzialny chodził, na równe głosy dzwoniąc, to tu, to tam, raz niskim, poważnym dźwiękiem, niby chcąc przerazić, znów śmiejąc się, chichocząc srebrzyście, to jeszcze charcząc głośno, trywająco, z zaspanem ziewaniem. Było wtem coś tak niesamowitego, że Zaucha aż się wzdrygnął i przetarłszy oczy ręką, rozglądał się dokoła.

Znowu odezwały się liczne kroki, stapania, szcęk broni, coś w rodzaju komendy, otwarto drzwi wchodowe; niby oddział wojska wymaszerowywał z domu. Ktoś się poślizgnął na schodach, zaklął, inni roześmiali się, wreszcie drzwi zatrzaśnięto, stapania ścichły. W westybulu jakiś czas jeszcze rozmawiano głośno po polsku, zwłaszcza wyraźnie rozlegał się czyjś trzeszczący, drewniany głos, swobodny i pewny siebie.

Szczęknięła klamka w drzwiach; do pokoju weszło kilku mężczyzn, wśród których Zaucha poznał też pięknego Rosjanina z odczytu w „osobniaku“ Titowa.

— Nie przeczę! Nie przeczę! — silnym, dźwięcznym barytonem kończył rozpoczęte zdanie Rosjanin. — Bolszewików nienawidzę i tylko dlatego jestem anarchista.

— Były carski oficer — i to „gwardieje!“ — anarchista! — śmiał się rzechocąco mały, zaniedbany, nieogolony człowieczek z łysiejącą, kulistą czaszką i długim, cienkim, spiczastym nosem — Były carski oficer!

— Da chto wy, Drozdowskij! I cóż z tego, że byłem carskim oficerem? Różgami siekłem, mordy



biłem, zęby czyściłem pięścią jak najlepszy dentysta. Tak mnie uczono, wojny inaczej nie rozumiałem...

I z pewnością, gdybyście byli w „białej gwardji“, robilibyście to samo.

— Bardzo może być. I nie bić dobrze — i bić dobrze! To zależy od mody.

— I od mordy!

— Nie ja, Mikołaj Piotrowicz Żukow, gusarskij korniet, będę poprawiał świat, towarzysze, nie ja. I nie chciałem nigdy i nie potrafiłbym. W głębokości duszy swojej, prawdę miłującej, czuję ja towarzysze, iż na świecie dwie są klasy ludzi: bijących w mordę i biorących po mordzie — i tego żaden ustrój społeczny ani państwowy nie zmieni. Myślicie, co chcecie, piszcie jak najpiękniej, ale ja — wiem. Sółdacka dola! Podpierał mordę kulakiem za dawnych czasów carski „diad'ka“, dziś po uchu trzepać będzie bolszewicki nastawnik. Godła państwowe się zmieniają i barwy i rząd i wszystko, z dawnej sytości w głód popadniesz, a morda po staremu, u nas, w Rosji, będzie puchła... Otóż ja wolę, żeby puchła drugiemu, a nie mnie!

— I jak wy z takimi zasadami mogliście zostać anarchistą?

— A czyż to są zasady? Towarzyszu, pysznię się tem, że ja, Mikołaj Piotrowicz Żukow, gusarskij korniet, wogóle nigdy żadnych zasad nie miałem, nie mam i mieć nie będę. Stoję poza wszelkimi zasadami i dlatego anarchja przemawia mi do duszy, jak wogóle ruskiemu człowiekowi.

— Tego ja absolutnie nie rozumiem! — wtrącił anarchista-introligator. — To już stanowczo utopja!

— Bo wy nie możecie zrozumieć i nigdy nie zrozumiecie, że nasza święta Rosja twarda jest, niezmienna i przeżyje wszystko. Czasami kaprysi — ot, jak teraz! Wojna zaciągnęła się, przegrana, drożyzna wielka — tak won carja, gienierałow, palicju, żandarmierju, dawaj swabodu... Nieet szutisz, brat! A któż wymyślił carja, gienierałow, żandarmerję — czy nie Rosja? Nie bójcie się — wrócą oni! Czy ja to wszystko stworzyłem, ja coś wymyślę? A czy ja wiem, co to Rosja? Wiem, że biłem po mordzie jako carski oficer, a przyjdzie czas, to do tych samych kanaliż-bolszewików pójdę i ich to bolszewickich czudobagatyrję, szarych mużyczków russkich po zębach chesać będę... Tam, u was, w waszych małych państwach, w Belgji, w Danji czy drugiej Awstro-Wiengrji — obywatel kichnąć nie może swobodnie, bo a nuż się państwo rozleci — ale u nas, w Rassieji, czy masz jakie zasady czy nie — „gulaż dusza!“ wsio raŭno, Rosja wszystko wytrzyma!

Umilkł, zamyślił się, a potem powtórzył:

— Awstro-Wiengrja, dwojjedinaja monarchja... Ech, gromkoje słowo!

— „Utopja“, cholero jedna, gdzież ten rum? — zatrzeszczał anarchista, którego Żukow nazwał Drozdowskim.

— Zaczekajcie chwilę, nie jesteśmy sami! — tłumaczył, zerkając w stronę Zauchy.

Żukow rzucił okiem na Zauchę.

— Zdrastwujcie, burżuj! — zawołał do niego. — My, zdaje się, widzieliśmy się wczoraj w domu Titowa... Jak się wam podobało?

— Cóż? Zajmujące! — rzek Zaucha ostrożnie.

— Wy do Popiołki? Znaleźliście go?



I Żukow odwrócił się od niego, nie czekając na odpowiedź.

— Co za burżujskie bydlę z tego „Utopii!“ trzeszczał z oburzeniem Drozdowski. — Wiecznie się z czemś kryje, wiecznie ratuje jakieś pozory. Zrozumiej-że, człowieka, że nam plewa! na pozory! Okres konspiracji w kanałach podziemnych już minął. Na słońce wylaż, kanalarzu!...

— Piękny temat! — wzruszył się pretensjonalnie ubrany młodzik, wysoki, chudy, pocięty, jakby składany. — Piękny temat! Wychodź na słońce, kanalarzu, śmiało spojrzij mu w twarz, to brat twój, twój przyjaciel.

— Poklep je po ramieniu! — roześmiał się Żukow. — Nie będziesz już potrzebował czyścić kanałów! Precz z kanałami! — Kakaja czepucha!

Składany młodzik wyciągnął długie, czerwone łapy w przykrótkich rękawach czarnej, aksamitnej kurtki i rozczipierzonemi palcami, jak grabiami, przejechał sobie przez gęstą, długą czuprynę.

— Otóż mi rewolucjonista! — mówił z wyniosłym uśmiechem. — Tak, tak! Z podziwem patrzę, jak ze scen zdobytych przez lud teatrów wciąż jeszcze śpiewają „Aidy“ i „Trawiaty“ ze wszystkimi Hiszpanami i hrabiami, jak w przyjętych przez was wierszach wciąż jeszcze rozkwitają tesame róże z pańskich oranżeryj i jak oczy wasze aż się rozlatują zezem z rozkoszy na widok obrazów, sławiących wspaniałość przeszłości! Zrozumiejcie-ż, że podwójny pożar wojny i rewolucji spustoszył nie tylko nasze dusze, ale i nasze miasta! Pałace wczorajszego przepychu stoją podobne do szeregu wypalonych szkieletów, zburzone miasta czekają na nowych budowniczych, trąba powietrzna rewolucji

wyrwała, wykarczowała z dusz krzywe i czarne korzenie niewolnictwa, dusza ludu oczekuje wielkiego siewu — a wy wciąż śmiejecie się z nowych pieśni! Jakże? Więc kiedy uciszą się wzburzone dziś żywioły rewolucji, wy w dni świąteczne, z łańcuskami od zegarków na jedwabnych kamizelkach będziecie wychodzili na place przed swemi sowjetami rejonowemi na partję krokietą?

— A wam tego mało, młody człowieku? — bąknął z lekceważeniem Żukow.

— Wiedźcież, że dla naszych szyj, szyj Goljatów pracy, niema odpowiednich numerów w garderobie kołnierzyków burżuazji.

— A wot, wy wogóle kołnierzyków nie nosicie! Hehe! Towarzysz Quebouriez niedawno temu rozbił skład z bielizną wszechrosyjskiego związku miast — z pobudek ideowych, powiada! Wriosz, brat! Jakie tam pobudki ideowe? Wszak anarchiści bielizny nie noszą!

Ale Zaucha z pewnem zainteresowaniem przyglądał się „Goliatowi pracy“. Młody ten człowiek, z gałązką wilczej jagody w butonierce, miał wygląd ni to aktora kabaretowego czy filmowego, ni to „alfonsa“, chwilowo pozbawionego utrzymania, ni to włamywacza, podszywającego się pod jedną lub drugą kategorię. Pod ściągniętymi forsownie w wyraz zadumy i szlachetnej pogardy twardemi rysami jego twarzy podejrzewało się, jak pod maską, grymas dziwnie niski i podły. Wielkie jego, niebieskie i zimno lśniące oczy usiłowały patrzeć niewinnie i powłóczyć się.

Drozdowski musiał go nie lubić, bo rzucił się na niego z gwałtowną zajadłością.

— Banda grafomanów bez talentu. — wołał —



chce wykorzystać sytuację i z barbarzyństwa cha-  
mów, niszczących, co im w ręce wpadnie, chce zro-  
bić „rewolucję duchową“ na rzecz swych poronio-  
nych błazeństw. Rewolucja trwa już rok — a cóże-  
ście wyprodukowali, „Goljaci pracy“, naciągający  
ludzi po kawiarniach?

— Nikt nie wie jeszcze, jakie ogromne słońca  
oświecać będą życie przyszłości! — z godnością od-  
powiedział „Goljat pracy.“ — Może być, artyści  
w stubarwne tęczę zmieniają szary pył miast, może  
być, ze szczytów gór niemilknąca dzwonić będzie  
gromowa muzyka zmienionych we flety wulkanów,  
może być, falam oceanów każemy przebierać na  
rozpiętych między Europą a Ameryką strunach.

— Utopja! — wykrzyknął introligator-anar-  
chista.

— Jedno tylko dla mnie jest jasne: My otwar-  
liśmy pierwszą kartę najnowszej historii sztuki, my,  
futurysty.

— I czemuście ją otwarli? — zirytował się  
Drozdowski. — „Obłokiem w spodniach?“ \*)

— A choćby nawet! — uśmiechnął się futurysta  
łaskawie. — Wy Majakowskiego wyśmiewacie, a ja  
go kocham i nazywam go Łapą Współczesności. On  
przekonany „cowboy“ ze świszczącymi oczami wy-  
jącej syreny Dni. Jego łąso silnie okręca mózgi słu-  
chaczów. Z pod jego wierszy trudno wyjść żywym,  
to znaczy żywym, jeszcze żywym dla starej sztuki.

— Atoll, przestańcie. Czy wy wiecie, co wy  
wygadujecie, opętancze? — gwałtownie rzucał się  
Drozdowski. — Zlitujcie się, niech go kto poskromi!

\*) „Obłok w spodniach“ — tak zatytułowany jest zbiór  
utworów futurysty rosyjskiego, Majakowskiego.

— Efemeryda! Efemeryda! — powtarzał jakby  
magiczne jakieś słowo Utopja, wpatrzony z ciele-  
cym podziwem i przerażeniem w towarzysza Atolla.

Ale futurysta nie dał sobie przerwać, lecz cią-  
gnął niewzruszenie głosem spokojnym, drewnianym,  
zlekka skrzypiącym.

— Majakowskij — to apasz dla kretynów, na  
„five o' clocku“ — rewolucyjny dyktator dla cza-  
jących się reakcyj — dzieweczka dla mądrych, wol-  
nych i doskonałych w sobie dla kultury. Jego czło-  
wiek — to rozmach wszechświatowy, genialnie  
szukający. Swą żywiołowością Majakowskij wywo-  
luje trzęsienie ziemi w twórczości i jest jedynym,  
który tak nirwannie dźwiga na gwiazdy tych, któ-  
rzy chcą pić herbatę w obłokach. I z obrzydzeniem  
myślę o tem, iż tylko nieliczni czują jego wielkość  
w całej jej pełni, podczas gdy on — jest z serca  
Człowieczeństwa!

Futurysta skończył i powiódł wielkimi, zim-  
nemi, niebieskimi oczami po twarzach towarzy-  
szów, przyczem dumne spojrzenie jego musnęło  
twarz Zauchy, jakby pytając:

— A co? Nie jestem genialny?

— Psiakrew, Utopja, jeśli teraz rumu nie dacie,  
to już doprawdy nie ręczę za siebie! — nie na żarty  
rozgniewał się Drozdowski.

Utopja wciąż jeszcze stał nieruchomy i wpa-  
trzony w Atolla.

— Słowo honoru daję! — zwrócił się naraz do  
Drozdowskiego. — Nic a nic nie zrozumiałem — ale  
czyżby to istotnie mogło coś znaczyć?

— Napij się wódki, to zobaczysz! Chyba już nie  
masz co kryć przed „burżujem!“ Zresztą — dajcie  
i „burżujowi“ trochę wódki, z pewnością się napije!



Wtem w westybulu dały się słyszeć żywe, drobne krocзки i niski, dźwięczny głos kobiecy, wesoly, rozbawiony — tuż drugi, męski. Zaucha od razu poznał głos Popiołki, donośny, jakby trochę podniecony czy podrażniony, zdawało mu się jednak, że i drugi głos nie jest mu obcy.

— Popiołka! — zwrócił uwagę Utopji i wstał, chcąc wyjść do starego znajomego.

— Zaraz! Tam dama! — tajemniczo uśmiechnął się Utopja. — Muszę się wpierw z Popiołką zobaczyć.

Wyszedł — a po chwili stanął w drzwiach i głową dał znak Zausze, aby szedł za nim.

Prowadził go przez sienie, korytarze, pokoiki — na tył domu. Przez uchylone drzwi, wiodące do małej komórki, ujrzał Zaucha kilka postaci, wyciągniętych na siennikach i półgłosem rozmawiających w zmroku. Nad nimi wisiały ich karabiny. W sieni stały otwarte skrzynie z granatami ręcznymi, osobno ustawiono kilka wielkich, ciężkich bomb, zwanych „latarniami“. W kątach piętrzyły się stosy czerwonych skrzyń z amunicją, a dalej widać było, okryte dyskretnie rogózką, dwie lufy karabinów maszynowych.

— Forteca! — mruknął Zaucha do Utopji.

— Wszystko poto, żeby nie płacić czynszu za mieszkanie! — uśmiechnął się anarchista. — A żebyście widzieli naszą spiżarnię! A piwnicę! Czego tam niema! „Kacapy“ nie umieją tak gospodarować, jak my. Oni wszystko sprzedają, pieniądze chowają, a żyją chlebem, kapustą i herbata. Proszę — przez kuchnię!

W pańskiej, wspaniale urządzonej kuchni, koło białego pieca, wysuniętego na środek, krzątało się

dwóch kucharzy. Na blasze syczały i dymiły wielkie kotły.

— Stu dwudziestu ludzi trzeba żywić! — objaśnił Utopja. — Na prawo, towarzyszu, na prawo, tak, tedy, tą ciasną kiszka... I znowu na prawo...

Skręcili w mały, ciemny korytarzyk, w którego głębi błysnęło czerwone, krwawe światło. Były to drzwi, z wprawioną od góry dużą, czerwoną szybą. Ta szyba świeciła krwawo-szkarłatnym blaskiem, wśród którego poruszał się nieuchwytny, niewyraźny cień, niby czarne widmo, kąpiące się we krwi.

Utopja zapukał.

Odpowiedział mu donośny głos:

— Wejdz!

## XX.

Idąc do Popiołki, Zaucha miał niezłomny zamiar rozmówienia się z nim wprost i bez ceremonji, wykazania mu całej niedorzeczności romantycznej „dziecinady anarchistycznej“, zwrócenia mu uwagi na fatalne następstwa, jakie muszą wypłynąć z tego bandyckiego dyletantyzmu, aby wreszcie wzruszyć go, skruszyć i wyciągnąć ze złego otoczenia. Co dalej z nim pocznie — nie zastanawiał się.

Znalazłszy się wśród członków grupy „Topór“, widząc ich porządki i poważne uzbrojenie, zaczął podejrzewać, iż wykonanie jego zbawczego i humanitarnego planu natrafi na trudności. Mimo wszystko, mimo całą niedorzeczność i zupełnie podejrzaną awanturniczość anarchistów, z zasłyszanych urywków ich rozmów spostrzegł, że wykołajeńcy ci korzeniami swych dusz tkwią w atmosferze istotnej, w warunkach zwarjowanych, ale konkretnych, wy-



tworzonych przez rewolucję. Jeśli Leninowi, Trockiemu, Zinowjewowi i Kamieniewowi wolno było kosztem tylu tak ciężkich cierpień próbować realizacji swych doktryn i teorii, to oczywiście takie samo prawo i takie same „dane” mogli mieć też w danym razie Sołonowicz, Czornyj i Barmaszow — i nie było nic dziwnego w tem, że z takich czy innych powodów grupowali się dokoła nich ludzie, z ich ideologią sympatyzujący lub też widzący w nich — jak Utopja — ludzi przyszłości. Aby z tem polemizować, musiałoby się poprostu przekreślić fakt istnienia rewolucji i tego jej stadjum, w jakim się właśnie znajdowała — a podejmowanie takiego zadania byłoby nonsensem.

Należało też zbadać, w jaki sposób Popiołka został anarchistą i do jakiego stopnia przejął się rewolucyjnością tej idei. Znając go, Zaucha podejrzewał, że jego związek z właściwymi anarchistami musi być luźny i raczej zewnętrzny. Sprawami społecznymi rzeźbiarz bardzo mało się zajmował. Sympatyzował oczywiście z ruchem radykalnym, nawet z rewolucją, sam właściwie pracował i żył, jak robotnik, był kiedyś kamieniarzem. Zaucha nie zdziwiłby się zupełnie, gdyby mu powiedziano, że Popiołka jest bolszewikiem; uważałby to za zupełnie naturalne. Ale anarchistą? Tego nie mógł zrozumieć. Przypuszczał tu raczej operetkową, zawsze kabotyńską skłonność artysty do nadzwyczajnych, olśniewających efektów i dziecinny pociąg do romantycznego bandytyzmu, czy raczej romantyzmu bandyckiego, w danych okolicznościach, niestety, urzeczywistnionego.

Dlatego z pewną treścią i miną poniekąd niewyraźną wchodził do pokoju anarchisty, nie bardzo

wiedząc właściwie, co mu ma powiedzieć. Działalności jego pochwalić nie mógł i nie pochwalał, zarazem jednak niezbyt wierzył w celowość i owocność dyskusji, zaś to, czego sam był na bulwarach świadkiem, wskazywałoby, iż Popiołka posunął się już bardzo daleko i prawdopodobnie ma za sobą sporo podobnych faktów dokonanych i niecofniętych. Nie wiedząc nic pewnego, Zaucha postanowił przedewszystkiem zorientować się, poprzestając z początku na roli gościa i starego, serdecznego znajomego.

Popiołka przywitał go bardzo ciepło, a objawszy go swem długiem i potężnem ramieniem i przycisnąwszy zlekka do siebie, poprowadził go ku stojącemu przy biurku fotelowi, na którym go usadowił, a sam usiadł naprzeciw niego, na poręczu krzesła.

— Witajcież! Jak się macie? Cóż was przyniosło do Moskwy? Dawno już tu jesteście? Skąd dowiedzieliście się o mnie? I że nie baliście się przyjść?

Zadawał jedno po drugim pytanie, częstując papierosami. Zausze zdawało się, że Popiołka chciał pokryć swe zmieszanie temi pytaniami, na które nie dawał mu nawet odpowiedzieć. Wciąż jeszcze trzymał się tyłem do światła, tak, że gość widział tylko krótki, mocny kontur jego szerokiej szczęki, nakreślony w mroku czerwonym refleksiem przytłumionego światła.

Zaucha postanowił zadać jeden cios wprost w oczy.

— Słyszeć to słyszałem niewiele — rzekł z uśmiechem — ale zato przypadkiem widziałem was wczoraj przy robocie.



— Wczoraj? Gdzie? Kiedy? — zdziwił się Popiołka.

— W nocy, na Nikickim bulwarze, przy napadzie na samochód. Przebiegliście może w odległości dziesięciu kroków ode mnie. Wołałem na was — nie słyszeliście! Czyżby tak zhardział, że nie poznaje starych znajomych? — pomyślałem. I oto dlaczego odszukałem was i przyszedłem.

— Wczoraj, na Nikickim! Gdzieżeście wy byli?

— Jak przystało przyzwoitemu i bezbronnemu burżujowi, skuliłem się za pnem pewnej dobroczynnej, starej sosny. O mało mnie wasi ludzie nie postrzelili... Ho ho! Nie ładą parada! Z drogi, hołoto, kiedy pan Popiołka idzie!

Popiołka był zmieszany, ale — śmiał się.

— Więc wyście tam byli? — pytał, śmiejąc się wciąż. — Byliście tam? Widzieliście?

— Najzupełniej przypadkowo. Wracałem właśnie ze zgromadzenia w klubie „Huraganu“...

— A, Rogdajew! U Rogdajewa byliście? Rogdajew jest dureń ze swemi odczytami. To, uważacie, grafoman, mędrkowaty taki, rozumiecie, gaduła, który wszystkich chce wciąż pouczać. Tłum chce rabunku, a nie odczytów! Rogdajew powinien zostać nauczycielem w szkole ludowej, a nie anarchista.

Zerwał się z fotelu i zaczął szybko chodzić po pokoju. Szeroki dywan, którym przykryta była podłoga, tłumiał jego kroki. Wreszcie stanął, potarł dłonią czarną, kędzierzawą czuprynę i rzekł podnieconym, podrażnionym głosem:

— Porwaliśmy wczoraj burżujom samochód. Samochodów potrzebujemy, kupić ich nie mamy za co, bolszewicy prawa rekwizycji nam nie dadzą — więc trzeba sobie radzić, uważacie, Zaucha. Uwa-

żacie? Naturalnie, burżuje podniosły krzyk — dzisiejsze gazety znowu pełne są gwałtownia na nieznajomych, którzy siłą zarekwirowali samochód — ale to głupcy, bo prędzej czy później bolszewicy im i tak wszystko pozabierają...

— Niemniej jest to bandytyzm, Popiołka! — spokojnie lecz twardo rzucił Zaucha.

— Byliście wy na wojnie?

— Nie.

— No, to nie wiecie, że bandytyzm jest najbardziej rozpowszechnioną i uznaną formą ekspropriacji... Nie, Zaucha, nie zwracajcie mi głowy! Trzeba się było przypatrzeć! Dopiero-byście mieli jakieś wyobrażenie o tem, czy prawo istnieje i komu albo naco jest potrzebne. To są wszystko zwracania gitary. Pojmujecie mnie. Więc wy kucaliście za pnem sosnowym? Nadzwyczajne! Oto, jak się w Rosji spotykają Polacy! Jeden kucający za krzakiem, a drugi — straszny bandyta z karabinem w rękę, postrach, uważacie, postrach tych tchórzów-bolszewików — nie, to bajeczne! Hihihihih!

Zaucha przyglądał mu się badawczo.

Popiołka, ubrany w rosyjską, sukienną „gimnastiorkę“ z ciemno-zielonego sukna na pozór nie zmienił się. Chodząc, a chwilami przystając przed Zauchą, szybko wyrzucał oderwane zdania, od czasu do czasu szeroko wjeżdżając dłonią we włosy. Twarz jego, twardo i mocno modelowana, szeroka, z wystającemi kośćmi policzkowemi, po dawnemu pełna była energii i życia, lecz gdy przez rozdarty abażur padło na nią światło, widziało się, że rumieńce jej są hektyczne, podkreślone błądzą, oczy płoną gorączkowo, a między grubemi, ukośnemi, ciemnemi brwiami rysuje się pionowa brózdka.



— On jest nienormalny! — myślał Zaucha.

— Ale bardzo rad jestem, że was widzę, bardzo rad, wierzcie mi! — mówił anarchista, jakby zmieszany spokojem i badawczym spojrzeniem gościa. — Wszyscy się tu teraz spotykamy. Rewolucyjna Moskwa pociąga ludzi.

Przysiadł na poręczy fotelu, stojącego przed biurkiem i twarz jego znów znalazła się w cieniu.

— O, ja właściwie jestem tu tylko w przejeździe! — protestował Zaucha.

— W przejeździe, nie w przejeździe, a w gruncie rzeczy każdy ciekawy, co się tu dzieje. Dokądże jedziecie? Do domu, rozumie się!

— Jakiż to dom? Ze szwabami? Dziękuję! Na to jeszcze czas. Dokąd jechać? Wszystko jedno, byle stąd wyjechać. Tu żyć już nie można.

— Tak mówicie? Tak mówicie? Na serjo?

— Absolutnie nie można. Chciałbym do Europy, ale to oczywiście marzenia niewykonalne...

— Dlaczego? Dlaczego? Dziś niema niemożliwości.

— Skądże ja wezmę pieniędzy?

— Prosta rzecz! Zarzńcijcie jakiego bogacza, zrabujcie mu złoto i jazda w świat. Któż wam zabroni?

— Z nim się nigdy nie będzie można poważnie dogadać — pomyślał Zaucha, a potem mówił dalej: — Ostatecznie wyjadę na Syberję... Ach, przepaść, utonąć gdzieś w lasach, w puszczy, w samotności!...

— Tak, to niezła myśl. Syberja — to coś, wciąż jeszcze coś, mimo kolei...

Wstał i zaczął żywo chodzić po pokoju.

— Uważacie? Ja nieraz o Syberji myślałem... Zebrać tam bandę, partję swoją i rabować!... Podbić ten kraj...

— Jermak to już zrobił — sucho zauważył Zaucha.

— To i ja też mogę, zwłaszcza w dzisiejszych czasach... Można-by tam założyć państwo wolnych ludzi, zupełnie wolnych. Pojmujecie to? Barbarzyńskie państwo, takie dzikie, piękne, gdzie człowiek byłby zwierzem... Życie w nieustannej walce, kobiety tylko zdobyczne, niewolnice, śmierć w polu, życie prawdziwe... Podbić te głupie ludy na północy, zorganizować je... Ale to potem! Cóż robicie w Moskwie? Rewolucja was nie pociąga? Nie pracujecie w niej?

— Mojem zdaniem to nie jest żadna rewolucja, lecz najazd barbarzyńców. Zorganizowany, uzbrojony i chciwy zdobyczy proletarijat napadł na stronę, którą obwołał wrogią sobie, która mu jednak nigdy wrogią nie była, nie wojowała z nim, nie była zorganizowana ani przygotowana do walki z tym najazdem i nie broni się nawet. Mówiąc między nami, to, co w żargonie rewolucyjnym nazywa się budowaniem nowego życia, ja osobiście uważam za łepienie napadniętych i plądrowanie zdobytego kraju...

Popiółka stanął i słuchał zapałszy w lampę, a kiedy Zaucha skończył mówić, wciąż zapałszy w lampę, zaczął przecząco trząść głową.

— Nie, tak nie można mówić! — przeczył. — Obalanie przesądów jest niewątpliwie dziełem wyzwolenia. Nie zawsze to się da wykazać, jednakże dokonuje się w tej chwili rzecz najważniejsza, a mianowicie: wyzwolenie wewnętrzne.



— Nacóż tu potrzebna walka klasowa i to jeszcze z inteligencją, która nawet nie jest klasą.

— Mylicie się, Zaucha, mylicie się, jesteście w błędzie. Inteligencja jest klasą, tak tu, jak i wszędzie gdzie indziej, ale jest klasą najgłupszą, bo nie ma ani świadomości klasowej, ani organizacji, ani programu. Służąc burżuazji i żyjąc — nędznie pozbawionym — z resztek z jej stołu — najbardziej i najbardziej przyczynia się do utrwalenia jej rządów, niezdolnych nawet dla samej inteligencji. Niezdolna, leniwa, najchętniej wypełniająca osobą najbanalniejsze szablony, inteligencja w masie swej zabija wszelką oryginalność i inicjatywę, tamuje życie, staje mu na drodze. Przez głupotę nie ma świadomości klasowej, przez tępotę i krótkowzroczność nie przygotowała się do walki, którą jej zapowiadano, i którą zresztą musiała przegrać. Inteligencję musi się rozbić!

— Ale też z was się zrobił socjał zaciekły! — zdziwił się Zaucha.

— Nie jestem socjałem, lecz anarchistą!

— Czy to nie poza, Popiołka, czy nie poza rewolucyjną?

— A choćby nawet — to i cóż? Jako artysta jestem rewolucjonistą i nie mogę nim nie być, temu nie zaprzeczycie. A jako artysta miałem też do czynienia głównie z inteligencją. Znam ją! To lokaje, zwykli lokaje! Któż tu podtrzymywał rządy carskie, kto w Niemczech trzyma Hohenzollernów, kto zawsze i wszędzie broni każdej, najidiotyczniejszej, starej manieri i wrzeszczy ze strachu i nienawiści na widok wszystkiego, co nowe i młode?

— Przesadzacie, przesadzacie, Popiołka! A zresztą trzeba na to wszystko patrzeć z punktu widzenia całości.

Ale Popiołka zapienił się. Powtarzał frazesy z pism bolszewickich, mieszając je równocześnie z własnymi, zastarzałymi bólami. Widać było, że zlepił sobie z tego już jakieś swoje „credo“, którego się nie wyrzeknie, bo mu ono na coś potrzebne.

Robiło się coraz nieprzyjemniej. Drażniły nierówne, szarpane zdania, kategorycznie i z tupetem wygłaszane przez Popiołkę, jego nerwowe ruchy i szybkie kroki, to znów niby pełne skupienia wpatrywanie się w lampę — wszystko nieszczerze, gorączkowe.

Zaucha machnął ręką.

— Rewolucja rosyjska w głowie wam przewróciła, Popiołka! A nie zapominajcie, że jeśli tu macie do czynienia z dziczą, którą bolszewikom łatwo sterroryzować, to tam, u nas, będzie inaczej. My mamy inną rewolucję w głowie...

— Otóż właśnie nieprawda! — wybuchnął znowu Popiołka. — My zapominamy o rzeczy najważniejszej, a mianowicie, że wobec nas skompromitowały się wszystkie narody i wszystkie systemy religijne, społeczne i filozoficzne. Mamy rozwiązane ręce, przekonaliśmy się, że na świecie niema nic świętego! Na przykładzie żywym, na własnej skórze ogniem nam tę prawdę wypalono, a my starym bałwanom się kłaniamy, zamiast rozbić wszystko dookoła i stworzyć...

— Co?

— Nowe życie!

— Niby jakie? Czy człowiekowi w rewolucji druga głowa przyrosła? Formuły się zmieniają, lecz



istota rzeczy pozostanie niezmieniona, jako że nie zmieniła się dusza ludzka. Zresztą — ja nie o tem chciałem z wami mówić...

— Więc co wy? Tak nic nie robiąc, „na gapia“ kręcicie się po rewolucji?

— Na gapia! Nie mam jeszcze o rewolucji swego sądu i przyznacie mi, że nie tylko ja, ale wiele znacznie cięższych umysłów od mego na sąd o tej sprawie przez długie dziesiątki lat się nie zdobędzie. Nikt nie ma prawa żądać ode mnie, abym robił to, czego nie rozumiem. Wy jesteście może w położeniu szczęśliwszem. Tak szerokich horyzontów nie mam. Obchodzi mnie ciśniejsza trochę sprawa, dla mnie jednak najważniejsza.

— A! Polska! — uśmiechnął się Popiołka. — No?

— No, i nic! I to jest straszne! Nic niewiadomo! Ludzi ogarnia zupełne przygnębienie! Pomyślcie, tyle nadziei...

Teraz znów Popiołka machnął ręką.

— Wiedziałem!

— No, jeszcze niewiadomo!

— Samo się nie robi, a chcieć, naprawdę chcieć!

Wzruszył lekceważąco ramionami i skrzywił się pogardliwie.

— To trudno! Będziemy już robić tę rewolucję! — dodał.

— Aha! Boli cię! — pomyślał Zaucha.

I pytał:

— Lecz cóż się z wami działo? Gdzieżeście bywali?

— W Krakowie siedziałem. Potem — wzięto mnie do wojska. Ktoś powiedział: „Gładjatora ze

mnie zrobiono“. Tak, gładjatora. Omal nie zmarłem na śmierć w Karpatach, okropne rzeczy widziałem. Potem znów w Turkiestanie byłem w obozie dla jeńców. Znów — upiorne historie. Na przeszło dzieśnięć tysięcy ludzi ani jednego lekarza. Komendant obozu miał tajny układ z fabrykantem trumien, brał procent od każdej trumny. Wreszcie wypuszczono mnie na wolność.

Zamyślił się.

— Dopiero, uważacie, kiedy mnie puszczone, spadło to na mnie. Już w Karpatach, a potem w tym obozie zacząłem odczuwać niewypowiedzianą potrzebę swego człowieka. Właściwie to ja przecie nigdy z ludźmi nie żyłem. Oderwany od gruntu, bez pracowni, zupełnie obcy swemu otoczeniu, wśród tysięcy ludzi byłem zupełnie sam. Przyszła nostalgia, a z nią tęsknota do człowieka. W Taszkencie była kolonia polska, burzuje... Z początku przyjmowali mnie, chodziłem, ale potem pokazało się, że to nie to... Na pustyni wyrobiłem sobie bardzo wysokie pojęcie o człowieku, a tymczasem to, co znalazłem, pojmujecie, zupełnie temu nie odpowiadało... Powiedziałem sobie, że sobie znowu coś w duszę nałgał, że chcę niemożliwości... Znowu, rozumiecie, na pysk zleciałem, sińców sobie nabilem duchowo... Wtem...

Wstał i nerwowo przeszedł się po pokoju.

— Wtem — błysnęło. Przyszedł człowiek. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Przyszedł.

Stał przed Zauchą, który patrzył mu w oczy, dwie iskrzące, czarne plamy w zgorączkowanej twarzy.

— Przyszedł człowiek, jak zjawisko, no i... oczywiście, nadużyto go, sparano w błocie. Po ludzku. Połamano wszystko. Opluto. Patrzyć na to nie



mogłem i — odszedłem. A później przyjechałem tu i — reszta się sama zrobiła. O mało, uważacie, nie dałem się nabrać. Teraz już wiem, czego się trzymać. I słuchajcie:

Tu rzeźbiarz wielką swą pięścią uderzył się w czoło i wykrzyknął:

— Kto człowiekowi nakłamał tych wszystkich głupstw o nim? Co komu mogło na tem zależeć? Poco ta komedia z kulturą i tak dalej? Co to znaczy? Przecie, jeśli się tylko jasno spojrzy w świat lub w siebie, widzi się, że niema zupełnie nic! I że to wszystko jedno, czy człowiekowi jest dobrze, czy nie... Rozwalić, rozwalić wszystko!

Zaucha milczał.

— Tamtędy, nibyto zwiedzając Turkiestan — mówił Popiołka — przez Aschabad przejeżdżały do Persji różne gady, szpiegi, złodziejaski, spekulanty, jednym słowem draństwo wszelkiego rodzaju... Ja też byłem w Aschabadzie i chciałem uciec, ale nie miałem potrzebnych na to dwudziestu pięciu rubli... Chciałem zobaczyć Persję... Naturalnie, władze rosyjskie polowały na tych ludzi i bandyci też... Musiała to być bardzo rozgałęziona szajka...

— A tak, tak! Przypominam sobie! Wszakże to i w Kijowie zamordowano trzech emigrantów — Polaków, jednego w lesie, pod Kijowem, dwóch w ich własnych mieszkaniach.

— Tam, rozumiecie, była gruba historia... Tam, uważacie, był pewien młody człowiek, który dorobił się pieniędzy i to nawet znacznych... Liczono go w owych czasach na parę kroci... Znałem go, pożyczalem od niego czasem po parę rubli, utrzymywałem stosunki ze sobą... Był to wysoki człowiek, nie żaden gad, miał kolosalne, ale to, rozumiecie,

kolosalne zdolności do interesów, chciał być takim, uważacie, Rotszyldem polskim, zakładać pisma, teatry, biblioteki, wznosić pomniki... Ale ten Grunwald Wiwulskiego, to „knot“, zupełny „knot!“ Jakby z drzewa wystrugał! Też się wybierał do Persji. W tem przyjechał tam pewien paskarz, kanajka, powiadam wam, piękna, stylowa, jak z kinematografu, uuu, mocny człowiek, bez żadnych skrupułów... Łotr — pierwsza klasa! Wszedł niby w spółkę z tym moim przyjacielem, mieli razem miliony zrobić — tymczasem nagle, pewnego pięknego poranku, umarł.. Co takiego? Zastrzelił się! Dziwna rzecz — na szyi miał zaciśnięty ręcznik i postrzał w tyle głowy... Jakże? Naprzód sam się udusił, a potem się zastrzelił? A może — naprzód się zastrzelił, a potem sobie ręcznik na szyi dla pozorów zawiązał? Rozumiecie to, Zaucha, rozumiecie?

— Dziwna historia! Nie z takimi szczegółami, ale to samo — o śmierci współnika — opowiadał mi dziś Piotrowski! Znacie go przecie z Taszkientu! Mówił mi, że się tam z wami widywał!

## XXI.

Zaucha zdziwił się..

Popiołka, jakby go naraz coś ukuło, wyprostował się, obie ręce wsadził w kieszenie i bystro, trochę badawczo spozjrzał na niego.

— No! Piotrowskiego nie pamiętacie? Tego pięknego „gentlemana“, co to ma taką śliczną żonę, panią Lutę... Nie przypominacie sobie? Z Taszkientu? Mówiła mi nawet o was...

— Mówiła? Co mówiła? — wyjąkał Popiołka?



— No, nie, broniła was. Mówiła, że nie wierzy, żebyście mogli działać z niskich pobudek. Coś tam takiego...

— Aha! To znaczy, że ta kanalja napadała na mnie!

— Jaka kanalja?

— Piotrowski, ten ludożerca... Więc wy się z nimi spotykacie?

— Przypadkiem raz jadłem z nimi obiad w „Kole Pań”...

Popiołce podejrzliwie błysnęły oczy.

— A może — słuchajcie, Zaucha! — może wy od nich przychodzicie? Mówcie otwarcie!

— Od państwa Piotrowskich? Nie. Przyszedłem z własnej inicjatywy. Cóż, do diabła, nie wolno mi?

— Uważajcie! Może oni was nasłali, nakręcili... Przypomnijcie sobie... Może półsłówkami...

— Mówię wam, że nie. Oni nie wiedzą nawet, że my się bliżej znamy... Zresztą, gdybym przychodził od nich, nie kryłbym się z tem... Wogóle — dziwię się bardzo. Nazywacie Piotrowskiego kanalją, mówicie o nim z taką złością, a mnie on się bardzo podoba i nigdy nie zauważyłem...

— To ostatni łotr! — przerwał mu Popiołka z pasją. — Ostatni szubrawiec!

— Dajcie-ż spokój! Jakżeby ona mogła...

— Pań Luta? Rozumie się, że ona nic nie wie, wyobrażenia najmniejszego nie ma, co to za człowiek. Ona mu wierzy i wierzy w niego, wszystko dla niego poświęciła...

— To znaczy — niby co?

— Uważacie, ona miała męża...

— Więc jednakże! — omal nie wykrzyknął Zaucha.

— Tak jest, miała. Przystojny, młody chłopiec, trochę wołowina, burżuj, wiecie, bez wyższych aspiracji, ale bardzo porządny człowiek, przystojny, zdrow, dobry... Ogromnie ją kochał, tylko — wykrętasów żadnych nie miał, nie był efektowny. Prostu — kochał, no i już. Mówić o tem nawet nie umiał. Był, jako oficer na wojnie, parę razy ranny, odznaczenia miał...

— Polak?

— Naturalnie, bardzo dobry Polak... Piotrowski poznał się z nim w Kijowie, gdzie ten młody człowiek leczył się z ran... Potem przeniesiono go jako inwalidę do Turkiestanu, do jakiegoś biura wojskowego w Taszkencie... Przyjechał Piotrowski, morfinista przeklęty, a tak był wtenczas wyczerpany i chory skutkiem morfinizowania się, że mu wprost ruina groziła... O, ale to „reptil!” Żeby z niego tylko ogon został, to-by się z tego ogona odrodził! Pojmujecie mnie? Chciał się leczyć — i koniecznie potrzebna mu była do tego opieka kobieca — nie zawodowa pielęgniarzka, tego mu było za mało, on potrzebował uczucia, miłości, podniety; właśnie taki kwiat mu się nadawał, jak biedna pani Luta... Bo to, wiecie, morfiniści są na kobiety niewrażliwi, a on chciał — klin klinem — morfinę kobietą wybić. No i — zawrócił biedaczce głowę. A kobiety — wiecie — czuły się na poświęcenie, wrzody ustami wyciskać, taka chorobliwa perwersja... Jej ten mąż zdrowy byk był, myślała sobie, że nawet nie poczuje, jak ją straci, a ten — sól świata, gagatek piękny, kwiat wędnący, genjusz bez teki, Petronjusz... Postanowiła go ratować, no... i... tak. Poszła z nim. A Piotrowski, żeby od jej męża mieć spokój, ubrał go w jakieś śledztwo...



— Więc to tak? Przykra historia. No, tonący brzytwy się chwyta...

— Ale cóż dalej? Przecie Piotrowski ma w kraju żonę i dwoje dzieci, dwóch synów!

— Wy to na pewno wiecie?

— Masz! Sam z nim jeździłem do jakiegoś wróżbity, Sarla, który mu wykladał coś z kart, bo Piotrowski jakiś czas niespokojny był o żonę... Przecież to wszystko działo się w moich oczach... Fotografie jego żony z dziećmi miał Szymkiewicz, który wybierał się po jego rodzinę do kraju! Bo, dziwna rzecz, Piotrowski, choć z Rosji mógł być uciec, nie uciekał i siedział tu wciąż... O to nawet była wielka awantura... Na fotografii żona napisała Piotrowskiemu jakąś dedykację, z której jasno wynikało, jak i co... Szymkiewicz, „kiwnięty“ przez Piotrowskiego, domagał się odszkodowania, jeszcze tam coś było, no i naraz Szymkiewicza wsadzono do dziury, jako szpiega, bardzo na rękę Piotrowskiemu.

— A wiecie wy, że ten Szymkiewicz prawdopodobnie tu jest?

— To i wy go znacie? Skąd-że?

— Z Kijowa. Bardzo mało zresztą. O ile się nie mylę, widziałem go wczoraj także w „Kole Pań“... Ba, to ciekawa historia... Mam wrażenie, że Piotrowscy tropili go...

— Jeśli Szymkiewicz tu jest, to bomba gotowa pęknąć, bo to też kwiatuszek... Ale w takim razie i pani Lucie grozi... Wyobraźcie sobie, ona najmniejszego pojęcia nie ma... Piotrowski wmówił w nią, że tu się żenić nie może, dopiero w kraju... Ona nie wie nawet, że on żonaty... To taka czysta kobieta... Głupia, jak but...

— Czemużecie wy nie przestrzegli?

— Ja? ja? Właśnie *ja* nie mogłem. Maż? Wsypany był w skandal z intendaturą, a Piotrowski miał od tego skandalu klucze... Szymkiewicz byłby to zrobił dla pieniędzy, ale dlatego też nie uwierzyłaby mu. A cóż znaczy fotografia z jakimś kobiecym napisem? To każdy mógłby sfiabrykować... Miałoby to znaczenie tylko wówczas, gdyby to potwierdził ktoś, komu ona wierzy....

— Czekajcie, Popiołka! Może to przecie tak źle nie jest. Istotnie. Skąd pewność, że ta pani na fotografii to żona Piotrowskiego?

— Sam mówił.

— Mógł błagować. On się często głupio chwali dla kawału. Przypominam sobie, że i ja widziałem ją u niego na biurku... Trzy głowy, idące nawskos przez fotografię?...

— Właśnie. Widzicie: on może powiedzieć, że to jego siostra, ale ja *wiem*, wiem na pewno, że to żona...

— Tożby się przecie raczej rozszedł jakoś z panią Lutą?

— Nie da się zrobić. Niby jak? Porzuciła dla niego męża, poświęciła się... Przytem — ona chora na serce... Piotrowski tchórz nie ma tyle odwagi cywilnej i otwarcie nie śmiałby jej powiedzieć, że poprostu przypiął ją sobie jak kwiatek do klapy surduta... Jemu tu już jest źle, więc powoli, powoli wędruje do Szwecji... Naprzód Moskwa... Stąd często jeździ do Pitra... Raz pojedzie i nie wróci... Chyba tak, to możliwe... I jeszcze okradnie ją z tych brylantów, które jej kupił. Okradnie ją i ucieknie. A jeśli Szymkiewicz jest, sprawa się skomplikuje, bo on gotów uderzyć. Psiakrew, Szymkiewicz nie będzie żartował! Żal mi kobiety!



— A cóż on może zrobić? — pytał oszołomiony Zaucha.

— Będzie chciał zgubić Piotrowskiego.

— Tak się mówi!

— Mówię wam, Szymkiewicz ma czem uderzyć. Ja wiem. Bo widzicie, Piotrowski wypuścił w Taszkencie z rąk pewne papiery bardzo brzydkie, a te papiery ma prawdopodobnie Szymkiewicz...

Zaucha zniecierpliwiał się.

— Co wy za „Räubergeschichten“ opowiadacie, Popiołka, zlitujcie się!

— A wy, Zaucha, wracajcie do kraju i zostańcie nauczycielem gimnazjalnym. Wy wiecie, co to człowiek!

— Różni są ludzie!

— Bardzo.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Co za cholera znowu! — zawołał Popiołka.  
— Czego?

— Można? — zaskrzeczał w uchylonych drzwiach głos Drozdowskiego.

— Czego chcesz?

Drozdowski wsunął się do pokoju. Zataczał się trochę, ale oczy, choć nienaturalnie świecące, miał przytomne.

— Chodźcie jeść! — zapraszał. — Kolacja gotowa. Utopja zafundził nam znakomitą szynkę „po sarepsku“, mamy cały samowar grogu — a jak wypijemy — będzie drugi. „Burżuj“ przecie też może zjeść z nami kolację... Anarchiści — nie anarchiści, zawsze jesteśmy Polakami i gościnności się nie zarzekamy. Drozdowski! — przedstawił się, podając Zausze rękę.

— Już się uchlał! — uśmiechnął się Popiołka.

— Bogu dziękować — już, a na szczęście jeszcze wcześniej i nie koniec na tem. Może i ty-byś jakim kieliszkiem poczęstował... Ale-ś skrzywiony! Musiał ci „burżuj“ szpilek nawbijać...

Wskazał na Popiołkę.

— On ludojada udaje, a palcem go trącić — z nóg leci!

— A pewnie, napijmy się! — zgodził się Popiołka i otworzył swą szafę ogniotrwałą.

— Ładny sprzęt! — mówił Drozd, klepiąc dłonią stalową szafę. — Oto, gdzie „burżuje“ przecho-  
wują swoje serce!

Zaś Popiołka, poczęstowawszy gości koniakiem, opowiadał:

— Mieszkał tu, pojmujecie mnie, Zaucha, stary moskiewski rentjer... Dziwaczydło było... Miał manię zbierania zegarów. Pełno ich wszędzie.

— Utopja wszystkie ponakręcał i teraz biją bezustanku — dodał Drozd.

— Pijaczyna był. Podobno co wieczora cała rodzina uciekała przed nim na miasto...Przychodzili dopiero, kiedy już zupełnie był schlany... Ano, takie im już urządził „szczęście w zakątku“. Wyobrażacie sobie takiego pasażera w tybetce, złotem haftowanej i w pstrokatym, astrachańskim szlafroku, jak ludzi dręczy... Co on sobie myśli, jak tak po śmierci po tym domu chodzi i widzi, że ja, anarchista, wódkę w jego kasie trzymam. Czasem — jakbym go widział! No, pij, Drozd, pij, grafomanie! To były dzien-  
nikarz, ten Drozd, wiecie. Chlust, Drozd! Pije — i ma rację! Ej, Zaucha, pijcie, co tam o drugich myśleć!

Objął go wpół i poprowadził ku drzwiom.

Zauchę uderzył mocny, odtrącający zapach.



— Czem wy się perfumujecie? — obruszył się, mało nie kichnąwszy.

— Ja? Niczem! Albo co? — zdziwił się Popiołka.

— Aż bucha od was jakiś wstrętny zapach, mi to zgnilizna, ni to spirytus, ni to włosy kobiece...

Popiołka pociągnął nosem.

— Aha! To? — rzekł z uśmiechem. — To? Takie nieprzyjemne? Żebyście wiedzieli, to perfuma taka ma być. Nowa, oryginalna i prawdziwa. Nazywają ją „Fleur de vipère“. Będzie wkrótce modna na świecie i niejednemu konającemu się przyśni... Ni to kanał, ni to kwiat zwiedły, ni to trucizna, ni to kloaka, krew i śmierć... „Fleur de vipère“, „Fleur de vipère“.

— Chodźcie, chodźcie! — niecierpliwił się Drozd.

## XXII.

Kolacja była znakomita. Zakąski zimne, kilka patelni, pełnych skwierczącego w gorącym tłuszczu, jabłkami pieczonemi garniowanego, czerwonego mięsa, nasmarowanego musztardą, której ostra woń łechtała nozdrza, mieszając się z odorem machorki i spirytusu. Na drugie dano tłustą, dobrze poprzerastłą wędzonkę z kapustą i grochem, zaś Utopja, krzątający się na „szarym końcu“ stołu przy wielkim samowarze, wysyłał w świat szklanekę po szklance, dymiącą tęgim grogiem.

Zaucha, usadowiony przy stole przez Popiołkę, który go nikomu nie przedstawił, jak gdyby uważając tę ceremonję za zbytę, sam też nie palił się do zawiązywania nowych znajomości w tych „ko-

łach“ rewolucyjnych i cały oddał się milej roli odkarmiania się. Odkąd przyjechał do Moskwy, choć stale głodny i choć opędział się, jak mógł, szatańskim pokusom, stół, zastawiony „święconem“ wielkanocnem, stawał się coraz częściej jego nasennym tematem. Jadł z apetytem człowieka wygłodzonego i z żarłocznością chorego na głód imaginarny, każący się najeść na zapas.

Anarchiści też nie próżnowali. Popiołka pochłaniał olbrzymie porcje, z łakomstwem, jakie zwykle zauważyć można u organizmów wyczerpanych. Żuków umilkł i cały skupił się w talerzu. Drozdowski żuł energicznie, wodząc tępem, zamglonem spojrzeniem po twarzach współbiedników, a kościste, przemarznęte, czerwone „graby“ Atolla wyciągały się z niewiarygodną elastycznością, jakby były z gumy, i sięgając z jednego końca stołu, porywały i unosiły to płaty szynki, to imponujące zdziebka kielbasy, to fura ziemniaków lub kapusty. Zdziwiony i zafrasowany, smakując, przysmakując i mruczając, karmił się Utopja z systematycznością, która ściągnęła na siebie uwagę Zauchy, mimo że poza swym talerzem z początku nic nie widział. Dokładny ten anarchista tak jakoś podzielił sobie mięso, jarzyny i chleb, którym z talerza wycierał tłuszcz w myśl przedziwnie subtelного programu geometrycznego, że kiedy nabierał na widelec ostatni kęs mięsa z kapustą, na talerzu został mu ostatni kwadracik niewytartego tłuszczu, a w ręce ostatni kawałeczek chleba. Jeden zgrabny ruch widełcem z nadzianym chlebem — i talerz był czysty, jakby wymyty. Był to cud techniki systematycznego i planowego jedzenia. Po dokonaniu go Utopja westchnął głośno, z impetem rzucił widelec i odepchnął



talerz daleko od siebie. Tylko jego wargi, poczerwieniałe od jedzenia, przez chwilę pomlaskiwały jeszcze zcicha.

Dokoła stołu i w kątach pokoju rozsiadło się około trzydziestu osób, figur ciemnych, ubranych napół po wojskowemu; niektórzy mieli nawet rewolwery u pasa. Twarze były naogół twarde, posępne, chmurne, niektóre prawie bez wyrazu, drewniane czy kamienne, inne złe, fałszywe, jeszcze inne — wprost odpychające. Głosy pomrukiwały gderliwie, po chłopsku, słowa z warg ciekły powoli i monotonnie, jak krople zimnej wody z rynny. Coś niby obojętnego lecz niepojęcie ciężkiego, niemo tragicznego i surowego było w tych ciemnych twarzach i mocnych głowach, od których pocieszenie odbijała miękka twarz pięknie ufryzowanego Żukowa, mikrokefaliczna, ptasia główka Drozdowskiego i szeroka, jak łopata, sutenersko bezczelna, uliczna fizjonomja Atolla, z zimnemi, szpiegowskiemi latarniami milczących oczu. Złe wyglądał też w tem otoczeniu Popiołka, z twarzą przepaloną podnieceniem i zdennerwowaniem, z temi swojemi jakby szalonymi, krzyczącemi oczami, nad któremi z trudem dzwigały się obrzękłe powieki. Po rozwiązujących się, zwierzęcej rysach i obwisającej wardze dolnej widać było, że jest już pijany.

Anarchiści rozmawiali o swoich sprawach partyjnych, o grupach, „nalotach“, ekspropriacjach, o anarchistycznej republice marynarzy w Kronsztadzie, o możliwości wystąpienia anarchistów piotrogrodzkich przeciw Sowietom. Zaucha, zmęczony wrażeniami wieczoru, obfitem jadem i oszołomiony szklanką grogu, nie słuchał. Pałac papierosa i machinalnie przyglądając się siedzącemu naprzeciw

Drozdowskiemu, myślał o Popiołce i o tych wszystkich przykrych rzeczach, jakich się od niego dowiedział.

A Drozdowski pił gęsto. Jego wielkie, zgastłe oczy po jakimś czasie rozgrzały się, rozgorzały niebieskiem światłem, pocziwem, prawie dziecinem, ufnem. Widocznie tajało w nim coś, przepadało; ośmielał się. Głowę brzydką, łysiejącą, dziwnie głupio okrągłą, zwracał to na prawo, to na lewo — i mówił, z zapalem, z przekonaniem, z temperamentem. Trzeszczącemi monotonnie salwami słów zasypywał kogoś przed sobą, chcąc go zająć, przykuć do siebie — a żalosnemi oczami nieświadomie może żebrał o współczucie. Jego wielkie, szkarłatne wargi, wysuwając się ze szczeciniastego zarostu, rozszerzały się niby w trąbkę koralową i brzęczały wciąż drewnianą, głośną, a niezrozumiałą melodią — a naraz twarzą jego szarpnęło jakby uderzenie niewidzialnego bicia, oczy syknęły bólem i zgasty, twarz zszarzała i pochyliła się nad stołem. Zaucha zdziwiony mimowoli spojrzał w stronę, w którą zwrócony był Drozdowski. Ujrzał Popiołkę z bezlitosnym, pogardliwym uśmiechem na twarzy i z błyskiem okrucieństwa w opętanych oczach.

— Nie do wiary, jak trudno ludziom przychodzi zrozumienie — wykladał czyjś równy, poważny głos. — Że jest złe, że tak być nie powinno i nie może, każdy z nas widział i rozumiał. Ale co zrobić — nie pomyślał, a jak pomyślał — to się bał. Czego? Byłem ja w cywilu woźnym sądowym, przyglądałem się, przysłuchiwałem rozprawom. Nie jestem uczony, ale nie jestem głupi. Mam ten rozum, jaki się mieć może, kiedy się pracuje uczciwie i żyje porządnie, nie dla siebie. Powiadam — przy-



glądałem się temu sądowi. Nie mogę powiedzieć — nieuczciwości, przekupstwa nie było, co to, to nie... Kto przyszedł, popatrzył, widział — porządnie jest, jak się patrzy... Więcy się zrobić nie da... Ale jageś w to wglądno! — śmiech cie brał. Ciemny dzień, chmurno — sędzia w złym humorze. Prokuratorowi żona uciekła z kimś — mści się. Obrońcy dziecko chore — gada jak przez sen. Człowieka nie sądzą — sprawę sądzą, paragraf na paragrafie kładą. Nic dziwnego — ludzie! Inaczej człowiek nie potrafi. Ale — to sąd jest? Ludzkiego sądu się bede bał? Sam człowiek jestem, sam sędze. Ty tak — ja tak. Tylko, że do tego zrozumienia, to ja, towarzyszu, przyszedłem aż w tobołskiej gubernji.

Rozległy się śmiechy.

— Oplaciło się wam tak daleko chodzić, towarzyszu?

— Jakie ta zrozumienie najdzie w tobołskiej gubernji!

— Znajdzie, towarzyszu, znajdzie. U nas, widzicie, narodu za gęsto jest, krzyku, hałasu dużo. Od rana do nocy między ludźmi, a i w nocy żona, dziecka... Spokoju na pomyślenie niema... I nie dadzą ci go i nie przywykłeś, żeby go mieć... A tu szeroko. Jedziesz i jedziesz, idziesz i idziesz, czasu dość. Mimowoli człek w duszę zagładnie. Ano, dali mie tam na wieś, do jednego gospodarza, w lasach. Kazano mi drzewo rąbać. Rąbałem ci je, towarzyszu, przez trzy lata — rozmaite! Była i sosna i wierzba i brzoza i jasion i twardy buk — różne pnie, różnej twardości. Z początku nie umiałem — gdzież, woźny sądowy, w czapce z bączkiem chodziłem — ale się potem nauczyłem i zrozumiałem: Niech będzie co

chce, jak topór dobry i wyestrzony, wszystko rozrąbiez. Tak jest, a nie inaczej.

Zaucha poszukał oczami mówiącego. Siedział na końcu stołu, przygarbiony, niepozorny, starszy już człowiek, pocziwy Mazur, z siwymi oczami i twarzą bardzo zmęczoną, lecz rozjaśnioną, cichą, wewnętrzną pogodą. Pomyślał, że ten człowiek dużo musiał wycierpieć i jeszcze jest chory.

— Gadajcie dalej, Topór! — zachęcił go Popiołka.

— Ano, kiedym tak to drzewo ciupał i ciupał w komórce, wtedy dopiero po głowie zaczęło mi chodzić. Z drewnutni widać było ino las i cichą wodę jakiejś rzeki. Szum — nie przeszkadza, człowiek — ady tam człowiek od człowieka nie dependuje! Różne myśli przychodziły do głowy. Jageś ty mógł wtedy a wtedy nic nie powiedzieć, nie obezwzać się tem jednym słowem, nie rozpowiedzieć — nie słyszałeś to, nie patrzyłeś? I do spowiedzi chodziłeś, grzechy wyznawałeś — a tych grzechów nie czuleś, nie miarkowałeś? Świnia, świnia! To wam powiadam, że sie człowiek nieraz krwią ze wstydu a złości oblał, a ciał to drzewo, jakby własne życie na polana chciał rozsiekać! I jakże tak może być? Że to naród cierpi! I cały naród taki jest — załgany? Nie. Jużci nie. Ino — rano trza uwarzyć kawę, papierosa wypalić, potem idź-ta posprzątaj tu, posprzątaj tam, akta zanieś tam, a skocz-no, a powiedz-ta, a potem obiad, potem se pośpisz — bo ja wiem, tak ci życie jakoś ucieka... No i co z takiego życia masz, głupi? Nie wiem to? Przecie ze mną też tak było. Dopieroż tam — w komórce. Rąbie, rąbie — a w głowie zaczynam uważować. Te wszystkie tam „dlaczego“, „a jak“, a że się bez tego „nie obejdzie“



— obchodzę jak te pnie, pomyśleniem wybieram, gdzie sęki, a jakby tu do tego dostąpić. A naraz jak ci nie puszcę topora na jeden sęk — rozleciał się, a mnie w głowie, jak topór ostry błysnęło: — Nie śmie być! — I rozciąłem. Od tego dnia już rozcinałem wszystko. Tak a tak — nie śmie być! Pociąłem, porąbałem — na trzaski. Najlepsza rzecz. Byle ino topór był ostry. Ale — aboto ludzie rozumieją?

— A doniesiecie ten topór do domu? — zapytał Zaucha, ostro patrząc mu w oczy.

Topór spojrzał na niego, o odwracając z niechęcią wzrok, rzekł spokojnie:

— Jak Pan Bóg da.

— Abyście wiedzieli, towarzyszu, że tej właśnie waszej najprostszej sztuki ludzie nie umieją. Rozciąć! W najgorszej podłości będzie żył — a ciąć się boi, niewolnik! Tu, w tym kraju, był człowiek, który to wiedział i chciał ludzi tej sztuki nauczyć. Ten ludzi uczył, że przy swem słowie, przy swej prawdzie trzeba stać do końca, w największej męce. Że słowo to jest życie. On ciął i rąbał — a tego słowa od nikogo nie usłyszał. Zginiesz, czy będziesz błaznem, czy człowiekiem, ale mało ich było, co zginęli, jak ludzie, woleli zdychać jak błazny. I widzicie, Topór — tej mocnej duszy ani wyrąbać z narodu nie mógł, ani wytopić na wolnym ogniu, ani wygotować w kotle. Cierpieć, umierać, to oni umieli — ale otrząsnąć się i rąbać — nie.

Zgrzytnął zębami i uderzył pięścią w stół.

— Wielki był człowiek, Iwan Groźny! Zaucha! Za zdrowie Groźnego!

Ale Zaucha plunął w jego stronę jednym jedynym słowem:

— Błaznujecie!

Błysnęły zdziwione oczy Drozdowskiego, Popiołka pobladł, rozmowy przycichły. Z kąta wyrwało się ciche „to utopja!“

— Mówicie, że błaznuję, tak powiadacie, Zaucha, tak myślicie?

— Pewnie, że tak!

— To nie rozumiecie, że aby ból zadać, trzeba go w sobie przeżyć, trzeba go w sobie mieć. Skądże wiecie, że boli, jeśli was nie boli! Czerwony car opętany był bólem.

— Błuznierstwo! Kogóż to rozpinacie na krzyżu? Nerona? W głowie wam się przewróciło.

— Tak! — podchwycił Popiołka. — Wiedzieć sobie, że to jest przewrót! I dzięki temu przewrotowi my jesteśmy tu z bronią w ręku i — nie ustąpimy!

Zahuczały pochwalne głosy.

Zaucha stracił cierpliwość.

— To są żarty! — krzyknął. — Ale takimi żartami tumanicie prostych ludzi i oszukujecie ich! Co wy zrobicie? Z kimże w tany, chudziny? Na kogo broń? Chcecie urządzać, nowe gospodarstwo zakładać, to naprzód trzeba je mieć! A co wy tu macie? Na czym żołdzie jesteście? Kto was zna? Ty-le, że grozicie — zdaleka. Ale idź jeden z drugim „tam“, w tarnowskie, w jasielskie, spróbuj chłopu zrobić „eksproprijację“, a zobaczysz, jak ci mordę skuje!

— Myślicie, że skuje, Zaucha, tak myślicie? — ożywił się Popiołka.

— Będzie się pytał!

— Utopja! — zapewnił głos z kąta.

— Więc cóż wy niby chcecie przewracać?



Równocześnie kilku ludzi zaczęło mówić, nie namiętnie, nie złośliwie, lecz skarżąc się na różne krzywdy i spluwając z zimną pogardą. Nie można ich było zrozumieć. Powoli z chóru na pierwszy plan wysunął się jeden, z miną bardziej zadzierzystą, kędzierzawy blondyn o ostro rzeźbionej twarzy. Wyrażał się poprawnie, tylko akcent miał śpiewający, krakowski.

— Nie jeźdem doktor i teoretycznych sporów prowadzić nie będę, chociaż z drugiej strony socjalistyczną i anarchistyczną literaturę, jako samouk, trochę znam. Krytyka państwa, anarchistyczna krytyka państwa i prawa — to jest rzecz w całym świecie znana i kaźden jej słuszność musi przyznać, choćby nazywając te urządzenia złem koniecznem. Że one są „złem“ — na to zgoda — że nie są „złem koniecznem“, to musi uznać kaźdy, kto rozumie, co jest ewolucja. No, więc, pytanie zawarte jest w tych dwóch słowach: Ewolucja czy rewolucja? Tak jest, towarzysze, czy nie?

— Tak jest, a nie inaczej! — poważnym głosem potwierdził Topór.

— Więc właśnie! — mówił dalej młody anarchista. — Nie jesteśmy dzikimi ludźmi. My — wszyscy dalibyśmy sobie w świecie rady. I dajemy sobie. To, widzicie, towarzyszu...

Powiódł ręką dokoła.

— To są jednostki dzielniejsze. Żaden z nich-by nie przepadł, gdyby ino o sobie samych myśleli. Oni myślą szerzej — i zła nie chcą. Otóż — cała rzecz w tem: Nie chcą zła!

Mówca zatrzymał się i myślał przez chwilę.

— Nie chcę niepotrzebnych słów. Wy, towarzyszu, lepiej od nas znacie historję naszego narodu polskiego. Nieprawda jest, żeby on upadł przez swoją złość. Upadł, bo się sąsiedzi zmówili i rozkradli go. Zadużo ich było, nie dał rady. I my, anarchiści, wiemy też, że on wcale z tej złości nie potrzebuje się poprawiać, ażeby znowu niezależność państwową odzyskać. A cóż to? Ten naród rosyjski lepszy był od naszego, albo co? — A przecie jakie państwo miał! To nie jest żadna sztuka i to nie jest wszystko.

— Klawo mówi! — szepnął ktoś.

— Klasa! — pochwalił drugi.

— A czy sie co przez to zmieni? Pomyślcie ino, towarzyszu! Pewnie znacie Żeromskiego „Dumę o Hetmanie“ — powiadam, najświętsza książka, jaką czytałem. Płacze się nad nią ze złości krwawymi łzami, a potem zimna zawziętość chwyta człowieka za serce. To żeby miało wrócić? Nigdy!

Że jednak nie wszyscy tę książkę czytali, cicho było, a anarchista, czując, iż nie został zrozumiany należycie, tłumaczył się:

— My wiemy, co to krzywda społeczna i nie myślimy wcale tak dziko, jak się wam zdaje. Coś niecoś się poprawiło, coś niecoś samo się zmieni, resztę zdobędziemy. Wiemy o tem, wierzymy i dlatego, jeśliby tylko o to szło, przetrwalibyśmy przecie niejedno i przetrwamy. Między braćmi niejedno ujdzie, ale — *między braćmi*. Tylko, że my tego braterstwa nie widzimy w narodzie swoim, niema w nim miłości! W tym narodzie się swoich ludzi nie szanuje! W tym narodzie nie myślą wszyscy o wszystkich, a tylko kaźdy o sobie...



— Nieprawda! — protestował Zaucha. — Posłuchajcie mnie, towarzysze! To dobry naród i powiadam wam, że jak się w nim trafi człowiek z sercem, to taki, jakiego gdzieindziej nie znajdzie!

— Można! Można! — z ruska odpowiedział anarchista. — I uwierzyłbym wam! Czemu nie? A tylko że ja — takiego człowieka nie spotkałem. Można, można, że są święci polscy, ale w niebie — a ja ich nie widziałem. A chcecie zato, żebym wam opowiedział, co widziałem i przeżyłem?...

— Nie chcę! Nie chcę! — bronił się Zaucha. — Ja to znam! Też widziałem!

— Widzieliście, jak krzywdzą... Nieraz może was krzywdzono... Coście zrobili?

— Rozcieliście? — rzucił Topór.

— Aha! A teraz chcecie budować. Państwo wybudujecie, to nie jest żadna wielga rzecz. Czytałem — i „czarni“ nawet mają swoje państwa i parlamenty... Ale jakie wy życie wybudujecie?

— Taksamo dobrze i wy możecie zbudować...

— Właśnie. Na to mamy gwery w rękach.

— Bratnią krew rozlewać?

— Jak trza, to trza! Trza się postawić, inaczej o nas zapomną! — warknął Topór.

— Z Moskalami na własny kraj chcecie iść?

— Chodzili inni, możemy i my!

— Dobry Moskał lepszy od złego Polaka.

— Roboczy lud wszędzie równo uciskany!

— Robotnik nie ma ojczyzny, ani narodowości.

— Panowie mu ją wzieni!

— Co ta brat! Puste słowo! Różni są bracia!

— Czekajcie! — wołał jakiś niepozorny, żółty, czarno obrośnięty człowieczyna. — Ja wam opowiem — o bracie! Zobaczycie — nie ustrój społecz-

ny, nie państwo, na które się winę zrzuca — ale człowieka, samą duszę! Z dobrymi ludźmi w każdym ustroju wyżyje! Ze złym i w niebie nie wytrzyma!

— Gadajcie, Eneaszu, gadajcie!

— My tu, widzicie, Zaucha, mamy pewien zwyczaj — odezwał się Popiołka. — Wieczorem pokolei opowiadamy sobie różne pouczające „kawalki“ — o miłości ojczyzny, o miłości małżeńskiej, macierzyńskiej, synowskiej — historie niezmyślane, z życia — jak je kto widział. Dużo się z tego można nauczyć. Chcecie — to posłuchajcie! Bardzo zajmujące rzeczy. Grogu, Utopia! Opowiadajcie, Eneaszu!

Kiedy przed każdym stanęła pełna szklanka mocnego, ciemnego grogu, Eneasze zapalił papierosa i zaczął opowiadać:

— Opowiem wam niedługą historię o kochającym bracie, rzecz niezłaganą, niewymyśloną, a którą przypadkiem od początku do końca widziałem — jak zresztą każdy z nas kilkanaście conajmniej takich sprawek w życiu swym oglądać musiał. Wynika z nich, że ludzie, choć drugim narzucają religię, prawo, państwo, policję i kryminały, sami żyją jak dzicy. Głupi się boi, zaś mądry robi, co chce i jak chce.

— Dyć my to wiemy! — mruknął ktoś z kąta.

— Znamy dobrze tę obłudę!

— Otóż mieliśmy tu kilka żon, które zjadły swych mężów, siostrę, która zjadła braci i matkę, matkę, która pożarła syna, posłuchajcie teraz, jak kochający brat zjadł brata:

Nazywał się Ryszard...

— Pańskie imię!

— „Lwie Serce“.



— Był mocny, trochę piegowaty, włosy na głowie kędzierzawe miał, jak murzyn, szczęki jak bokser, oczy kare, wesołe, sprytne. Urodził się w małym miasteczku, brudnym, błotnistym, zażydżonym, gdzie jego ojciec był naczelnikiem stacji towarowej. Staremu nie powodziło się źle, bo brał kubany, dlatego w domu jego zawsze wszystko było. Słodko się jadło, dobrze się piło, a rodzina, choć liczna, żyła w dostatku. Dzieci tam była kupa, dziewczęta i dwóch synów, Ryszard i Genek.

Wybił się Genek. Jak powiedziałem — sprytny był. Szesnaście lat mu było, kiedy zdał maturę w szkole realnej i jazda na technikę. Tata go zawiózł, zaopatrzył, ażeby zaś chłopiec w kłopotcie nie był, otworzył mu kredyt u krawca. Nie minęło pół roku — dostał stary rachunek za dwanaście garniturów.

— Stroił się smarkacz! — odezwał się głos.

— Nie. On tylko starego tak ubrał — sam chodził w jednych portkach, bo co od krawca wziął ubranie, to sprzedął! Ano, kiedy się sprawa wydała, pocisnął stary trochę żydów i — jazda do Lwowa. Juźci, że Rynio na niego nie czekał — ale zwiął. Dokąd? Bóg wie.

Dopiero po jakimś czasie wydało się — bo jeden znajomy napisał do starego aż z Królestwa, z pod Częstochowy gdzieś, że tam Ryś u niego był, bardzo zbiedzony, niby aktor jakiejsik trupy prowincjonalnej, że on — ten znajomy — dał mu u siebie nocleg, za co Ryś ukradł mu parę kandelabrow srebrnych i zwiął. Ano, duś-że stary znowu żydów i funduj kandelabry! Chcieli się już do Rysia na dobre zabrać, aż ci skruszał i wstąpił do klasztoru, do Paulinów... Książeczkę do modlenia nawet napisał...

Tylko że to nie trwało długo, bo się zakochał, z klasztoru uciekł i ożenił się. Były tam jeszcze inne kawalki, ale o tem wam teraz opowiadać nie będę, bo to nie należy do rzeczy. Dość na tem, że skruszony powrócił do kraju, odsłużył wojsko i został urzędnikiem.

Opowiadający urwał i zamyślił się.

— Dalej! Dalej! Popij se... W gardle mu zaschło.

Mały człowieczek podniósł swą żółtą, zarośniętą twarz i spojrzawszy wesoło czarnymi oczkami, rzekł:

— Kiedy to nie tak łatwo przebić się przez te wszystkie lajdactwa! Zabawne bardzo. Ale — mniej-sza o zabawę, trza się rzeczy pilnować. Żył Ryś. Służył w wywiadowczej służbie austriackiej, mówili, że i w rosyjskiej — czort go wie. Wygrzebał jakąś sławną kiedyś śpiewaczkę, wskrzesił ją, obwoził ją po świecie i zarabiał. Sprawiedliwy był — wszędzie dawał po dwa koncerty. Na pierwszym gwizdała ta stara lokomotywa, na drugim publiczność, obie strony były zadowolone, a najwięcej Ryś. Potem znalazł se znów drugą, młodszą, ładną — tę znów wywiózł do Wenecji. Tam śpiewała na kanałach, a on ją sprzedawał bogatym Anglikom. Zawsze był za wspólnością kobiet. Służbę rzucił, żona mu, na szczęście, umarła. Dzieci oddał na wychowanie swoim rodzicom, sam wpłatał się w jakiś cyrk i inne przedsiębiorstwa, jeździł po świecie, coraz więcej pierścionków miał na palcach, coraz większe brylanty w szpilkach do krawatów, coraz dłuższe futra.

— I coraz droższe kochanki! — dało się słyszeć czyjeś ciche westchnienie.



— Coraz droższe kochanki to miałbyś ty, Atoll!  
— zwrócił się w jego stronę opowiadający. — Raz dlatego, że dla ciebie, stara prostytutko, pieniądz to jest miłość, a powtóre, że, jako wieczny sutener, marzysz o tem, aby raz mieć drogą kochankę. I to u ciebie jest ludzkie i mimo całą podłość — ładne. Ale on, Ryś, nigdy nie miał kochanek. Funkcjonował czasem jako mężczyzna....

— Mówiłeś, że się zakochał!

— Nie; mówiłem, że się ożenił, a to zupełnie co innego. To, widzisz, były względy praktyczne, które w naszych czasach doszły do najwyższej doskonałości. Ty na przykład, Atoll, gdybyś potrzebował pieniędzy na sznurek paciorków, aby tem przyciągnąć nowego twych niewatpliwych wdzięków wielbiciela, ożeniłbyś się z szesnastoletnią panną, o ile ona, oczywiście, nie słyszałaby przedtem o twych berlińskich sukcesach. Nie, Atoll, dla tego człowieka kobiety nie istniały. Patrzył na nie z niechęcią, a ile razy przyszło mu z niemi mówić, widziało się w jego oczach pogardliwe: — Drei Schritt vom Leib! — Dlatego on kochał się tylko w brylantach.

— A to wszystko jedno! — wykrzyknął rozchocony Popiołka. — Taka sama dusza — świecąca lecz niegrzejąca, załamań ma dużo, ostrych kantów jeszcze więcej, a użyteczności żadnej. Nie myślicie, Zaucha? I cóż twój gad, Eneasze?

— Mój gad utył, zmęźniał, stwardniał. Mocny był. Guldeny srebrne w palcach łamał — i robił karierę. Był świetnym wprost administratorem. Wszystkie przedsiębiorstwa, które prowadził, bankrutowały, ale księgi rachunkowe były zawsze w najwyższym i niezmiernie ciekawym porządku.

— Chorroba...

— W takim porządku, że specjaliści, którzy i tak wszystko wiedzieli, brali się do nich, jak do najmyślniejszych łamigłówek. Że go na niczem nie przylapią — o tem wiedzieli, ale te jego księgi rachunkowe to dla nich był za każdym razem nowy romans. Ten człowiek miał szalony talent. A powtarzam: Nie istniały dla niego kobiety, nie pił, jadł mało i obojętne mu było, co je, na wszelką ojczyznę gwizdał, o sztuce nigdy nie myślał, nie grał w karty, nie uznawał sportów. Palił i — szachrował. Jego tupet przechodził wszelkie wyobrażenie ludzkie. Miałem do czynienia z ludźmi, których oszukał w najhaniebniejszy sposób: Ubóstwiali go — niczem drugiego Leonidasa.

— Przepraszam! Czem jest towarzysz Eneasze?

— szepnął do sąsiada Zaucha.

— Skrzypkiem.

— Nareszcie dzielny ten i pluający wspaniale na wszystko człowiek dochrapał się czegoś. Został dyrektorem jakiejś większej instytucji, miał duże dochody, brylantowe spinki w koszuli, piętnaście garniturów, nawet popielaty cylinder, pepitowe portki i masę breloków, któremi dzwonił na brzuchu, jak handlarz kłódkami. A szczęściło mu się nadzwyczajnie, bo choć był powinien siedzieć dziesięć razy w kryminale, nie siedział ani razu i cieszył się z tego powodu powszechnym szacunkiem i poważaniem. W tem — krach! Coś trzasło, coś się zepsuło, wielki człowiek wyleciał z posady, groziło mu nawet, że mu sprzedadzą...

— Dom!

— Nie; dom zapisany był na kogoś tam! Ale jakieś maszyny, które psim węchem nabył i do których się teraz przyznawał. Że zaś długi były



znacznie, a niejeden wpadł, nikt z pomocą nie śpieszył, nikt weksli podpisać nie chciał.

Dopiero-ż pomyślał nasz Ryś o szczęściu swego młodszego brata! Bo Genkowi nędznie się powodziło i daleko mu było do sławy i świetności Rysia. Głupi był, jak but — więc został aptekarzem i tułał się biedak z apteki do apteki, piguły kręcąc. Że jednak był przystojny — wysoki blondyn z fryzjerską twarzą, ze złocistą brodą, miał duże, niebieskie, bezmyślne oczy i za długi język, seplenił — że jednak był przystojny, a przytem zawsze, jako pigularz, naperfumowany i cukierki miętowe wciąż gryzł, więc miał takie szczęście do kobiet, że aż syfilisa dostał.

— Klawo!

— Tego to Genka Ryś postanowił uszczęśliwić. Przyjechał naraz do niego, sprawił mu kajzerrok, wizytowe spodnie, cylinder, inne portki kazał odprasować i powiada mu: — Ty się, bracie, marnujesz, ludziom się wysługujesz, na cudze konto ludzi trujesz, żal mi cię i dość tego. Pomyślałem o tobie. Ożenisz się, będziesz miał rodzinę, kupisz se aptykę. — Ale! — ucieszył się Genek. — Żebyś wiedział! — obiecał mu Ryś. No i, nie zwłócząc, jazda do Warszawy. Wyszukał tam wdowę, porządną, zamożną, młodą, co sama jeszcze świata używać chciała i dlatego niewygodnie jej było z córką. Te córkę dalejże Ryś stręczyć swojemu bratu. Opuścił trochę z posagu, że młoda „stara“ na córce jeszcze zarobiła, pokazał jej brata z ufryzowaną, pachnącą brodą i w zaprasowanych spodniach — i jazda.

— A że ta panna go tak zaraz na zawołanie zechciała! — zdziwił się ktoś.

— Co-by miała nie chcieć? Ledwie jej szesnaście lat było — właśnie skończyła pensję. Powiedzieli jej, że jak wyjdzie za mąż, będzie mogła wszystkie zakazane romanse francuskie czytać, obiecali jej pianino, a on, ten Genek, ładny był z wiezruhu, no, blondyn. Więc Ryś inkasował posag, prawda jest, kupił bratu aptekę, najął mu mieszkanie, umeblował, panna dostała elegancką wyprawę, wszystko było, jak się patrzy. Wtedy dopiero Ryś — weksle! Podpisz, bracie, i bądź szczęśliwy!

— A potem aptekę diabli wzieni, co? — zaśmiał się Utopja.

— Ale gdzież znowu! Ryś był mądry! Ot, w biedzie przypadkiem tylko się znalazł, chwilowo. Trza mu było poprostu tych paru weksli na pokaz, że niby zawsze ratunek ma, ale potem bez tego się obszedł! Zato jakie szczęście Genek miał zobaczycie.

Ta jego młodziutka żona, dziecko szesnastoletnie, dobra była, niezeepsuta, inteligentna. Wyobrażała sobie po swym blondynie Bóg wie co, a on — jak but! Pała zupełna, głupiec, tyle tylko, że tym językiem seplenił. Ona do niego o sentymentach, a on do niej o mydelkach. Dopieroż po pewnym czasie ona do różnych tam szwagrów i krewnych mówi: — Tak mu do twarzy w kajzerroku i cylindrze, a taki głupi! — No, za późno było. Zrozumiała młoda kobieta, westchnęła i powiada: — Może to i dobrze, że mąż głupi, byle ino był. Przyjdą dzieci, wychowam sobie towarzystwo, młoda jestem, będę jeszcze mogła syna uczyć, jak pannom głowy zawracać. — Właśnie, żeby tylko te dzieci przyszły! A tu taka była rzecz, że ten blondyn był do tego wszystkiego przez jakiś czas na utrzymaniu u jed-



nej starej wdowy i ta go tak wyprasowała, że już nic nie miał do stracenia. Mija rok, dwa, trzy, cztery — dzieci nie przychodzą. Mąż głupi i do niczego. Za dużo. Więc Ela — bo nazywano ją Elą — zgniewała się, zniecierpliwiła. Pomyślcie sami: Jak ona pomału przychodziła do zrozumienia. Jak w nocach bezsennych płakała i myślała i wreszcie zobaczyła, że młode jej życie zniszczone jest. I jak wkońcu dopiero poznała, że to ktoś zupełnie obcy, ktoś, co na nią nawet nie spojrzał, rzucił ją sobie pod nogi, w błoto, jak się pnie rzuca w błoto rozjechanego gościńca. Bo jemu ona i ten jego brat, Genek, na to tylko byli potrzebni, żeby mógł przejść po nich dalej. Co miała robić? Matka się jej wyzbyła, mąż do niczego, życie złamane — chciała sobie krzywdę powetować, wdała się w stosunek z kimś ta. Miała z nim dwoje dzieci — ale jużci, wydało się to, on się pochwalił sam, zaczęli się ludzie wyśmiewać, ukuli jakieś tam przysłowie, czy wierszyk, bawili się tem... On, Genek, też się gryzł. Jakie między nimi były rozmowy, możecie sobie wyobrazić. Miał aptekę czystą, dużą, subjektów kilku, kancelarię, listowy papier z firmą, mydełka różane, cukierki miętowe. Z ust mu pachniało, jak ze słoja, ale z duszy smród szedł obrzydliwy. Uderzył mu z tego wszystkiego syfilis na mózg — zwariował, zamknęli go w szpitalu i dopiero się pokazało, co miał w duszy. Strach! Okropny strach! Kary się jakiegś bał, sądu... Umarł w męce. A teraz sobie znowu wyobraźcie tę żonę, co męża syfilityka miała. Jakże ona mu oddała tę swą szesnastoletnią młodość, czystość, niewinność, a on za to truciznę mógł w nią wsączyć...

— Cholery burzuje! — pokręcił głową Topór.

— I cóż? Aptekę trza było sprzedać — i sprzedało się. Tyle, że sie posag wrócił. A do tego posagu — zmarnowane lata, mąż, który umarł na syfilis, zła sława, śmiech u ludzi i dwoje dzieci. Znałem ja tę panią Elę, pamiętam ją, jako świeżą, naiwną, młodą mężateczkę... A potem, już po śmierci tego męża, widziałem ją raz — na plantach. Cudowny był, wiosenny dzień, niebo jasne, słońca — popop, kasztany kwitły czerwono i białe, jej dzieci bawily się przy różnobarwnym klombie kwiatowym, ona sama elegancko ubrana, młoda jeszcze — a wyraz twarzy miała całkiem oglupiały. Nie mogło się jej widać w głowie pomieścić, jak to tak można było i Genka i ją i wreszcie te dzieci sprzedać, zniszczyć, zmarnować — dla jednego podpisu na wekslu! Zupełnie z tego wszystkiego zgłupiała... Tak-to, widzicie, brat zjadł brata z żoną i dziećmi... A stało się to wszystko według przepisu i „po formie”: I ksiądz tę zbrodnię pobłogosławił, matki z obu stron pobłogosławiły, rodzina duża uznała i ani słowem nikt nie pisał, notariusz akt na stemplu spisał, wszystko, cały świat zbrodnię przypieczętował i pochwalił. A Ryś? Dobroczyńcą był — jako wzorowego brata go wychwalano, Wesole, co?

Zahuczał głośny, brutalny śmiech, poruszyli się i milczący słuchacze. Jedni głośno komentowali opowiadanie, drudzy w zadumie kiwali głowami, uśmiechając się jakby z uznaniem. Atoll, który przez cały czas opowiadania brzdąkał cicho w bałajkę, wyszarpnął teraz ze strun kilka przeraźliwych akordów i zawył drewnianym głosem:

Każdy młody, młody, młody,  
Czuje w brzuchu wieczne głody.



Oto jest mój krótki „speech“:  
Wężu głodu — sycz!

Zjemy kwiaty, głązy, gady,  
Trawy, gorycz, słodycz, jady,  
Żreć będziemy pustkę wszelką  
Głębię i wysokość wielką,  
Ptaki, zwierza, glisty, ryby,  
Wiatr i glinę, sól i grzyby...

Każdy młody, młody, młody,  
Czuje w brzuchu wściekle głody.  
Co na drodze — buch!  
Wszystko pójdzie w brzuch!

Chór brutalnych, grubych głosów podchwycił  
refren:

Każdy młody, młody, młody,  
Czuje w brzuchu wściekle głody.

— A cóż to znów za barbarzyński hymn ludo-  
żerców? — wykrzyknął Drozdowski.

Atoll spojrzał na niego wyniośle.

— To „Utwierdzenie w dzielności“ Burluka.

— Także poeta!

— Dawid Burluk? To genialny artysta — wódz  
artystów — Kolumb faktury — filozof futurystycz-  
nego symbolizmu — synteza cudów w sztuce. Ten  
przedziwny poeta jest usprawiedliwieniem przypły-  
wu nowych dni. On — góra mądrego szczęścia. On —  
ostrze brzytwy chirurga anatomji słów. I mnie  
wstręt ogarnia na myśl, że znajdują się durnie, które  
chamskim swym obyczajem po raz setny potępia  
i oplują prawdę o prorokach, zbawiających piękno.

## XXIV.

Jeszcze ten i ów mruczał pod nosem „Każdy  
młody, młody, młody“, kiedy na całą salę odezwał  
się Popiołka:

— Towarzysze! Poraz nie wiem już który zo-  
baczyliście na przykładzie, podanym przez Eneasza,  
że prawa burżujów służą tylko do uświęcania zbrod-  
ni; rozumiecie to? Dzielny Rys wszedł w ich istotę  
i prześlizgnawszy się zręcznie między paragrafa-  
mi, których tępość i bezmyślność jest wszystkim  
znana, istotnie pożarł swego brata i jego rodzinę.  
Był to urodzony ludożerca, człowiek o instynktach  
dzikich; pojmujecie mnie? Ja jednak pokażę wam  
człowieka dobrego i uczciwego, który — właśnie  
trzymając się wszystkich praw moralnych — zjadł  
wkońcu sam siebie i swoją rodzinę, z czego poka-  
że się to, co my, anarchiści, zawsze twierdzimy,  
a mianowicie, iż człowiek jest dobry, a tylko bez-  
dennie głupie przesady ludzkie, zwane prawami,  
niszczą go i robią z niego potwora. Opowieść moja  
jest najzupełniej prawdziwa, jak to będzie mógł po-  
twierdzić — świadek najzupełniej wiarygodny —  
jeśli potwierdzić zechce. Będzie to krótka opowieść  
o zbrodni uczciwego człowieka. Bierzcie „bałalaj-  
kę“, Atoll, a akompaniujcie inteligentnie, wy, „kiczu“  
chodzący... To nie będzie kołysanka dla starych  
dzieci.

Popiołka był blady, spokojny, drwiąco uśmiech-  
nięty. I ten jego uśmiech był bardzo zły. Kiwnął  
głową na znak podziękowania Utopji, który mu  
przez stół posłał nową szklanę grogu, a kiedy się  
sala uspokoiła, zaczął mówić:



— Był to młody, porządny chłopak z przyzwoitej rodziny. Skończył gimnazjum i chodził na uniwersytet w Krakowie, skąd na czas feryj wyjeżdżał do domu, do Warszawy, gdzie miał rodzinę, nie bogatą, ale zamożną. Kilka pokoi, kucharka, „młodsza“, wygody; pojmujecie mnie? Młody człowiek — niech się nazywa Wiktor, tak jak Drozd. Co ci to szkodzi, Drozd? — miał trochę własnych pieniędzy po babce, a nie potrzebując z nich nikomu składać rachunków, bawił się — zresztą umiarkowanie. Rozumiecie — drugie śniadanko w towarzystwie kolegów, wódeczka, kanapki z kawiozem, piwko, „czarna“ z „bananem“ — jak to w Warszawie przed wojną było w modzie powszechnie. Były to zabawy niewinne i nieszkodliwe. Do dziewcząt nasz Wiktor zbliżał się rzadko. Nie dlatego, żeby mu się nie podobały, ale ponieważ nie był przystojny, nie sądził, żeby się mógł podobać, a nie chciał dawać się brać na kawał. Nikomu się z tem nie zwierzał — jednakże przykro mu bardzo było i trochę wstyd. Jakże to? Każdy ma swoją, wszyscy opowiadają, jak to kobiety na nich lecą, a on musi zawsze płacić. Bardzo mu to było nieprzyjemnie.

Pewnego razu wrócił do domu trochę urżnięty, więc śmielszy. Otworzyła mu „młodsza“, fertyczna, przystojna subretka warszawska, z zadartym trochę nosem i świdrującymi oczami, niebardzo kapana i rosółkiem zlekka zalatująca, ale świeża, snem zarumieniona, ciepła... Męstwo wezbrało w naszym Wiktorze, śmiało machnął się do niej, no i — udało mu się; rozumiecie to. Stało się to w przedpokoju, przy blasku naftowej lampki kuchennej — elektryczności wtedy jeszcze wszędzie nie było — na śliskim, czarnym szezlongu, z pod którego starej

popękanej ceraty tu i owdzie brudne klaki wychodziły, klaki-flaki... Otóż na tym szezlongu, na którym z kolei chrapało kilkudziesięciu lokai, z nogami cuchnącemi potem i woskiem od ciągłego frote-rowania, stała się rzecz wielka i święta.

Głos Popiołka świstał ironją i szyderstwem.

— Pierwsza noc prawdziwej miłości pocziwego Wiktora!

— Popiołka! — poruszył się na swem krześle Drozdowski. — Jakże można?

Popiołka utkwil w nim jakby przygasłe w tej chwili spojrzenie swych czarnych, bolesnych oczu.

— Co? Jak można? — zapytał sennie. — Zobaczysz. Wszystko można, jeśli się chce. Słuchaj-że dalej:

— Ten stary szezlong, nasiąknięty potem kilkudziesięciu niewolników, bitych czasem po gębach i na śliskich salonach odtાncowujących co rano swój taniec, stał się dla tych dwojga młodych ludzi gilotyną; pojmujecie mnie? Prawdziwą gilotyną. W pierwszej chwili — nie! W pierwszej chwili — to był raj! Bo pokazało się, iż „młodsza“, tak mężnie przez młodego Wiktora zdobyta, była panną, prawdziwą panną!

— Choroba burżuj!

— Wcale nie! — bronił Popiołka. — Ta dziewczyna, rozumiecie, to był taki chytry, brudny warszawski drań.

— Popiołka! — krzyknął prawie błagalnie Drozdowski.

— Był drań, słowo honoru ci daję! — zapewniał Popiołka. — Dziewuszka, która dawno już myślała, żeby się puścić, a tylko chciała to zrobić z korzyścią dla siebie i przytem — bała się. Nie bardzo



wiedziała, jak się do tego zabrać. Tylko dlatego nie bronila się paniczowi. Nie przypuszczasz przecie, że się w nim zakochała, w takiej chuderlawej, brzydkiej małpie! No! A on trafił na chwilę szczęśliwą i — skorzystał. Cóż dalej, jak myślicie?

— Dał jej sto rubli, a po pewnym czasie pojechał do Krakowa! — domyślił się Utopja.

— O, nie! On się w niej zakochał! Nie dał jej stu rubli! Coś jej tam dawał od czasu do czasu, na chusteczkę, na pończochy, na lakierki, na kapelusze wreszcie — po parę rubli, za to — zakochał się. Był jej wdzięczny. Nigdy jeszcze nie miał panny, nigdy jeszcze nie miał kobiety za darmo — ona oczywiście myślała o pieniądzach, ale on — nie chciał sobie miłości pieniędzmi zepsuć. Przesiadwał teraz w domu, szukając wciąż sposobności, kiedy nikogo nie było — w łazience, w sypialni rodziców, w salonie, w przedpokoju — potem szedł na miasto, do knajp, i teraz on opowiadał, jakie to ma powodzenie u kobiet. Aż wreszcie dziewczyna zaszła.

— To się wie!

— No, a on wtenczas...

— Ucik!

— Ożenił się! — skończył Popiołka.

— Człowiek porządy!

— Ja też mówiłem! Zbrodnia uczciwego człowieka! Towarzysze, bądźcie mądrzy, zrozumiejcie! — Kochankowie nigdy nie myślą o dzieciach. Nie dlatego się wam dziewczyna podoba, że może mieć dziecko.

— Juźci! Ale zawsze on dobrze zrobił, ten Wiktor...

— Dobrze, pewnie że dobrze! — zgodził się Popiołka, a głos jego zadrgał kpiącą, szyderską nutą. — Zobaczycie, ile szczęścia narobił! Otóż, rozumie się, rodzice się na niego pogniwiali.

— Hołota, psiakrew! Dlatego, że ze sługą!

— A nie wolno im? Nie podobala się im, więc się pogniwiali. Sługa nie sługa — nie chcieli. Nie wyklinali, nie cofnęli pieniędzy, ale nie chcieli jej mieć w domu, bo ich podeszła. Bardzo się tem zmartwił Wiktor, dobry chłop, zmartwił się za siebie, za żonę i za dziecko. — Zabrał żonę — i jazda do Krakowa, kończyć nauki. Zamieszkali w jednym pokoju no i — zaczęło się. On chodził na uniwersytet, a ona nudziła się w domu. Spróbował z nią chodzić Wiktor do teatru, do kawiarni, na rozmowę z kolegami — co się jemu podobało, ją nudziło, co ją bawiło, jemu było wstrętne. Plunął na to, co lubiał, chodził z nią do kabaretów, na muzykę, między głupich ludzi — zaś, żeby się rozerwać, popijał. Chciał ją uczyć — nie dała się. Na co jej? Skoro ona, dziewczka, mogła se znaleźć takiego męża uczonego, widać — mądra jest dość. Każdy mądry dla siebie! — klóciła się z mężem. — Tobie się to podoba, mnie drugie!

No więc, rozumiecie mnie, Wiktor zaczął pić. Z nauki nic. — Ale, Utopja, nie kłóć się, daj Drozdowi grogu, co cie obchodzi, urznie się czy nie? — Więc on wtedy zaczął pić na dobre. Jak raz poszedł, dwa tygodnie nie było go w domu. Pił i pił! Żarla go złość na żonę, na siebie i na rodziców, bo myślał sobie, że przecie mogli mu ją byli wychować jakoś, gdyby byli chcieli, a on sam nie umiał i nie miał siły. Aż tak puścił wszystko i nie było w Krakowie co robić.



Wtedy wrócił do Warszawy i został dziennikarzem. Z rodzicami — nic, nie chodził, nie pokazywał się. Z początku trochę biedował, potem — jakoś poszło. Tylko z żoną znów źle! Bo ona znów, jak się na swoim gruncie znalazła, chciała się pokazać. Nowe suknie, kapelusze, do Doliny Szwajcarskiej z nią idź, do Opery — bransoletek chce, kolczyków, do chłopców robi oko, eleganci jej się podobają, a w domu wciąż ktoś tam z rodziny siedzi, z Pragi, czy z Powiśla — i szeptuje, podmawia. Bronił się Wiktor jakiś czas, krzyczał, groził — ale co jej robi? Raz zaczął bić — zniosła, nie mówiła nic, wieczorem nie zastał jej w domu. U ciotki była i ciotka darowała jej złotą bransoletkę z szafirem. Bo to, rozumiecie mnie, był drań, chciwy lekkiego życia, i to wróciło znów! Co jej tam mąż, dzieci! Wyżyć się chciała, różowa, niebrzydka, próżna...

Umarł ojciec, potem matka, Wiktor dostał spadek, co na niego wypadł, kilkanaście tysięcy rubli. Chciał wrócić do Krakowa, skończyć uniwersytet — ona nie, w Warszawie pobawić się chciała. Klócili się jakiś czas, wreszcie puścili wszystko — ona na stroje, on na wódkę. Zapił się już zupełnie.

Przyszła wojna — uciekli do Moskwy. Z pieniądze było źle, biedowali. Zamieszkali w robotniczej dzielnicy, w jednym z tych cichych zaułków w okolicy Pierwszej Mieszczańskiej. Żyli nędźnie, bo on, co mógł urwać, urywał na wódkę. No, nie bardzo to zabawne, ale — prawdziwe życie człowieka opowiadam. Już on, ten Wiktor, widział, że życie przepada. Sił nie miał bronić się, ścierwo głupie; rozumiecie? Ginał on, a z nim gineła żona i dziecko. Gdyby ich był rzucił, możeby i sam się

uratował i oni-by nie zginęli. Nie przeszkadzał-by żonie w zarabianiu — choćby na ulicy. A tak?

— Przestań, Popiołka! — krzyknął Drozd, popielaty na twarzy, zmieniony.

Spojrzał na niego Popiołka.

— I cóż tem pomogę, jeśli nie skończę? Tem bardziej, że tu dopiero zaczyna się to zajmujące...

Wiktor robotę jakąś dostał. Mógł wyżyć — ale on chciał pić. Wyrwać się ze swego piekła — to nie. Życie mu codziennie w twarz pluło — on nic. Pił. Widział, że jest wszystko źle — Topór, topora wazszego nie miał.

— Rozrąbać nie umiał! — kiwnął głową Topór.

— Otóż właśnie! I patrzcie się, do jakiej podłości taka słabość człowieka doprowadza! Źle mu było, widział, że tak nie wyżyje, ale bał się, że żona i dziecko przepadną! A niby przy nim nie przepadały!

W owych czasach Moskwa była wesołym miastem. Schroniło się tu dużo bogatych „bieżeńców“, obywateli, którym rząd wypłacał odszkodowanie za zniszczone dobra. Kto nie brał? Kto tam miał dwa sążnie przed domem, a na nich trzy wierzby i jedną gruszkę brał — dziesiątki tysięcy odszkodowania — byle ino papiery się jakie znalazły. Więc chodzili ludzie po tej Moskwie, natrząsali się z Moskali, mieszkali sobie w najlepszych hotelach, jedli i pili i czekali końca awantury. Jedni skupywali brylanty i złoto, drudzy robili interesy, inni — bawili się. W gabinetach, gdzie pokrywom u wódkę i wino sprzedawano — „bieżeńcy“, panowie w smokingach, panie delikatne w sukniach drogich, z brylantami. Choć to wojna, to dla nich i ostrygi świeże były i potrawka z raków i kotlety z drobiu i lody i owoce z nad



Czarnego lub Kaspijskiego Morza i wódki, wina najprzedniejsze! Żyć przecie trzeba, to trudno! Na bli-ny z kawio-rem lub ze śmietaną to chodzili tylko tak popatrzeć, jakie to świątwa Moskale jedzą. Wino czerwone to niby jako „chlebny kwas“ podawano — w wielkich dzbanach szklanych. Kwiaty świeże z Krymu sprowadzano.

— A na amunicję wagonów nie mieli!

— Kto był mądry — we wspianiałości żył nieopisaniej. Syty, wymyty, telefonem gabinet zamawiał, „batyka“ mu całego na zakąskę do ciepłych, chrupiących kołaczów przynoszono, karasia sobie sam w akwarjum do smażenia wybierał. — Tego mi usmaż! — pokazywał palcem. — Podoba mi się, usmiecha się do mnie, tłusty będzie!

Dla naszego Wiktora — to był raj. Czepiał się bogatych i jeździł z nimi pić. Do tych wielkich sal na porfirowych kolumnach, do tych restauracji, złotem błyszczących, gdzie się widziało białe plecy i ramiona pań, w różnobarwne jedwabie ledwo zawiniętych, gdzie służba nawet miała wypielegnowane, opalizujące paznokcie. Biedak, zeszedłszy w życiu ze swego porządnego mieszkania za żoną do robotniczego domku, leciał teraz, jak ćma, w ten blask, w tę świetność...

A była wówczas jeszcze pod Moskwą otwarta „Strielna“, za Aleksandrowskim parkiem przez rodzinę carską utrzymywana wielka, świetna willa, z najlepszą w Moskwie restauracją i z gabinetami. Jechało się tam zwykle już późnym wieczorem, „rysakami“ — dla szyku. Siedziało się w ogromnej sali, całej obrosłej przeróżnemi krzewami, pod subtelnymi, rzadkimi palmami albo w altankach, wystrzyżonych w drogiej, hodowanej zieleni. Myszkowali

po tym ogrodzie zamurowanym panowie, błyszczali jak motyle lub kwiaty kobiety, piękne, pachnące, barwne. Piło się, jadło się owoce z ciepłych krajów, gadało się, a niby zdaleka, z zamkniętych gabinetów, dolatywał stłumiony, słodki szum wielkiego, śpiewającego chóru. Lub też siedziało się w wielkich, szkarłatnych, wyłaczanych gabinetach. Na białym obrusie kwiaty, srebra, kryształy, różnobarwna piramida owoców, zielono - złociste albo purpurowe winogrona krymskie, złote gruszki, granaty, szczerzące szkarłatne zęby, żółte „kaki“ japońskie, banany zielone, jabłka różowe jak buzie dzieci — w kryształach wina perliste, w srebrnym kubku na lodzie szampan, dokoła pod ścianami ustawiony chór, pieśń szeroka, dźwięczna, czysta, zaś na środku pokoju tancerki dwie — dziewczyny gibkie, dobrze zbudowane, w ciężkich, czarnych szarawarach ażurowych, spiętych u dołu złotymi bransoletami, a nagie od piersi, białe, pełne, wykwitające z czarnego stroju. I kiedy chór śpiewał, bose, białe stopy tańczyły po miękkim, wzorzystym dywanie, błyskając różowymi, mieniącymi się, jak perły, paznokciami....

— Jak to se te, psiekrwie, bogacze żyją, co to wymyślają! — oburzył się Topór.

— Ano, pewnie, wybyście tego nie potrafili! — przyznał mu Popiołka. — To właśnie smutne, że bawić się już nie będziemy! Ale cóż Wiktor? Pojmujecie mnie, dla Wiktora „Strielna“ stała się — niby jak kościół. Jak tylko się jej mógł dorwać — modlił się do życia przy kieliszku wódki. Głupi nie był. Czuł on, choć nie widział, że na świecie jest dużo pięknej radości, i że człowiek nie musi wiecz- nie chodzić gorzki, jak burzuj pod bolszewickim pa-



nowaniem, że się nie kończy na kłótni z żoną w małej, brudnej izdebce...

Zaczęła się wtedy rozpacz. Konanie. Wpraszał się, wkręcał, wmadlał w towarzystwo bogatych, aby tylko do „Strielny“ pojechać. Żaden może z tych ludzi, sam car nie cieszył się nią nigdy tak, jak oni rozumiecie mnie? Pił, nie tylko gardłem, ale oczami, uszami, całym ciałem. A potem, nędzne ruble z kieszeni dobywszy, jechał „rysakiem“ do domu. Mały, jakby skurczony z mrozu, ale bardzo świecący księżyc wędrował po ciemnym, prawie czarnym niebie wśród mrowia łzawiących się, niebieskawych gwiazd, rzeźwił zimny, suchy, czysty wiatr, z siłą wyrzucane kopyta wielkiego konia huczały po puszystym, suchym śniegu — paf! paf! paf! paf! paf! paf! — uciekały w noc ciemną białe dworki, mury monasterów, kopuły cerkwi błyszczące, a woźnica gadatliwy, widząc przed sobą drogę wolną, niskim basem odpowiadał coś gromko pół sennemu gościowi, dmuchającemu w kołnierz ciepłego futra. A z serek — jeden tylko krok na dno nędzy i biedne, zimne mieszkanie, żona w brudnej i zniszczonej koszuli, łóżko żelazne, siennik wygnieciony, płacz dziecka, „Primus“ śmierdzący i hałaśliwy i kłótnie, kłótnie, kłótnie! I parę godzin martwego snu, a potem to straszne przebudzenie się!

Wiktor wpadł na sposób. Przywoził ze sobą wódkę do domu, chował ją — i pił w nocy, w ciemnościach. Zaś kiedy się zbudził rano z cuchnącymi ustami, z wyschniętym gardłem i bolącą głową — znowu pił, naczecz, i błogosławił wódkę jak litościwe bóstwo, a kiedy czuł, że znowu usypia, opryskiwał spirytusem poduszkę, aby przez sen oddychać jego zapachem. Już mu wszystko jedno było, czy

dziecko krzyczy, czy żona go klnie. Pożyczał, skąd mógł i od kogo mógł, zadłużał się na wszelkie możliwe sposoby, przynosił wódkę do domu, kładł się na łóżku i pił, patrząc w brudne, spocone okno, w którym świat kłębił się, jak we mgle. Czasami coś mu przelatywało przez mózg: Dziecko! Żona! I że to jest męka, że to koniec! Wówczas stawał się dobrym, pieścił córeczkę, przepraszał, idjota, żonę i marzył znowu o raju na ziemi. Z postanowieniem poprawy szedł do roboty, w napół przytomnej głowie powtarzając sobie, że wszystko jeszcze może być dobrze. Ale po kilku dniach przytomnych, po kilku dniach głupiej, niepotrzebnej pracy wracało zrozumienie, jak Topór mówi, i pokazywało się, że nic już nie może być „dobrze“, że życie — jest właśnie stracone i przemarnowane, zmarłe, a tylko nie pogrzebane. Pozostawało — upokorzyć się; że jednak Wiktor nie wiedział, zaco, dlaczego — więc znowu serce zaczynało się szarpać, zaczynało kłuć, a potem przychodziła „Strielna“ i długie, ciche dnie picia z oczami wpatrzonymi w okno zamglone, jakby bielmem pijaństwa zaciągnięte.

W owym czasie Wiktor, choć znany już jako nieuleczalny pijaczyna, nie był jeszcze bardzo skompromitowany. Nie przychodził czasem do biura, mówiło się, że choruje. A on istotnie był chory. Coraz częściej zdarzało się, że, urznawszy się, jak trup padał na ziemię, gdzie stał — w restauracji, czy na ulicy, na mrozie... Odwożono go do domu, parę razy jednak zdarzyło się, iż ataków takich dostał, gdy był sam i żona jego bała się, że może gdzie w ten sposób zamarznąć, albo że go do koszuli obedną i zamordują. Prosiła zrazu, żeby już, jeśli co, pić u nich, że jednak to do przyjemności nie należało,



od czasu do czasu brano ją do towarzystwa. Marna to była zabawa — bo kobieta głupia, nie poprzestając na swej nędznej roli, chciała się bawić jak równa z równymi i udawała damę. Więc śmiano się z niej i z męża — a on i to znosił, byle mu wódkę zapłaceno. A potem te jazdy sankami do domu. On w jednych sankach, pijany, ona w drugich, wciśnięta, między złych i pijanych mężczyzn. Zaś czasem zdarzało się, że ktoś, co mieszkał daleko, zostawał u nich i spał w małym pokoiku, dawniej odnajmowanym, ale teraz pustym, bo nikt nie mógł wytrzymać długo przy tem kłóćcym się małżeństwie.

Tu Popiołka dopił swój grog, zażądał nowej szklanki i puścił naraz z twardem, złem postanowieniem:

— A raz tam spałem ja!

W sali zapanowała zupełna cisza.

Głowy słuchaczów pochyliły się na piersi, czoła pokryły brózdy głębokich, posępnych zmarszczek. Papierosy gasły — nikt ich nie zapalał. Ten i ów zcicha wychylał swą szklankę grogu. W posępnem milczeniu, falującym szaremi pasmami gęstego dymu, głos Popiołki brzmiał bezlitośnie, tragicznie.

— Wiktor na ulicy padł na bruk. Żona jego nie widziała tego, bo już sadzano ją na sanki. Dzwignąłem łajdaka — zleciała się służba nocna — zawołali mi sanki. Posadziłem kretyna koło siebie, powiedziałem woźnicy, gdzie ma jechać... Pijany błazen kiwał mi się w rękach, wydierał się, wreszcie zesunął się na dno sanek... Ścierwo... Oparłem na nim nogi, jak na psie, i tak go dowiozłem do domu... Do domu! W dwóch nędznych pokojkach paliła się mała lampka nocna... Dziecko małe, zapłakane, wy-

łęcznione, uciekło przede mną pod łóżko.... Delikatnie, że aż żebra zatrzeszczały, ująłem pijaka i położyłem go na łóżku... Gdyby nie dziecko, spralbym go był po mordzie, bo takiego po mordzie należy bić w dzień i w nocy... Przyjechała wreszcie jego żona... Wściekła! Po wspaniałościach wielkich restauracji ta nora, ta buda psia, dziecko, pijany mąż, zimno... Sypiał Wiktor wówczas w trzecim pokoiku, dawniej wynajmowanym drugim. Przenieśliśmy go tam. Stało tam tylko nędznie zasłane, żelazne łóżko i stółek...

Sanek nie było, chodzić mi się po nocy już nie chciało — zostałem u nich. Przyszła do mnie...

— Ta jego żona? — mruknął ktoś groźnie.

— A jakże! Ona sama! Przyszła, w koszuli, rozparzona wódką, zabawą... Prosiła, żeby jej „pożyczyc” parę rubli... Czemuż nie? — Tyle mojego! — powiedziała mi.

Pamiętam ją rano, kiedy wstała. Był szary, zimowy poranek moskiewski. Okna — jak rybie oczy. Dokoła brud, świństwo, nieporządek, nędza... Stała ona w pośrodku pokoju, śmieszna w tej brudnej, szarej koszuli, z kołtunem włosów na karku, ziemistą twarz z noskiem zadartym zwróciła do światła, ramiona białe wyciągnęła w górę i aż westchnęła: — O Boże, skrzydła, skrzydła żeby mieć i uciec od tego wszystkiego daleko, daleko!... Zbudził się i on, ten Wiktor... Łóżko jego stało niedaleko drzwi, a moje znów po drugiej stronie, pod temi drzwiami. Otworzył je, popatrzył na mnie... Okropny, że zjeżonemi włosami na łysiejacej, żółtej czaszce, sam żółty z czarniawą, brudną szczecina na głowie, z zapitemi oczami... Pod siennikiem pogrzebał, butelkę z niebieskawego szkła wyjął i na „dzień do-



bry" jak nie pociągnie... Widzę go, nędzarza, na sienniku, w brudnej, rozchelstanej koszuli na zakłęśniętych, włochatych piersiach, jak głowę przechylił w tył, a czerwonymi ustami objął szyjkę niebieskawej butelki i pije, pije... Wódka bulkocze... Przyszła do mnie jego żona, jak była, w koszuli, piersiami padła mi na piersi, drażni męża zdaleka... On nic... wódkę pije jak wodę święconą, odżegnuje się nią, oczy mu się mieniły... Patrzyłem i ja, myślałem, że może skoczy... Nie, pijany był, oczom własnym nie wierzył, hańby swojej widzieć nie chciał. Dopił wódkę i zwał się z łóżka na ziemię. Zostawiliśmy go, żeby tak leżał, jak pies...

— Wiwisekcja! — przemknęło Zausze przez mógg.

Spojrzał na Drozdowskiego.

Pijaczyna oparł głowę na stole, tak, że twarzy jego nie było widać.

Spał? Plakał?

— Takie-to, pojmujecie mnie, towarzysze, *szczęście* wynikło z tej uczciwości wielkiej! — zagrzmiał ironiczny głos Popiołki. — Co miał zrobić biedny człowiek? Nie ożenić się? Żle. — Ożenić się? Wynikło z tego upodlenie i koniec życiu. Nie da się żyć na tym świecie ani z cnotą, ani przeciw cnotcie! To też i ten Wiktor spodłał do granic wszelkiej możliwości. Inny-by choć w ślepiu życia napluł, powiesiłby się, albo-by uciekł na kraj świata! On — dalej swoich uszczęśliwia. Niedawno temu biednych parę metrów jakiegoś sukna, które żona na sukienkę miała dla dziecka i dla siebie, w kufrze znalazł i sprzedał za wódkę... Obiad gotowała na „Primusie“, po coś do sklepiku skoczyła, to on jej „Primus“ zgasił, garnek zostawił, maszynkę ukradł,

sprzedał i — upił się! Tyle jej — co jak tam czasem kto po pijanemu zanocuje... Hahahaha! *Szczęście!* W wasze ręce, Zaucha!

Wybuchnął głośnym, ordynarnym śmiechem.

Ale śmiał się tylko on sam.

Zaś Atoll, który wciąż zcicha szczypał struny „bałałajki“, budząc w nich drobny, urywany, zduszony śmiech ironiczny, grzmotną wrzaskliwym, jęklwym akordem i ryknął:

— Saryń na kiczku,

Jadrjonyj łapot' —

Zaczął po głowie czesać Persa-psa!

Zacniemy z Niżu,

Drapać i grzmieć

I skórę drzeć

Z kupca złodzieja —

Saryń na kiczku!

Kiścień za pas...

Huczy we łbach —

Hulanki czas.

Gwiżdż, świszcz — co tchu!

A, ślepe ścierwo — ty czego tu?

Wwwwwa!

Tu Atoll warknął jak pies i zaryczał rozlewnie, szeroko:

— Wiedzcie, bojary — kupcy

I sługi carskie,

My zuchy, za lud położymy

Głowy rycerskie...

Na to nam życie to dano...

Płyniemy Wołgą wezbraną...

Wołność, jak wino, w głowie nam szaleje. —

Bracia, już dnieje...

Już płonie zorza różowa —



Bierz nas, wolności Niżowa —  
Od Kazania do Persji!

Przyjdzie dzień — i otworzą się wrota  
Dla wszystkich, dla braci i gości,  
I rozśpiewa się drużna ochota  
I rozkwitną błękity radości.  
Przyjdzie dzień — cały lud ruszy w taniec  
Na wieki wieków uściskną ręce  
Pójdzie w tan księżę — pan — oberwaniec —  
By już koniec położyć raz męce...  
Przyjdzie dzień — wszyscy wielką, jedyną  
rodziną

Pod jedynem okienkiem zasięda  
A pieśni się radosne łać będą  
Prosto w serca, grzejące, jak wino.  
Przyjdzie dzień. —

Ale naraz pieśń ucichła.  
Drozdowski wstał.

Był straszny. W twarzy, białej jak płótno, żarzyło się dwoje czerwonych, krwią nabiegłych oczu. Z przyciętej zębami wargi ciemnym sznurkiem sączyła się na brodę krew. Pod podkutymi oczami lśniły ślady łez.

— Puśćcie mnie! — krzyknął ochryplym głosem, kiedy kilka rąk go chwyciło.

— Puśćcie go! — rozkazał Popiołka, wstając.  
Ręce cofnęły się.

Drozdowski, zataczając się trochę, szedł ku Popiołce. W odległości paru kroków stanął i sięgnął do kieszeni.

Zrobił się gwar.

W gwarze tym Zaucha nie dosłyszał pytania, które Drozdowski ostro rzucił Popiołce wprost w twarz, ale wyraźna i kpiąca zabrzmiała odpowiedź rzeźbiarza:

— Zgadnij!

Drozdowski cofnął się jeszcze o krok i zmierzył prosto w jego pierś z rewolweru.

Rzeźbiarz stał wyprostowany, niemy, z pogardliwym uśmiechem na bladej, zmęczonej twarzy.

Czekał, patrząc na Drozdowskiego z pod zmrużonych powiek.

A wtem rewolwer drgnął — i zaczął opadać ku ziemi.

Wtedy Popiołka zamachnął się straszliwie i z całej siły uderzył Drozdowskiego w twarz.

Cherlak padł na ziemię.

— Ścierwo! — syknął olbrzym i zgrzytnął zębami.

A obcierając serwetą zakrwawioną dłoń, rzucił rozkazująco:

— Alarm! Druga i trzecia sekcja pod broń. Reszta pogotowie. Zbudzić rowerzystów.

Utopia już był za drzwiami.

Rozległ się stłumiony dźwięk dużego dzwonu.

Na górze, nad salą, dały się słyszeć liczne kroki i jakieś głosy.

W chwilę później, kiedy Zaucha, który pomagał ułożyć Drozdowskiego na kanapie, wyszedł do westybulu i zaczął szukać swego płaszcza i czapki, trzydziestu uzbrojonych ludzi zeszło zgóry po schodach i uszykowało się w korytarzu. Pojawił się przed nim Popiołka w skórzaney kurtce i z kawale-ryjskim karabinkiem w ręku. Coś mówił, dawał jakieś polecenia, a ujrawszy Zauchę, rzekł złośliwie:



— Idźcież prosto do domu, żebyście znowu nie potrzebowali kucać za jaką sosną!

— To utopja, to utopja! — uspokajał Zauchę introligator, przyświecając mu na schodach i odprowadzając go do furtki odźwiernego.

## XXV.

Jak dusze zmarłych, migające o północy nad grobami, tak rozpalały się i gasły w zmierzchu stare, święte, surowe słowa słowiańskiej liturgii, pachnące różami Bizancjum, chłodną świeżością ostępów leśnych, wilgocią wielkich, cichych rzek i gorącym powietrzem stepów, szumem swym śpiewających pieśń o śmierci niesławnej wiecznie niestałych i zmiennych jak wichry ludów wędrownych.

Wysoki, rosły pop w szkarłatnej, pozłocistej sukni, faldzistej i długiej, śpiewał coś silnym, dźwięcznym barytonem. Na tle wyłaczanych „carskich wrót“ wyglądał, jak wielki, śpiewający, czerwony płomień, z którego czasem tylko wynurzała się smutna, umęczona, wyrazista twarz, ciemna, z dużymi, błyszczącymi oczami, okolona czarną glorią bujnej, lwiej grzywy.

Wysoko pod sklepieniem żarzył się olbrzymi, precudny pajak kryształowy, sączący białe, łagodne światło w zmrok cerkwi, rozgrzany refleksiem złoci. Ze ścian patrzyły ciemne, ascetyczne twarze świętych, objęte poczerniałą aureolą.

W powietrzu mieszały się światła i głosy. Poważnej, przeciągłej pieśni czerwonego płomienia w złotym krzewiu odpowiadał niewypowiedzianie czysty, przesłodki śpiew ukrytych za złotą kratą mniszek. Śpiew ten był niepokalanie czysty, idealny,

zaziemski. Głosy oczyszczone z wszelkiej przymieszki ludzkiej, pozabawione drżenia namiętności i uczucia, nie zimne lecz zupełnie opanowane, miały dźwięk fletowo-szkłany. Akordy zawisały i rozkwitały w powietrzu jak figury geometryczne.

Dwie czarno ubrane mniszki, w sztywnych, wysokich, komicznych skopkach na głowie, widne wyraźnie na tle złotych „carskich wrót“, składały z nieopisanym wdziękiem niskie pokłony. Całe ciała ich przeginały się wprzód, jednym szybkim ruchem gnać się w czarne podkowy i w tym kształcie zastygały, prostując się potem nagle, jak trzciny.

Na wysokościach trzy dzwony grzmiały niepokojną, nerwową modlitwą. Spadały na głowy rozdrżane, śpiewające kręgi powietrza, nieledwie błyszczące, potężne. Cała cerkiew, pełna ich muzyki, zdawała się wibrować i dźwięczeć.

Niby wolno kołyszące się w powietrzu smugi kadzidel znowu z za kraty złotej pociekły harmonijne, słodkie strugi śpiewu kościelnego, długie, nabrzmiewające i zwolna gasnące tony, wstęgi, haftowane bladym blaskiem obumarłych słów świętych.

Niewidzialnemu gospodarzowi podziękowawszy ukłonem za ulgę, Zaucha jeszcze raz obrzucił wzrokiem cerkiew i powoli skierował się ku wyjściu.

Przez cały dzień męczył go silny ból głowy, połączony ze zdenerwowaniem, które o zmroku zmieniło się w bolesne przygnębienie. Zażył jakieś proszki na ulicy, a chcąc wytchnąć w ciszy, zauważywszy, iż cerkiew w monasterze Męki Pańskiej jest otwarta, wstąpił. Uspokoił go widok modlących się ludzi, śpiew i harmonia świątyni. Wychodził smutny wprawdzie, ale nie burzący się już, jakby spokorniały. Ból głowy minał, pozostawiając po so-



bie tylko pewne przeczulenie, głęboko ukrytą w duszy, niemęską chęć do płaczu i roztkliwienie.

Stał przez dłuższą chwilę przed klasztornymi wrotami, patrząc na cienie, gęsto migające po placu przed monasterem. Przed nim czerniał wysoki pomnik Puszkina. Zgrzytając w szynach kołami, tramwaje okrężały plac, niedaleko klóciło się kilku szoferów przy samochodach na stanowisku. Była zwykła chwila przedwieczorna: Spiżowy grzmot dzwonów nad blado połyskującymi kopułami cerkwi, rogaty półksiężyc i towarzysząca mu gwiazda.

Podumawszy chwilę, Zaucha powłókł się Twerską ulicą. Minał żałosne postacie oficerów, stojących na rogu z plikami „Anarchji“, „Prawdy“ i „Izwestij“ pod pachą, minął jakąś wielką, oszkloną kawiarnię parterową, pełną paskudnych baranich pysków ormiańskich, tatarskich i żydowskich spekulantów, wreszcie zatrzymał się przed ogromną szybą wystawową, za którą lśniło coś, jak raj — niby ogród jasny, biały, różowy, fioletowy, kraina marzenia, rozkwitła wyszukanie pięknymi i tylko pięknymi kształtami, świat bezinteresowny, cichy, niedrapieżny, czysty, a uśmiechnięty. Były to — kwiaty, nieznane Zausze ani z imion, ani z obyczajów, smukłe, przeginające się wdzięcznie w ozdobnych choć skromnych wazach, jakby drżące w zimnem, białem świetle elektrycznem, jakby zdziwione ogromem i tajemniczością cieni i dni, migających za szybą, jedne dumne, rozgorzałe, świetne, drugie pączkami białuśkimi a wątlami pnące się gęsto, gęsto po zielonej kaskadzie zwisających lodyg, jeszcze inne, jak wrzosa, idące gęstą, kwietną, wonną ławą.

— A może to i są wrzosa? — pomyślał Zaucha i w tej chwili ujrzał w duchu równie mazowiecką,

ciemno-złote ścierniska, las sosnowy, w którym już złocą się liście rozproszonej brzeziny, a na piaskach żółtych płonące cicho, szkarłatne wrzosowiska, wygrane ciepłem słońcem jesiennym i owiane gęstem, metalicznym brzęczeniem pszczół i os, chciwych słodczy, ukrytej w drobnych, fioletowych pułapkach.

— A zawsze zamyślony, zawsze zamyślony! — odezwał się tuż przy nim głos.

Uśmiechnięty, jak zwykle, życzliwie i uprzejmie piękny i elegancki pan Piotrowski.

— To pan? — ucieszył się Zaucha.

— Kupuje pan kwiaty?

— Och, kupuje! Tak, przyglądałem się... Pierwszy raz w życiu spostrzegłem, że kwiaty są przyjaciółmi człowieka...

— Co pan robi wieczorem?

— Nic.

— Gdzież się pan w ostatnich czasach podziawał? Nie łaskaw na nas... W złym humorze, co? Zgryziony?

Wsunął mu rękę pod ramię i łagodnym ruchem pociągnął go ze sobą.

— Pewnie, że niema się czego cieszyć...

— Ciężko żyć nieprzyzwyczajonemu — jak powiedział któryś z filozofów...

— E, i przyzwyczajonemu w naszych czasach nie lekko.. Kłopoty mam, dużo przejść... Te Niemcy, psiekrwie, wymyśliły znów armaty, bijące na sto dwadzieścia kilometrów i bombardują Paryż...

— Tak, to nieprzyjemne...

— Boję się, że i zachodni front pęknie, a wtedy wszystko diabli wezmą.



— Tak źle nie będzie, Francuzi się nie dadzą. Ale jedno panu powiem: Skoro Niemcy mogli znaleźć działa, bijące na sto dwadzieścia kilometrów, to my możemy znaleźć lekarstwo na nasze zmartwienie... Widać, niema niemożliwości na świecie.

— A to pan ma najzupełniejszą słuszość! — ucieszył się Zaucha. — W tem powiedzeniu pan jest cały, wiecznie ten sam, niezwalczony, niezwyknięty Piotrowski!

— Widzi pan! I już się pan pocieszył! Jak to dobrze spotkać się czasem z przyjaciółmi... Pocieszają lepiej niż kwiaty... A pan zapomina, nie pamięta...

Skręcili w ciemny zaułek Leontjewski.

— Nie zapominam! — bronił się Zaucha. — Byłem zajęty... Szukałem przez jakiś czas Popiołki, włóczyłem się po różnych norach anarchistycznych.

— I w tem bylibyśmy panu pomogli. Trzeba było przyjść do nas...

— Gdybym go był nie znalazł, pewnie byłbym przyszedł. Ot, ciekawiło mnie, chciałem zobaczyć...

— Ma pan do Popiołki jaki interes?

— Prostu — myślałem, czyby się go nie dało z tego sosu wyciągnąć. To bardzo zdolny rzeźbiarz, mój dawny znajomy...

— Wiem, wiem. I cóż? Nie znalazł go pan.

— I owszem.

— A, więc pan był u Popiołki? — ożywił się Piotrowski. — Widział się pan z nim?

— Widziałem. Cały dzień mam z tego powodu „katzenjammer“ fizyczny i... moralny. Niesmak w gębie i w duszy.

— No? Czyżby tak źle było? — prawie się zmartwił Piotrowski. — Nie może być! To bardzo ciekawe. Szkodaby było. Niech pan zaczeka, opo-

wie pan żonie, ona się bardzo panem Popiołką interesuje. To pan przynosi ciekawe wiadomości. Proszę!

Otworzył furtkę i wprowadził go na słabo oświetlone podwórze bielejącej w głębi willi.

Zaucha zamierzał się w pierwszej chwili bronić, ale potem pomyślał, że to nie będzie miało sensu. Dlaczego się wymawiać? To, co Popiołka mówił o Piotrowskim — djabli wiedzą, jak to tam było! Popiołka ze świętego mógł zrobić alligatora, on w ludziach zawsze widział same ciemne strony, ten Karaib, tańczący z dzidą i nożem w zębach! A wieczorem i tak nie było nic lepszego do roboty...

— Właściwie to ja idę dla pani Luty? — szczerze powiedział sobie Zaucha, myśląc, że widok tej pięknej kobiety dobrze mu robi na nerwy po migrenie.

Piotrowscy zajmowali pierwsze piętro willi, wspaniale i z przepychem urządzone dwa olbrzymie salony, zaciszną sypialnię z kominkiem, na którym płonął ogień i niewielką, dość nawet prymitywną, ale wygodną jadalnię.

— Sama jesteś? — spytał Piotrowski żonę, która otworzyła mu drzwi.

— Agnes jest. A więc wreszcie pan sobie przypomniał? — witała Zauchę, podając mu rękę.

Dłoń miała suchą, gorącą.

— Cenny gość! — rekomendował go Piotrowski. — Przynosi wieści od pana Popiołki.

— Co? Był pan u Popiołki? No i cóż? Co pan powie?...

— Wszystko ci powie, ale posadź go naprzód i delikatnie z nim, bo ma migrenę...

— Może piramidonu?



— Już zażywałem, już mi lepiej, głowa nie boli i cały jestem na pani rozkazy...

— Wiecie co? — zaproponowała pani Luta. — Tu, w tych salonach, jest bardzo paradnie, ale w jadalni najlepiej się rozmawia... Chodźcie do jadalni, potem przejdziemy tu...

Agnes, gibka, giętka, uśmiechnięta, była w obcisłej sukni z jakiejś świecącej materji brązowej, mieniającej się czarno-stalowymi pręgami.

— Wiecie, Agnes, pan Zaucha był u pana Popiołka! — obwieściła jej pani Luta, wskazując gościowi wygodne miejsce na kanapie.

— Kiedy? Kiedyście byli u niego? — zdziwiła się Agnes.

— Wczoraj wieczorem...

— No i jakże? Co pan widział? Niechże pan opowiada!

— Minutkę jeszcze! — zawołał Piotrowski z jakiejś ubikacji, przylegającej do jadalni.

A wynurzywszy się stamtąd z kilku butelkami i metalową puszką, zwrócił się do Zauchy:

— Niech-że pan teraz opowiada, ja zaś słabrykuję coś, co przyprowadzi pana do równowagi po tej denerwującej wizycie.

— Więc nienajlepsze wyniósł pan wrażenie?

— Nienajlepsze, proszę pani! — westchnął Zaucha. — Jakiegokolwiek byłyby pobudki, ideowe czy nie, to, co Popiołka ze swymi anarchistami uprawia, jest niewątpliwie zwykłym bandytyzmem.

Pani Luta aż ręce załamała.

— Niech mi pani wierzy, że ja życzę Popiołce jak najlepiej — mówił Zaucha — i dużobym dał za to, żeby go usunąć z pod wpływów tego otoczenia.

— Sądźcie, że na niego działają jakie „wpływy!” — po rosyjsku wtrąciła Agnes. — Bardzo wątpię. Popiołka nie jest człowiekiem słabym.

— Fizycznie! — zgodził się. — Ale, jak wszyscy artyści, jest wrażliwy i otoczeniu ulega.

— Tam niema ani jednej wybitnej indywidualności.

— Tam jest atmosfera, a ta na Popiołkę działa. Bunt jako protest, romantyczna poza, bardzo łatwa, a niezmiernie jadowita krytyka, wreszcie nastrój, wieczne pijaństwo... Prawdę mówiąc, ci anarchiści wcale nie są anarchistami...

— Nie rozumiem pana! — przerwała znów Agnes z lekceważącym uśmieszkiem. — Jeśli ci ludzie nie są anarchistami, to chyba niema anarchistów na świecie!

— I kto wie, czy pani nie ma racji! — odpowiedział Zaucha. — Znam literaturę anarchistyczną, ale anarchistów nigdy nie mogłem sobie wyobrazić i, prawdę mówiąc, nigdzie w świecie nie spotkałem... Przez cały dzień myślałem o tem... Na Zachodzie, być może, automatyzacja życia taka, aby człowiek mógł żyć zupełnie sam i tylko sobą, jest już możliwa... A przynajmniej jest do pomyślenia... Na Wschodzie, stosunkowo bardzo rzadko zaludnionym, człowiek niewątpliwie jeszcze żyje skupiony w nieliczne gminy pierwotne, faktycznie anarchistyczne... Ale u nas, w Polsce? Polak może być socjalistą, jednakże nigdy nie będzie anarchistą — w masie, oczywiście... Jest na to zanadto towarzyski, społeczny, stadowy, czy jak kto chce.... Popiołka i jego towarzysze, to, proszę pani, ludzie niezaprzeczenie zrewoltowani, zbuntowani nawet, rozkołysani przez rewolucję rosyjską, ale to nie anar-



chiści. Co więcej, powiedziałbym, iż samo to, że na nich tak działa rewolucja rosyjska, świadczy o ich słabości duchowej i umysłowej i przeczy temu, jakoby to byli rasowi nasi przedstawiciele...

— Zapewne, daleko im do orlich nosów waszych Sobieskich, Potockich i innych ciemniejszych ludu! — syknęła jadownicie Agnes.

Ale tu Zaucha aż pobladł i zatrzęsł się z gniewu.

— Słuszajcie, mademoiselle! — zaczął z zimną pogardą po rosyjsku. — Wam lepiej naszych nosów nie tykać, jak i my pozostawiamy w zupełności wam waszych orlonosych Trockich, różnych „steinów“ i „baumów“ — a także beznosych proroków symbirskich. Nie wam, wyzwolencom, doniedawna całującym bat, uczyć wolności i rewolucji nas. Duch Polski, wiecznie rewolucyjnej, był dla was, carskich niewolników, gwiazdą wolności, z której wy po swojemu zrobiliście śmierdzący kaganek, przyświecający w piwnicach katom przy torturowaniu niewinnych. Wot wam!

— Aleś jej pan wypalił! — ucieszył się Piotrowski, zawzięcie potrząsając koło ucha metalowym „mieszalnikiem“ — Luta! Podaj szklanki! Nie te! Te większe!

— Zaszkożdzi ci...

— Nie. Dobrze na frasunek. A mówiłem wam, Agnes: Róbcie sobie w domu, co chcecie, tylko Polaków nie zaczepiajcie, bo będzie źle.

Wylał zawartość puszek do wysokiej szklanki i podsunął Zausze.

— Co to?

— Nic. Trochę spirytusu, czerwonego wina, wermutu, koniaku, a na zakąskę, na dnie — oliwka, pokrzepiająca mieszanina.

— Bo niech pani zrozumie — mówił, umaczawszy usta w szklance, Zaucha, zwracając się do pani Luty. — Nie mówię już o powstaniach, w których cała ich inteligencja wolnościowa stała po stronie carskiej.

— Bakunin nie, Herzen też nie! — zaprotestowała Agnes.

— Ale gwiazda anarchizmu rosyjskiego, czcigodny Lew Tołstoj tak!

— Tego nie wiem!

— Bo pani z tem do twarzy. Niech pani przeczyta jego listy do Fieta \*), zobaczy pani, jak pisze o tem, że i jemu „trzeba będzie sięgnąć po zardzewiały miecz, wiszący na ścianie... Co inteligencja! A lud rosyjski nie uważał i nie uważa Polaków za wiecznych buntowników? Toż ten żalosny błazen Krylenko odzywał się do Muśnickiego w tonie niby suwerena!... A socjaliści rosyjskie? Kiedy na ulicach takiej Łodzi w dniu pierwszego maja lała się krew robotnika polskiego, to ich wodzowie, Moskale, konspiracyjnie pili wódkę na dwa tygodnie przed pierwszym maja, a potem w którymś z nieczytanych pism konspiracyjnych zagranicą ogłosili anonimową korespondencję o tem...

— Także mi niewiadomo! — broniła się Agnes.

— Zato nam dobrze wiadomo, że wam nic nigdy niewiadomo! — ciął Zaucha. — Niech sobie pani przeczyta „Kalendarz ruskiej rewolucji“ Burcewa... I „to“ będzie nas uczyć!...

W zapomnieniu pociągnął ze szklanki kilka łyków, jak gdyby to była limonjada.

\*) Fiet, poeta rosyjski i przyjaciel Tołstoja.



— Niech się pan nie kłóci z Agnes, bo pan z nią i tak nigdy końca nie dojdzie! — interwenjowała pani Luta. — Miał pan o anarchistach opowiadać.

— Otóż mówię pani, że ani Popiołka, ani jego towarzysze nie są zupełnie anarchistami. Cały „Topór” — bo tak się ta grupa nazywa — zrobił na mnie wrażenie zbuntowanej załogi statku. Oficerów się wyzybyli, gospodarują, jak im się podoba, ale dokąd ich prąd niesie, o tem nie mają najmniejszego wyobrażenia. Żeby się zaś umocnić w przekonaniu, iż postąpili dobrze, opowiadają sobie przy kieliszku wszystkie krzywdy, których kiedykolwiek zaznali.

— A czy nie zaznali tych krzywd? — wypadła niezmordowana Agnes.

— Zaznali. Niewątpliwie — zaznali. Nie potrzebują mi o tem opowiadać, nie tylko że sam to wiem, ale jeszcze przypominałbym im krzywdy, o których prawdopodobnie nie myślą nawet... I są to krzywdy bardzo a bardzo ciężkie... Ale nie pochodzą one bynajmniej z jakiegoś idyotycznego spisku rzekomej burżuazji, nie mają swego źródła w klasowości, a tylko w obojętności, w lenistwie duchowem i braku miłości, czem grzeszą wszystkie nasze klasy, cały nasz naród... Krzywdy są tem cięższe, iż, ponieważ nikt nie miał zamiaru ich wyrządzać, nikt też przed niemi nie broni... Naród polski może czasem doprowadzić do ostatecznej wściekłości, ale nie trzeba się na niego rzucać z pianą w pysku, jak wściekły pies... A otóż to, proszę pani, są takie właśnie wściekłe psy... Ludzie albo słabi, których jedno ukąszenie poderwało, albo marni, bo mściwi.

— Widać pan nie wie, co to krzywda, skoro pan tak mówi.

Zaucha spojrzał na Agnes i pokiwał głową.

— Jesteśmy, mademoiselle, tworam i klimatu umiarkowanego. Gdyby każde drzewo w Polsce musiało zginąć dlatego, że mu wicher gałęzie obłamał, nie byłoby u nas lasów — a są. Czasem i piorun w drzewo rypnie, a ono i tak jeszcze stoi i zieleni się... Jeśli państwu nie dogadza moje porównanie z wściekłymi psami, to możemy to określić inaczej. U Malajczyków jest podobno choroba noża, zwana „amók”. Człowiek dotknięty nią — czasem skrzywdzony ciężko, czasem rozjątrzony tem, że przegrał o pół dolara za dużo, chwytą krysz, wypada na ulicę i morduje, kto mu w ręce wpadnie — mężczyzn, dzieci, kobiety, póki sam pod nożami nie padnie. Jest to takie samobójstwo, jak japońskie „harakiri”. Otóż „Topór” ma „amók”. To są tacy polscy Malajczycy, proszę państwa. Cóż dziwnego? Na dwadzieścia kilka milionów może się znaleźć i parę białych Malajczyków. „Dusza duszy nie jest równa” — jak mówi Wyspiański.

— To są teorie! — uspokoiła się trochę pani Luta. — Ale pan wspominał coś o bandytyzmie...

Więc Zaucha opowiedział, co widział na bulwarach, dalej o winie carskiem, o wymarszu „w pole” Popiołki z oddziałem.

— A co? Nie mówiłem? — nie bez pewnego zadowolenia spojrzał na piękną panią Piotrowski, ssąc słoną pestkę oliwki.

— Mój Boże! Mój Boże! — zmartwiła się młoda kobieta. — Zmarnuje się człowiek, przepadnie!

— Teraz to uchodzi jeszcze bezkarnie — wtrącił Piotrowski — ale potem — kula w łeb. Prędzej czy później, a im później tem pewniej.



— Przypuśćmy, że w dzisiejszych czasach „karczająca dłoń sprawiedliwości“ osłabła trochę, że wreszcie można się jej wymknąć — mówił dalej Zaucha.

— Niby jak? — zapytał Piotrowski.

— Do wojska pójść, potem uciec, schować się, wreszcie słyszałem, że ludzie uciekają morzem łódkami motorowymi do Finlandji, a stamtąd do Szwecji.

— Łódkami motorowymi? — zainteresował się Piotrowski.

— Nie wiem dokładnie, ktoś mi opowiadał... Więc przypuśćmy, że kula w łeb nie tak zaraz. Gorsze, że dusza się psuje. To, co wczoraj widziałem, było potworne. Znęcanie się nad nędznym, słabym człowieczyń, prawie wiwisekcja... Popiołka stał się poprostu zły, wściekły, okrutny... W Iwana Groźnego się bawi...

— Przesada! Przesada! — odezwała się Agnes.

— Bo pani nie widziała! Wczoraj — wobec świadków — z Iwana Groźnego męczennika robił. Pokłóciliśmy się o to nawet....

— Pijany musiał być chyba!

— Nie pijany! To znaczy — był podniecony, ale przytomny... On, owszem, sprawia wrażenie pijanego, ale nie wódką... Zatruty jest czemś... Krótko mówiąc — rewolucja go gubi. Dusza słaba, trochę „poseur“, zgłupiał, zdziczał, stał się wprost ordynarny... Z najwyższym niesmakiem dziś rano o tem wszystkim myślałem... Jaka w tych ludziach niewiaść! I skąd?

— Szkoda, szkoda człowieka! — ubolewała pani Luta.

A naraz podniosła swe cudne, jasne oczy na Zauchę.

— Panie Zaucha! Pan go nie opuści! Dowiódł pan, że w panu jest ta prawdziwa, chrześcijańska, czynna miłość bliźniego. Szukał pan Popiołki pomiędzy różnymi bandytami, narażając się może, pod strzały ich pan wpadł, a nie ustał pan, póki go nie odszukał. Niech pan czuwa nad nim!

— Ma on, proszę pani, stu dwudziestu własnych trabantów... Dom jak fort... Cóż ja tam poradzę?... —

— Może pan trafi na chwilę... Może się co stanie... Ja panu pomogę...

— Czem? Jak?

— Modlić się będę.

Agnes roześmiała się.

— Nie wierzycie w siłę modlitwy, Agnes? — zwróciła się do niej pani Luta łagodnie.

— Nie.

— Ale w uroki i zaklinania wierzycie? A czyż nie modlicie się, deklamując wiersze? Zresztą na razie idzie choćby o utrzymanie kontaktu... Żeby pan miał Popiołkę na oku. Może się nadarzy sposobność, może się znajdzie rada...

— Tak, to dobra myśl! — pochwalił Piotrowski. — Niech pan do niego czasem zagląda... Niewiedomo, co się może stać...

— Zwracam tylko uwagę, że to pachnie „czrezwyczajką!“ — przestrzegała Agnes.

— Dłaczego?

— Anarchiści są tolerowani, ale i podejrzani o związki z monarchistami...

— Gdzież znowu? Anarchiści?

— Tu wszystko możliwe! — przyznał Piotrowski.

— Ostatecznie monarchiści mogą anarchistów zmajoryzować — rzekł Zaucha. — „Przyleją się“ do



nich — jak się mówi w Krakowie — a jest ich niewątpliwie więcej, niż czciciele czarnego sztandaru.

— A teraz wynoście się, panowie, bo muszę tu kazać nakryć do kolacji. Bierzcie ze sobą szklanki.

Piotrowski zabawiał Zauchę przez chwilę opowiadaniem o swych interesach. Błaga, jakoby nie można było robić interesów za czasów bolszewickich! Oczywiście, nie jest to to, co dawniej, to znaczy — styl tych interesów jest inny. Można by raczej nazwać grą hazardową — ale wygrać można dużo. Naturalnie, niezbędny jest wielki spryt, zdobywczą śmiałość, jasnowidząca i przewidująca zdolność spekulacji i duża gotówka.

— Rzuciłem w grę całą gotówkę, jaką rozporządzałem — mówił Piotrowski. — Potrzebowałbym dziesięć razy tyle.

Agnes, zamyślona, siedziała w kącie i paliła papierosa.

— Mówicie, że Popiołka był wczoraj zły? — spytała, kiedy Zaucha z Piotrowskim przechodził koło niej.

— Bardzo zły. Nie w złym humorze, ale z głębi duszy. Wyglądało, jak gdyby go co w serce ugryzło — odpowiedział.

— Zdarza się czasami...

Ledwo odszedł od niej, znów uczuł nieczysty, duszący, brudny zapach.

— Muszę być bardzo zdenerwowany — pomyślał. — Mam hallucynacje węchowe... Albo może...

Zbliżył się znowu do Agnes.

— Co do Popiołki, to widzi pani, jest tak: Albo go coś złamało, może jakie nieszczęście wytrąciło go z równowagi i za to on chciałby się mścić, albo

też jest pod wpływem jakiegoś bardzo złego człowieka...

— Może być jedno i drugie — spokojnie odpowiedziała Agnes.

— Tak. Chcąc Popiołkę uratować, należało-by obie okoliczności dokładnie zbadać. Ja jednak powiem jeszcze, iż on przy całej swej nieobliczalności i dzikości, mimo wszystko, pójdzie za porywem serca... A wtenczas krucho będzie z tymi, którzy w zły sposób nadużywali jego słabości... Ten człowiek błądzi, lecz drogę swoją zna... Niebezpiecznie zwodzić go na manowce. On się na tem rozumie aż nadto dobrze, a za złośliwość odpłaca złośliwością... Ach, to pani używa tych nieprzyjemnych perfum!

— Doprawdy, tak nieprzyjemne?...

— Wprost mnie prześladują. Wszędzie je czuję.

## XXVI.

Kolacja była niemal wystawna: wytworne przekąski, ryba, jarzabki, tort, jabłka, pomarańcze, wino.

— Przepych, jak u jakich anarchistów! — żartował Zaucha.

Piotrowski skrzywił się.

— Jeszcze tak źle nie jest! Jeszcze z karabinem po bulwarach nie uganiam!

— A Popiołka zawsze wmawiał w mego męża, że on jest anarchistą! — uśmiechnęła się pani Luta.

— Mimo, że pan Piotrowski nigdy z karabinem po bulwarach nie uganiał? — z jadowitym uśmiechem wtrąciła Agnes.

— Moi państwo, możebyśmy choć przy kolacji dali spokój Popiołce! — zniecierpliwił się gospodarz. — Wciąż tylko o nim mówicie! Co za dziwna przyjemność!



— Wciąż o nim myślę. Kiedyśmy go poznali, wie pan, ledwo był wyszedł z tego strasznego obozu, zbiedzony, chudy, jak szkielet, obdarty. To, co opowiadał o swych przejściach, to było straszne... W zimie tułał się po Karpatach z jakimś bataljonem, który artylerja rosyjska osaczyła i nie wypuszczała go... Był mróz, tym biedakom wyszła żywność, sypiali na śniegu w swych cienkich, sukiennych, krótkich płaszczach... Mogli się swobodnie poruszać na pewnej przestrzeni, ale wyjść z niej nie mogli... I nawet poddać się nie było komu... Mój mąż, który dużo przecie widział, opowiadał mi.

— „Pan Piotrowski“, wy byliście na wojnie?  
— zdziwiła się Agnes.

Przez chwilę było zupełnie cicho.

— Ona z pewnością miała na myśli „tamtego“  
— przemknęło przez głowę Zausze.

Piotrowski z brawurą podniósł głowę i spojrzał Rosjance w oczy.

— Kto wie? Może i byłem? — odpowiedział, obcierając spocone czoło jedwabną chusteczką.

Mówił głosem spokojnym, równym, zupełnie opanowanym, ale Zaucha czuł, iż ten głos był istotnie „opanowany“.

— Droga Luto! Opowiadałem ci, co słyszałem od pana Popiołki, opowiadałem ci, o czym się oświadczyłem przekonane w obozie dla jeńców, a co było tak straszne, że wprost mnie przeraziło, choć, do prawdy, dużo już w życiu widziałem. Z tego jednak nie wynika...

Przerwał.

— Czemuż się zaraz wszystkim tak przejmować? Słabo ci?

Oczy młodej kobiety były wprost przerażone, twarz jej, pobladła, wylękłona, mocowała się przez chwilę ze wzruszeniem, wreszcie — osłabła. Nastąpił nagły wybuch płaczu.

— Eto czto takoję? — szepnęła Agnes.

Ale pani Luta wielkim wysiłkiem zapanowała nad sobą.

— Wyobraźcie sobie, że widziałam ducha! Albo że djabeł z za krzesła panny Agnes pokazał mi język.

— Rozstrój nerwowy! Błogosławione skutki waszej rewolucji! — warknął Piotrowski. — Brakowało jeszcze, żebyś i ty zaczęła zażywać morfinę!

— Łuczsze už kokain!

— Nie podsuwajcie mi swych trucizn! — odezwiała się pani Luta łagodnie. — Nie potrzebuję ich!

— Nikt cię przecie nie namawia! — zachnął się Piotrowski.

— Mam ja lekarstwo lepsze, którego wy nie znacie. Mam też sumienie, które nie ucieka przed odpowiedzialnością. A Popiołki mi żał dlatego, że on padł ofiarą... bez żadnej winy ze swojej strony...

— Nie wiem, żeby mu kto krzywdę zrobił...

— Są, widzisz, serca, które cierpią za drugich, nieswoim bólem, nieswojem nieszczęściem.

— A tak, są, i nawet ja te serca znam, dobrze znam! — uśmiechnął się z cieniem goryczy Piotrowski. — Popiołka z bólu za niedoznane krzywdy rabuje samochody na bulwarach, a ty znowu z bólu nad Popiołką, który ci przecie nic nie zrobił, i z którym na bulwary nie chodzisz, torturujesz swe otoczenie. Nie mówię już o sobie — popatrz, jak pan Zaucha wygląda! Tak, tak, mój panie, to są polskie serca, nadgryzione wiecznie, nadpęknęte, mało sł-



neczne. Francuz, Anglik będzie się cieszył nie tylko własnymi radościami, ale jeszcze z drugich coś miłego dla siebie wyciągnie. — Polak wiecznie szuka dokoła siebie nieszczęścia, a jeśli go we własnej kieszeni nie znajdzie, pożycza od drugiego. I to sztuka i tamto — mojem zdaniem jednak pierwsze sprzyja życiu i kulturze — drugie jest chorobą lub barbarzyństwem.

— Bo nie wiecie, ile piękna jest w cierpieniu! — mruknęła Agnes.

— A wy nie wiecie, ile piękna jest w radości. Co kto lubi! Bodajście się udławili pięknem wszystkich cierpień całego świata, czego wam życzy wasz szczerze kochający. — Amen.

— Dobrze. Chluśnie ono potem od nas na cały świat!

— Ej, nie! — zaprzeczył Zaucha. — Od Bałtyku do Morza Czarnego wykopieśmy szeroki kanał i ustawimy na swoim brzegu karabiny maszynowe. Do tego czasu wy zaczniecie znowu chodzić na czworakach, a że wówczas już dzikich ludzi na świecie nie będzie, więc Papuasi, Buszmani, Siuksy i inne Angliki będą przyjeżdżały do nas i będą się wam, jako rarytetom, przez lornetkę przypatrywały.

Zaucha wygłosił to proroctwo z taką ponurą zawziętością i taką pewnością siebie, że nawet pani Luta wybuchnęła śmiechem.

— Widzisz, że można się śmiać! — zwrócił się do niej mąż z łagodną wymówką. — I naco te smutki, te łzy? Masz przecie piękne mieszkanie, salony, toalety, brylanty, masz wszystko; brak ci czego?

Tu w głosie wytwornego pana zadźwięczała nuta jakby handlowa. Zausze zdawało się, że słowa jego mogły znaczyć:

— Uważaj! Zobowiązałem się do pewnych świadczeń materialnych. Zobowiązania dotrzymuję. Teraz ty zaczynasz odemnie żądać rzeczy, których niema w kontrakcie!

Ale czempředzej odsunął od siebie tę myśl, pełną jadu.

Pani Luta westchnęła.

Po kolacji usiedli w mniejszym salonie przy kominku, na którym płonęły smoliste polana sosnowe. Rozgorzały światłem precudne żyrandole, pani Luta jednak poprosiła męża, aby zgasił światło, mówiąc, że ją oczy bołą. Siedzieli tedy przy czerwonym blasku ognia, rozmawiając i popijając grzane wino czerwone. Agnes, zapatrzona w płomień, siedziała ponura, pani Luta otulała się szczerlnie pledem.

— Zadeklamujcie co! — poprosiła dziewczynę.

Artystka kiwnęła głową.

— Ale co? Ach, pan Zaucha mówił coś o Malajczykach... Niech więc będzie o Malajczykach... Pojedziemy daleko, na wyspy zielone...

Poprawiała się w głębokim fotelu, szukając najwygodniejszej pozycji, i w blasku ognia metalicznie mieniła się jej suknia, lyskając ciemnym bronzem w czarne, stalowe pręgi. Zausze zdawało się, że to żmija zwija się w kłębek przy ogniu. Wreszcie, podwinawszy pod siebie nogi, wtuliwszy się w miękkie wgłęcia pluszu i wychyliwszy ku płomieniom draieżną głowę z błyszczącymi oczami, zaczęła niskim, dźwięcznym głosem:

— I ty złamana będziesz, Ziemo! — Nie płacz. — Tak, i ty, nawet ty. — Nie płacz. — Miłości może żalować będziesz? — Lub tego, że pokryłaś sobą powierzchnię wody? — A może chcesz się żalić na trwanie czasu?



A naraz zapachniało słonem powietrzem morskim, zaszumiały fale i na niebie zarysowała się ostre liniami nakreślona sylwetka albatrosa. Skrzydło jego — nie skrzydło, a jatagan, dziób jego mocny jak miecz. Zawisła nad oceanem nieobjęta cisza, rozpięły się wielkie łuki tęczy — a potem pokazały się wyspy koralowe, nadmorskie ołtarze Wszechświata, monotonnie, jak niskie brzęczenie niewidzialnej struny, zahuczały fale, bijące o skały, wyrosły samotne palmy, zielonemi płomieniami tryskające w niebo, szmaragdowo-turkusową, pawia rozlewnością załśniły ciche wody laguny, ujęte w kwitnące brzegi, nad którymi, w sadach, opalowanymi kolumnami wstępują na wyżyny dymy z bambusowych chat, zbudowanych na palach. Oto podjęta z wygnanego piasku wybrzeża pstra muszelka, przytknięta do ucha, zaszumiała nieskończoną, odwieczną pieśnią mórz, oto rozdzwoniły się dzwony, rozkołysały się gongi „gamelanu“, zakwiliła smętnie struna arabskich skrzypiec, zagrzmiały rytmicznie bębenki. Smagłe, smukłe dziewczęta, opasane wzorzystymi „sarongami“, w lekkich, białych bluzkach, osłaniających ciemne pączki drobnych piersi, z czerwonymi kwiatami w czarnych włosach, zaczęły tańczyć, a długie ich, jakby bezkostne, brązowe, nagie ramiona węzowemi ruchami pełzły przez powietrze lub wypełniały je rytmicznym drganiem. Ktoś wszedł w koło, ktoś spojrzał, ktoś drugi przyglądał się temu z gąszczem i nagle zakwitły kwiaty uczuć, a nawet już urodziły się z nich owoce, dziwne, nieznaney barwy, kolczaste, słodkie, mocne, a z utajoną w swej słodocy trucizną.

A potem przyszły zakłęcia malajskie w przekładzie Balmonta:

— Wypuszczam strzałę — i Księżyc skrył się za chmury, wypuszczam strzałę — a oto czasza Słońca już ciemna, wypuszczam strzałę — i mglisto już tlą się gwiazdy, zadrzały, patrzą, szepcą między sobą. Nie gwiazdy ja razilem swą strzałą, nie Słońce i nie Księżyc nią przebiłem. W kwiatuszku utkwily wszystkie me strzały i płoną w nim, bo oto spojrzeniem poraziłem kwiat serca. Strzałę za strzałą puszczałem w serce, wychodź-że duszo...

Dziwnie deklamowała Agnes te zatrute wiersze.

Głowę cofnęła w cień tak, że tylko oczy jej świeciły czerwonym odbłaskiem ognia. Czasem poruszyła się. Wówczas cicho szeleściła jej suknia i połyskiwała miedzią i ciemnymi pręgami. Wyrazu jej twarzy nie było widać, tylko szept skandowany, skupiony, dobitny, syczący tryskał z cienia:

— Jeśli w nocy przy księżycu  
Śpisz — jak duch wnet do mnie przyjdź  
Ptaku nocy — cyp! cyp! cyp!  
Słyszysz? To drzwi cichy skrzyp —  
Fruń pod serce! Serce chwyć!

To znów przywoływała Ducha Ziemi:

Na biesiadę do mnie chodź,  
Za mym stołem łaskaw siadź,  
Wrogowi mną rozum zmać,  
Oszukaj go, zwiedź i kuś,  
Sięgnij mu do głębi trzew,  
Wejdź mu żywym ogniem w krew,  
Ruń na niego, zdław go, zduś...

To znów rzucała się na duszę jak jastrząb:

W dzień siedem razy się smuć,  
W noc siedem razy się zbudź.



Ja mówię: — Słuchaj! Tyś ma!  
Gdy w księżyc spojrzysz — to ja!

Ogień syczał zcicha na kominie.

Pani Luta słuchała zamyślona, jakby senna, otulając się tylko szczerzej pledem. Jej cicha, słodka twarz stawała się dziecinnie bezsilną, bezwolną, pokorną...

A Zausze przywidział się biały gołąb, hipnotyzowany przez węża.

## XXVII.

— Żałuj, że nie byleś. Zupełny skandal!

— I pocóż mam żałować, że nie widziałem skandalu? — irytował się Zaucha.

— Widzisz, ty leżysz wciąż na łóżku, w tym ciemnym, posępnym pokoju, a to wywołuje niezdrowe podrażnienie. Musisz się czuć źle! — tłumaczył mu łagodnie Chrobak.

— Nie chcę być ani szczęśliwy, ani zadowolony! — mruknął Zaucha.

— Ale widzieć coś trzeba, przyjrzeć się życiu...

— Nie chce mi się. Pójdę i zobaczę — skandal!

— Ale to było ciekawe!

I nie zważając na mało zachęcające milczenie towarzysza, opowiadał:

— W kawiarence było pełno. Urządzenie nędzne, drogo — ale ludzi kupa. Powiadam ci, to zastanawiająca rzecz! Pomyśl sobie u nas, w takiej Warszawie, codzienne wieczory poetów i to jeszcze w czasie rewolucji! Pies z kulawą nogą by nie przyszedł! A tu — pełnusienko!

— Snoby!

— Może być, ale to właśnie, że te snoby chodzą na wieczory poetów!

— Cóż dziwnego? Inteligencja idzie pokpić sobie z dziwolągów nowych proroków, a reszta spodziewa się skandalu. Byłem. Widziałem.

— No, jeśli tak, to wczoraj jedni i drudzy byli zadowoleni. Pomyśl sobie, wśród tej hołoty, wśród tych kanaliżymów rymujących pojawił się wczoraj — Walery Brjusow!

— Poeta? Przewodniczący moskiewskiego „Koła artystyczno-literackiego?”

— Żebyś wiedział. I wiesz, co czytał? Wyjątki z Owidjusza „Ars amandi” o wdziękach i doświadczeniu erotycznym starzejących się kobiet, wiersze Petronjusza i wreszcie swoje własne wiersze o niezaspokojonych Messalinach...

— Widzisz. Bydlę. To dla pieniędzy. Nie dziwię się zwykłym sutenerom poezji, którzy właściwie powinni-by handlować żywym towarem, ale Brjusow....

— A wiesz, kto ich skompromitował?

— Skądże mogę wiedzieć?

— Zgadnij!

— Ty.

Chrobak zachnął się.

— Niby dlaczego ja?

— A jakże mogę zgadywać, skoro nawet nie wiem, kto tam był?

— „Trzej Muszkietery” futuryzmu: Kamien-skij, Majakowski i Burluk. Wleźli ci naraz, skończywszy program w swojej kawiarni i zrobili awanturę. Zaczęli wierszami i prozą besztuć ordynarnie konkurencję, ale o mało się po pyskach nie pobili. „Gazetę futurystów” czytałeś?

— Czytałem.



— No i co?

— Nic.

— Jakto nic? Tam mnóstwo nowego...

— Niby co? Sztuka proletariacka? To samo mówiono o sztuce ludowej, to przecie jedno i to samo hasło... O potrzebie tworzenia nowego życia? To jeszcze kuplecista Jeremjasz żydom wyśpiewywał...

— Ale charakter tego wszystkiego, nowe słowa...

— Nie o nowe słowa idzie, tylko o to, aby słowa miały nowe światło...

— To da nowa technika pisania!

— Nieprawda, to da tylko nowy sposób odczuwania, może głębszy, może płytszy właśnie... U ciebie, Chrobak, wszystko jest w materji. Genjusz polega u ciebie na jakimś „tricku“ technicznym. Wczoraj mówiliśmy o nowych, współczesnych marionetkach. Ty mówisz, że cała sztuka polega na tem, aby zdobyć tajemnicę, które części lalek są z metalu, a które z drzewa... Jakbyś to wiedział, to jużbyś miał idealny teatr marionetek. A ja ci mówię inaczej: Z krowich ogonów porób lalki, a jeśli sztuka będzie dobra, będziesz miał idealny teatr...

— Jednem słowem — twojem zdaniem — Hamleta może grać byle kto...

— A nie gra byle kto?

Zaucha z wielką radością spostrzegł, że zabił biednemu Chrobakowi ćwieka w głowę.

Przez dłuższy czas panowało milczenie.

Chrobak był w koszuli, w czarnych, wyświechtanych i obwisłych ztyłu spodniach, grubemi, skręconemi fałdami opadającymi na białe stopy. Duże, czerwone, nogi z podniesionemi w górę wielkiemi,

palkowatemi palcami, wylazły z pod spodni jak ogromne ślimaki.

Po ciosie, jaki go spotkał, przyszedł już trochę do siebie, ale minę wciąż jeszcze miał głupią, niewyraźną, zdziwioną, wystraszoną. Chcąc zapomnieć, rzucił się w wir różnych przedsięwzięć, nosił się z planem urządzenia teatru marionetek, konferował w tym celu z Malinowską, sowieckim komisarzem dla spraw teatralnych, przedewszystkiem zaś namiętnie zajmował się gospodarstwem. W rzeczach żony znalazł parę garnków i mały „Primus“, który mu się nadzwyczajnie spodobał. Na tym „Primusie“ gotował — o ile oczywiście było co gotować. Szczęśliwym nazywał się dzień, w którym mógł dostać trochę ziemniaków i wędzonki.

Manja kucharska Chrobaka była w gruncie rzeczy zbawienną. Pusta kasa nie pozwalała na stołowanie się w „Kole Pań“, chodzili tam już obaj tylko na kawę i z utajoną nadzieją pożyczki. Żyli głównie tem, co Chrobak upitrasil. Ale wiele przyszło im zato wycierpieć od „świątecznego Primusa“, który, zdając sobie dokładnie sprawę z decydującej swej roli, strajkował podstępnie i zdradliwie z typowo bolszewicką złośliwością. Cierpiał on mianowicie na chroniczne zatkanie jakiejś dziurki, bez której nie mógł się palić, a tak mikroskopijnej, że w całej Moskwie nie można było znaleźć odpowiednio cienkiej igły. W takich wypadkach Chrobak brał swój „świąteczny Primus“ za łeb i zakasawszy rękawy, trzymał go całemi godzinami pod wodociągiem, dopóki woda łaskawie dziurki nie przepłukała.

Właśnie teraz nieubrany, nieuczesany i pociągający często kłiwie a żałośnie nosem, stał przy wodociągu, w zgrabiłych już z zimna palcach, trzymając



strajkujący „Primus“ pod cienką strugą wody. Dla rozrywki wszczął z Zauchą rozmowę o rzeczach wzniosłych. Zbity trochę z tropu przez towarzysza, pochylił w zamyśleniu czoło, gęsto pokryte głębokimi zmarszczkami zdziwienia i przez dłuższy czas przyglądał się strudze wody, omywającej czarne kształty maszyny.

— Bo ty niepotrzebnie ulegasz wpływom tych zwarjowanych mistyków — zaczął po namyśle. — Duch, duch i duch, potencja energii twórczej, misterja jakieś, a tymczasem w życiu jest wszystko proste i jasne.

— Chwała Bogu! Przynajmniej jeden się znalazł, dla którego na tym padole niema tajemnic.

— No, tajemnice są, ale tak długo, dopóki się ich nie pozna.

— Czyżby?

— Oczywiście. Masz na przykład aureolę na obrazach świętych. Myślałby kto, że istotnie święci emanują z głowy jakąś złotą jasność. A tymczasem, jeśli się studjuje sztukę, to się wie, iż pochodzenie tego zjawiska jest bardzo prozaiczne. Oto malarz przestylizował w ten sposób łajna ptasie, jakimi zwykle okryte były głowy posągów.

— Kto ci to powiedział? — spytał ze złowróżbnym spokojem Zaucha.

— Jakto? To ty nie wiesz o tem? Przecie to powszechnie znana rzecz! Tak wykladał jeden bardzo poważny uczony w Monachjum.

— Boże, co będzie, jeśli naród tych uczonych wygra wojnę! — jęknął Zaucha.

I uniósłszy się na łokciu, już chciał „wlecieć“ na swego towarzysza, gdy naraz Chrobak ryknął uradowany:

— Przepchał się! Przepchał się! Co za świetny „Primus!“ Idealny poprostu! No, teraz ugotuję ziemniaki!

— Twoje szczęście! — uspokoił się Zaucha.

— Powiadam ci, najemy się dziś, jak królowie!

A wyjąwszy z szuflady stołu kawałek wędzonki, położył ją sobie na ręce, plasnął po niej dłonią i wając, rzekł z lubością:

— Piękna wędzonka, co?

Perspektywa jakiego takiego obiadu łagodząco wpływała na humory. Ludzie byli przeważnie niedokarmieni, często wprost głodni, jak wilki. „Burżu“ otrzymywał zaledwie jedną ósmą część rosyjskiego funta chleba na dzień i funt cukru miesięcznie. Chleba już w sklepach dostać nie można było — tu i owdzie sprzedawano tylko placki kartoflane. Chałwa orzechowa też zniknęła z handlu, sprzedawano zamiast niej jakieś czarne paskudztwo, słodzone lukrecją lub też żelatynowe, barwione „trzęsionki“ na sacharynie. Zaucha nie był smakoszem, ale brak cukru i tłuszczu po pewnym czasie dał mu się uczuwać w zupełnie wyraźny sposób, zaś siły opuszczały go do tego stopnia, iż zaledwie sześć godzin na dobę zdolny był do normalnego życia. Nie nogi już, lecz wszystkie kości bolały go przy chodzeniu, w nocy zasnąć nie mógł z głodu, zaś budził się zlany potem i tak osłabiony, że przez dłuższy czas zwykle leżał bez ruchu, jak martwy.

Nigdy i nigdzie nie myślało się tyle i tak intensywnie o jedzeniu. Cała Rosja bolszewicka rozbrzmiewała bezustanku jednym jedynym słowem „chleb, chleb, chleb!“ Większa lub mniejsza racja chleba decydowała teraz o ludziach. Kartki chlebowe były paszportem, dyplomem urzędniczym, hono-



rowym — wszystkim. Chleb stawał się skarbem, bogiem, życiem, miłością, źródłem szczęścia i zadowolenia, marzeniem. Jakiś biedny urzędniczyna w Piotrogradzie, złapawszy żonę i siostrę na tem, że zjadały mu jego porcję chleba — zabił je.

Tak wytworzyła się atmosfera kultur najniższych, atmosfera, jaka przejściowo może być w nędznych obozowiskach Indian, Eskimosów, czy innych nomadów — atmosfera głodu. Wyjawszy myśl o jedzeniu, każda imna traciła realną podstawę, nie miała racji bytu. Hasła ideowe zbłądły, stały się humbugiem, służącym do wydarcia naiwnym chleba dla siebie. Głód zabił duszę. Zamiast etyki zaczęło się krystalizować coś w rodzaju „Prawa dżungli“, w którym wciąż powtarzało się tylko „będziesz jadł“, „nie będziesz jadł“ i „chleb, chleb, chleb, chleb!“ Tym wabikiem zbudzone, zrywało się w duszach ludzkich chciwe padła ptactwo drapieżne, wychodził z ukrycia zwierz bezlitośny. Obluda, kłamstwo, zdrada czyhały na każdym kroku. Ludzie lubowali się w nikczemnościach i w podstępnej, okrutnej przewrotności.

Trudno było tem powietrzem oddychać.

Zmącił się, zamglili duchowy pryzmat Zaucha, a kontury widzianych przezeń ludzi stały się nieczyste do tego stopnia, iż biedny, udręczony i prze-czulony wygnaniec wołał na nich nie patrzeć. Ile razy przypominał sobie Popiołkę, zawsze przychodziła mu na myśl jego czarna, niesamowita sylwetka, mającą groźnie za czerwoną, krwawo-ognistą szybą. Serce bolało go, gdy rozpamiętywał fanatyczne, zawzięte twarze „czarnogwardziejców“ grupy „Topór“. Wzdrygał się na wspomnienie Agnes, podejrzliwie krążył dokoła Piotrowskiego, a nawet

piękność pani Luty jakoś przybladła mu, jakby skalaną tem wszystkim niskiem i nieczystem, co się dokoła niej zebrało.

Nic dziwnego, że ogarnęło go wielkie zniechęcenie. Czuł, że dusza jego jest w szponach tragicznego zwątpienia i brak mu już było sił do obrony. Myśl o Polsce dawniej wykrzesywała z niego jakby promień jasny, cudowny, boski. Gdy myślał o Ojczyźnie, widział ją promienną, słodką, uśmiechniętą, różowo-błękitną. Przypominały mu się wszystkie jej krainy, wszystkie widziane krajobrazy, rzeki, góry, lasy... Teraz mrok gęsty wisiał nad tą ziemią ukochaną, zasnutą ciemnościami jakby na zawsze.

— Co będzie?

Patrzył w głąb serca swego, bo serce zawsze wie wszystko. Ale i tam nie było odpowiedzi.

A na świecie powoli robiła się wiosna. Zaczęły na podwórzach kurzyć „tajaki“, rynsztokami rwały strumienie wody, przetarło się zwolna niebo i stało się blado-niebieskie, coraz dłużej i jaśniej świeciło słońce — tylko, że blask jego nie budził energii, nie rodził nowych sił. Kielkowała wiosna w przyrodzie, nie w sercach ludzkich i Zaucha, przysiadając na bulwarach w swych codziennych wędrówkach do „Koła Pań“, pierwszy raz w życiu niemal z pogardliwą obojętnością przyglądał się coraz soczystszej zieleni trawników. Tak, tak, z pewnością zakwitnie bez i iwa i białe jej puch znów chmurami popłynie przez wielkie place, ulice, przez aleje kremlińskiego parku, może nawet słowiki nocami śpiewać będą — ale człowiek nie rozkwitnie! W człowieku na długo już złamano wiarę we wszelką wiosnę, na długo oduczono go śmiechu i pieśni.



Chrobak wciągnął Zauchę w „śpiewający podwieczorek“, który organizował z „łaskawym współudziałem“ różnych osobistości w jednej z nowozałożonych kawiarni. Ponieważ właścicielami jej byli Polacy, Chrobak utrzymywał z nimi dobre stosunki, przez co stale miał zapewniony lokal. Kawiarnia była znana i aż nawet głośna w Moskwie, jako jaskinia spekulacji. Dwa razy na dzień, w południe i nad wieczorem, zgromadzała się w niej ohydna publiczność, bez cienia elegancji nie tylko w ubraniu, ale nawet w ruchach, mnóstwo pokracznych figur zezowatych, krzywonogich, brudnych, o drapieżnych minach, a wszystko niesłychanie impertynenckie i aroganckie. Wśród tego kelnerki — w połyskliwej tafcie, w ażurowych pończoszkach i lakierowych pantofelkach, drobne, chude, z minami ptaszków, w małych, koronkowych fartuszkach, podskakiwały, kokietowały i pozowały, wyginając się, jak baletnice i strzelając oczami z pod uczernionych brwi. W dymie i gwarze nurzał się zrozpaczony gospodarz, sztywny, drewniany Poznańczyk, pijący wciąż w głębi lokalu wódkę z jakimś bydlęciem w mundurze i z czerwoną, złotem wyszywaną przepaską na ramieniu.

— W Warszawie ręki-bym mu nie podał — mówił raz do kogoś gospodarz, ale tu muszę z nim pić, bo na wypadek „nalotu“ w nim cała nasza nadzieja.

Bydło owo, wiecznie zalane, było komendantem trzeciego rewolucyjnego pułku moskiewskiego, z pochodzenia Polakiem, a przesiadując stale przy rzekomo rumuńskiej kapeli nad szklanką spirytusu.

bezustanku kazało sobie grać pieśni polskie i „Mazurek Dąbrowskiego“.

Ku swej niewypowiedzianej rozpaczyci musiał tu teraz Zaucha wysiadywać długie godziny, czekając na niepunktualnego Chrobaka, który tę właśnie kawiarnię obrał za swą siedzibę i w niej omawiał ze swym sztabem szczegóły „śpiewającego podwieczorku“. Przychodzili różni wychudli literaci, malarze, ofiarujący swe utwory na „amerykańską licytację“, zawstydzone malarki, zapoznane artystki, pragnąc odświeżyć przygasłą świetność swego zapomnianego imienia. Z pomysłów, które Zausze wydawały się beznadziejnie idiotycznymi, Chrobak sklecał „program“, wyciągał jakąś realną treść, modelował znośną całość.

Siedząc tak raz w kawiarni i czekając na swego towarzysza, zauważył Zaucha kręcącego się po kawiarni Szymkiewicza. Szukał widać kogoś, bo wyciągał swą grubą szyję i zaglądał we wszystkie kąty, poczem, niezdecydowany, zwrócił się ku wyjściu. W tem wpadł ktoś na niego, odwiódł go trochę na stronę, poszeptał z nim coś i potrząsnawszy nerwowo jego ręką, chciał wyjść.

— Dobrze, dobrze, ja poczekam! — wołał za nim Szymkiewicz po rosyjsku.

Że to był on, nie ulegało teraz dla Zauchy żadnej wątpliwości. Poznał jego głos, wysoki, skrzeczący.

Szymkiewicz zaczął się teraz oglądać za wolnym stołem. Wszystkie były zajęte, tylko Zaucha siedział sam. Ku niemu zbliżył się Szymkiewicz.

— Wolno?

— Proszę.

Ciężkie spojrzenie oczu błaznowato-drwiących



niby, lecz ołowianych i twardych, musnęło twarz Zauchy, po fałdowanym czole coś się przewinęło.

— Przepraszam pana. Czy my się przypadkiem nie znamy z Kijowa?

— O ile mówię z panem Szymkiewiczem, to tak...

— Pan Zaucha? Dawno niewidziany! Proszę, proszę! A to spotkanie!

Podał mu rękę.

— Gdzież się pan podziewał? — pytał Zaucha. — Ślad wszelki po panu zaginął.

— Uczyłem się, proszę pana. Nie wierzy pan? Ja, stary, uczyłem się, jak mnie pan tu widzi. Mogę powiedzieć, że byłem na uniwersytecie. Przeszedłem wyższy kurs szkoły życia.

— Gdzież to?

— Na świecie. Podróżowałem dużo. Było się na wozie i pod wozem — rozmaicie bywało. Ale przynajmniej — nauczył się człowiek czegoś na starość. No, i cóż pan na bolszewizm?

— Ja? Nic. Co kto lubi.

Obrzękła, ciężka twarz filuta-kpiarza, udającą powagę, patrzyła na niego twardo, nieruchomo.

— A pan — nie lubi. Tak. No, to prędzej czy później stanie pan pod murem. Musi pan stanąć. Sam pan pod ten mur przyjdzie, aby zginąć.

— Dlaczego?

— Tak musi być. Przypomina pan sobie — po straceniu Karoliny Corday był taki moment. Szał ludzi ogarnął. Sami pchali się na gilotynę. Bo, widzi pan, kto bolszewizmu nie lubi, ten nie wytrzyma, nie zniesie życia.

— A pan lubi?

— Szalenie. Jestem bolszewikiem do ostatniej

kropli krwi i dzielam całą duszą wszystkie ich radości i smutki.

— Dlaczego?

— Nie kłamię.

Zaucha parsknął śmiechem.

— Nie wierzy pan? Nie zna pan nauki bolszewickiej. Faktycznie, nie zna pan Marksa.

— Istotnie. Znam go mało. Zato znam dobrze „Manifest Komunistyczny“ i pamiętam jedno zdanie, które mi najzupełniej wystarcza.

— Proszę?

— Dosłownie to brzmi tak: W Polsce popiera ją komuniści partję, która w agrarnej rewolucji widzi warunek odzyskania niezależności narodowej, tę samą partję, co wywołała krakowskie powstanie w r. 1846.

— Partję Szeli — jednym słowem? — uśmiechnął się Szymkiewicz.

— Szeli i c. k. komisarzy austriackich.

— Dobre! — pokiwał głową Szymkiewicz. — Oczywiście to anachronizm! Ale dobrze, że panu skóra na myśl o tem cierpnie. Bo cierpnie, nie?

— Tak... Cierpnie.

— A mnie to cieszy. Niechże pan powie, kto z nas w dzisiejszych czasach może być szczęśliwszy? A tam, w tym manifestcie, powiedziano też: Proletariat nie może się podnieść, nie może się urządzić, zanim całe ponad nim z warstw oficjalnego społeczeństwa wzniesione rusztowanie nie wyleci w powietrze. Jak się pan mógł przekonać, nie są to bynajmniej czcze pogroźki. Rusztowanie sypie się... co, rusztowanie, cały gmach! A taki był ciężki, tak solidnie zbudowany!

— O ile sobie przypominam, pan sam zajęty był



swego czasu przy konserwowaniu owego gmachu i czuł się pan w nim wcale wygodnie, znacznie wygodniej aniżeli na przykład ja, człowiek wolnego zawodu.

— Tak, panie. To było zbudowane tak, że przy bezmyślności można się było czuć wygodnie. Przy wielkiej, poważnej bezmyślności.

— A nigdy pan nie próbował myśleć w tym „gmachu“?

— Próbowałem, ale — zaprzestawałem tych prób, ponieważ prowadziły one do dysharmonji, która mogła mi zatruć ten kieliszek wódki w południe lub tę bombę wieczornego piwa, jedyne, co miałem. Tak, panie, historia pocziwego, dobrodusznego i lekkomyślnego Ezawa jest wieczna. Sprzedawaliśmy pierworodzstwo za kufel piwa. Miałem czas myśleć o tem, stary „regime“ dał mi ku temu wyborną sposobność. Siedziałem ja, mój panie, w twierdzy za szpiegostwo na rzecz Austro-Niemiec.

— Coś o tem słyszałem — przyznał się Zaucha, nie mogąc się zdobyć na komedję zdziwienia i współczucia.

— Tak, panie. Siedziałem — a szpiegiem nigdy nie byłem. Dziś bardzo tego żałuję. Widzi pan, co za idyotyczne zamglenie mózgu. Wstręt mnie ogarniał na samą myśl o tem, że mógłbym być szpiegiem, a niby — dlaczego nie? Do licha, my, Polacy, mieliśmy chyba prawo do handlowania tajemnicami wszystkich państw. A pomijając już to, zdaje mi się, że każdy człowiek ma prawo do zdradzania tajemnic skrytobójcy, przygotowującego się do napadu na kogoś...

— Za pieniądze?

— Wszystko jedno. Otóż, proszę pana, „gmach“. Państwo, społeczeństwo, wszystko idealnie zorganizowane, legalne... No, i ja — mały sobie człowieczek, i drugi pan, też skromny, jak ja „bieżeniec“. Poróżniliśmy się. Proszę pana, ten mały człowiek, mój bliźni, usiadł, pomyślał i jednym małym słówkiem cały ten „gmach“ zwałił mi na głowę: żandarmerię, policję, prokuraturę, władze wojskowe, znawców zaprzysiężonych, lekarzy — wszystko, cały aparat, w którym on sam niczem nawet nie był. W biały dzień, na oczach ludzkich, nie swojemu nawet, lecz cudzemi rękoma pogrzebał mnie żywcem. Otóż ma pan swój „gmach!“ Tyle władz, tylu ludzi inteligentnych i ostatecznie bezstronnych jeden sprytny człowiek wywiódł w pole! Aparat!

— Sądzi pan, że tu lepiej?

— Jaśniej. Prościej. Jeśli jestem „burżujem“, czeka mnie śmierć.

— Niewinnie!

— Panie! O to mogę w celi więziennej Panu Bogu wyrzuty robić, ale w duszy świadomość jest. Ginę, ponieważ jestem burżujem, to znaczy — wilkiem czy baranem, jak pan chce. Winą i zbrodnią wszystkich stworzeń jest tylko to, że są sobą. Tak samo dziś z burżuazją. Dawniej, oczywiście, tego nie wiedziałem, ponieważ również byłem „burżujem“, gdy jednak wsadzono mnie do kryminału i zrobiono ze mnie proletariusza, pojąłem rzecz najkompletniej.

— Znowu sprawa osobista!

— A jaka ma być? — zaśmiał się Szymkiewicz.

— Więc pan, chłop stary, wierzy w bezinteresowną robotę „dla idei“? Nie wiedziałem, że pan jeszcze daje się brać na takie plewy. A może pan przypusz-



cza, że sprawa, która dla setek milionów ludzi jest „osobistą“, jest sprawą kwestji lub życia, staje się przez to mniej świętą lub ideową? Tak, ma pan słuszość, bolszewizm to nie abstrakcja, to „sprawa osobista“ każdego bolszewika. Tem bije. Tem zwycięża. Rzecz jest przecie zupełnie prosta! Gdyby Polska była „sprawą osobistą“ każdego Polaka, dawno już stała-by na własnych nogach i nie potrzebowałaby się bać bolszewizmu.

— Mówi pan o setkach milionów bolszewików? Trochę pan fałszuje tę statystykę.

— Być może, że przesadzam. Dziś nie przyznają się ludzie do nas narazie — ze strachu. Nie wiedzą, czy wygramy. Ale jak ujrzą, że się udaje, przyłączą się wszyscy. Bo powiedz mi pan, co może komu zależeć na tem, żeby nie był bolszewikiem? Człowiek, żeby mógł żyć spokojnie, będzie panu, czem pan chcesz, jak i był, jak i był!

— I cóż pan zamyśla robić? — spytał, przechodząc na inny temat.

— Narazie robię tu interesy. Byłem w Taszkientcie komisarzem bolszewickim, mam stosunki, dostęp łatwy, a to się w dzisiejszych czasach oplaca. A potem — jadę do kraju, gdzie postaram się bolszewizmowi przygotować drogę.

— Niemcy pana nie puszcza.

— Mam świadectwo, iż więziono mnie za szpiegostwo na rzecz Austro-Niemiec. Tak lojalnego poddanego nie będą prześladowali.

— Mimo to nie zdaje mi się, aby pańska propaganda bolszewizmu mogła mieć w kraju wielkie powodzenie. W Bogu i w policji mam nadzieję, że pana tam dokumentnie zamkną.

Szymkiewicz parsknął śmiechem.

— Za co? Czy pan sądzi, że ja jestem z rozumu obrany? Że stanę na krakowskim rynku i zaczęnę krzyczyć: „Ludzie, kłaniajcie się Leninowi!“ Nie, panie. Ja nie mam zamiaru wyklądać teorii bolszewizmu, ja go ludzi nauczę praktycznie, ja bolszewikiem *będę* — a to wystarczy. A to, może pan być pewny, padnie na bardzo urodzajny u nas grunt.

— Chciałby pan te kwiatki czerwone przesadzić na nasz grunt?

— Cała przyjemność będzie po mojej stronie. I nie trzeba wcale cudów na to! Byle tylko rozdmuchać wszystko, co w duszy polskiej jest niegodziwego tak w burżuazji, jak i w ludzie, a zabawa gotowa! I to jaka! Jak to święty Jan mówi do anioła: — Zapuść twój sierp ostry, a zbieraj grona winnicy ziemi: bo dojrzałe są jagody jej. I zapuścił anioł sierp swój ostry na ziemię, i zebrał winnicę ziemi, i wrzucił w każdą gniewu bożego wielką. I deptano każdą przed miastem i wyszła krew z kadzi aż do wędzideł koniskich...

— Tak pan mówi? — rzekł Zaucha, któremu naraz oczy błysnęły. — A zatem statystykę będziemy prawdopodobnie prowadzili z bronią w rękę...

— Policzmy się na polu bitwy!

— Bądź pan jednak pewny, że jeśli się tam spotkamy, ułatwię panu wysoką sytuację.

— Ja zaś wszelkie oparcie — o mur! Widzi pan, jak to szczerze mówi się pod panowaniem bolszewickim. Prawda aż tryska z człowieka. Ale o to mój Moskal! Zdieś, zdieś, Iwan Piotrowicz! Pan pozwoli? Na chwilę...

Zaczęło się handryczenie z agentem.

— A pan go zna? Kto on taki? — pytał Szymkiewicz.



— Nie, ja go bliżej nie znam! — odpowiedział Moskal.

— Więc jakże można ręczyć za niego i dawać mu pieniądze? On je może nawet oddać, ale za pół roku. Nie rozumiem pana. Krzyczy pan wciąż, że panu mało zarobku. Daję panu zarobić, ale przecie wolę mniej, lecz pewne... Nie, ja teraz jeszcze nie wyjeżdżam. Owszem, jadę do Pitra na jakiś tydzień, może dziesięć dni, ale wrócę... Mam tu jeszcze interesy... Stanowczo do tygodnia musi się to wszystko wyjaśnić... Tych czterdzieści tysięcy da mi pan, jak wrócę z Pitra, a jeśli się cukier nadarzy, niech pan dla mnie kupi... To chodźmy!

Szymkiewicz wstał i zapinając swój wytarty i wystrzępiony paltot, zwrócił się jeszcze do Zaucha:

— Więc tak, szanowny rodaku! Życie to rzecz bardzo pouczająca. A panu poradzę: Niech się pan weźmie do roboty! Ani biały, ani czerwony — tak bez interesu szwendać się podczas rewolucji po świecie — niezdrowo! Sabotaż do niczego nie prowadzi. Niech się pan zgłosi do komisarza Leszczyńskiego, on pana zatrudni. Jak wrócę z Pitra, będę mu mógł za wami słówko szepnąć...

Podał mu rękę i wyszedł.

## XXIX.

Zły i smutny siedział przy swym stoliku Zaucha, gdy wtem ruchem, pełnym łagodnego wdzięku i wytwornej elegancji, osunął się naprzeciw niego na stołek pocziwy Chrobak, a wskazując zarazem na torebkę, którą położył na stoliku, rzekł z miłym, obiecującym uśmiechem:

— Tania zjawały!

— Co ty znowu pleciesz? — zdziwił się Zaucha.

— Te, chciałem powiedzieć, jawa staniały! — poprawił się.

— Człowieku, bój się Boga, gadać po ludzku nawet nie umiesz! „Tania zjawały!“ Co za kretyn! I to mi jeszcze z uśmiechem obwieszcza!

— Eee, bo taki jestem zdenerwowany! — skrzywił się prześladowany biedak. — Te chamy, bolszewiki, zatopiły pasażerski statek „Rostow nad Donem“. Parę tysięcy ludzi utonęło. Statek już wypływał do Konstantynopola.

— A niby co ciebie to obchodzi?

— Tym statkiem miała jechać moja żona z Janią...

— Masz tobie! To fatalne!

— Właśnie. Może były na statku, może nie... Ani się dowiedzieć, ani porozumieć...

— Toś ty istotnie biedny! Ot, czasy! Dokąd spojrzeć — nieszczęście.

— Tylko, że to jeszcze niepewne. Bo a nuż one nie tym statkiem jechały! A zato dostałem przez „Czerwony Krzyż“ wiadomość, której możesz mi pogratulować. Zostałem właścicielem hotelu w Tarnopolu.

— Jakim cudem?

— Ojciec mój zmarł, a ja jestem jedynakiem. Bardzo mi ojca żał, nie uwierzysz, jak go kochałem... Od pięciu lat już cierpiał na rozmiękczenie mózgu, ale hotel bardzo porządny...

Zaucha już istotnie nie wiedział, co miał na to odpowiedzieć.

— A wiesz ty, u kogo ja dziś byłem? — odezwał się po chwili Chrobak.



— Nie.

— Zgadnij!

— Sto razy ci już mówiłem, że nie chcę zgadywać, nie jestem wcale ciekawy.

— Byłem u twojego Popiołka. Chciałem się dowiedzieć, czyby się nie podjął robienia lalek dla naszego teatrzyku marionetek. Powiedział, że nie potrzeba marionetek robić, że można już żywe angażować. Filozof!

— Może ma słuszość. Zdaje mi się, że on sam jest taką marionetką. A cóż zresztą?

— Miotacze min ustawiali. Zbroją się. Radzę ci, ostrożniej z nimi, bo możesz się wplątać w jaką historję.

— O mnie się Popiołka nie pytał?

— Nie.

— Był pijany?

— Trochę, ale nie bardzo. Ja osobiście nie lubię go, ale szkoda chłopca.

Zaucha pokreślił się na stołku.

— Mnie go też żal. Obiecałem niby — nawracać go, ale sam czuję się moralnie podle, a jeszcze drugim morały prawić! I wkońcu — co z nim zrobię? Powiem mu, żeby wracał do kraju, to pójdzie na włoski front lub na albański, a tu — niema nic.

Ale i tak nie uniknął zetknięcia się z tem kołem ognistem, które go poraz wtóry boleśnie sparzyło.

Pewnego dnia szedł ulicą Twerską z zamiarem wstąpienia do kawiarni „Boma“, słynnego „clowna“, Polaka, znanego zbieracza karykatur i autografów. „Boma“ znał, a ponieważ słyszał, że go niedawno za jakiś dowcip w cyrku zbito, a nawet chciano rozstrzelać, myślał, że może dowie się od niego szczegółów. Już był niedaleko, gdy wtem przed samą ka-

wiarnią rozległo się kilka strzałów rewolwerowych. Zrobiło się zbiegowisko, zlecieli się milicjanci, a wśród wykrzykujących, wzburzonych ludzi Zaucha ujrzał — Drozdowskiego.

— Tragedja małżeńska! — objaśniał ktoś z uśmiechem na twarzy.

Zaś Drozdowski, szarpiąc się z milicjantami, opowiadał: Sam, na własne oczy widział swą żonę, wchodzącą do „Boma“ w towarzystwie kochanka i kilku jego znajomych. Kiedy wszedł do kawiarni, żona uciekła przed nim do toalety, a kochanek jej i jego przyjaciele wyrzucili męża zdradzonego za drzwi. Oburzony do żywego tem postępowaniem, on, Drozdowski, nie panując już nad sobą, strzelił kilka razy w ulicę, jak gdyby do wroga swego strzelał.

— Warjat! Warjat!

— Ale przecie nikogo zabić ani zranić nie chciał.

— Da wied' wy ranili mienia w nogu! — krzyczał jakiś żołnierz.

— No i cóż wielkiego?

Milicjant przystawił Drozdowskiemu lufę karabinu do brzucha.

— Chodźcie ze mną!

— Uważajcie, panowie, on ma jeszcze jeden rewolwer w kieszeni! — rozległ się okrzyk.

Milicjanci zrewidowali Drozda i istotnie wyciągnęli z kieszeni palta wielki, żołnierski „Nagan“.

— Brać go w uczałek. Jazda z nim!

— Towarzysze! — wystąpił teraz Zaucha. — Wysłuchajcie mnie! Ja tego człowieka znam. On chory — epileptyk, nałogowy alkoholik, zupełnie niepočitalny. Wiem, gdzie on mieszka, lepiej do domu go odwieźć, żonie oddać... To ojciec rodziny... Poco go po uczastkach włóczyć?...



— Tak, tak, naco go na sumienie swoje brać!  
— zawtórował ktoś mięszego serca.

— Przecie on mnie ranił! — krzyczał wciąż żołnierz. — W nogę ranił!

— Ja was odprowadzę na stację ratunkową! A jego w sanki wsadzić i do domu odwieźć! Poco chorego po więzieniach włożyć? Pijanica — wiadomo — każdemu może się zdarzyć!

Po krótkiej dyskusji Zaucha wygrał. Zawołano „izwozcika“, wsadzono na sanki miotającego się gwałtownie Drozda.

„Izwozcik“ zaciął konia.

— Maładiec! — zwrócił się po pewnym czasie z uznaniem do Zauchy. — Udało się wam. Kiedyindziej na sztuki rozszarpaliby człowieka...

Ledwie weszli do małych, niskich pokoiów, gdy za nimi wpadła, jak burza, pani Drozdowska.

— Co ty za awantury wyrabiasz, warjacie nieszczęsny! — wleciała na męża, jednym rzutem oka na Zauchę przekonawszy się, że nie potrzebuje się nim krępować. — Oszalałeś? Chcesz, żeby cię na ulicy kijami zabito, jak psa? I do kogo strzelałeś, dlaczego, poco?

— To ja? To ja? — jękał Drozdowski. — To ty teraz *mnie* awanturę robisz? Jak śmiesz? Nałgałaś, sam cię na gorącym uczynku złapałem.

— Na jakim uczynku? Że z kilku twoimi znajomymi, czy nawet przyjaciółmi poszłam do kawiarni? To jest gorący uczynek? Mój drogi, jakbym ja myślała o jakim gorącym uczynku, to-bym z pewnością nie szła do kawiarni, gdzie mnie każdy może widzieć...

— Czemu uciekałaś przede mną do wychodka?

— Wiem, że jesteś zdenerwowany, podrażniony, chciałam uniknąć publicznej awantury. Ty się z niczem nie liczysz, gotów byłbyś bić mnie na środku kawiarni...

— Bić? Ja cię kiedy biłem?

— Abo ja wiem, co ci może przyjsć do głowy?...

Jeśli kto na ulicy strzelać potrafi...

— Poco chodziłaś do Popiołki?

— Masz pieniądze?

— O, widzi pan! — zwrócił się Drozdowski do Zauchy. — Tak się ze mną postępuje! O co tylko spytam, zaraz — „masz pieniądze?“ Taka to już natura! — syknął z nieopisaną nienawiścią. — Ona wszystko za pieniądze!

— Wymyślaj mnie, poniżaj, przy obcych, jestem przecie twoją żoną! Na to ja mam pilnować swej dobrej sławy, abyś ty mógł ją szargać. Pytam się, czy masz pieniądze, bo od dwóch dni na życie mi nie dajesz, a ja dziecku jeść dać muszę!

— Nie mam! Rozumiesz mnie? Nie mam!

— Widzisz! A ja mam! Mam pieniądze i mam wódkę dla ciebie.

To mówiąc, sięgnęła do głębokiej kieszeni sukiennej, brązowego płaszcza angielskiego i wyjęła z niej dużą butelkę, którą postawiła na stole.

— Od kogo to? Od Popiołki? — krzyknął, wciąż jeszcze nieugięty.

— Od Topora. Wiem, że z Popiołką się gniewasz.

Naturalnie — kłamała.

— Tak. Topór dobry chłop. I pieniądze ma, bo na nic nie wydaje — uspokoił się Drozdowski. — Nie mogłaś to więcej wódki wziąć?... Na rano nie będzie...



— To spirytus. Będzie na dwie butelki.

— Czysty spirytus? Pokaż-no!...

Prosto z flaszki pociągnął łyk.

— Dobry. Mocny. Nie denaturat.

Zaucha podniósł się.

— No, to skoro wszystko dobrze się skończyło...

— Niech-że pan nie ucieka... Tak pana nie puszczę... Napijemy się po kieliszeczku wódeczki... Tu dobry literek jest... Będą dwie buteleczki wódeczności...

Drozdowski na sam widok wódki zapomniał o wszystkim. Uśmiechał się, żartował.

— Niech pan przy nim chwilę zostanie! — prosiła pani Drozdowska. — Muszę przynieść coś do jedzenia i odebrać dziecko od sąsiadki.

— Tylko naprzód daj mi wody, żebym mógł zmieszać spirytus! — zniecierpliwił się mąż.

Zaucha przyglądał się młodej kobiecie. Nie była ładna, cerę miała gąbczastą, wyszarzałą, a jej pospolitą twarz, chmurną, nieuprzejmą, szpeciły głębokie zmarszczki nie tyle może troski, co irytacji i złości. Była ordynarna, trywjalna, nieprzyjemna.

Podawszy mężowi wody i pokręciwszy się po pokoju, wyszła, trzaskając drzwiami.

Drozdowski naprędce zmieszał w szklance trochę wody ze spirytusem i wziawszy butelkę, przeprowadził Zauchę do drugiego, również biednego i niskiego pokoiku. Przysunął do łóżka stół, postawił na nim szklankę i flaszkę, pociągnął spory łyk i wyciągnawszy się na łóżku, zapalił papierosa.

— Widzi pan — mówił — to łóżko i to okno — mój cały świat. Nigdzie mi się nie leży tak wygodnie, jak tu i niema na świecie miłszego dla mnie

okna. To mój kinematograf, raczej — mój ekran. A tu aparat —

Pokazał na serce.

— a tu światło! — uśmiechnął się, podnosząc szklankę z wódką do ust.

Zaucha zrobił niewyraźną minę.

Drozd poprawił się na łóżku.

— Pan, jako niepijący, nie rozumie mnie. Widzi pan, człowiek, jako taki, jest wogóle — niepełny. Rzadko zdarzają się ludzie, którzy zupełnie mogą na sobie poprzestać. Wierzę niezłomnie, że dusze nasze są niezmiernie piękne i szlachetne, ale w materji — łamią się w czyny niezrozumiałe, czasami potworne. Miłość odgaduje to piękno duchowe, chce mu pomóc do zwycięstwa. Niech pan sobie wyobrazi, że pan jest na wyspie nimfy Circe i w jakimś wieprzu odgaduje pan swego brata. Mówi pan do niego jak do człowieka i on może pana nawet rozumieć, chciałby się dać poznać, a zachowuje się, jak świnia. Nie może rozbić tej swej powłoki. To, proszę pana, stosuje się tak samo dobrze do mnie, jak i do innych...

— A cóż z tem wódka ma do czynienia? Czy to nie ona jest właśnie ową Circe?

— Powierzchnownie rzecz biorąc — tak. W gruncie rzeczy jednak — właśnie ona pomaga zaklętej w człowieka duszy zapomnieć o ciele. Przy najmniej u mnie. Pan mówi — wódka. To nie jest wódka — to jest cicha, wielka, gorejąca rzeka, którą płynę ja, liść. Nade mną niebo mieni się, jak w tem oknie. Gęstnieje zwolna w zmrok szaro-błękitny, później stanie się ciemno-niebieskie, wreszcie czarne. Z ciemności rodzą się gwiazdy. Nie potrzeba mi firmamentu niebieskiego. Krew na siatkówkę mego oka rzuca nigdy nie powtarzające się obrazy,



cały wszechświat goniących się i ścigających gwiazd, komet, słońc i księżyców. Czem-że są one gorsze od tamtych światel w przestworzu?

Popijał zwolna wódkę i mówił coraz bardziej do siebie.

— Widziałem, jak pan przyglądał się mojej żonie. Nie jest pokaźna. Pan Bóg się na nią nie wysadził. Ja sam — choć wiem, choć znam tajemnicę, a tajemnicę swoją ma każda istota — dziwię się nieraz i myślę sobie: Szary proch ziemski. Ale ja ją widziałem w przemienieniu i mówię panu: Dusza jej różowa jest i mieni się jasnemi iskierkami. Czemu ja tej różowości błyszczącej nie mogłem z niej wydobyć, czemu ona w niektórych tylko godzinach zstępuje na nią i ogarnia ją zaziemskiem światłem — tego nie wiem. Mimo całej miłości nie zdobyłem klucza do jej duszy. I już. I powiem panu, że Popiółka też nie jest zły. Duszę ma aksamitno-czarną, miękką, w boleśnie czerwone pioruny ogniste. Każde dotknięcie zjeża delikatny puch jego aksamitu duchowego i to go strasznie boli. Myśli pan, że ja nie wiem, czego on ode mnie chciał? Dobrze wiem. Chciał, żebym go zastrzelił. Bo on się strasznie męczy, gorzej ode mnie. I znacznie nędzniejszy jest, biedniejszy ode mnie. Ja się bodaj upiję, a on się upić nie może.

Westchnął.

— O, jak mi dobrze! Całe moje ciało, żyły, nerwy — wszystko wyciągnięte jest jak struna. A jednego razu Bóg duszę mą nałoży na tę strunę, pociągnie — i pójdzie strzała cicha w nieskończoność...

Zasnął.

### XXX.

Naraz przecie błysnął jakiś promień.

Do „Koła Pań“ przyleciał zadyszany Chrobak. Ujrawszy Zauchę, zdaleka już zaczął mu dawać tak radosne, a tajemnicze znaki głową i oczami, iż wszyscy to zauważyli. Przysiadłszy się do swego towarzysza, jeszcze raz kiwnął mu zachęcająco głową i obwieścił uroczyście:

— Szukał cię ktoś w hotelu.

— Kto?

— Zgadnij!

Zaucha zbladł i kurczowo zacisnął widelec w ręce.

— Nie mów, nie mów, już wiem, co chcesz powiedzieć! — uprzedził Chrobak wybuch. — Otóż: ucieszysz się! Szukał cię pewien twój przyjaciel. Bardzo sympatycznie wygląda, ale to ogromnie sympatycznie...

— I czemuż cię to tak dziwi? Czy wszyscy moi przyjaciele muszą być podobni do ciebie? Któż to był ten przyjaciel?...

— Zgad... Przepraszam!

Spojrzał na Zauchę znacząco i rzekł:

— Skibiński!

— Nie znam żadnego Skibińskiego!

— Jakże nie! Opowiadał mi, żeście razem byli w Odesie!

— Żałuję bardzo, ale nigdy nie byłem w Odesie.

— Ależ mieszkaliście nawet razem. Ożenił się z waszą kuzynką.

— Ach, Niwiński! — domyślił się wreszcie Zaucha.

— No, pomieszało mi się! Niwiński, Skibiński

— niwa, skiba, od roli, jednym słowem. Aleście



w Odesie razem byli? Zapomniałeś, że byłeś w Odesie? To dziwne! Co za krótka pamięć!... Jak można tak zapomnieć?

— Nigdy z Niwińskim nie byłem w Odesie, tylko w Charkowie!

— To, to właśnie, w Charkowie, w Charkowie! — zgodził się Chrobak.

— Gdzież on jest? — ucieszył się Zaucha.

— Powiedział, że tu przyjdzie, tylko teraz poszedł spać, bo zmęczony bardzo.

— Mieszkanie ma?

— Ma. Na Krywokolennym, w tej „bursie“.

— Aha! To on prawdopodobnie w konspirację „wdepnął“. Może się od niego wreszcie czego dowiemy.

Stały Zausze w myśli biedne „dacze“ dalekiej gminy wygnańczej, gorzki chleb nędzy i długie dni tęsknoty. Przyszła rewolucja, zdawało się, że nieśie wyzwolenie, a oto był to tylko huragan, który jeszcze raz rozmiótł wygnańców po wielkim i wrogim świecie. Lata mijają, rządy się zmieniają — a wciąż to samo wygnanie, to samo „przemaalowywanie paszportów“, to samo szeptanie w cichych kątach i ta sama groza prześladowania i katuszy.

Późno już było, gdy wreszcie pokazał się Niwiński — obrośnięty, zaniedbany, ale zdrów, zamaszysty i pełen energii. Oczy mu świeciły życiem i humorem. Zauchę uściskał, że aż biedakowi żebra zatrzeszczały, pannę Ewcię wziął szturmem i mimo późnej godziny zdołał przecie uzyskać jaki taki kawałek pieczeni i trochę ziemniaków.

— Żonę zostawiliście w Kijowie? — spytał Zaucha.

— Dałem jej dwa paszporty, każdy na odpowiednią okoliczność i kazałem jej jechać do rodziców, do Lwowa. Pewnie już jest w kraju.

— A sami co robicie?

— Dokuczam Austro-Niemcom i bolszewikom.

— To znaczy: co robicie? Co się wogóle robi?

— A wy nic nie wiecie?

— Nic. Taką tajemniczością wszystko okryte, że niczego się domyślić nie można. A ponieważ, z drugiej strony, faktycznie nie widać, aby się cokolwiek robiło, więc możecie sobie wyobrazić, jaki jest nastrój...

— Jaki? Bo ja nie wiem.

— Podły. Zupełny upadek ducha. Marzy się o Niemcach, zdając się na ich łaskę i niełaskę. Wszyscy rwą się do domu, a niektórzy powarjowali i idą na lep sowietom.

— Nie można się dziwić! — odpowiedział Niwiński. — Ludzie przedewszystkiem nie wiedzą, co się dzieje, a tu im żyć ciężko.

— A niby — cóż się dzieje takiego?

— No — wojna przecie jest! Myśmy wojny jeszcze nie skończyli i nie przegrali!

— Gadajcież wyraźniej, bo nie rozumiem.

— Mówię, zdaje mi się, do rzeczy.

— Faktem jest, że rewolucja rosyjska położyła kres naszej akcji wojskowej i tu i tam. Piłsudski aresztowany.

— Siedzi w Magdeburgu.

— Jego brygada nie istnieje. Dowbór też się nie liczy.

— Tak jest. Ale Haller rozbił Austriaków pod Rarańczą i organizuje korpus na Ukrainie.

— Wiecie sami, że to nie ma szans.



— Być może, choć — nie wiem. W każdym razie robi się, co można i co się robić powinno.

— To bardzo problematyczne.

Zaucha uśmiechnął się.

— Jak człowiek nic nie ma, prócz problemów — zaczął mówić — to mu się bić nie chce i nie ma się też o co bić, bo *myśleć* wolno każdemu, jak chce. Ale ja mam po tamtej stronie żonę z dzieckiem, którą kocham, i do której pragnę się dostać. Dlatego wiem, co robić. Mam program.

— Mianowicie?

— Prowadzić wojnę przeciw Austro-Węgrom do upadłego.

— A środki?

— Środki dyktują mi okoliczności.

— Na ten przykład?

— To każcie mi dać kawy.

Zaucha skoczył.

Panna Ewcia znalazła się tuż za drzwiami, w drugim pokoju.

— Panno Ewciu, moje złoto, moje kochanie, kawy jeszcze niech nam panienska przyniesie.

— Nie wiem, czy będzie.

— Panno Ewciu, ten człowiek zdaleka przyjechał, zmęczony bardzo, niechże się panna Ewcia nad Polakiem dobrym zlituje!

— Otóż słuchajcie! — wykladał Niwiński. — Wielka wojna toczy się wciąż i ten front jest zachwiany, rosyjski front...

— Rosyjskiego frontu nie ma! — zachnął się Zaucha.

— Ale armia niemiecko-austriacka jest tu zajęta i ma związane ręce. Nam przecie nigdy nie zale-

żało na tem, aby Moskałe Niemców pobili, lecz aby się bili tak długo, póki Niemcy nie zostaną pobite.

— I cóż my teraz możemy zrobić?

— To się pokaże. W kraju jest wielkie niezadowolenie, rozgoryczenie. Pokój brzeski oburzył ludzi, skompromitował państwa centralne. Tam pracuje już konspiracja.

— Nie blagujecie?

— Nie.

— A jakiż sens ma ta konspiracja?

— Widać jakiś sens ma, inaczej-by jej nie robiono. Teraz idzie o to, co *my tu* mamy zrobić. Tu ruchem całym kieruje Francja, nasz najbliższy i najbardziej przyrodzony sojusznik. Jej też na froncie wschodnim najwięcej zależy i w tej robocie my jej pomagamy.

— Ładnie pomagamy. Dowbór zawarł układ z Niemcami...

— Dowbór miał się połączyć z korpusem czeskim, ale zapóźno się do tego wzięto. Potem może nie miał wyboru. Nie wiem, bo tam nie byłem. Zresztą „co, jak, gdzie“ to głupstwa. Na wojnie trzeba się liczyć tylko z faktami. Dość, że go niema. Stądowisko bolszewików nie jest silne, a jak długo ono nie jest silne, Niemcy muszą się mieć na ostrożności, bo es-erzy, gdyby doszli do władzy, z pewnością próbowaliby zmontować przeciw nim front. Francja pomaga „białogwardyjcom“ nad Donem i na Kaukazie, pomaga es-erom, pomaga oczywiście kozakom, Dutowowi w Orenburgu, nam, Czechom...

— A cóż Czesi?

— Zerznęli Niemcom jedną dywizję pod Bachmaczem, a teraz stoją na linii syberyjskiej. Naszą rzeczą jest iść na rękę Francuzom. Więc zakładamy



polskie rewolucyjne związki wojskowe po miastach. Nad Donem już jest garstka, kupa ludzi w Woroneżu, trochę tu, zresztą — są nasi wszędzie.

— Bójcie się Boga! — wykrzyknął Zaucha. — Przecieto nie ma sensu!

— To *ma* sens! — odpowiedział Niwiński z przekonaniem.

— Słuchajcie! Jeśli es -erzy wygrają, będą nam tak samo nieżyczliwi, jak bolszewicy!

— To się rozumie!

— Jeśli nie wygrają — bolszewicy nas wytłuką.

— Oczywiście.

— Idąc przeciw bolszewikom, idziemy razem z reakcją!

— To niech bolszewik mi zarzuca. Dla mnie jego teorie socjalne mogą być nawet bardzo szanowne, o ile on mi nie przeszkadza w zmocowaniu wschodniego frontu. A jeśli tak jest, że on przeszkadza i pragnie klęski Francji, to ja przeciw niemu występuję i wicherzę mu, choćby wbrew przekonaniom socjalnym.

— Na czym polega ta robota?

— Konspiracja. Ludzi trzeba zbierać w gromady, organizować pod najrozmaitszymi pozorami, nieraz jako organizacje bolszewickie. Czasem faktycznie nie znają właściwego celu — liczy się na nastrój momentu. Czasem naszych rzekomych bolszewików przeplata sieć prowokatorów bolszewickich. Nigdy niewiadomo, z kim się ma do czynienia. Teraz, jak się to już weźmie w garść, trzeba utrzymać w kupie, zaopatrzyć w broń, w amunicję. Tę broń i amunicję zdobywa się różnymi sposobami. Kupuje się lub — kradnie. Trzeba też utrzymywać kontakt wzajemny, kontakt z Hallerem, z Archangielskiem,

z Wologdą, gdzie są zagraniczne misje wojskowe — a wszystko to jest niezmiernie trudne i niebezpieczne i wymaga ludzi pewnych, odważnych, z zimną krwią i niemałym sprytem. Pomocy absolutnie nie ma od nikogo i nikogo nie można o nią prosić, żeby nie skompromitować, bo miłosierdzia niema. Robota trudna i niesławna...

— A rezultat?

— Póki sowjety nie mają dość sił, trzymamy je w szachu.

— A kiedy będą miały sił dość?

— Zmierzymy się!

— To szaleństwo! Rozbiją was!

— Ale my niemniej skompromitujemy ich pozycję przed całym światem i Niemcy przekonają się, że na sowjetach polegać nie można, bo one same bezpiecznie nie siedzą. Oto, co my robimy. Ach, kawy jeszcze, znakomita tu kawa! Dawno już nic podobnie dobrego nie piłem. Panno Ewciu!

Już stała we drzwiach.

— Może panienczka jeszcze kawy... Uu, jakie kocie oczęta... Ależ świecą...

— Więc powiadacie, że bolszewicy dokuczają wam?

— Strasznie.

Tu twarz Niwińskiego spowaźniała.

— Czerwyczajka nie pardonuje. I'm vy sorry — ale to, co my robimy, istotnie podkopuje, podminowyywuje rządy sowjetów. Zarzucić nam niczego otwarcie nie mogą — żadnego naszego wystąpienia przeciw nim nie było, lecz oczywiście w danym razie.... A oni wiedzą, że ten „dany raz“ od nich zależy, od ich polityki wobec Niemców i nas... Krępuje ich to w bardzo przykry sposób... Prawdo-



podobnie mają wobec Niemców jakieś zobowiązania, których nie mogą wypełnić... I za to się mszczą... Krwawo!

— Więc to tak niebezpieczna historia?

Niwiński pokiwał głową.

— Ilu oficerów i łączników już zginęło, ile kurjerów, chłopców dzielnych, Polaków dobrych... I nikt nigdy nie będzie nawet wiedział, gdzie leżą, nikt się o nich nie upomni, nikt nie zażąda zadośćuczynienia za męki im zadane. To nic, że rozstrzelują, jak psów, gdzieś pod płotem, czy za wychodkiem stacyjnym na kupie nawozu, to jeszcze nic... Przeważnie torturują dla wydobywania zeznań w śledztwie, a po śledztwie torturują dla własnej przyjemności. Słuchajcie, nie bluźnię! Męka Chrystusa niczem jest w porównaniu z temi męczarniami, w których streszcza się cała odwieczna, niepojęta nienawiść Moskale do Polaka i jego zwierzęca, dzika dusza. Nie bójcie się, nie robi nam nikt łaski na świecie! Za pomoc drogo płacimy Francji najzacniejszą krwią swej młodzieży! Ale — coś się robi! A kto z nas jest w tej robocie, ten wie, że wcale nie jesteśmy tak bezsilni, jakby się zdawało. Powiadam wam, Zaucha, Polacy — to morowy naród!

— Co mówicie? Istotnie?

— Co za ofiarność! Co za bogactwo poświęcenia! Jaki bajeczny, wielkopański gest cichego bohaterstwa! Pomyślcie, wyobraźcie sobie dwudziestoletniego chłopca, ubranego jak zwykły żołnierz, udającego sałdata rosyjskiego. Gdzieś na jakiejś stacji czy w herbaciarni — łapią go. Sam jeden wśród mrowia wrogów. Dom, swoi — daleko, pojęcia nawet nie mają, nie przypuszczają, że jego, pieczołowego, głaskanego po głowie, na tortury bierze jakaś

histeryczna żydowica, jakiś kat rosyjski, jakieś bydle... Nie przyznaje się do narodowości polskiej, gra swą rolę, a ot — przypadkiem — medalik nierosyjski, na bieliźnie jakiś znak, ręce małe i potem orgia straszna w jakiejś piwnicy zakrwawionej, gdzie kości trzeszczą.... Mało to ich ginie, zacnych chłopców?

— Brrr! — zatrzęsł się Zaucha. — Nie chciałbym ginąć na rosyjskim gnoju...

— Nikt nie chce. I to w taki sposób w dodatku! I znow z rąk tych ludzi! Ale cóż? Robić trzeba! A przytem:

— mało nas, mało nas,

a ty, Józiu, chodź do nas!

Zaśpiewał Zausze refren dziecinnej piosenki.

— Długo tu zostajecie?

— Nie. Jutro jadę do Wołogdy, potem — nie wiem, Ale teraz będę tu częściej bywał, a może nawet czas jakiś zabawię, wypocznę. Porządnie się zmachałem w ostatnich czasach. No, chodźmy, polazimy trochę po mieście.

W drugim pokoju zastali pannę Ewcię.

— Panienska czyta? A co takiego? Można zobaczyć?

Niwiński przystąpił do panny Ewci i zaczął z nią baraszkować.

— Chodźcie, chodźcie! — wołał Zaucha zażenowany trochę tą „niegodną“ lekkomyślnością.

— Dziwne macie maniery! — dziwił się, gdy już byli na ulicy. — Jak to można... jedno z drugim tak godzić?...

— Znakomicie pomagają!

— Ależ żona!

— Otóż właśnie! — roześmiał się Niwiński. — Odkąd jestem żonaty, mój stosunek do kobiety wo-



góle stał się bliższy i poufalszy. Zdaje mi się czasem, że jestem mężem wszystkich kobiet na świecie... Myślałem o tem nieraz i przyszedłem wkońcu do przekonania, że na świecie jest zawsze jeden Adam i jedna Ewa, stworzeni dla siebie...

— Socjalizacja kobiet! — zachnął się Zaucha.  
— I na was rewolucja rosyjska już działa.

— Gdzietam! Zupełnie się już nią nie zajmuję. Ale nie trzeba robić tragedji z byle czego! Socjalizacja kobiet zawsze istniała i nie jest wcale wymysłem komunistycznym. Tu, w Rosji, ona może mieć wygląd znacznie dzikszy, niż gdzie indziej. Ale między nami mówiąc, gdyby nawet do tego doszło, to będzie to znowu „Porwanie Sabinek“, jedno z milionów w historii... Czekajcie! Co oni tu mają?

Stanęli przed wystawą księgarni.

— Nic nadzwyczajnego...

Stali chwilę, przyglądając się książkom.

— Więc powiadacie, że „czrezwyczajka“ nie żartuje? — spytał Zaucha, powracając do myśli, która go wyłącznie zajmowała.

— O, to okropne rzeczy! O „czrezwyczajce“ najlepiej nie mówić, bo człowieka, nad którym ona wisi, to formalnie ubezwładnia, a w każdym razie osłabia... Rozumiem walkę, ale „czrezwyczajka“ to nie walka, lecz tortura beznadziejna... A jak oni szpiegują, żebyście wiedzieli!...

Nagle w nozdrza Zauchy uderzył znany mu wstrętny, duszący zapach, a tuż za nim zabrzmiał niski alt:

— Zdrastwujcie, „pan Zaucha“.

W szybie wystawowej, jak w lustrze, ujrzał ciemną twarz Agnes i jej błyszczące, ogniste oczy.

### XXXI.

Agnes, elegancka, wyświeżona i błyszcząca, jak motylek, wpadła do Popiołki. Przynosiła ważne wiadomości, lecz piękny i słoneczny dzień tak na nią podziałał, że nie chciała poważnie o nich myśleć. Trzepotała się, jak ptaszek, szczebiotała jak mała dziewczynka, a zastawszy Popiołkę w korytarzu przy liczeniu granatów ręcznych, pociągnęła go za sobą, prawie przemocą zawlokła do jego pokoju, pchnęła go na fotel i skoczywszy mu ze śmiechem na kolana, całowała go, swiergocąc od czasu do czasu:

— Jaki cudny dzień, mój Ada drogi! Niebo błękitne i jasne, jak uśmiechnięte oczy bogini greckiej. Chciałam ci przynieść jaki kwiat, ale nie mogłam nigdzie znaleźć dość czerwonego... Więc zamiast kwiatu przynoszę ci pocałunek wiosny... swój własny, czerwony...

Niemal ugryzła go w usta, co kochanek przyjął jednak bez widocznego uniesienia.

— Czy nie chcesz przypadkiem wierszy deklamować? — zapytał.

— Ach, daj spokój! Chcę żyć! Co mi po wierszach? Te martwe słowa żyją tylko przezemnie... Poezja, to mój wampir, mój upiór... Ssie ze mnie moją młodą krew! Wyganiam ją dziś, bo sama chcę żyć... Wiosna się w duszy mej zbudziła, chcę żyć swą wiosną... Patrz! Rozwieszam w powietrzu migotliwe girlandy swego uczucia, zielone festony miłości... Pragnę ciebie!

Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Jaka cudna rzecz rewolucja! Ach, rewolucja jest najukochańszą córką wiosny! Patrz, ja, gorąca,



żywa, pełna miłości, tulę twą głowę w ramionach, a wieści, które przyniosłam, są przestrogą śmierci...

— No! No!

— Przestrzegam cię! Sowjety mają was już dość i chcą przeciw wam wystąpić. Podobno anarchiści piotrogrodzcy i kronsztaccy marynarze planują zamach na sowjety. Bolszewicy chcą zamach uprzędzić.

— Bardzo słusznie. Zawsześmy się tego spodziewali. Jesteśmy gotowi.

— Tak spokojnie to mówisz?

— Prawdopodobnie spokojniej niż Swierdłow lub Dzierżyński. Oni mają wszystko do stracenia, my nic.

— Ale oni mają siły...

— My też. Kto wie, czy wystąpienie sowjetów przeciw nam nie będzie słowem, które zerwie lawinę?

Agnes spojrzała mu głęboko w oczy.

— Tak myślisz?

— Ja nic nie wiem. Ja idę przeciw sowjetom ze swą setką ludzi...

— Idziesz przeciw sowjetom! Przyznajesz to?

— Skoro sowjety idą przeciw mnie...

— Jakiś ty piękny! — wykrzyknęła Agnes zachwycona. — I nie przeraża cię, że jeśli żywy wpadniesz w ręce Dzierżyńskiego, pójdziesz na torturę? Będą was wypytywać o związki z Francuzami, eserami, reakcją, monarchistami. — Sam rozumiesz, iż są to dla Dzierżyńskiego rzeczy zbyt ważne, aby nie próbował się do nich dostać wszelkimi sposobami. Będzie dobierał wszystkich możliwych kluczków. W ostatnich czasach w „czczewczajce“

pracują Chińczycy. Bardzo to jest wynalazcza i wy-myślna publiczność.

Popiołka wzruszył ramionami.

— Wam jeszcze Chińczyków potrzeba! — rzekł lekceważąco.

— Ach, jakież to wszystko wstrząsające, jakie patetyczne, jakie tragiczne! — zachwyciła się Agnes. — I pomyśleć, że takie rozmowy przeplata się pocałunkami, że o tem mówią zakochani, patrzą sobie tkliwie w oczy... A jeszcze pomyśl, gdyby tak kochankowie spotkali się w miejscu tortur... Ona jako komisarz czczewczajki, w czerwonej czapce frygijskiej na głowie, on — wydany na mękę...

— Nie masz fantazji, droga Agnes! — rzekł Popiołka. — Spróbuj wyobrazić sobie, że bolszewicy żywcem mnie nie dostaną...

— Mogą cię wziąć rannego, gdy będziesz leżał bez przytomności... Lecz gdyby tak się stało — ja cię ocale!

— Dziękuję ci!

— Zmęczony jesteś, mój rycerzu! Pracowaliście dużo w ostatnich czasach! Wiesz, bakchiczny szal budzi się we mnie... Chciałabym muzyki i wina. Dlaczego nie urządzają wielkich, wspaniałych świąt rewolucyjnych? Niebo takie cudne... Pomyśl, na placach wzorzyste sofy, wyniesione z domów, przykryte makatami lub kobiercami wschodnimi i piękną, naga młodzież ukwiecona, tańcząca... I wino, wino... Daj mi się czego napić, Ada!... Rozruszaj-że się trochę!... Taki jesteś spokojny, jak gdybyś był smutny, lub jak gdybyś się bał!

— Nie jestem smutny, lecz — nudzę się. Wiosnę już umiem na pamięć. Zresztą — humoru nie mam.



Dźwignął się leniwo, zakrzętnął się i wkrótce postawił na stole dwie szampanówki, pełne złoto-czerwonego rumu.

— Pij-że! — zapraszał ją.

A potem dodał z ironicznym uśmiechem:

— Akt drugi się zaczyna.

Wypiła duszkiem wraz z nim.

— Ach, jakie to dobre! — wykrzyknęła z zachwytem. — Jakie dobre! Akt drugi — powiedziałeś? Jaki akt? O czym myślisz? Z pewnością o jakichś złych rzeczach! Ach, Popiołka, słońca niema w twojej duszy! A ja o czym myślę? Chciałbyś wiedzieć, bo pewnie to jakieś rzeczy potworne, krwawe... O, mój kochany, daj mi jeszcze tego rumu, a powiem ci, o czym myślę... I pij! Pij wraz ze mną!

Oglądnęła się po pokoju, jakby szukając czegoś.

— Dlaczego u ciebie kwiatów niema? Ach, ty chmurny, chmurny mój bohaterze! Spójrz na moje ręce!

Wyciągnęła ku niemu dłonie małe, wąskie, brunatne, usiane błyskami złota i drogich kamieni.

— Spójrz! Oby tych rąk ledwo starczyłoby na parę skrzydeł dla motyla, może na parę skrzydeł dla kolibra. A ręce to skrzydła duszy, kochanku, i jak na skrzydłach motyla wypisane są runy jego losu, tak na skrzydłach — dłoniach wypisane jest przeznaczenie człowieka. Spójrz na ręce moje i pomyśl: Czy mogą to być skrzydła potwora? A oto te dłonie kładę ci na czoło, aby usunąć z niego zmarszczki złe i chmurne! Uśmiechnij się!

— I do czego ja się mam tak ciągle uśmiechać? Do sera? — zirytował się Popiołka.

— Nareszcie zaczynasz mówić po swojemu, mój niedźwiedziu! — roześmiała się. — Do mnie

się uśmiechnij, bo teraz pokażę ci się, jaką jestem. Oto, widzisz, człowiek rzadko kiedy może pokazać się takim, jakim jest... Nie zna się! Może parę dni w roku jest sobą, a może tylko raz na całe życie! Lecz wtenczas odpychać go nie trzeba. A dziś — dziś ja jestem małą dziewczynką, biedną, głupią, och, jak głupią, próżną i żądną pieszczoty, słodczy i lalek. Lalkę chciała-bym mieć!...

— I włosy — byś jej zaraz powyrywała!

— Może być — potem! Jeśliby mnie życie nie odepchnęło, jeśliby nie przyszedł ktoś, kto by utrzymał ten migocący we mnie promień słoneczny... Bo taka krzywda się mści... Ale dziś niema we mnie nic, prócz jasności i dobroci... Ada, mój Ada, napijmy się jeszcze tego ognia płynnego...

Mówiła, jakby zawstydzona.

— Od rana myślałam o tobie, tak ciepło, tak szczerze... Chciałam cię czemś ucieszyć, chciałam ci coś dać! I oto — popatrz, co kupiłam!

Pełnym wdzięku ruchem uniosła trochę suknie — Widzisz jakie piękne! Ciemno - purpurowe, pończochach.

— Widzisz jakie piękne! Ciemno-purpurowe a mienią się złotem... Przypatrz się!...

Usiadła na fotelu na poprzek i przerzuciła nogi przez poręcz.

— Podobnoś to ręczna robota, wschodnia... A wiesz, kto mi o tem powiedział? Jakiś pan, Polak, który właśnie przyjechał ze Wschodu... Mówił mi, że takie tkaniny, to specjalność Tekny... I pokazało się, że ten pan zna i ciebie i Piotrowskich!... Piotrowscy mi nawet o nim wspominali, zwłaszcza pani Luta kilkakrotnie mówiła... Ach, jakże się nazywa, no? Nie mogę nigdy spać tych waszych



polских nazwisk... Przyjechał niedawno z Turkiestanu, z Taszkientu... Pan Piotrowski miał z nim nawet jakieś zajście... No, Malinowski, Wojciechowski... Przypomnieć sobie nie mogę... Popiołka, jakże on się nazywa?

Anarchista patrzył na nią wciąż zimno, spokojnie, drwiąco. Wreszcie wypił duszkiem swą szklance, postawił ją na stole i zapytał:

— Kto?

— Ten twój znajomy z Turkiestanu, z Taszkientu...

Wzruszył ramionami.

— Ja tam miałem najmniej z tysiąc znajomych.

— Ale ten człowiek miał tam jakieś starcie z panem Piotrowskim!

— O niczem nie wiem!

— Mniejsza już z tem, jak on się nazywał! O co im poszło, nie pamiętasz? Ciekawe, o co można się poróżnić z tak gładkim człowiekiem, jak pan Piotrowski?

— Ale wiesz, że one istotnie mają złocisty połysk! — odpowiedział Popiołka, przyglądając się z zajęciem pończochom Agnes. — Dużo też za nie dałaś?

— Powiedzieć ci prawdę?

— Jak chcesz.

— Nie kosztowały mnie nic. Kupił mi je ten twój znajomy z Turkiestanu...

— Bardzo możliwe. Ale w takim razie mogłaś zażądać od niego paszportu, bo z pewnością był w twoim pokoju.

— Brutalny jesteś!

Obraziła się i schowała nogi pod suknię.

— Akt trzeci! — mruknął Popiołka.

— A ty wciąż grasz komedię? — syknęła Agnes.

— Nie. Ja zrobiłbym to wszystko prościej. Przyszedłbym i powiedziałbym: Popiołka, bolszewicy wystąpią przeciw wam i może być, wpadniesz w ich ręce. Zechcę ci uratować, jeśli powiesz mi nazwisko pewnego pana z Turkiestanu, którego przyjazd Piotrowskich zaniepokoił, a którego nazwiska ja się od nich dowiedzieć nie mogę. O!

— Więc?

— Nic. Ja nie wiem.

— Pomyśl, że z tobą może być bardzo źle.

— Myślałem. A teraz dalej?

Siedziała dłuższy czas, paląc w milczeniu papierosa.

Słyszała, jak napełniał swoją szklankę.

— Musi w tem wszystkiem coś być — rzekła — bo jesteś nadzwyczajnie ostrożny.

— Istotnie. Jest. I nawet z przyjemnością powiem ci, co. A jeśli chcesz się teraz napić, to służę ci chętnie...

— Chcesz mi osłodzić pigułkę?

— Właśnie. Czy ja co wiem, czy nie wiem, to druga rzecz. Między nami sprawy stoją tak: Z właściwą sobie zarozumiałością wyobraziłaś sobie, że jesteś demonem. Ułożyłaś sobie rolę, grasz ją i zdaje ci się, że ją grasz świetnie. A zaś ja widzę jedno jedyne: Brak talentu. Jesteś poprostu głupia. Żeby ci to pokazać, ja mam się przed tobą na ostrożności. Czy co taję — niewiadomo. Ale, że ty przy najlepszej reżyserji nic ze mnie nie wyciągniesz, to pewne. Powiadam ci, kobieto, źle jest z tobą: Talentu nie masz ani za grosz. Jesteś za podła, aby móc być mądrą i dlatego w twojej sztuce niema sensu. Wyglą-



dasz w swej roli jak pajac. Nie tworzysz lecz blaznujesz. Więc cóż dalej?

— Dalej? Dalej — pamiętaj, że jest tu jeszcze pan Zaucha, który zaczyna dość ciekawie wyglądać. Wiem, że mieszka z byłym jeńcem, który chciał wstąpić do wojska polskiego. Wczoraj widziałam go znowu z jakimś podejrzanym człowiekiem. Bywa u ciebie — widziano go w różnych grupach anarchistycznych, a wiadomo, że to nacjonalista polski. Wszystko to razem jest podejrzane. Co na tem jest, też niewiadomo, ale — można będzie poszukać. Będziemy dobierali kluczy.

Popiołka, który właśnie przechylił był szklanke, parsknął takim śmiechem, że aż prychnął przez nos i zakaszał się.

— Zaucha! — śmiał się, kiedy wreszcie przyszedł do siebie. — Więc i Zaucha! Bardzo dobrze! Będzie miał nauczke! A mówiłem idocie, żeby nie robił neutralnego, bo prędzej czy później wpadnie! Owszem, bierz Zauchę!

— Prawdopodobnie dowiemy się czegoś od niego!

— Prawdopodobnie! I to ja wam daruję. Daleko z tem zajdziecie.

— Dziwne rzeczy! Zaucha nawracać cię chciał, przyjaciel twój niby, a ty go tak łatwo wydajesz!

— Przyjaciel! — pogardliwie bąknął Popiołka. — Ja mogę zginąć za dwa, trzy dni — będę się troszczył o los jakiegoś „burżuazji“, co z nim po mojej śmierci się stanie! I cóż mnie to może obchodzić? Agnes, gdyby rodzonym moim bratem był, cóż mnie on obchodzić może, gdy umrę? Pomyśl tylko, dziewczyno głupia, czem mnie straszysz. Nie, zupełny brak talentu, bezmyślność skończona...

Omal, że zębami nie zgrzytnęła.

— A swoją drogą ty musisz dużo wiedzieć! — szepnęła po chwili. — Poprostu — zasięki druciane w mózgu pobudowałeś.

— A wiem, wiem dużo i coś niecoś mogę ci nawet powiedzieć...

— Naprzykład?

— Kanalia jesteś!

— Przecie coś! — uśmiechnęła się.

### XXXII.

Smutne były w tym roku Wielkanocne Święta, smutne i głodne. Tylko nieliczni bogacze wyjątkowo mogli sobie pozwolić na tradycyjny „kulicz“ i „paschę“. Biedne, małe i niepozorne „baby“, upieczone z wyskrobków dawnych dóbr, okryte serwetami, niesiono do cerkwi ukradkiem, aby nie budzić zawiści i mściwej zazdrości biedniejszych — a zdarzało się, że głodni czy źli ludzie napadali na niosących je i zabierali nawet te nędzne bułki. Podczas nabożeństwa nocnego mdleli ludzie, osłabieni postami zbyt wyczerpującymi przy niedostatecznym odżywianiu się. Żałobnie i pokutnie brzmiały dzwony, zwiastujące Zmartwychwstanie Umęczonego, a cierpienia Jego stały się ludziom zrozumialsze i bliższe.

Zaucha przegłodował święta wraz ze swym pocziwym towarzyszem. Chrobak, wygrzebawszy gdzieś trochę maki żytniej, próbował zrobić z niej kluski, w rezultacie jednak ugotował szarą bryłę kwaskowatego, zlepionego ciasta, zresztą od dłuższego już czasu żyli obaj herbata, kapustą i odrobiną chleba.

W Wielką Sobotę Zaucha, który cały dzień nie wychodził z domu, zapragnął przejść się nad wie-



czorem, ale gdy stanął przed bramą, przerażenie go ogarnęło, tak strasznie pusta, cicha i martwa była ulica, zwykle ożywiona i pełna wrzawy. Dzień był jeszcze jasny, zdawało się — trupio blady. Domy stały milczące, skostniałe, zamarłe, okna zimno polyskiwały odbłaskiem szarego nieba, perspektywa ulicy zaostrzyła się jakoś i wyciągnęła, jak nos u konającego, nawet bruk, ten cierpliwy, wiecznie deptany bruk, zdawał się być wyziębły i cichy, jak gdyby przez długie wieki już nie rozbrzmiewał odgłosami kroków ludzkich. Było tak pusto, że Zaucha wprost bał się iść; niezdecydowany, zdumiony i do głębi przejęty tą martwością i głuchą ciszą, stał przed hotelem, czekając, co dalej będzie.

Zdaleka zaturkotała dorożka i wkrótce w ostrym przecięciu perspektywy, w ognisku, w którym zbiegały się, jak promienie, proste linie ulicy, pokazała się, podobna zdala do wielkiego pajaka w środku sieci. W tej chwili od ciemnej ściany jednego domu oderwały się dwa cienie, cicho biegnąc: Dwaj chłopcy w łapciach, w guniach brunatnych i w „papachach“ wojskowych na długowłosych głowach. Jeden z nich, szeroko rozkrzyżowawszy ramiona, ukląkł na środku ulicy przed nadjeżdżającą dorożką, drugi podbiegł ku niej, wskoczył na stopień i zdjąwszy „papachę“, prosił o jałmużnę. Ktoś, siedzący w dorożce, z widoczną trwogą wyjął z kieszeni papiera i rzucił go chłopcom. A potem ulica znowu zcichła i opustoszała, a dwa cicho stąpające cienie powędrowały dalej wzdłuż ścian.

Zaucha wrócił do hotelu.

Przez dwa dni prawie nie wychodzili. Nie było dokąd, nie było poco.

Niwiński gdzieś przepadł.

Ktoś go wprawdzie widział w Moskwie, ale w „Kole Pań“ się nie pokazywał, a jeśli był, krył się widocznie. Raz Zausze zdawało się, że widział go wieczorem na podwórzu „osobniaka“ Popiołki. Zaglądnął tam z nudów i na podwórzu, w ciemnościach otarł się o jakiś olbrzymi cień. Zdawało mu się, że to był Niwiński i byłby przysiągł, że widział jego głowę w świetle okienka odźwiernego. Pobiegł nawet za nim, ale z powodu obostrzenia formalności nie odrazu mógł się wydostać i kiedy stanął na ulicy, nikogo już nie było. Wrócił, chcąc wybadać Popiołkę, nie zastał go jednak. Tak mu przynajmniej powiedziano.

Powoli, ostrożnie wtajemniczył w swój sekret Chrobaka. Źródła mu nie podał, ale opowiedział, co mu było wiadomo. Entuzjastycznie rozwodził się nad romantycznością całej akcji, przedstawiał ją w jak najkorzystniejszym świetle, nieledwie kusił. Chrobak słuchał z żywym zajęciem, głęboko zamyślony, z pionową zmarszczką na czole. Zapytywał o szczegóły. Podobało mu się, chwalił, ale równocześnie kiwał głową z bezgranicznym podziwem.

— Ja-bym czegoś podobnego nie potrafił! — przyznawał się szczerze. — Nie znam kraju, ludzi, języka, ich sposobu myślenia, ich podstępów... Wleciałbym, jak mucha w sieć...

— Pomyśl, że jednak młodzi chłopcy nie boją się i lecą w te sieci — przemawiał Zaucha do sumienia jemu i sobie zarazem.

— To niedobrze! Tragiczna konieczność może, ale dobrze to nie jest. Do tej roboty potrzebni są specjaliści ludzie... Ja nie potrafiłbym... Prostu, nie miałbym wiary we własne siły... Nieswojo się tu czuję...



— Nikt się tu swojo nie czuje!

— Słuchaj, Zaucha, nie można nikogo zmuszać, żeby się stał naprzykład, napowietrzem akrobatycznym... te, chciałem powiedzieć, akrobatą napowietrzonym...

Zaucha zarzucał mu słabość, nawet tchórzostwo, w gruncie rzeczy jednak czuł, że myśli taksamo, jak Chrobak. Absolutnie nie palił się do tej roboty.

— Może nas poprostu Rosja zanadto już zmęczyła? — mówił.

— Może być. Ja, przyznam się, nie myślę o niczym innym, jak tylko o wyjeździe. Niema gadania, nostalgia jest chorobą nerwową. Może niekoniecznie potrzebny jest zaraz powrót do kraju, ale bodaj zmiana klimatu....

Jednej nocy Zaucha miał okropny sen.

Śniło mu się, że potwór o twarzy Agnes pochylił się nad nim, owinał kilkakrotnie dokoła jego ciała ramiona długie, ruchliwe i potężne jak pytony i porwawszy go, uniósł w przestrzeń ciemną i czarną. Niósł długo, aż wreszcie ofiara straciła oddech — i Zaucha zbudził się, zlany potem.

Leżał przez chwilę nieruchomo, zwolna przychodząc do przytomności. Chociaż w pokoju było zupełnie ciemno i cicho, po jakimś czasie uczuł, że Chrobak nie śpi.

— August, ty śpisz? — zawołał zcicha.

— Nie.

— Sen mnie zbudził bardzo nieprzyjemny.

— Ja też miałem przykry sen.

— Słuchaj-no, August! Wiesz co? Tak daleko nie może być... To do niczego nie doprowadzi. Nie mamy tu co robić.

— A nie mamy.

— Wojska niema.

— No, Haller na Ukrainie...

— Za daleko. Nie puszczą nas tam. Rozstrzelają po drodze.

— A drudzy jeżdżą.

— Niech jeżdżą.

— A jednak — niema innego wyjścia. Trzeba się bić. Zrozumiej, dla nas jest tylko front! Nie jesteśmy gorsi od bolszewików. Tak, siedząc tu, zmarniejemy.

— Jestem tego samego zdania. Dokończyła mnie historia z tym rozstrzelanym statkiem. Mój Boże, jeśli tam Jania była...

— Nie bądź głupi! Pan Bóg wprowadzie nie nazbyt na nas łaskaw, ale może nie będzie okrutny.

Zaucha wysunął się z pod kołdry i usiadł na łóżku Chrobaka.

— Słuchaj, ja mam myśl! Wszystko będzie dobrze! Ryzykowna trochę sprawa, ale możliwa. Tylko nie gadaj głośno, bo tu może kto podsłuchuje. Marynarzy pełno w hotelu.

— Co jest? — szeptał w ciemnościach Chrobak.

— Pojedziemy do Francji. Tam podobno jest jakaś dywizja. Front ciężki — prawda, ale jeśli przyjdzie zginąć, to przynajmniej między porządnymi ludźmi i za naszą własną sprawę.

— Jakże pojedziesz? Pieniędzy dużo potrzeba!

— Albo i nie. Ja tu przyjechałem z Kijowa za darmo. Zresztą — od znajomego do znajomego będziemy chodzili, prosili, pożyczali, naciągali, posprzedajemy wszystko, zgłosimy się do wojskowej misji francuskiej, a nie — to pojedziemy sami



na Murman i może się tam na jaki statek dostanie-  
my, albo się przekradniemy do Szwecji...

— W Szwecji bardzo drogo...

— Dla tych, którzy mają pieniądze. Takie dzia-  
dy, jak my, muszą wszystko dostać za darmo. Go-  
ło mi nie pozwoli chodzić, więc muszą mnie ubrać.

— Przecie można coś robić na świecie, naprzy-  
kład marionetki —

— Albo ulice zamiatać! Bardzo miłe zajęcie!

— Czekajno! To jest myśl!

Chrobak zapalił świecę, wstał i zaczął boso u-  
ganiać po pokoju.

— Zaucha, to myśl! Jechać! Oczywiście —  
jechać! Proste, jak jajo Kolumba! Bliżej!

A naraz stanął.

— A dlaczegobyśmy nie mieli do Archangielska  
jechać?

— Sojuszników tam niema. Do Szwecji też da-  
lej. Z Murmanu, bodaj piechotą wędrując, trafisz  
wreszcie do jakichś przyzwoitych Lapończyków...  
Jak pójdziesz z Archangielska, to cię po drodze ży-  
dzi złapią...

— Piechotą? A co będziesz jadł?

— Na raki będę chodził do Oceanu Lodowate-  
go. Wszystko jedno. Wkrótce wiosna. Najlepszy  
czas. Jeśli co — w najgorszym wypadku — na je-  
sień będziemy w Szwecji...

— Piechotą? Nie, nie potrzeba. Pojedziemy.  
Trzeba u Francuzów pokołatać. Widzisz, te naj-  
większe rzeczy są zwykle najłatwiejsze. I jest jesz-  
cze jedna tajemnica na świecie. Portek nigdy nikt  
ci nie da, ale frak, a już zwłaszcza mundur — każdy.  
A do munduru należy jeszcze i płaszcz i buty i to  
futerko i te papierosy i ten jakiś wikt, żołd... Dobra

jest. Jedziemy do Francji. Zaraz po świętach lece-  
do misji francuskiej...

Zaucha uciekł pod swą cienką kołdrę, a teraz  
znów Chrobak przysiadł na jego łóżko i mówił,  
dzwoniąc z zimna zębami;

— Pojedziemy, żeby nie wiedzieć co! Francu-  
zi przyjąć nas muszą. A jeśli nie — żebyśmy mieli  
przez Chiny piechotą iść, pójdziemy. Poza granica-  
mi Rosji wszędzie ludzie żyją.

Po świętach czemp prędzej udali się do misji  
francuskiej.

Odesłano ich do porucznika Pascala.

Młody, przysadkowaty Francuz z nieuprzej-  
mą, urzędową miną i zimnym, obojętnym wyrazem  
szarych oczu, przyjął ich chłodno i z rezerwą. Sam  
w niczem pośredniczyć nie chciał, informacje dawał  
skąpe i ogólnikowe. Trzeba było mieć rekomen-  
dacje od pewnej instytucji, od pewnego komitetu.

— Zniechęcić nas Francuz chce! — rzekł Zau-  
cha, gdy wyszli na ulicę.

— Nie zniechęci! — odparł Chrobak — A mo-  
że boi się? Może sądzi, że jesteśmy prowokato-  
rami?

Teraz trzeba się było starać o wymagane po-  
lecenia, co też nie przychodziło tak łatwo. Musieli  
szukać kompetentnego „dostojnika“. Szukali. W nor-  
malnych warunkach takie „wydeptywanie ścieżek“  
byłoby co najwyżej nudne, teraz jednak wymagało  
faktycznie niemałej energii. Chodzenie o głódzie  
po ogromnej i rozrzuconej Moskwie męczyło i wy-  
woływało głód, którego nie było czem zaspokoić.  
Budziła się wciąż podniecona drażliwość i skłonność  
do kłótni. Zauważywszy to Zaucha, wziął się ostro  
„za pysk“. Nie narzekał, nie jęczał, bez skrzywienia



się laził cierpliwie, gdzie mu kazano, ale Chrobak nie panował nad sobą, narzekał, wygadywał, aż wreszcie pewnego poranku, mając na śniadanie za całe pożywienie znów czystą herbatę bez cukru, rozplakał się.

— August, wstydź się, jak można — mitygował go Zaucha, z żalem patrząc na tego wielkiego chłopca, chlapiącego nosem jak dziecko. — Teraz właśnie musisz się zdobyć na siłę i wytrzymałość!

— Ja już nie mogę! — skarżył się Chrobak — Ja nigdy nie byłem taki głodny.

Istotnie — schudła jego jasna twarz stała się popielata.

— Więc nie pójdziesz ze mną?

— Pójdę.

— I pamiętaj: Głowa do góry, mina wesoła, dowcipny bądź! Tam dziadów nie potrzebują, lecz mężczyzn.

### XXXIII.

W najtrudniejszym stadium tych starań naraz — pani Piotrowska telefonicznie zawezwała Zauchę do siebie. Wymawiał się, tłumaczył, że jest bardzo zajęty, jednakże tak prosiła, że musiał pójść.

Przyjęła go w salonie, blada, widocznie niespokojna, zdenerwowana.

— Nie chciał pan przyjść! — mówiła z wyrzutem w głosie — A nie wie pan nawet, jak bardzo pan jest potrzebny...

— Cały jestem pochłonięty zamierzonym wyjazdem do Francji! — tłumaczył się Zaucha.

— Wyjeżdża pan?

— Dążę do tego z całych sił.

— A cóż *tam*? — zdziwiła się.

— Wojsko jest, droga pani, wojsko polskie we Francji. Nie będziemy tam już filozofowali o bolszewizmie, dostaniemy mundur, będziemy się bili...

— Jedziecie panowie obaj?

— Tak z Chrobakiem jadę...

— A bolszewicy was puszcza?

— Postaramy się.

Umilkła.

— Francja. Do Francji! — rzekła po chwili w zamyśleniu.

A w tych paru słowach mieściła się cała tęsknota i cała nadzieja umęczonej duszy polskiej.

— Więc tem bardziej, skoro się panu los uśmiechnął, musi mi pan pomóc. Bardzo przepraszam, że może nadużywam dobroci pańskiej, ale jestem jej pewna, z drugiej strony zaś w tym wypadku istotnie tylko pan może pomóc...

— Jestem gotów.

— Otóż wiadomo panu, że mąż prowadzi bardzo rozległe interesy...

— I szczęśliwie...

— Tak, ale w dzisiejszych czasach to są rzeczy bardzo ryzykowne. Teraz mąż zaangażował się tak, że włożył w interes całą gotówkę, a nawet moje brylanty i kosztowności zastawił.

— O! — zdziwił się Zaucha.

— To chwilowo. Interes jest zupełnie pewny... Ja go znam, mąż mi opowiadał! — upewniała się w przekonaniu pani Luta. — Tylko, że ktoś mu w sferach sowieckich niesłuchanie szkodzi. Nic dziwnego — on ma tak szczęśliwą rękę, taki jest przytem miły, gładki, że mu zazdrozczą... Zna pan ludzi! Zazdrozczą pieniędzy, zdolności, powodzenia, ładnej żony... I w tym wypadku to jest bardzo niebez-



pieczne, bo człowiek, którego mąż o te machinacje podejrzewa, działa nie z interesowności, nie dla „wziątki“, lecz z zemsty o... a raczej z nienawiści osobistej... Jest to człowiek może bardzo zły, no, tego nie wiem, Bóg go osądzi, ale bądź co bądź pełen złości woli i zatwardziały... Mąż twierdzi, że na tego człowieka może mieć sposób tylko Popiołka...

Zaucha rozłożył bezsilnie ręce.

— Ja na Popiołkę wpływu nie mam!

— Może się panu tak tylko zdaje! Żle pan zrobił, że pan tego człowieka zaniedbał. On w dyskusji może nigdy nie byłby panu przyznał racji, niech pan jednak nie sądzi, że na słowa prawdy jest głuchy. Jestem pewna, że gdyby pan udał się do niego, zmiełby.

— Widzi pani... Gdyby szło o co innego... Ale jakże ja mogę Popiołce tłumaczyć, aby pomógł w interesie pani mężowi. Między nami mówiąc, pan Piotrowski spekuluje, gra na giełdzie... Nie potępiam tego, cały świat gra na giełdzie, nie wyjmując, prawdopodobnie, Trockiego, najzacieklejszego wroga kapitału, ale Popiołka, rękę pani, mieszać się do tego nie zechce. A prócz tego — szczerze mówiąc — on nie jest przyjacielem pana Piotrowskiego. Między innymi i to jest jeden z powodów, dla których nie utrzymuję z nim stosunków...

Pani Luta zaczerwieniła się zlekka.

— Rzecz prosta. Popiołka kochał się we mnie. Nie, pod tym względem jesteście okropni! Miłość nie tylko nie uszlachetnia was, ale dziczejecie przez nią! Co wy, barbarzyńcy, robicie z tem czystym, jasnym uczuciem!

— Niechże się pani liczy z faktami!

— Niesposób! Fakty są takie, że koniecznie

trzeba je zmienić... Popiołka musi pomóc! Musi! A pan nie może odmówić mi pomocy! — rzekła energicznie, z naciskiem.

— Więc cóż mam zrobić?

— Musi pan pójść do Popiołki i powiedzieć mu, że musi pomóc...

— Konkretnie?

— Mąż mu to powie, bo ja nie wiem.

— Jakżeż ja tak mogę iść — z niczem?

— To nie jest nic, ale przeciwnie, bardzo dużo, prawie że wszystko. Idzie o to tylko, aby on chciał pomóc i chciał rozmówić się z moim mężem. Jeśli się na to zgodzi, wszystko będzie dobrze.

— Ostatecznie, mogę się tego podjąć... W tych dniach dam pani znać...

— O, nie w tych dniach, zaraz niech pan idzie! — nalegała pani Luta. — Rzecz jest pilna, a o wyniku rozmowy z Popiołką da mi pan znać telefonicznie.

— Może i tak być! — zgodził się Zaucha. — Jednakże... wybaczy pani... zdaje mi się, że dobrze byłoby, gdybym ja miał znak jakiś, że przychodzę istotnie od pani... Popiołka jest nieufny, podejrzliwy, gotów pomyśleć, że to mąż pani mnie przysyła, i że ja może procent mam za to obiecany... Może pani parę słów napisze...

— Nie wiem — wahała się.

— Ogólnikowo... Nawet im bardziej ogólnikowo, tem wygodniej dla mnie, mam szersze pole... Niech pani tak napisze, żeby z tego nic jasno nie wynikało... Tak: coś tego owego, drogi panie, napomknąć o spotkaniu się, ale bez nazwisk i bez określenia z kim i kiedy, bo czort wie, co z anarchistami będzie, potem się pani w „czrezwyczajkę“ może wsypać...



— Tak, to co innego, pan ma słuszość. Agnes też mnie namawiała, abym do Popiołki napisała, ale obawiałam się skompromitować męża...

— To pani o tem rozmawiała z Agnes...

— Ona u nas wciąż przesiaduje, więc słyszała to i owo.... Chciała nawet pośredniczyć między mężem a Popiołką, jednakże...

— Jeszcze-by też! Niechże się pani jej strzeże!

— Pan także przeciw niej? Czy wie pan co o niej?

— Nie. Nie wiem nic.

— Widzi pan... Coś na tem musi być jednakże... Powiem panu szczerze: Pan Popiołka, który chorobliwie wprost unika ze mną wszelkich stosunków, również przestrzegał mnie przed nią... Przysłał mnie nawet kartkę... dość dziwną... romantycznie napisaną. — Jeśli pani nie chce zginąć, niech pani nie zdradza swych tajemnic — czy coś takiego. Domyśliłam się, że to o Agnes mowa.

— Jeżeli Popiołka panią przestrzegał, Agnes musi być istotnie niebezpieczna... Dobry on jednak człowiek...

— Więc ja zaraz napiszę. Ale to z konieczności rzeczy list będzie miał dość zagadkowy charakter.... Nazwiskiem też podpisać się nie mogę...

— No, pewna serdeczność nie zaszkodzi.

Pani Luta usiadła przy biurku i napisała list.

— Proszę! Niechże pan pamięta: Sprawa jest pilna i ważna. Nie skłamię, gdy panu powiem, że to — kwestja życia.

Zaucha wstał.

— Więc idę — natychmiast. Aha! Jeszcze numer telefonu...

— Mizernie pan wygląda! — odezwała się pani Luta z współczuciem.

— Cóż, nie czas dziś na dobre wyglądanie...

— Panie Zaucha! Bez słowa, chętnie, pomagam panu, a sam...

— A sam jestem w tem szczęśliwem położeniu, że nie potrzebuję pomocy.

— Nie śmiałabym nigdy... Ale gdyby pan wiedział!

Głos pięknej kobiety drgnął, a oczy jej napełniły się łzami.

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć, droga pani! — rzekł, całując jej drobne paluszki. — Jakże pani ma rozpalone ręce!...

— To ze zdenerwowania... Taka jestem wrażliwa!

Ubierając się w przedpokoju, zauważył na wieszadłach i futro pana Piotrowskiego i paltot.

— Nie chciał wyjść do mnie — pomyślał. — Nic dziwnego, nieprzyjemna historia bądź co bądź...

#### XXXIV.

— I czegoż oni chcą ode mnie? — zwrócił się Popiołka do Zauchy po przeczytaniu listu.

— Nie mam pojęcia. Pani Luta chce koniecznie, żebyście się rozmówili z jej mężem... On powie, o co idzie.

— Z Piotrowskim? Nigdy! Niech zdycha!

— Jest bardzo niespokojna. Aż gorączki dostała ze zdenerwowania. Żle wygląda. Mówiła mi, że sprawa ta jest kwestją życia. Ja — nie wiem. Mówiła mi, że wie, że wy kochaliście się w niej...

— Mówiła to? Mówiła? Pewni jesteście? — gorączkowo pytał Popiołka.



— Mówiła to do mnie. Narzekła na barbarzyństwo miłości męskiej... Że jest interesowna, zazdrośna...

— Rozmówić się z Piotrowskim! Z tym ludozercą! To on ją z pewnością namówił! A cóż on?

— Nie widziałem się z nim...

— Psiakrew dopiero! Pewnie znów jakiś kryminalny kawał, pewnie jakieś świństwo... Namyśle się...

— Pani Lucie bardzo zależy na pośpiechu... Każała mi widzieć się z wami natychmiast i dać jej znać telefonicznie...

Popiołka wstał i przeciągnął się.

— Co zrobić? Widzicie, Zaucha, postępując według sumienia, to właściwie, dla jej choćby dobra, powinienem Piotrowskiemu w łeb strzelić. Tylko że to ją mogłoby zabić... A jeśli jemu w łeb nie strzelę, to ta kanalia prędzej czy później zmarnuje ją... Co robić?

— Nie wiem. To nie mój interes. Jedno tylko wam powiem: Jeśli to kwestja sumienia, postąpcie według swego sumienia, jeśli kwestja serca, postąpcie zgodnie z sercem. Postąpcie najmądrzej, jeśli postąpcie po ludzku.

— Ja jego dla niej uratuję, a on ją zgubi.

— Może tak, a może nie. Takie już jest życie ludzkie.

— Więc poco?

— Czyli: Co ja z tego będę miał? Targujecie się?

Popiołka przeszedł się parę razy po pokoju. Zaucha widział, że lawiruje ku kasie ogniotrwałej.

— Wstydzi się! — pomyślał.

— Nie pijcie! — odezwał się. — Poco robić głupstwa!

— Głupstwa? Głupstwa są bardzo potrzebne na świecie. Sami nie wiecie, że w tej chwili namawiacie mnie do zrobienia głupstwa.

— Uratujecie bezbronną kobietę.

— Nie. Kobietę zgubię, uratuję łajdaka, a pokrzywdzonemu wydrę zemstę.

Napił się wódki.

— Nie wiem, co chroni i broni tego człowieka i nie wiem, poco. Ona go zasłania — anioł, przykromenderowany do potępienia.

— I potępienicy mają swych aniołów-stróżów.

— Bardzo dziwna i niezrozumiała jest łaska boska. Wy, Zaucha, nie wiecie, jaki straszny, potworny nóż ma na gardle ten piękny Piotrowski. O tym nożu to oni nawet nie wiedzą... Tylko ja bronilem ich dotychczas przed nim.... A wiecie wy, co to takiego? „Czrezwyczajka!”

Zaucha zbładł.

— Ratujcie!

— Właśnie myślę: Poco? Jeśli on stąd ucieknie, jeśli do kraju wróci, jeśli ja go wypuszcze, to gorzej, niżbym w Polskę bombą strzelił, bo to jest łotr. Lecz jeżeli go nie uratuję, ona pójdzie pod nóż, a ona — to dobroć, dusza Polski.

— Przyznajecie, że dobroć jest duszą Polski!

— Ta dusza opętana jest przez Piotrowskiego.

— Ratujcie dobroć!

— Zaraz. Człowiek jest absolutnie samotny, o ile się nie kocha lub nie ma złudzeń. Otóż mnie nikt nigdy nie kochał, a ja się nie łudzę. Raz uwierzyłem w boskość człowieka.

— Wam koniecznie potrzebna jest boskość?



— A tak. Człowiek jest Bogiem. Inaczej świat byłby kramem z glinianymi kogutkami i donicami. Kiedy poznałem panią Lutę, ujrzałem boskość — a ona poszła za tym gadem. A teraz ja mam tego gada ratować. Ano, niech będzie! I ja mogę sobie pozwolić na głupstwo. Będę jeszcze raz wielkim panem. Co mi tam! I tak już długo nie potrwa. Przyjdzie mi kitę odwalić.

— Czemuż to?

— Będziemy się bili z bolszewikami.

— Popiołka, rzućcie to wszystko!...

— A moi ludzie?

— Wcielą ich do „czerwonej armii“...

— Nie. Trzeba jeszcze bolszewikom figla wypłatać. Pilno im posła niemieckiego do Moskwy sprowadzić... Zobaczymy, czy zechce teraz przyjechać... Kiedyż mam się widzieć z Piotrowskim?

— Kiedy chcecie. Pani Luta prosiła, aby jaknajprędzej... Mam telefonować.

— Telefon jest u mnie, w sieni. Zadzwońcie do nich! Jak ma być, to już niech będzie zaraz.

W kwadrans później pan Piotrowski, odrobinę zaczerwieniony, ale z niezmiennym uśmiechem, wchodził do „niedźwiedziego barłogu“ Popiołki. Rozmawiał z nim z pół godziny, poczem wymknął się dyskretnie, nie pożegnawszy się nawet z Zauchą.

Natychmiast po jego wyjściu rozległ się dźwięk dzwonu alarmowego. Słysząc było, jak Popiołka mówił do Utopji:

— Bierzcie „izwozcika“ i natychmiast lećcie po Żukowa. Wiecie, gdzie go szukać. Dyżurni pójda odemnie do „Uraganu“, do „Burji“ i do grupy dońskiej, polecenia dostaną ustne. Topór niech trzyma swoich ludzi w pogotowiu, on poprowadzi. Niech

do mnie później przyjdzie, dam mu specjalne wskazówki. Ale przedewszystkiem Żukowa mi dostarczcie, tylko żebyście go nie wypuścili z rąk....

— Utopja! — mruknął pewny siebie głos.

Zaucha, korzystając z zamieszania, wymknął się wraz z Utopją, któremu kazał powiedzieć Popiołce, że przyjdzie wieczorem. Był tak przejęty swym wyjazdem, że to, co się działo koło niego, nie robiło już na nim wielkiego wrażenia. Stosownie do umowy z Chrobakiem, wstąpił na obiad do „Koła Pań“, gdzie przeszło dwie godziny czekał na Chrobaka naprzóżno. W hotelu też go nie zastał. Czekał na niego znówu, chodząc nerwowo po małym, ciemnym pokoiku i marząc o morzu, o brzegach Francji, o Paryżu, o czynnem, jasnem życiu.

— O, już mi kacapy nie będą po głowie chodziły! — myślał, patrząc przez okno na migające w górze nogi. — Żeby tylko teraz Pan Bóg nie opuścił!

Chrobak nie przychodził. O zmierzchu zniecierpliwiony Zaucha poszedł do kawiarni, w nadziei, że może tam swego towarzysza znajdzie.

— To bydlę gotowo dla swych „bałaganów“ o wszystkim zapomnieć! — mruczał wściekły i niespokojny.

Przeszedł tam i nazad całą kawiarnię. Chrobaka nie było. Zato ku niemałemu zdziwieniu ujrzał wśród publiczności kilka twarzy, które widział „na przyjęciu“ u Popiołki. Było, jak zwykle, dymno, gwarno, duszno, nieprzyjemnie. Kapela różnęła węgierskiego marsza, a w kącie sali gospodarz popijał spirytus ze swą „nadzieją“, zupełnie już ululaną.

Nie wiedząc, co ze sobą począć, Zaucha usiadł przy wolnym przypadkowo stoliku, niedaleko drzwi, osłoniętych długą, ciemno-czerwoną kotarą.



Noc się już robiła. Kelnerki zaciągały żółte zasłony w oknach.

Zaledwie dokonały tej pracy, do kawiarni weszło kilku mężczyzn. Jeden z nich zapytał o telefon i skierował się ku budce przy bufecie, pozostali niabyto rozglądali się, szukali kogoś, w rzeczy samej jednak nie oddalali się od pierwszego. Znowu zgrzytnęły drzwi — i znowu weszło do sali siedmiu jakichś drabów. W tej chwili odezwały się krzyki w kuchni, padł stłumiony wrzawą i muzyką strzał — i naraz zrobiło się zupełnie cicho. Tylko drzwi wchodowe zgrzytnęły parę razy: Głównem wejściem i od kuchni wsuwały się wciąż nowe figury, jedno z gotowemi do strzału rewolwerami, inne z „Mauserami“ lub krótkimi karabinkami kawalerskimi. Słychać było przez chwilę protestujący głos gospodarza i czyjś pijany bełkot, ale głosy te umilkły.

— Ruki w wierch! Ruki w wierch! — odzywały się groźne głosy.

W kawiarni wyrósł las podniesionych do góry rąk.

— Muzyka — igrat! — rozległ się rozkaz.

Kapelmistrz uderzył smyczkiem w skrzypce — zabrzmiały tony melancholijnego walcu.

— Czarna armja! Czarna armja! Anarchiści! Uragan! — rozległy się przyciszone okrzyki.

Draby jakieś z przedziwną szybkością uwijały się po salach, obmacując kieszenie gości. Z portfeli wysypywano banknoty, uprzejmie pozostawiając obrabowanemu pięćdziesiąt rubli na zapłacenie rachunku w kawiarni. Paniom wyjmowano z uszu kolczyki, zdejmowano z rąk pierścionki, bransolety.

Naraz z głębi wypadła grupa: Topór, kilku anarchistów, wśród nich szamoczący się Szymkiewicz, za nim Żukow, perswadujący coś anarchistom.

— Jak śmiecie! — wołał po rosyjsku Szymkiewicz. — Komisarzem jestem, mierzawcy, pod mur pójdziecie, puście mnie natychmiast!

Żukow, elegancki, ufrizowany, coś przedstawiał, tłumaczył, chwycił Topora za rękaw, ale anarchiści rzucili się na Szymkiewicza, zakneblowali mu usta, owinęli twarz szalem i pociągnęli ku wyjściu, ujawszy go pod ręce.

Cała scena trwała zaledwie parę minut.

Muzyka urwała nagle i odezwał się donośny i ironiczny głos.

— Szanowni burżuje! Dziękujemy za podatek, tak chętnie złożony na cele czarnej gwardji. Opuszczamy was, pewni, że za tydzień spotkamy się w innej kawiarni. Zwracam wam tylko uwagę na jedno: Przez pół godziny nikomu nie wolno wyjść z kawiarni, ani telefonować. Nie mówiąc o tem, że między wami są nieznani wam towarzysze nasi, którzy winnego w danym razie jeszcze dziś ukarzą; przestrzegamy gospodarza, iż głową swoją odpowie nam za niedopilnowanie rozkazu. Śmierć zdrajcy!

W chwilę później „czarnogwardziejcy“ znikli, wychodząc, jak przyszli, małemi grupkami.

Przez parę minut trwała martwa cisza.

A naraz odezwał się czyjś głos:

— Kudy nasze nie propadało! Ej, muzyka! Grać! Cóż tak siedzieć będziemy!

Dopieroż podniosła się wrzawa!

Jak tylko przerażony gospodarz zadecydował, że pół godziny minęło, Zaucha wyszedł i pogonił do „osobniaku“ Popiołki. Poznał ludzi z jego grupy,



a kiedy uprowadzano Szymkiewicza, domyślił się, że „nalot“ na kawiarnię był tylko pozorem. Żukow? — Żukow działał na rozkaz Popiołki, udając prawdopodobnie kupca czy szachraja moskiewskiego. Jemu kazano Szymkiewicza wyszukać, zająć, dać znać o nim telefonicznie, a kiedy wszystko było gotowe, zjawiała się „czarna gwardja“ — anarchiści z „Uraganu“, „Burji“ i innych grup i ludzie Popiołki, którzy porwali Szymkiewicza.

Więc to o taką pomoc prosiła pani Luta?

— W cóż to ja się wdałem, do pioruna, w co ja się wdałem! — biadał Zaucha.

Był tak oburzony, iż, choć gonił resztkami pieniędzy, wziął dorożkę.

U Popiołki zastał Topora i — Piotrowskiego, który, milczący i mdło uśmiechnięty, siedział pochyłony na fotelu i patrzył w ziemię.

— W domu rewizję kazaliście zrobić? — pytał Popiołka.

— Tak jest. Ale on sam się zdradził, że to są te papiery, bo nam ofiarował sto tysięcy rubli za to, żeby mu je oddać. Pieniądze wszystkie oddawał, o papiery tylko prosił.

— Gdzie są?

Topór podał mu dużą kopertę z celuloиду.

— Dobrze. W „Uraganie“ powiedzieliście, żeby go nie wypuszczano do trzech dni?

— Tak jest. Ale tam go trzymać nie będą, przeprowadzą go w inne miejsce.

— Ale nie puszczają?

Topór potrząsnął głową.

— O to ta nima najmniejszych obawy... Swoi ludzie.

— Możecie odejść.

Topór odszedł.

— Ma pan, czego pan chciał! — zwrócił się Popiołka do Piotrowskiego.

— Stój! — zawołał Zaucha. — Czy pani Piotrowska wiedziała, o co idzie?

— Nie! — odpowiedział Piotrowski.

— Jakże pan mógł w tak niegodny sposób nadużyć miłości swej żony i mego zaufania? — wykrzyknął Zaucha.

— Widzicie! Oto do czego temu panu potrzebna jest miłość i przyjaźń!

— Pan nie wie, o co idzie! — rzekł łagodnie Piotrowski, patrząc Zausze w oczy. — Ten człowiek mnie i żonę chciał wydać „czrezwyczajce“... O mnie już mniejsza, ale ona...

— Obaj warcicie siebie! — zaśmiał się Popiołka. — Niema co, Zaucha, już za późno! Skrzywdzonego człowieka pozbawiłem rzeczy najświętszej i najłodszej, to jest — zemsty. Lepszym go przez to nie zrobię, mam jednak nadzieję, że panowie ci spotkają się jeszcze... A teraz, aby koniec położyć pańskiemu niepokojowi i niecierpliwości...

Sięgnął po portfel Szymkiewicza.

— Pozwoli pan!

— To są *moje* papiery! — podkreślił znacząco Piotrowski.

— Jeszcze nie. Narazie jest to wciąż jeszcze — mój łup!...

Otworzył portfel i zaczął przeglądać papiery.

W pewnej chwili podniósł wzrok na Piotrowskiego.

— Nie-sły-cha-ne! — wycedził przez zęby.

Piotrowski westchnął.



Wreszcie Popiołka przejrzał papiery, złożył je, wsunął w kopertę celuloidową i rzuciwszy na biurko, posunął pogardliwie w stronę Piotrowskiego.

— Obiecałem — więc dotrzymuję słowa, ale pan i tym razem mnie podszedł. Gdybym był wiedział, z kim mam do czynienia... Ale — mniejsza już z tem... Co mi na tem zależy!...

Skrzywił się i splunął.

— Słuchajcie, Zaucha!... Ten piękny pan był — między innemi — ochraniarzem carskim! Dlatego to nie śpieszył się dawniej do kraju, dlatego teraz — śpieszno mu z Rosji... Kanaj!...

Piotrowski znowu westchnął pokornie, ale szybkim ruchem ściągnął kopertę z biurka i wsunął w za-nadrze.

— Widzicie? Oto człowiek interesu! Jego — nic nie zniechęci.

— Cóż mam mówić? — odpowiedział Piotrowski zcichą, podniósłszy głowę i rozkładając ręce z własnym, wielkim portfelem. — Wiem, co zrobiłem. Może mógłbym powiedzieć, że takim zrobiły mnie czasy i ludzie, wymówka, którą zwykle pan się zasłania, panie Popiołka...

— Wspólnika pan zamordowałeś!

— Tego mi pan nie dowiedziesz!

— Juźci, nie byłem przy tem, ale jestem pewny... Piotrowski uśmiechnął się.

— Ciekawy jestem, czy pan nie uderzyłbyś wiośłem po palcach człowieka, któryby się chwytął pańskiej tonącej i zalanej wodą łódki! A teraz. —

Wyjął z portfelu garść banknotów i zaczął liczyć.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

Ktoś zapukał do drzwi.

— Towarzyszu, do telefonu.

— Kto dzwoni?

— Numer 28373.

— Idę.

Popiołka wyszedł szybko.

— Pan mnie też już osądził? — odezwał się Piotrowski do Zauchy. — A przecie nigdy nic złego panu nie zrobiłem i kiedyś miał pan dla mnie dużo sympatji...

— Daruje pan...

— Ano, tak. Rozumiem.

Przez dłuższy czas słyhać było szelest banknotów.

— A oto moje biedne srebrniki za zemstę Szymkiewicza — rzekł wreszcie Piotrowski, kładąc na stole plik tysiącrubłówek. — Sto tysięcy. A, pardon, jeszcze i to moje!

Zaucha widział, jak elegancki pan wziął ze stołu jakąś kopertę i schował ją starannie do portfelu.

— Sto tysięcy. Może pan przeliczy.

Zaucha machnął pogardliwie ręką.

— Jak pan chce. Na mnie można polegać. No, pan Popiołka nie przychodzi, a mnie pora. Luta panu pewnie mówiła — znowu wyjeżdżam na parę dni do Pitra. Muszę się śpieszyć. Z panem Popiołką nie mamy sobie i tak już nic więcej do powiedzenia...

Wstał.

— Więc... do widzenia... we Lwowie!... Może pan tam do mnie zajdzie...

Kiwnął mu głową i cicho wysunął się za drzwi. Wpadł Popiołka.

— Ten ludożerca już poszedł? Chwała Bogu! Bydlę!



— Ale jakże wy, Popiołka, za takie rzeczy możecie brać pieniądze!

— Od takiego gada? Zawsze należy brać pieniądze, rozumiecie mnie, zawsze! Więc on zostawił pieniądze! Dobrze. Myślałem, że uciekł.

Nalał sobie wódki i wypił.

— Dobra wiadomość, Zaucha! Dobra wiadomość! Tej nocy będziemy się prawdopodobnie bili. Słuchajcie, ja wam mogę zawierzyć?

— Możecie.

— Weźcie te pieniądze! Schowajcie! I idźcie do ciężkiej cholery, bo tu, u mnie, może już być niebezpiecznie! I jeśli się pokaże, że Piotrowski tym razem stanowczo już uciekł, oddajcie pani Lucie... Tyle jej uratowałem.

Wtem Zaucha uderzył się dłonią w czoło.

— A wiecie wy, że jej klejnoty zastawione?

Popiołka roześmiał się.

— Już? Nie bójcie się, tak źle nie jest. Dobrze opakowane, w pięknej walizce pana Piotrowskiego pojedą prosto do Sztokholmu. On przecie nie dla niej kupował brylanty, ale poprostu „lokował“ w nich pieniądze. No więc — wszystko w porządku. Doczekałem się.

— Skąd wy macie pewność, że on ucieknie?

— W papierach Szymkiewicza był też zagraniczny paszport.

— Ale fotografia Szymkiewicza...

— Ogolił się, a fotografia podła, zrobiona na przódce, pies go nie pozna... Gęba jak gęba... Tak. A gdyby przypadkowo Drozd zginął, to z tych pieniędzy tak dziesięć, dwadzieścia tysięcy dajcie Kostusi...

— Pani Drozdowskiej?

— Tak. Na powrót do kraju. I powiedzcie jej, żeby się już na mnie nie gniewała. No, prędzej, bierzcie pieniądze i jazda!

Wsunął Zausze w rękę gruby plik banknotów.

— Ej, Popiołka! Mówię wam — przestańcie udawać bohatera z tragedji, powiedzcie swoim ludziom, żeby sobie poszli do stu diabłów i jedźcie z nami...

— Nie. Nie chcę wracać do kraju. Tam — zaczęłoby się znowu — delikatnie, a grzecznie, a przez rękawiczki, a ja-bym na to patrzeć nie mógł i taką-bym im awanturę wykroił, że no! W samych Su-kiennicach-bym się okopał. Nam potrzeba silnej ręki — wtedy będzie porządek... Tylko, że my tego nie umiemy... A znów ja lada kogo słuchać nie będę...

— Trudno... No więc... Z Bogiem...

Podali sobie ręce.

— Idźcie już, idźcie! Nie zapominajcie — w pierwszych dniach zagładnąć do pani Luty... Jak zostanie sama... I do mnie też wpadnijcie... Jeśli oczywiście będzie można; pojmujecie mnie?

— Przed odjazdem na pewno przyjdę.

Wpadła Agnes.

— Pan Piotrowskij gdzie? Ach, i wy tu, pan Zaucha! Oto spotkanie! Jak widać, bardzo się żywo anarchistami zajmujecie! No, no! Nie darmo mówią, że polskie legiony mają wraz z nimi wystąpić...

— Ty czego tu chcesz?

— O, niejednego... Przyjeżdżam od pani Luty... Mówiła mi, że pan Piotrowskij tu... Na mieście mówią o jakimś nalocie i aresztowaniu komisarza... Chciałabym z tobą w cztery oczy pomówić...

— Mów w sześć oczu.



— Wolałabym...  
— Możesz wcale nie mówić!  
— Ja i owszem! — usuwał się Zaucha.  
— Zostańcie! Więc czego chcesz?...  
— Gdzie Piotrowski?  
— Już go niema. Papiery wszystkie dostał.  
Agnes aż się zatoczyła.  
— Kto? Kto mu dał?  
— Ja.

— Ty? Ty? Ty? — syczała. — A więc przecie! Głupcze! Dałeś się wziąć na miłość, a ja ci tę kobietę mogłam oddać, jak zabawkę!... A ty go wypuściłeś z rąk! O, czekaj! Tego ci nie daruję! Za to mi zapłacisz!

Popiołka odpowiedział jej ordynarnem przekleństwem rosyjskiem.

— Tak? Zobaczysz! Dziś jeszcze ją każę aresztować... Łotyszom oddam... A jutro... własnymi rękami serce ci z piersi wydrę... ty, dudku zakochany...

Popiołka, który, odprowadzając Zauchę, stał był przy drzwiach, nieznacznie oparł się o nie dłonią. Nagle dały się słyszeć szybkie kroki kilku ludzi. Wpadł Topór z dwoma towarzyszami.

Popiołka opuścił rękę. Trzymał ją na dzwonku.

— Wziąć ją! Odebrać rewolwer!

— Paszlii woon! — krzyczała Agnes, cofając się i szukając broni w ukrytej kieszeni sukni.

Było za późno.

Chwyciły ją silne ręce.

Mały, czarny „browning“ upadł na podłogę.

— I zamknąć ją — tu, obok, w łazience! — mówił dalej spokojnym głosem Popiołka. — Tak, moja piękna, możesz teraz ryczeć...

Agnes wyła, szarpała się, próbowała gryźć...

— Ja wam!... Zdechniecie pod knutem!... Skórę z was zedra... Na wolnym ogniu piec będą...

Ale Topór chwycił ją z tyłu pod ramiona i wyniósł, plując, miotającą się, nieprzytomną ze złości.

— Widzicie? Oto, przed czem ratowałem panią Łutę! — rzekł Popiołka do Zauchy.

A potem dodał z uśmiechem:

— I uratowałem. To jedno mi się udało. A teraz — zmykajcie!

### XXXV.

Niwiński szedł Twerską od Bramy Triumfalnej do miasta.

Był zmęczony i zamyślony i patrząc, nie widział.

Szumiał mu w uszach zwykły, nieporządnny i nie nazbyt głośny gwar bolszewickiego miasta — jakaś piosenka, jakiś fortepian, brzęczący za oknami kawiarni, kłątwy, głosy kobiece zuchwałe, bezczelne.

Nagle gwar ten zmienił swe zabarwienie.

Tupot tyłu nóg, szczęk kopyt, broni.... Samochody jadą...

— Co to takiego?

Niwiński oprzytomniał.

— Łotysze!

Zajmowali przecznice Twerskiej, ustawiali w nich karabiny maszynowe.

— Co to? Oblawa jaka?

Samochód pancerny, potworny i czarny w świetle elektrycznym, pomknął ulicą, kołysząc się lekko i cicho.

— O, to coś poważniejszego!

Namysłał się przez chwilę.



W tej stronie miasta nie miał nikogo znajomego. Nie było się do kogo schronić. Gdzież spać? Jeśli spytają o dokument — głupstwo, może pokazać, lecz jeśli przeprowadzą rewizję osobistą, będzie gorzej, bo w kieszeni ma aż trzy różne paszporty.

— Wyrzucić dwa!

— Nie. To przecie skarb. Żeby to człowiek przynajmniej wiedział, czego oni chcą i gdzie się to kończy... Możeby tak iść aż do placu Teatralnego, a potem przez Łubiankę skręcić na Miasnicką i na Krywokolenny... Aha! Właśnie! Na Łubiance jest siedziba Dzierżyńskiego. Wleżę w paszczę jego zbirom... Jeszcze mnie który gotów poznać... Okrążyć? A niewiadomo, co tam dalej jest... Ts, ts, ts...

Aż cmoknął językiem z niezadowolenia.

Ze środka miasta waliły wciąż nowe kupy żołdactwa.

Skręcił mimowoli na lewo, w Nastasiński zaułek.

Pokazało się, że zrobił głupstwo.

Stał tam już kordon Łotyszów z karabinem maszynowym.

— Kuda?

— Projti nie można?

— No kuda?

Niwiński wzruszył ramionami.

— Was geht denn da wieder vor?

— Und was geht das Sie an? — odpowiedział Łotysz. — Scheren Sie sich zum Teufel, sonst kann Ihnen was passieren...

Niwiński zawrócił, ale wlaź w nową kupę, która otoczyła go szczękami broni i szwargotem niezrozumiałego języka.

Wtem usłyszał język polski.

Koło niskiego domku stały dwie kobiety, z których jedna otwierała furtkę, wiodącą na podwórze i tylne wejście do niskiego domku.

— Panna Ewcia! — poznał Niwiński.

I pobiegł czem prędzej.

— Pan Bóg panią zsyła, aniele! — zawołał półgłosem.

— Kto taki?

— Niech-że pani nie zamyka! To ja, przyjaciel pana Zauchy. Niech mnie pani wpuści!...

— Idziesz, Ewciu? — odezwał się głos kobiecie już z głębi podwórza.

— Zaraz, zaraz, klucz mi się w zamku zaciął! Niechże pan wejdzie! — dodała ciszej.

— A gdzież to panna Ewcia po nocy chodzi? W taki czas!

— Jaki czas? Spokój przecie był zupełny. W kinie byłam wraz z koleżanką. Ale, że pan tak nic nie uważa! Wlaź pan w największą ciżbę!

Widział tylko błyśnięcie jej twarzy w ciemnościach.

— Wielka rzecz! No i cóż? Jestem teraz za murem, w bezpiecznym kącie, nic mi się nie stanie.

— A czego oni chcą, nie wie pani?

— A czego oni chcą, nie wie pan?

— Nie powiedzieli mi. Mniejsza z tem. Nic mądrego nie wymyślą. Przeczekam tu trochę, a potem panna Ewcia mnie wypuści i już.

— To niech pan tu postoi trochę. Muszę iść, bo inaczej po mnie przyjdą, albo domyślą się czego. Niech pan tak pod bramą nie stoi, niech się pan schowa. Pokażę panu, gdzie. W podwórzu, tam dalej, jest kryta weranda, kilka stołków... Tu niech pan nie sterczy, bo stróż pana może zobaczyć...



— Stróż Moskal?  
— Nie. Ale w dzisiejszych czasach nikomu wierzyć nie można.

Siedział w ciemnościach.

Słyszał nieustanny szum nóg piechoty, dudnienie dział po bruku.

Pod bramą wciąż rozmawiali Łotysze.

— Czego oni tu stoją? — łamał sobie Niwiński głowę.

Po pewnym czasie odszukała go panna Ewcia.

— Panie? Jest pan tu? — wołała go szeptem.

— Nie, niema mnie! — zażartował.

— No i co będzie? Nie można wyjść?

— Niech panna Ewcia próbuje. Łotysze stoją pod bramą.

— A pan nie ma może dokumentu?

— Mam, dziecko, mam, nawet o dwa zadużo... A przytem — nigdy niewiadomo, gdzie można znajomego spotkać...

— No, więc co pan robi?

— Będę siedział tak choćby całą noc.

— Zimno panu będzie.

— Wolę tu, niż gdzieindziej.

Wsunęła mu coś w rękę.

— Co to?

— Niech pan je! Chleb ze sznyclem. Z kolacji zostało, niech pan je!

— Poczciwa panna Ewcia. A jakby panienka wiedziała, że głodny jestem, jak pies.

— Niech pan przegryzie! Znajdzie się jeszcze coś. Potem to panu i herbaty przyniosę, jak zarządząca pójdzie spać.

— A nie dałoby się tu gdzie przenocować? Może w jakiej pustej sali na stołkach?

— Kiedy przejścia niema... Stąd do jednego tylko mego pokoiku dostęp jest, potem zaraz dwie panienki mieszkają, potem ich tam śpi pięć, a tuż na prawo, zarządzająca... A ona ma bardzo lekki sen...

— Przekonałyście się o tem?

— No! Niech się w nocy która z nas tylko ruszy, ona wnet wstaje i ze światłem chodzi... Złodziei się boi... Klejnoty bardzo ładne ma, perły piękne...

— Nie szkodzi. Szynceł ciepły. Od biedy i tu się zdrzemnę. Zimno nie jest.

— Może pan przeczeka! Do rana tu nie będą stali...

— Oj, panienko! Cztery dni i cztery noce w drodze byłem, a jutro na noc znowu jadę. Ledwie już patrzę...

— Czemu się pan nie szanuje? Zdrowie stracić można.

— Służba, panno Ewciu, służba!

— Niejeden tu u nas jada żołnierz i oficer... Zaraz go poznać można, bo grzeczny... Nie złości się tak, jak zwykli goście... Niechże pan tu posiedzi, herbaty panu przyniosę... A jak pan myśli, będzie Polska?

— Co ma nie być? Musi być!

— A wileńskie też będzie w Polsce? Bo mój tatuś to w wileńskim przeżywa...

— Będzie, będzie.

Przyniosła mu jeszcze coś do zjedzenia i herbaty w garnuszkach, pod fartuszkami, gorącej, osłodzonej do niemożliwości.

Ale nadaremnie spodziewali się, że Łotysze ustąpią. Noc robiła się późna, a wojsko wciąż drepotało po ulicy.



— Niech panna Ewcia idzie spać, zaziębi się panienka! — gwał ją Niwiński. — I jeszcze może kto zauważyć, że panienki niema, nieprzyjemności będą. Ja tu już przesiedzę...

— Biedny pan! — mówiła smutno. — Ja naprawdę muszę już iść... Ale nie będę daleko... Okno mego pokoju wychodzi na tę werandę... Zobaczmy się jeszcze...

Istotnie, po jakimś czasie błysnął w jednym oknie płomyk świecy.

Niwiński ujrzał biedny, paniński pokój, czyste łóżko, parę fotografii na ścianie.

Okno odchyliło się, pojawiła się w niem uśmiechnięta, jasna twarzyczka dziewczyny.

— Niedaleko jestem! — dodawała mu odwagi. — Jakby się pan bał, niech pan puka. Okna nie zamynam, tylko przywrę.

Zasunęła firanki.

Po pewnym czasie światło zgasło.

A wówczas okno znowu się uchyliło i rozległ się szept:

— Panie, pan tam wciąż jeszcze siedzi?

— Siedzę, panno Ewciu...

— I nie zimno panu? Bo jakby co...

Niwiński, zachęcony tym ceremonjałem, wstał i podszedł pocichu do okna.

— A możebyśmy, panno Ewciu, jeszcze porozmawiali? Cóż tam pani widziała w kinie?

— Dramat miłosny, mój panie! On był bardzo bogatym hrabią...

Wtem jak nie huknie wystrzał! Po nim drugi, trzeci...

Niwiński drgnął, panna Ewcia krzyknęła półgłosem.

Rozległ się straszny huk.

— Bomba ręczna! — pomyślał Niwiński.

A po chwili rozklekotało się całe piekło — karabin maszynowy tuż pod domem, gdzieś niedaleko drugi, trzeci, dziesiąty... Trzask się zrobił niewypowiadziany.

Panna Ewcia, jak ptak, frunęła w głąb domu.

— Biją się! — cieszył się Niwiński. — Biją się niewątpliwie, ale kto i z kim?

— Anarchistów rozbrajają! — prawie krzyczała mu do ucha panna Ewcia, wróciwszy z głębi domu. — Biją się. Anarchiści bomby rzucają! Dom pusty! Zarządzająca i panienki uciekają do piwnicy! Co to będzie? Co to będzie?

— Uciekają do piwnicy! — ucieszył się Niwiński. — Panno Ewciu, złoto moje kochane, mój skarbie!... Jesteśmy sami w całym domu?

— Sami!

— Bóstwo moje! Moje kochanie! — błagał Niwiński, chwyciwszy nagle dziewczynę w ramiona i obsypując ją pocałunkami.

— Co pan robi? Panie, panie! — trzęsła się panna Ewcia, ale opór jej słabnął, a wargi już oddawały pocałunki.

— Ewciu, widzę, że mnie kochasz! Nie odmówisz mi! Żołnierzowi-byś odmówiła?

— Panie, panie, ja się boję...

— Nie trzeba się bać... Idź, dziecko do piwnicy z temi panienkami i zamknij mnie na klucz...

— A potem co?

— A potem? Położę się tu.

Wskazał dłonią na jej łóżko

— i wyśpię się! Wyśpię się! Dziewczyno, cztery noce nie spałem.



— A jak pana zabiją?

— W łóżku nie zabijają...

— A ja myślałam...

— Jutro, jutro będziemy — „myśleli“, a teraz — zmykaj, dziewczyno, do piwnicy i zamknij mnie na klucz!

Pocałunkami nieledwie wygonił ją za drzwi, poczem z westchnieniem rozkoszy wyciągnął się na czystym, dziewczęcim łóżku.

— Nie jestem może wielkim uwodzicielem? — myślał, zapalając papierosa. — A swoją drogą, gdybym nie był taki śpiący... Poczciwa Ewcia... Tak, tak, jeden jest Adam na świecie i jedna Ewa... Dobranoc, dziecko! — rzekł już półsenny, myśląc o żonie.

I zasnął.

A nie obudził się nawet wówczas, gdy tuż pod domem zagrały armaty.

### XXXVI.

W nocy z 11-go na 12-sty kwietnia 1918-go roku Moskwa zatrzęsła się od huku kanonady.

Sterroryzowana i strwożona ludność zerwała się na równe nogi.

Atmosfera Moskwy była w owym czasie przesycona elektrycznością i łatwo zapalna. Nie dlatego, aby uciskany przez bolszewików „burżuj“ myślał o powstaniu i obaleniu nienawistnej mu władzy. „Burżuj“ ten, nie wierząc w trwałość mrzonek bolszewickich, cierpliwie dźwigał nowe jarzmo, modląc się i szachrując, a całą jego nadzieją byli Niemcy, którym w duszy bez protestu już oddawał rządy nad sobą, lub Japończycy, na rzecz których zrzekął

się posiadłości na Dalekim Wschodzie i Syberji aż po Bajkał. Nie byli też groźni monarchistyczni „białogwardiejcy“, w owym czasie organizujący się gdzieś na Kaukazie, aby rozpocząć z Sowjetami dwuletnią wojnę, zakończoną dopiero w jesieni 1920 roku. Znani bolszewikom osobiście socjal-rewolucjonści albo spiskowali, porozumiewając się z działającymi bardzo ostrożnie Francuzami, albo też siedzieli cicho, szpiegowani i niepewni życia. A mimo to po Moskwie krążyły wciąż wieści i plotki o nieuniknionych jakichś bojach, o konieczności represyj, wreszcie o powszechnej rzezi „burżujów“.

Nastrój ten źródło swoje miał nie tyle w niezadowoleniu mas z wytworzonej sytuacji, ile z drażliwości i bojowości Sowjetów, niezbyt pewnych siebie, czujących swą moralną słabość i brak powagi i z tego powodu buńczucznych i zaczepnych. Stosunek ich do Moskwy przypominał najzupełniej stosunek wojsk najeźdźcy do ludności zdobytego miasta, żal, że ta ludność, pochyliwszy narazie głowy przed przemocą, nie daje powodów do represyj, oraz ciche dążenie do prowokacji. Dla podtrzymania powagi i zaimponowania ludności Sowjetom niezbędne były zwycięstwa. Oto dlatego czujnym okiem szukano nieprzyjaciela i znaleziono go wreszcie w anarchistach i w rezerwowym pułku polskim im. Bartosza Głowackiego.

Anarchiści w niczem Sowjetom nie przeszkadzali, przeciwnie pomagali im znakomicie w szerzeniu zamętu i terroryzowaniu burżuazji. Władze sowieckie krępować się musiały bodaj jakąś logiką w swem postępowaniu — anarchiści nie oglądali się na nic i znacznie dotkliwiej nieraz dawali się we znaki bezbronnym burżujom od bolszewików. Pro-



pagowali gwałt i terror, nie motywując go żadnym dekretem, a że Sowiety przez jakiś czas patrzyły na to przez palce, więc anarchiści, wśród których istotnie było немало zbiegłych katorżników, nie mieli najmniejszego powodu do łączenia się przeciw nim z monarchistami, zwolennikami rządów żandarmskich i policyjnych. Nie była też dla nowego porządku niebezpieczna siła tych urwiszów rewolucji, albowiem, wbrew przesadnym plotkom, nie liczone w Moskwie więcej nad dwa tysiące żołnierzy „czarnej gwardji“, groźnych w nocy dla spokojnych przechodniów, ale ani nie wierzących w możliwość zwycięstwa anarchji nad światem, ani też nie myślących o ewentualnem stawianiu zacieklego oporu, oczywiście wyjąwszy tych, których „conto“ życiowe było tak czarne, iż nie mieli już nic do stracenia.

Wiedząc o tem wszystkiem, Sowjety postanowiły uderzyć na anarchistów, a rozbiwszy ich bez większego trudu, uzyskać w ten sposób nowy rozdział swej historii, chwałę nowego zwycięstwa, a także wdzięczność i uznanie ludności za zaprowadzenie porządku i oczyszczenie miasta od opryszków.

Mimo, że zadanie wcale nie było trudne, bolszewicy, nie lekceważąc wroga, wzięli się do rzeczy bardzo ostrożnie. W kołach anarchistycznych liczone na pułk dźwiński, a także na gwardję rewolucji — na marynarzy. Chcąc wiedzieć, jak rzeczy stoją, na kilka dni przed wystąpieniem przeciw anarchistom, Dzierżyński, przewodniczący Nadzwyczajnej Komisji do walki z kontrrewolucją, objeżdżał marynarzy, badając, jaki wśród nich panuje nastrój. Marynarze opowiedzieli się za sowjetami, oświadczyli, że po stronie anarchistów nie staną. Zapewniwszy

sobie w ten sposób bodaj ich neutralność, Dzierżyński, niezbyt im zresztą ufając, przeciw anarchistom nie wyprowadził ani ich, ani miejscowych pułków rosyjskich, lecz jedyne w owym czasie regularne wojska sowjeckie, mianowicie strzelecką dywizję lotewską, liczącą około sześciu tysięcy ludzi.

Rozumie się, że anarchiści o przygotowaniach władz sowjeckich wiedzieli i ze swej strony zbroili się, aby móc stawić im opór jak najzacieklejszy. Mając sympatyków w różnych pułkach, zaopatrzyli się w dziesiątki karabinów maszynowych, któremi najeżyli okna zajętych przez siebie „osobniaków“, po ustawiali miotacze bomb i min, a gdzie niegdzie i małe działka artylerji górskiej, a gotując się do długiego oblężenia, postarali się też o znaczne zapasy amunicji, bomb i granatów ręcznych, a także żywności. W sprawie walki z Sowjetami nie było wśród nich zupełnej jednomyślności. Nierówność sił wszystkim rzucała się w oczy. Mimo to większość postanowiła się bronić, aby w ten sposób dać świadectwo swej czarnej prawdzie.

Nad wieczorem 11-go kwietnia władze sowjeckie zaczęły ściągać na plac Aleksandra wojska, odkomenderowane do poskromienia anarchistów. Plac w krótkim czasie zapełnił się samochodami pancernymi, zwykłymi samochodami, na których ustawiono karabiny maszynowe, a także platformami towarowymi, mającemi służyć do szybkiego przewożenia wojska, wreszcie nadciągnęły specjalne oddziały karabinów maszynowych i miotaczy bomb. Kilka samochodów odkomenderowano przede wszystkim do strzeżenia i obrony gmachów i instytucji sowjeckich, w których też ustawiono wzmocnione stráže i liczne karabiny maszynowe, gdzie niegdzie już ze



wstawionemi wstęgami i obsługą, nie oddalającą się ani na krok. Sam widok jeżdżących po mieście stalowych potworów zgrozą i przerażeniem napelniał serca Moskwiczów.

Na te manewry i przygotowania do walki patrzyło całe miasto, ludność jednak tak mało już zajmowała się w owych czasach rewolucją i tak jej była obcą, że prawie nikt nie wiedział, przeciw komu akcja bojowa ma być skierowana.

Toteż, kiedy późną nocą niespodziewanie gruchnęły działa, kto żyw, rzucił się do okien, aby z odgłosów bitwy w przybliżeniu przynajmniej dowiedzieć się, co się dzieje.

Huczały armaty, trąkotały karabiny maszynowe, trzaskały gęste, pojedyncze wystrzały, z grzmiotem wybuchały bomby i granaty ręczne, hurkotały okryte blachą karabiny maszynowe samochodów pancernych — nie gdzieś daleko, ale w samym mieście, to tu, to tam i bliżej i dalej i tuż pod domem. Do niektórych domów wpadali nieznani, zbrojni ludzie, wołając: — Uciekajcie, będziemy rzucać bomby! — gdzieindziej wdzierali się złodzieje i rabusie, w ściany trzaskały kule i znowu dzika, twarda wojna domowa zgiełkiem swym wypełniła ulice, znowu z okien domów, jęcząc, posypały się szyby, a strwożony burżui, żegnając się krzyżem świętym, uciekał w najciemniejszy kąt mieszkania.

W nocy podzielono Łotyszów na oddziały, które, wiodąc ze sobą artylerię i eskortowane przez samochody pancerne, rozprószyły się po mieście, osaczając poszczególne schroniska anarchistów.

Najwięcej sił skierowano oczywiście ku „Domowi Anarchji” i sąsiadującym z nim na Małej Dmitrowce „osobniakom” anarchistycznym. Obsadzo-

no patrolami wszystkie ulice między Placem Męki Pańskiej a Sadową-Triumfalną, a także we wszystkich przecznicach Twerskiej ustawiono karabiny maszynowe. Łańcuch konnych zamknął z obu stron Małą Dmitrowkę.

Okolo pierwszej godziny w nocy huknęły pierwsze strzały gdzieś w okolicy ulicy Powarskiej. W owym czasie kordon sowiecki dokoła Małej i Wielkiej Dmitrowki zamknął się już i Łotysze mogli rozpocząć atak.

Anarchiści częściowo spali, częściowo rozmawiali, oczekując spodziewanego napadu. Wszędzie stały skrzynie z amunicją i nawet w pokojach pobudowano barykady z szaf, stołów i innych sprzętów. Dyżurujący anarchiści popijali herbatę i rozmawiali półgłosem.

Wtem pojawił się oficer strzelców łotewskich, a oznajmiwszy anarchistom, że ich z rozporządzenia władz sowieckich aresztuje, zażądał natychmiastowego złożenia broni.

Anarchiści ze swej strony zażądali czasu do namysłu i możliwości porozumienia się w tej sprawie z towarzyszami, zajmującymi domy sąsiednie.

Odmówiono im. Łotysz dał im trzy minuty czasu do namysłu.

Po upływie tych trzech minut rozpoczęły się działania wojenne. Łotysze ostrzeliwali dom, zrazu z karabinów ręcznych, później z karabinów maszynowych, których skoncentrowano tu przeszło dwadzieścia. Podziurawiono kulami okna, zalano je strugami ołowiu.

Ale i anarchiści gryźli. Ukryci za murami odpowiadali z ręcznej broni i karabinów maszynowych, a kiedy zuchwali Łotysze rzucał się do ataku, razili



ich zgóry, z dachu i ze strychów, granatami ręcznymi i bombami.

Rozdrażnieni napotkanym oporem Łotysze prali salwami w okna i bramę domu, wreszcie, kiedy to nie pomogło, sprowadzili około godziny piątej rano małe, trzyciałowe działko. Ustawiwszy je w Nastasińskim zaułku, tuż pod osobniakami, w którym mieścił się lokal „Koła Pań“, z odległości najwyżej osiemdziesięciu kroków bili wprost w fasadę „Domu Anarchiji“, chcąc wybić bramę i zdemoralizować obrońców, zgromadzonych w wielkim westybulu. Jęknęły szyby w sąsiednich domach, zgasł i rozprysnął się duży, elektrycznie oświetlony zegar uliczny, zatrzęsły się domy od huku — ale anarchiści nie poddawali się, a karabiny ich strzelały celnie. Łotysze mieli już zabitych i rannych.

Gdy tak część Łotyszów szturmowała „Dom Anarchiji“, inni rzucili się na niedaleki dom Pautyńskiego, gdzie również obwarowała się „czarna gwardja“. „Osobniak“ Pautyńskiego stawiał zrazu opór tak słaby, że ośmieleni tem Łotysze otoczyli go gromadą, starając się wysadzić w powietrze drzwi i wdrzeć się przez okna. Wtedy dopiero zagrały karabiny maszynowe anarchistów z przeciwległego domu Kosiakowa. Łotysze, dostawszy się w dwa ognie, rzucili się do ucieczki, tracąc zabitych i rannych i od tej chwili zdaleka krążyli dokoła niebezpiecznych domów, zdaleka tylko dziubiąc je strzałami, na co dom Pautyńskiego odpowiadał z małego działka górskiego.

Mimo uprzedniego zbadania sytuacji, nietrudnej zresztą do poznania, strzelcy lotewscy napotykali coraz to nowe niespodzianki. Tak na przykład nie wiedzieli, że na jednym z górnych pięter stojącego

w tej samej ulicy domu Tiulajewa również usadowili się anarchiści, którzy zresztą siedzieli cicho, tak, że się na nich nie skarżono. W czasie walki mały garnizon domu Tiulajewa nie tylko stanął pod bronią, ale nawet postanowił małą dywersją przyjść w pomoc swym obleżonym towarzyszom. „Czarnogwardziejcy“, rozbiegłszy się po domu, kazali się neutralnym mieszkańcom pochować, zapowiadając, iż rozpoczną bój, zanim jednak można było rozkaz wykonać, już z górnego piętra jedna za drugą posypały się bomby na snujących się po ulicy strzelców lotewskich. Łotysze natychmiast odpowiedzieli salwami, a zaskoczeni tem neutralni mieszkańcy domu, zapani i nie wiedzący, gdzie się podziać, zanim mieli czas z łóżek się zerwać, już byli ranieni rozpryskującymi się kawałkami szkła.

Równocześnie toczyły się walki i w innych punktach miasta.

Uparcie broniła się Łotyszom grupa anarchistów niezawisłych, obleżonych w willi Zeitlina. Niezawisli poddać się nie chcieli, a uciec nie mogli. Na strzały odpowiadali strzałami, szturmę odpierali przy pomocy granatów ręcznych. O świcie zajechał przed willę samochód pancerny i małe działko polowe. Rozpoczął się nieustający ogień, posypał się z domu gruz, zasypując ulicę rumowiskiem, ginęły pod ogniem karabinów maszynowych i artylerji piękne kariatydy. Z hukiem padła jedna, drugiej salwa karabinowa odcięła głowę, trzeciej nogi, czwartej ręce...

Uporczywie bronił się też „osobniak“ Bankietowa przy ulicy Dońskiej. Na ultimatum wojsk sowieckich „czarnogwardziejcy“ odpowiedzieli strzałami. Łotysze natychmiast otoczyli dom kordonem i otwo-



rzyli ogień. Przyszły im na pomoc dwa samochody pancerne, które też ostrzeliwały dom z karabinów maszynowych i lekkich dział małego kalibru. Anarchiści mimo to nie poddawali się, lecz odpowiadali również ogniem z karabinów maszynowych, a także rzucali ręczne granaty. Około godziny ósmej rano naprzeciw domu zajęła pozycję bateria dział trzycalowych i zaczęła ostrzeliwać dwa górne piętra domu. Ściany waliły się, lecz zaciekli „czarnogwardziecy” niewiele sobie z tego robili. Widząc, że na górnych piętrach utrzymać się nie potrafią, zeszli na dół, gdzie ukryci za grubymi, betonowymi murami niewiele sobie robili z trzycalowych pocisków.

Wreszcie około godziny jedenastej przed południem wydano rozkaz ostrzelania domu z ciężkich dział. Dowiedziawszy się o tem, czy też może wyzerpani bojem, anarchiści postanowili się poddać. Z napół zburzonego domu wybiegła młodzieńka dziewczyna i machając białą chustką, zaczęła krzyzczeć:

— Zaprzeście ogień! Anarchiści poddają się!

Wziętych do niewoli obrońców było zaledwie trzydziestu.

Gdzie indziej znów ośmiu ludzi przez kilka godzin broniło się całej „rocie” łotewskiej i dwóm samochodom opancerzonym.

Bywało jednak i inaczej. Anarchiści uciekali albo też poddawali się bez walki.

Tak na przykład na Zamoskworjeczju w ulicy Kuźnieckiej „czarnogwardziecy” zagnieździli się w trzech domach.

W nocy pokazał się w ulicy samochód opancerzony i znaczny oddział strzelców łotewskich.

Zajęte przez anarchistów domy były ciemne, posępne i milczące.

Ośmieleni tem Łotysze odważnie rzucili się na przód.

W mgnieniu oka zerwano czarne flagi, powiewające nad bramami domów. Przesadziwszy sztachety od ulicy, strzelcy zwartem kołem otoczyli domy i pukając do drzwi i okien, domagali się wydania broni i poddania się. Pukali długo — nikt im nie odpowiadał. Wreszcie ktoś tam śmielszy w domu wysunął głowę przez okno i zapytał:

— No i co, obywatele, jakże sprawy stoją?

— A gdzie anarchiści?

— Uciekli. Śladów nawet po nich nie zostało.

Wyjawszy kilka grup, gniazda anarchistyczne poddawały się przeważnie po kilku salwach karabinów maszynowych. Nie brakowało u nich broni, amunicji, ani żywności, obrońcom nie brakowało też męstwa, ani zapалу wojennego, kiedy jednak przyszła poważna chwila boju na śmierć i życie, siły inteligencji anarchistycznej nie dopisały, zaś ludzie prostsi zbyt wiele mieli oleju w głowie, aby poświęcać życie dla beznadziejnej demonstracji. Można się było bronić i kilka dni nawet, ale wiary w zwycięstwo nie miał nikt.

Jednakże dopiero między dziewiątą a dziesiątą przedpołudniem wywiesił białą flagę „Dom Anarchiji”.

Natychmiast wpadli do gmachu Łotysze, rozbili anarchistów, przywódców odesłali samochodami do Dzierżyńskiego, jeńców wyprawili pod konwojem do więzień, sami zaś przystąpili do szczegółowej rewizji. Zdobyto dużo broni, amunicji i zapasów żywności. Chytry parobcy łotewscy szukali



jednakże złota i klejnotów. Rozbiegli się tedy po salach, potykając się na zerwanych, wielkich, pluszowych portjerach, ślizgając się w kałużach krwi. Rozpruwano materace, w podejrzanych miejscach zrywano tapety ze ścian, kluto długimi, cienkimi sztykami skórą okryte fotele klubowe. W „Domu Anarchji“ poszukiwania te nie dały rezultatów, obok jednak, w willi Pautyńskiego, znaleziono spory skład wyrobów złotych, pochodzących z „nalotów“ na sklepy jubilerskie.

Koło godziny jedenastej przed południem wszystkie wille anarchistów zostały zdobyte. Jeńców platformami ciężarowymi odesłano pod strażą do więzień, przed zdobytymi okaleczalnymi „osobniakami“ ustawiono warty, ściągnięto z ulic wojska i rozstawiono wszędzie karabiny maszynowe. Znowu namnożyło się na ulicach gruzów i pokiereszowanych domów. Gdziekolwiek chodniki, jak lodem, zasłane były potłuczonym szkłem. Groźne, czarne flagi z domów zniknęły. Sowjety miały w swej historii o jedno zwycięstwo więcej.

A teraz rozpoczęło się zwykłe znęcanie się moralne. Bo Sowjetom nigdy nie dość zwycięstwa oziębnego. Zawistne, cyniczne, opierające się na bezwzględny, okrutny terrorze najdzikszej, jaka kiedykolwiek była, dyktatury, lubią stroić się w biały pióropósz błędnego rycerstwa, walczącego tylko z nieprawościami świata, lubią moralnie pograżać i unicestwić swego przeciwnika, a że mają do czynienia z bezkrytycznymi masami, więc im to nie trudno przychodzi. Żydowsko-mongolska ich zawziętość nie poprzestaje na rzuceniu sobie przeciwnika pod nogi, muszą go jeszcze opluć, zhańbić, zbezcześcić. Więc komunikaty bolszewickie,

oświadczając, że „Sowjety nie zwalczają anarchizmu, lecz samozwańców, podszywających się pod jego idee“, opowiadały mgliście i niewyraźnie o rabunkach Quebouriez, o spekulacjach z opium Gorbowa, o niepokojących ludność „nalotach“ i „zachwatach“, podkreślały obecność w grupach anarchistycznych „żywiółów kryminalnych“, a nawet, natychmiast po rozbrojeniu, ogłosiły wystawienie na widok publiczny wziętych do niewoli anarchistów, a to w tym celu, aby publiczność mogła wskazać rabusiów, którychby między nimi poznała. Nie występując przeciw anarchizmowi ideowemu, lecz z drugiej strony robiąc anarchistów bandytami, sowjety schlebiali równocześnie i wolności rewolucyjnej i burżuazji. W rzeczywistości zaś nie szło o nic innego, jak tylko o pozbycie się anarchistów i wydarcie im łupu. Wszystkie zajęte przez nich „osobniaki“ rekwirował natychmiast rząd sowiecki, mający dość środków, sił i odwagi na to, aby nie poprzestać na bibelocikach, lecz wywieźć i sprzedać i najcięższe sprzęty. Dla zamydlenia oczu naiwnym władze sowieckie, angażując oficerów niemieckich do organizowania swych wojsk, ogłosiły, iż w „osobniakach“, zajętych przez anarchistów, znaleziono broń, pochodzącą z niemieckich fabryk.

A na samym końcu gwizdnęła zatruta strzała.

Oto władze bolszewickie ogłosiły, iż badani anarchiści oświadczyli, że byli pewni, iż rozbrajają ich „polskie legjony i białogwardieje“, i że sowieckim wojskom nie stawiałiby oporu. Było to wymierzone oczywiście przeciw rezerwowemu pułkowi polskiemu im. Bartosza Głowackiego.



### XXXVII.

Agnes długo miotła się w swej klatce, napróżno bijąc pięściami w drzwi i syjąc najordynarniejszymi kłótwami. Słyszała, jak Popiołka wychodził ze swego pokoju, jak trzasnął za sobą drzwiami. Potem przez długie godziny nie było w pobliżu nikogo.

O godzinie jedenastej w nocy światło elektryczne zgasło. Agnes ogarnęło przerażenie. Kiedy lampka elektryczna jeszcze raz na chwilę rozbłysła, ujrzała na umywalni małą świeczkę. Miała zapalki.

Wreszcie ogarnęła ją zupełna ciemność.

Zdaleka słychać było głosy.

Anarchiści nie spali.

Wiedziała, że nie będą spali tej nocy.

Słyszała, jak przesuwali jakieś ciężkie przedmioty. Wciąż biegali po domu.

Przygotowywali się do obrony.

Roznosili niezawodnie skrzynie z amunicją, ustawiali karabiny maszynowe.

Lada chwila mogła się rozpocząć walka.

Agnes, wykrzyczawszy się, przysiadła na brzegu wanny, zapaliła papierosa i zaczęła myśleć.

Sytuacja bynajmniej nie była stracona.

Głupi Popiołka, sentymentalny Popiołka!

Mógł ją zabić.

Bał się.

Zamknął ją w łazience. Prawda, jest ciemno, niema gdzie sięść. Wypuścić jej nie mógł, ale tu, choć niewygodnie, nic nie grozi. Łazienka ukryta w głębi mieszkania, nie dosięgną jej ani granaty, ani karabiny maszynowe.

Za ścianą odezwały się głosy.

Słuchając ich, Agnes zrozumiała, iż w łazience musi być okienko, prowadzące do pokoju Popiołki.

Podniosła głowę i istotnie na ścianie ujrzała odblask światła.

Okienko znajdowało się wysoko nad nią, tuż pod sufitem.

Widać było mały, oświetlony kwadrat w murze.

Czekała, dopóki światło nie zgasło — a potem zapaliła świeczkę, postawiła ją tak, aby blask jej nie padał w okienko, kocim ruchem wspięła się na wannę, lekko stanęła na kranie wysokiego pieca gazowego, znowu kolanem oparła się na haku wbitym w ścianę, chwyciła się ręką krawędzi okienka, wsunęła głowę...

Okienko było za małe.

Młoda kobieta nie straciła jednak ani zimnej krwi, ani wiary w siebie. Spokojnie, powoli, kurcząc się w sobie, jak wąż przeciskała się przez mały otwór w murze, nie zważając na ból, ani na to, że suknia jej się drze. Nogi się jej plątały w spódnicy — zsunęła ją z siebie i rzuciła na ziemię.

Napróżno.

Przecisnąć się przez ten mały otwór było fizycznym niepodobieństwem.

Wówczas Agnes zsunęła się na ziemię i zaczęła się znowu rozglądać.

Gdyby dłuto, młotek, siekierka, nóż, coś twardego!

A naraz zauważyła, że wanna się kiwa.

Pewnie złamana noga.

Schyliła się, zaczęła szukać.

Po chwili wyciągnęła z pod wanny ostrokauciastą bryłę metalu. Było to narzędzie niewygodne, lecz przecie mogło się przydać.

Teraz Agnes zrobiła ze swej spódnicy pętlę i zawiesiła ją na haku w ścianie tak, że mogła przeło-



żyć przez nią lewą nogę. Wisiała na tej pętlicy, opierając się prawą nogą o kran pieca.

Już podniosła kawał cyny, aby uderzyć o mur, gdy naraz przypomniało się jej, iż w pokoju może spać Popiołka. Trzeba zejść nadół, znowu windować się ostrożnie nagórę ze świecą w rękę...

Były to trudności niemałe, ale ta walka młoda kobietę rozgrzała. Nie burzyła się już przeciw swemu losowi. Rozumiała, że wolność utraciła skutkiem własnej nieostrożności. Trzeba było zrobić swoje, nie trzeba było wybuchać, grozić. Marna jest sława, marna jest radość krzyku, czyn jest wszystkim, fakt! Więc teraz trzeba było głupotę własną odrobić, wolność zdobyć, samą siebie własnymi siłami stworzyć jeszcze raz.

Powoli rękę ze świeczką wsunęła przez otwór w ścianie do pokoju Popiołki. Zaglądała, jak mogła. Nie było nikogo.

Świeczkę zgasiła i wsunęła ją wraz z zapalkami za pończochę, ujęła leżącą na okienku bryłę metalu, namacała krawędź muru — uderzyła raz, drugi, trzeci.

Cisza.

To jest — w najbliższem sąsiedztwie nikt się nie ruszył.

W domu był gwar, bieranina. Prócz tego, gdyby nawet zauważono odgłos tego kucia w mur, pochodził on zgóry, z pod sufitu, jak gdyby ktoś na górze coś przybijał...

Tedy Agnes śmiało już zabrała się do roboty.

Biła w mur, co siły w rękę.

Tynk zaczął się sypać. Namacała pod nim dłońią cegły.

Wtem dały się słyszeć głosy, kroki.

Ze świecą w rękę wszedł do pokoju Popiołka z Drozdowskim.

Agnes zaprzestała roboty, lecz wisząc w ciemnościach na swej pętli pod sufitem, słuchała.

Popiołka otworzył kasę, wyjął z niej szklanki i parę butelek.

— Ostatki! — rzekł, stawiając świecę na stole i napełniając szklanki. — Pij!

Drozdowski osunął się na głęboki fotel.

Popiołka, wielki i czarny, chodził po pokoju.

Pili żywo.

— Słuchajno! — odezwał się naraz Popiołka, stając przed Drozdowskim. — Ja cię przecież nie zmuszam. Połóż tu rewolwer, każę cię pocichu wypuścić, wylżesz się Łotyszom... Wódką i tak od ciebie jedzie, wezmą cię za jakiegoś zapóźnionego pijaczynę i puszcza cię...

— Nie gadaj! — wybełkotał Drozd.

— Żołnierz z ciebie jest żaden. Tyle, że huku i dymu narobisz. Poszedłbyś sobie do domu, przestałbyś pić, możeby z ciebie był z czasem bodaj przyzwoity bileter teatralny... Nie każdy musi być zaraz biskupem lub jenerałem... Śmieję się z tego...

— Za późno. Nie mam już nic do uratowania. Nie boję się śmierci, nie wierzę w sny Hamleta. Chcę mieć spokój... I chcę widzieć, jak ty będziesz umierał.

— Aha!

Popiołka zatrzęsł się.

A Drozd piłował swym drewnianym głosem:

— Znęcałeś się nademną, nazywałeś mnie tchórzem, chociaż ja miałem odwagę i siłę znosić swe życie, jak mogłem. Ty tej odwagi nie miałeś. Ja za krzywdy swoje nie mściłem się na nikim, ty



się mściłeś... Twój rachunek na świecie jest z pewnością wyrównany... Teraz przychodzi śmierć... Nie miałeś odwagi skończyć sam ze sobą... Wzywałeś na pomoc mnie... tę czarną małpę, Agnes... Wyrabiałeś błazeństwa...

— Cóż to, sędzią moim jesteś? — tupnął zlekka nogą Popiołka.

— Abyś sobie wiedział. Sądziłeś mnie — więc teraz ja sądzę ciebie. Narobiłeś kupę błazeństw i przez to giniesz. Mówiłeś mi nieraz o swych nieporozumieniach ze światem. To przedewszystkiem ty samego siebie nie rozumiałeś. Jesteś niby typem wyższym, przynajmniej sam się za takiego uważasz. A uciekłeś od życia, jak tylko do ciebie przyszło...

— Co to znaczy?

— To „a conto“ twojej szczęśliwej miłości. Aha, już pijesz! Dobrze, pokrzywdzono cię — ale coś w tobie pokrzywdzono? Nie jesteś żadną ludzkością, tylko jeden jedyny Popiołka, krótki moment... I ten moment śmieszny chciał się wyzwolić... Kogo ty, Popiołka, chciałeś wyzwolić, skoro nikogo prócz siebie nie znasz? W tobie nie było nic do skrzywdzenia!

— Co mi tam! Nie zależy mi na filozofii! — mruknął Popiołka, siadając. — Głupstwo wszystko. Byłem młody, byłem silny, może nawet głupi... Ale miałem talent... Niewiele myślałem o całości, robiłem swoje... Gdyby mnie użyto, gdyby sił moich zapotrzebowano, gdyby je zwrócono w tym kierunku, w którym one szły, mieliby ludzie ze mnie pożytek, a ja byłbym szczęśliwym, a przynajmniej wiernym niewolnikiem. Jak Michał Anioł. Jak wszyscy inni, którzy się wiecznie za łby wodzą ze swemi upiorami...

Wychylił duszkiem szklanę i opadł na stół.

— Mogę się przyznać — byłem słaby, tak słaby, że ja, com się nie bał najstraszniejszych wizyj, bałem się ludzi. Więcej od innych czułem ich zwierzęcy zapach, rozumiesz, zapach dzikich zwierząt... Więcej od innych mnie to przerażało... Dlatego zdzierałem... A wkońcu, gdy nie można tworzyć, można niszczyć... Ja coś robić muszę... Jeśli we mnie był miód, to się ściał w truciznę... Nie *ja* jestem temu winien, lecz oni... Ci wszyscy, którzy mnie zatruli... No, a teraz nadchodzi chwila... Chcą wypalić wrzód... Będziemy się palili... Lecz nie mów mi, że to kara za grzechy... Był kiedyś może Biały i Czarny Bóg, było kiedyś zło i dobro... Dziś — niema. Dziś ludzie sami nie wiedzą, co złe, a co dobre... My padniemy, wiem o tem, ale nie dlatego, abyśmy złej sprawy bronili, lecz ponieważ jest nas za mało... Drugich pod innemi sztandarami stoi więcej... Ot i cała rzecz... Nie, nie...

Gdzieś w pobliżu padło kilka strzałów.

Popiołka przysłuchiwał się przez chwilę.

— Zaczyna się! — mruknął. — Nasza barykada już się bije. No, trzeba będzie iść za chwilę do Pana Boga na asenterunek. Tauglich — untauglich! Napelnił szklanki.

— Pij Drozd! Ostatnia!

Wypił duszkiem szklanę i postawił ją na stole.

— Mogę powiedzieć — rum był niezły, ale życie było kiepskie.

— No, cóż, nie udało się! — zatrzeszczał dziwnie podniecony głos Drozda. — Nie masz tam już w tych butelkach nic?

— Chodźmy! Chodźmy! — niecierpliwił się Popiołka.



— Zaraz... Ostatnią kroplę goryczy jeszcze...  
Drozd butelkę za butelką wychylał sobie prosto  
w usta.

A potem zatoczył się i rzekł:

— A przecie „Marsyljanka“ Rosję wywróciła...  
Oto, co znaczą pieśń!... Aux armes, citoyens!

Wyszli — i znowu rozpoczęło się uparte kucie  
pod sufitem.

Wtem rozległ się huk.

Dom drżał od wystrzałów.

Zajęczały szyby, posypało się szkło, zaczęły  
bećnąć karabiny maszynowe.

W pewnej chwili Agnes zauważyła, że w po-  
koju, w którym Popiołka zostawił płonącą świecę,  
dzieją się niezwykle rzeczy. Rozprysnęły się w ok-  
nach kolorowe szyby, rozhuśtał się żyrandol, zaczę-  
ły tańczyć na ścianach obrazy.

Skoczyła nadół.

Zgiełk uczynił się nieopisany. Raz po raz roz-  
legał się twardy, mocny huk szybkostrzelnego dział-  
ka górskiego, z którego anarchiści ostrzeliwali  
swych przeciwników. Granaty bolszewickie były  
w dom, dziurawiąc ściany, wyrywając z nich gruz.

Świeca zgasła. Zrobiło się ciemno.

Bój trwał wciąż.

Wreszcie Agnes przyszła do siebie.

Z nową energią wspięła się ku okienku i teraz  
już z furją zaczęła rozszerzać otwór. Udało się jej  
wyjąć kilka cegieł.

Świtało.

Wychyliwszy się przez okienko, ujrzała w po-  
koju kilka jakby ciemnych worków, leżących na  
ziemi. Jeden przerzucony był przez stół, drugi o-  
sunął się na ziemię pod zakratowanym oknem.

Domyśliła się, że to zabici.

Ale kule już po pokoju nie trzaskały.

Wijąc się, jak wąż, młoda kobieta wśliznęła się  
w otwór. Ostre kanty cegieł i skamieniałego wapna  
darły na niej bieliznę, kaleczyły ją, ale ona nie zwa-  
żała na to. Wsunąwszy się naprzód głową, cudem  
tylko nie runęła na podłogę. Dopomogła jej giętkość  
młodego ciała. Po długich usiłowaniach wysmyknęła  
się jakoś z okienka i skoczyła na ziemię.

Była wprawdzie pół naga, w bieliźnie tylko, po-  
dartej i pokrwawionej, ale — wolna.

Dom grzmiał wciąż odgłosami bitwy.

W zamieszaniu i zacietrizewieniu nikt na nią  
z pewnością nie zwróci uwagi. Będzie można zna-  
leźć Popiołkę.

Wyobrażała go sobie ukrytego za ramą okna  
i strzelającego do atakujących nieprzyjaciół. Trzy-  
ma na oku wroga i już chce posłać mu śmierć, a nie  
wie, że jego własna śmierć stoi za nim. A potem  
błysk, jedno uderzenie — i fala krwi cieplej na ręce...

Agnes ogłędnęła się. Pamiętała, że na biurku  
Popiołki leżał bez pochwy krótki, austriacki bagnet.  
Trzeba było przejść przez trupy. Agnes uczyniła to  
bez trwogi. Jedno ciało ruszyło się pod jej stopą,  
drgnęło, jęknęło. Pochyliła się. Był to Utopia, ran-  
ny kulą w głowę. Całą twarz zalepioną miał krzep-  
nącą już krwią. Uśmiechnęła się mściwie, pogardli-  
wie i na tej twarzy zranionej stanęła wysokim, cien-  
kim obcasem swych pantofelków.

Wreszcie znalazła bagnet.

Przez chwilę wahała się.

Strach ją zdjął.

Opuścić ten cichy pokój, iść między tych mor-  
dujących się ludzi...



Ale — pozostać tu, wśród trupów, nie uderzyć ztyłu, dać sobie wyrwać tę upragnioną ofiarę, wypatrzoną, od tak dawna osaczaną...

Zgiełk zrobił się jeszcze straszniejszy, dziki, tak okropny, że wytrzymać już nie można było. Odezwały się krzyki, huk — coś się w domu działo, coś porywającego jak burza, coś, co duszę z człowieka wyciągało...

Nie wytrzymała.

Zgrzytając zębami, straszna, rozczochrana, pół przytomna, wybiegła na korytarz, ściskając bagniet w rękę.

Łotysze wzięli dom atakiem na bagnety, ale walka toczyła się wciąż jeszcze. Mordowano się w pokojach, w korytarzach.

W oczach Agnes padł od strzału rewolwerowego ogromny Łotysz, pędzący naprzód z pochylonym bagnietem. Jakby się potknął o coś, runął łbem naprzód.

W samym kącie, na końcu korytarza, broniło się kilku anarchistów, ze stołu uczyniwszy sobie barykadę.

Łotysze skoczyli na nich kupą.

Powietrzem wstrząsał huk wystrzałów i krzyk.

W ciemnym korytarzyku, prowadzącym do pokoju Popiołki, Łotysz jakiś ujrzał Agnes z nożem w rękę. Coś do niej krzyknął, ona zawołała, że jest komisarzem sowieckim, że chce bić anarchistów... Podniosła rękę i potrząsnęła bagnietem.

W tej chwili Łotysz zamachnął się karabinem, jak cepem i kolbą rozbił jej głowę.

Krwawy mózg bryzgnął na ścianę.

A ciało Popiołki od kilku godzin już stygło przed bramą domu.

Padł, prowadząc kontratak na Łotyszów.

Przy nim leżał mały, skurczony Drozd, zwinęty w kłębek, jak gdyby mu zimno było. Nie miał żadnej broni przy sobie.

### XXXVIII.

Przedwiośnie było w rozkwicie.

Szczerem i radosnem sercem powitał je Zaucha. Chwalił sobie szeroki blask nowego słońca, błękit nieba z dniem każdym ciemniejszy, zachwycił się ognistemi zorzami, grającemi w niezliczonych szybach ulic, wielbił światłość gwiazd, rozpalających się wieczorem na niebie czystem, podobąca mu się nawet żałosna, trupia cisza ulic moskiewskich, puściciących już przedwieczorną godziną, kiedy jeszcze jasno było na świecie. Groza rewolucji, anemiczna bladeść tak niedawno kwitnącej jeszcze stolicy, handlowe opętanie ludzi, wiecznie szachrujących po kawiarniach, melancholjja milicjanta bolszewickiego, pilnującego pustych i cichych ulic — to wszystko było już dla niego literaturą, czemś zgoła nierealnem, co najwyżej tak nieprzyjemnem, jak — niedostatek pożywienia.

Jeszcze parę dni, jeszcze parę dni — a to wszystko zniknie, jak mara!

Francuzi przyjęli i Chrobaka i Zauchę. Czekano tylko na przybycie jakiegoś statku. Mieli już w porządku papiery, mieli jechać jako Serbowie lub Włosi. Nakazywano im wielką ostrożność, bo bolszewicy nierzadko chwyтали się prowokacji. Zaucha z Chrobakiem przysięgli sobie na wszystko święte, że ust nawet otwierać nie będą. Chrobak energicznie wysprzedawał resztki rzeczy swej żony i ujadł się z Tatarami.



Rezerwowy pułk im. Bartosza Głowackiego oczywiście „rozbrojono” — mimo że właściwie on broni wcale nie miał i nie myślał nawet stawiać oporu. Bolszewicy jednak nie odmówili sobie satysfakcji strzelania z karabinów maszynowych, dzięki czemu mogli się pochwalić jeszcze jednym zwycięstwem.

A pani Luta zachorowała ciężko na tyfus i umarła. Rozchorowała się w dwa dni po poskromieniu anarchistów. Kiedy Zaucha przyszedł ją odwiedzić, zastał ją zupełnie nieprzytomną. Gorączkę miała już od dłuższego czasu. Bredziła coś o liście, którego jej nie oddano.

Zaucha umieścił ją w szpitalu, zrobił wszystko, co było w jego mocy, ale biednej kobiety nie uratował. Umarła. I to był cud. I to była wielka łaska boska, bo umarła, nie przeczytawszy listu, jaki jej pan Piotrowski przysłał z Piotrogradu.

List ten otwarł i przeczytał Zaucha.

Pan Piotrowski pisał:

— Szanowna Pani! Kiedy Pani, czyniąc zadość swemu gwałtownemu i nieumiarkowanemu sposobowi myślenia, porzuciła swego męża, wspomagałem Panią w miarę sił, a nawet ponad siły, cierpliwie znosząc, iż pani mnie winę swego kroku przypisywała. Byłem pewny, że prędzej czy później rozum zwycięży. Nie mogę jednakże popierać w dalszym ciągu kobiety, posuwającej się aż do romansowania z anarchistami i kompromitującej się nawet listami. Dwa takie listy, utrzymane w tonie bardzo poufałym lub zagadkowym, są w mem posiadaniu. Dzięki im wiem, z kim mam do czynienia.

Skutkiem swego nieszczęśliwego nałogu nieraz padałem ofiarą niesumiennych wyzyskiwaczy

i złych ludzi. Czasy rewolucyjne i powszechne rozluźnienie obyczajów tłumaczą niejedno. Dla tego nie potępiam nikogo.

List piszę na wyjeździe do Szwecji.

Pani zaś radzę wrócić do męża, który z pewnością przebaczy.

*Piotrowski.*

List ten oszołomił Zauchę do tego stopnia, iż przez jakiś czas zupełnie nie mógł myśleć. Nie byłby w stanie wyobrazić sobie tak potwornej podłości. Ale ostatecznie — cios ofiary nie dosięgnął. Piękna pani Luta nie żyła.

Patrząc na jej zastygłą, zamarłą twarz, Zaucha starał sobie uzmysłwić tę nieszczęśliwą kobietę jako małą dziewczynkę. Widział ją, rozbudzoną, żywą, w ogródku, wśród kwiatów, motyli i pocałunków. Wszyscy ją kochali, pieścili, głaskali, wszyscy ciepłymi, dobrymi słowami chuchali na małe serduszek. I wreszcie ono rozkwitło miłością, przesłodka wonią czystych wzruszeń, miodem dobroci. Dziewuszka stała się jak promień słoneczny, a czynna i gorliwa jej duszyczka pomagała Bogu w cudzie tworzenia. Przyszła wreszcie dojrzałość ludzka, opadły z duszy pieczęcie, miłość stała się ciałem, weszła między ludzi — i cóż, i cóż?

Jak róża z krzaku zerwana...

Ot! Na marne...

I przypomnially się Zausze owe niesłychanej piękności ptaki rajskie, rozświetlające cudem swych złotych ciał dżungle błotniste, zamieszkałe przez barbarzyńskich, ślepych na piękno dzikusów...

Tak już widać musi być...

On tylko i Chrobak odprowadzali trumnę z ciałem pięknej pani na daleki cmentarz. Zaucha nakupił



dużo kwiatów i cieszył się, że ziemia już nie jest twarda i zimna, że rosną na niej nowe, żywe trawki młode, że niebo jest rozpromienione...

A kiedy trumnę spuszczano w grób, szepnął do Chrobaka:

— Ona *była* piękna...

A to znaczyło, jakby chciał powiedzieć:

— Nie może umrzeć.

Pozostało mu oddać znacznie powiększony legat pani Drozdowskiej.

Wręczył jej pieniądze, powtórzył, co mówił Popiołka, że kazał jej wracać do kraju, uśmiechnął się, widząc, że natychmiast wzięła się do pakowania.

— Niechże pani tu na głupstwa pieniędzy nie wydaje! — przestrzegał ją. — Teraz i tak piekielnie drogie wszystko.

— Ja? Głupia-bym była! — oburzyła się. — Ubiorę się jak dziadówka, w łachmany, prędzej mnie puszcza! Nic nie kupię, ani rubla im tu nie zostawię.

A naraz rozplakała się:

— Dobry człowiek był ten Popiołka, mówię panu! Dobry, ale słaby, jak i mój mąż. Gniewał się niby, krzyczał, za rewolwer o byle co chwycił, straszyl! Oczami on nie płakał, tylko sercem! A to są bardzo ciężkie łzy!

Życzył jej szczęśliwej drogi, pogłaskał dziewczynkę po głowie i wyszedł.

A potem przez kilka dni prawie nie opuszczał swego pokoju, czekając chwili odjazdu.

Aż wreszcie pewnego poranku przyszedł ktoś i szepnął po rosyjsku francuskim akcentem:

— Dziś wieczorem, o szóstej, w misji francuskiej z rzeczami.

Serce zabiło Zausze jak młotem.

Wzruszenie było tak gwałtowne, że wywołało ból głowy.

— Nareszcie będziemy chems na świecie! — rzekł do Chrobaka.

— Jest jeszcze, psiakrew, jakieś porządne państwo na świecie! — stwierdził Chrobak z przekonaniem i zawołał z zapalem: — Mazda na Jurman!... Te, przemówilem się, chciałem powiedzieć „Jazda na Murman!“

Była chwila, w której nieledwie modlili się do Francji z wdzięczności.

— Zawsze mówiłem! — przypominał Chrobak.

Minęło uczucie sieroctwa i opuszczenia, minęło przygnębienie osamotnienia.

— Więc nie jest prawdą, aby nas wydano na łup Niemcom i żydowskim komisarzom sowieckim! — cieszył się Zaucha. — Teraz byle tylko po drodze nie ugrzęznąć!

— Nie bój się, nie tacy my jesteśmy! I to już braliśmy w szkole! Mogliśmy żyć z „bałaganów“ w bolszewickiej Moskwie, dojedziemy i na Murman... A potem — zachodni front! Albo — albo!

Wyprostował się.

Nie mogąc doczekać się godziny odjazdu, zdenerwowany Zaucha wyszedł po południu na miasto, pożegnać się z Moskwą.

Wąłęsał się zamyślony po ulicach, przyglądając się Moskwiczom, Tatarom, Chińczykom i rozpróżnianym, sytym jeńcom wojennym, Niemcom i Madjarom. Dawniej tak liczni żołnierze francuscy i angielscy zniknęli z ulic miasta. Chodził po bulwarach, zarosłych sośniną i brzozą, puszczającą już pęki. Szedł ktoś przez ulicę i jadł coś, a każdy kto



go mijał, musiał zaglądać: Co on tam je? Wszędzie widać było troskę, głód, nędzę.

W ulicy Twerskiej ujrzał żalösny pochód jeńców, żołnierzy rosyjskich, wypuszczonych z niewoli niemieckiej. Była to chmara wynędzniałego, obdarzonego chłopstwa w łachmanach, na pośmiewisko puszczane do Rosji pułki schorzałych, wyczerpanych żebraków. Jakby na ironię szła ta horda dziadów z pod Łuku Triumfalnego, przez który z biciem w bębny, śpiewem i szelestem rozwianych sztandarów miały wracać z wojny wojska zwycięskie.

Chodząc tak, znalazł się na Placu Czerwonym pod murami Kremla. Ostatni raz rzucił okiem na piękną, choć tak cudaczną cerkiew Joana Błażennego. Skrystalizował w niej duszę rosyjską genialny Wioch, któremu Iwan Groźny oczy zato wylupić kazał, obawiając się, aby drugiej takiej cerkwi gdzie nie postawił. I stała ta cerkiew dziwaczna, a pstra, potwór dziwno-kształtny, a przykuwający wzrok do siebie, symbol jakiś czy znak nie do odcyfrowania. Zausze przyszedł na myśl wiersz Słowackiego.

....pomięty

Jak dziwna jaka perła kałakucka,

Tem droższa, że ma kształt nieodgadnięty

I do perły jest niepodobna wcale,

Ale jest, jako monstrum dziwne, drogie —

— A wcale nie potrzeba być ani pomiętym, ani nieodgadnionym, lecz prostym i jasnym! — pomyślał, załatwiając z Moskwą swe rachunki duchowe.

Pod murem były groby „krasnogwardziejców“, padłych w walce o wolność.

— Nie szkodzi nic, — mówił sobie Zaucha — że chowają ludzi na placach publicznych. Bolszewizm jest potworną zmorą, ale ci prości ludzie, któ-

rzy życie swoje zań dali, wierzyli, że biją się o tęczę bożą. Ofiara jest zawsze święta.

Zdjąwszy kapelusz, szedł wzdłuż grobów, zasypanych choiną, prostych, nawet krzyżami nie opatrzonych. Naliczył ich kilka dziesiątków.

— A rezultat z tego będzie taki, że miasto groby wdeptze w proch. No i cóż? Czyż nie wszystko jedno?

Wtem stanął.

Na murze wisiały strzepy wieńców, owiniętych w łachmany czerwonych wstęg. Jedna wstęga, również czerwona, miała jednakże własny, odrębny odcień, ciemniejszy, głębszy.

— To mi nie wygląda na czerwień socjalistyczną! — pomyślał.

Istotnie. Nie bolszewicka to była czerwień i nie bolszewicka wstęga. Na ścianie kremlńskiej wisiał wieniec laurowy, opleciony wstęgą karmazynową z białym napisem polskim:

*Za naszą i waszą wolność! PPS.*

Nieugięta i niezwyczężona wolność polska pieczęć swą krwawą wybiła na ścianie carskiego zamku.

KONIEC.



287025